

# *Putney Mary Jo*

*Zagubieni lordowie tom: 2*

## *Prawdziwa dama*

*Hrabia Randall jako jedyny spadkobierca rodu dobrze wie, co jest jego obowiązkiem: ożenić się i mieć syna. Idealną żoną dla człowieka jego pozycji byłaby panna z najwyższych sfer. Jednak jedyną kobietą, wokół której krążą wszystkie myśli hrabiego, jest tajemnicza wdowa Julia Bancroft.*

*Julia jest przekonana, że już nigdy nie zaufa mężczyźnie. Lecz kiedy namiętność rozпали jej zranione serce, zaświta w nim nadzieja, że Randall zdoła ją nauczyć, czym jest szczęście. Jeśli tylko Julii uda się ujść z życiem prześladowcy, który nieubłaganie idzie jej śladem...*

## *Prolog*

### *Hiszpania 1812*

Wojna to istne piekło. Ale listy od krewnych bywają jeszcze gorsze.

Przez cały dzień w powietrzu fruwały kule z muszkietów, potyczka następowała po potyczce. Major Randall wrócił do namiotu, mocno kulejąc, brudny jak nieboskie stworzenie i tak wyczerpany, że mógłby spać przez cały dzień.

Zmycie brudu nie stanowiło problemu. Gordon, kompetentny ordynans Randalla, czekał już z gorącą wodą. Ze snem sprawa była już trudniejsza. A o tym, by pozbyć się bólu w udzie, major mógł tylko marzyć.

Tego dnia stracił jednego ze swoich ludzi, młodziutkiego irlandzkiego rekruta, zawsze skorego do śmiechu. Trzeba było napisać do rodziny chłopaka. Pisanie takich listów należało do najprzykrzejszych obowiązków oficera, ale przecież każde ludzkie życie zasługiwało choćby na tych kilka słów. I każda rodzina miała prawo wiedzieć, jak zginął ich bliski.

- Poczta z Anglii, sir.

Gordon podał Randallowi trzy opieczętowne listy.

Randall przyjrzał się im. Pierwszy od Ashtona; stary szkolny kolega był jego najwierniejszym korespondentem. Drugi od Kirk-landa, też dawnego druha z Akademii, na którym można polegać. A trzeci...

Major wpatrywał się w zamaszty podpis nad pieczęcią, jakby mający zrekompensować brak opłaty pocztowej. Daventry. Przekleństwo jego życia. Alex Randall miał pięć lat, gdy jego rodzice zmarli na jakąś zarazę. Powierzono go opiece stryja, hrabiego Daventry.

Następne lata były najstraszliwszym okresem w jego życiu. Przywieziono go do Turville Park, rezydencji Daventry'ego, i umieszczono w dzieciennym pokoju razem z synem i spadkobiercą hrabiego, dziewięcioletnim wicehrabią Branford. Duży jak na swój wiek chłopiec przewyższał arogancją niejednego z dorosłych. Okazał się także brutalem i tyranem, a Randall już w tak młodym wieku musiał nauczyć się walczyć o przetrwanie.

Zdaniem hrabiego, jego syn i dziedzic tytułu nie mógł popełnić nic karygodnego, a zatem to nie on, lecz Alex Randall został wysłany do szkoły. A właściwie do wielu szkół; niektóre z nich należały do najszacowniejszych zakładów w Anglii. Aleksa wyrzucano po kolei z każdej, wreszcie trafił do Westerfield Academy. Jak zwykła mawiać lady Agnes Westerfield, założycielka i przełożona Akademii, była to szkoła dla chłopców wyróżniających się dobrym pochodzeniem i złym zachowaniem.

Oddanie bratanka do uczelni lady Westerfield Daventry uznał za karę, ale Randall spotkał się w szkole z życzliwością i przyjaźnią. Wakacje w Turville Park znosił ze stoicyzmem, zaciskając zęby i pięści. Nienawidził Daventry'ego i Branforda, oni zaś odplacali mu pogardą. Na szczęście Randall odziedziczył po rodzicach okrągłą sumkę. Po ukończeniu szkoły nabył patent oficerski i wstąpił do wojska, ignorując swych możliwych, wpływowych krewnych tak, jak oni ignorowali jego. Aż do dziś. Zachodząc w głowę, co takiego, u diabła, stryj ma mu do powiedzenia, Randall złamał woskową pieczęć i przebiegł wzrokiem kilka skreślonych śmiałym pismem linijek.

***Zmarł Twój kuzyn Rupert Randall i Ty jesteś teraz moim spadkobiercą. Sprzedaj co prędzej patent oficerski i wracaj do domu. Liczę na to, że znajdziesz sobie odpowiednią narzeczoną i ożenisz się przed upływem roku.***

Randall wpatrywał się w gruby papier i czuł bijącą z listu stryja gorycz. Branford stracił życie przed wielu laty w jakimś nieszczęśliwym wypadku, zapewne po pijanemu, a drugi syn Daventry'ego, chorowite dziecko, zmarł w tak młodym wieku. Ale przecież było jeszcze wielu kuzynów, którzy mieli chyba większe prawo do hrabiowskiego tytułu niż major Alexander Randall!

Przypomniawszy sobie drzewo genealogiczne swojej rodziny. Szczerze mówiąc, krewnych nie było znów tak wielu... Randallowie nie okazali się zbyt płodni, w dodatku większość kuzynów była znacznie od niego starsza. Ojciec Aleksa urodził się dużo później niż jego przyrodni brat, obecny hrabia Daventry. Widać wszyscy krewniacy, stojący przed Alekssem w kolejce do tytułu, powymierali, nie pozostawiając męskiego potomstwa.

Randall zmarszczył brwi, gdy uświadomił sobie, że naprawdę nie został już nikt prócz niego. Gdyby nie to, Daventry miałby zapewne błogą nadzieję, że jego pogardzany bratanek padnie w jakiejś bitwie lub umrze na febrę, żeby następny krewny mógł zostać dziedzicem hrabiego. Jednak prócz majora nie został już nikt, a Daventry był niezwykle dumny ze swego tytułu. Nawet perspektywa, że jego następcą zostanie ktoś, kogo nie znosił, była lepsza od obawy, że rodzinny tytuł wygaśnie.

Normalną reakcją Randalla na wszelkie rozkazy Daventry'ego była kategoryczna odmowa. Robił tak zawsze, kiedy stryj czegoś od niego wymagał. Teraz jednak nie był już niedorostkiem, lecz dorosłym mężczyzną, a poza tym perspektywa wystąpienia z wojska raczej mu odpowiadała. Miał dość wojny, nieustającego bólu w nodze, która nigdy naprawdę nie wydobrzała od czasu, gdy przed rokiem ranił go szrapnel. Armia brytyjska znakomicie da sobie radę bez majora Randalla. Był wprawdzie niezłym oficerem, ale nie brakowało innych, równie dobrych.

Z westchnieniem złożył list od stryja. Odejście z wojska nie stanowiło problemu.

Gorzej będzie ze znalezieniem żony.

# 1

## *Londyn*

Wielki, choć daleki od klasycznej symetrii gmach Ashton House ucieszył oczy majora, gdy po długiej podróży wrócił z Hiszpanii do ojczyzny. Budynek był chyba największą prywatną rezydencją w Londynie i Randall, wkraczając do niej, zawsze myślał z satysfakcją, że dom Asha robi o wiele większe wrażenie niż Daventry House, londyńska siedziba jego stryja.

Ponieważ było tu stanowczo za dużo miejsca dla jednego mieszkańca, książę Ashton zaofiarował Randallowi cały apartament, by przyjaciel mógł z niego korzystać, ilekroć bawił w Londynie. I tak oto Ashton House stał się dla Aleksa domem, a w każdym razie czymś do domu zbliżonym, bardziej niż jakiegokolwiek inne miejsce na ziemi. Witano go tam zawsze z radością.

Majordomus Holmes pozwolił sobie niemal na powitalny uśmiech.

- Major Randall! Serdecznie witamy. Niezwłocznie powiadomię jego książęcą mość o pańskim przybyciu.

Randall strząsnął krople deszczu z kapelusza, nim wręczył go Holmesowi.

- A więc książę i księżna przyjmują?

- Jak najbardziej! - odezwał się za plecami Aleksa znajomy głos. Randall odwrócił się i ujrzał swoich przyjaciół. Książęca para wkraczała właśnie do obszernego holu.

# 5

Mariah - jasnowłosa, piękna i promieniejąca serdecznością - podbiegła do majora i go uściskała.

- Co za wspaniała niespodzianka! Czy tym razem zostaniesz dłużej w Londynie?

- Zdam się wam sprzykrzyć!

Randall odwzajemnił uścisk księżnej, myśląc w duchu: Ale szczęściarz z tego Asha!

- Odśwież się po podróży, a potem przyłącz do nas! Będziemy w małej jadalni. - Ash ujął żonę pod rękę. - Zjemy obiad w rodzinnym gronie, nie musisz się więc przebierać... choć mamy gościa, którego widok z pewnością cię ucieszy. Usłyszymy od razu wszystkie nowiny!

Skuszony tak miłą perspektywą Randall poświęcił zaledwie kilka minut na toaletę i zszedł na dół. Gdy wchodził do jadalni, od razu dostrzegł dobrze znaną postać. Niewysoki, ciemnowłosa mężczyzna ruszył mu na spotkanie, odstawiając kieliszek wina.

- Ballard! - Randall potrzęsnał dłoń starego przyjaciela. - Myślałem, że jesteś w Portugalii.

- A ja sądziłem, że jesteś w Hiszpanii!

Justin Ballard odwzajemnił uścisk Aleksa z równym entuzjazmem. Szare oczy jaśniały w opalonej twarzy. Pochodził z rodziny słynnych producentów win i obecnie kierował portugalską filią rodzinnego przedsiębiorstwa.

- Miałem pewien interes do załatwienia w Londynie, zresztą, był już najwyższy czas, by odwiedzić Anglię. Lubię co rok czy dwa przypomnieć sobie, że jestem Brytyjczykiem.

- Londyńska pogoda szybko rozwieje te patriotyczne zapały - zauważył Randall, biorąc z rąk Ashtona kieliszek czerwonego wina. Czuł, jak pod wpływem serdecznej atmosfery opuszcza go napięcie.

Dobrze było znów znaleźć się w domu, wśród przyjaciół. Spotkanie z nieuleczalnym optymistą Ballardem sprawiło mu szczególną przyjemność. Minęło już kilka lat od ich ostatniego spotkania w Lizbonie. - Jak stoją sprawy w Oporto?

- Znacznie lepiej, odkąd wy, kochane żołnierzyki, przenieśliście się z wojną do Hiszpanii! - Ballard wziął kieliszek i wypił łyk wina. - Jesteś na urlopie?

Randall pokręcił głową.

- Niedawno okazało się, że jestem jedynym spadkobiercą Da-ventry'ego, trzeba więc było wrócić do domu.

- Sprzedałeś patent? - spytał zdumiony Ashton. - Tego się nie spodziewałem!

Randall wzruszył ramionami.

- Ściśle rzecz biorąc, nie sprzedałem, ale przekazałem go zasługującemu na to kapitanowi. Na odkupienie nie byłoby go stać.

- Wielkoduszny gest! - zauważył Ballard, gdy szli w stronę zastawionego już stołu.

- Ależ skąd! Wiedząc, że to właśnie ten oficer przejmie moje obowiązki, mogłem odjechać z czystym sumieniem.

Mariah patrzyła na niego wielkimi, ciemnymi oczyma.

- Brak ci będzie żołnierskiego życia?

- Niektórych ludzi będzie mi brakowało - odparł po namyśle. - Ale, ogólnie rzecz biorąc, nigdy nie przepadałem za wojskową dyscypliną. Gdyby nie to, że nieustannie toczyła się wojna, pewnie bym stanął, i to nie raz!, przed sądem wojennym za niesubordynację. Słuchacze roześmiali się, choć było w tym stwierdzeniu więcej prawdy niż żartu. Ashton zauważył z nutką współczucia:

- Jako przyszły spadkobierca Daventry'ego otrzymałeś zapewne rozkaz znalezienia sobie żony i spłodzenia syna. Mnie starano się zmusić do tego przez całe lata... - Obejrzał się na żonę i na jego twarzy odmalowała się czułość. - Ale warto było poczekać na tę przeznaczoną mi przez los!

- Nie mam większej nadziei, że szczęście dopisze mi tak samo jak tobie. - Randall uniósł w górę kieliszek, by wyrazić swe uznanie dla księżnej. - Przecież na tym świecie jest tylko jedna, jedyna Mariah!

- Ach, ty pochlebco! - ofuknęła go żartobliwie. - Gdy się spotkaliśmy po raz pierwszy, myślałeś, że jestem łasą na pieniądze awanturnicą, która pochwyliła w szpony bezbronno Asha!
- To prawda - przytaknął. - Ale chętnie przyznałem, że byłem w błędzie.
- Cóż za wielkoduszność! Co się zaś tyczy tego, że jestem jedyna i niepowtarzalna, nie zapominaj, że mam siostrę bliźniaczkę! Sarah wygląda tak samo jak ja, a ponieważ wychowano ją w tradycyjny sposób, lepiej ode mnie nadaje się na żonę para Anglii.
- A to wychowanie sprawiło, że jest znacznie mniej interesująca niż ty - odparł bez namysłu Alex. Choć mówił lekkim tonem, była to szczerza prawda. Niekonwencjonalne wychowanie sprawiło, że Mariah wyrosła na niezwykłą kobietę. Była w niej głębia i siła ducha, jaką przeciętne dobrze wychowane panienki raczej nie mogły się poszczycić.
- Naprawdę, znakomity z ciebie pochlebca! Ten talent może ci się przydać w polowaniu na żonę. We wzroku Mariah błysnęło iście kobiece wyrachowanie.
- Z pewnością zbyt kochasz siostrę, by życzyć jej takiego męża jak ja!
- Jeśli już mowa o siostrach, nadających się do zameścia, może warto by się zastanowić nad moją siostrzyczką Kiri - odezwał się Ashton, pół żartem, pół serio. - Co prawda będziesz tylko hrabią, ale jej, córce księcia, niełatwo znaleźć kogoś równego stanem.
- Ja też mam siostrę! - wtrącił Ballard. - Wprawdzie liczy sobie zaledwie czternaście lat, ale widać od razu, że nadaje się na hrabinę. - Roześmiał się. - Wolałaby, oczywiście, zostać księżną, ale jej wytłumaczyłem, że nie ma na świecie tylu książąt, żeby wystarczyło dla każdej panny.
- Wasze siostry są o wiele za dobre dla mnie - oświadczył stanowczo Randall. - Pewnie w końcu zacznę się rozglądać za żoną, ale nie natychmiast. Byłoby fatalnie, gdyby Daventry pomyślał, że zamierzam go potulnie słuchać!
- Spieszyć się do ołtarza byłoby głupotą - zgodził się z przyjacielem Ashton. - Poza tym nie jest wcale pewne, że zostaniesz



spadkobiercą Daventry'ego. On sam może się jeszcze postarać o syna.

- Wszystko jest możliwe, ale ma żonę raczej w nieodpowiednim wieku - odparł Randall. - Jest za stara na rodzenie dzieci, ale wystarczająco młoda na to, by przeżyć swego małżonka.

Ash zmarszczył brwi.

- Biorąc pod uwagę karygodne zachowanie Daventry'ego względem ciebie, myślę, że stać by go było na pozbycie się żony, gdyby chciał znaleźć sobie młodszą!

- Uważasz, że mógłby zepchnąć hrabinę ze schodów, żeby mu nie zawadzała? - Randall pokręcił głową. - Choć Daventry marzy o tym, by ujrzeć mnie na marach, nie sądzę, by w głębi duszy był mordercą. W dodatku ma wyraźną słabość do hrabiny. To już jego trzecia żona. Miał pecha, jeśli chodzi o połowice i potomstwo... nowa żona wcale nie gwarantuje poprawy sytuacji.

- Jeśli mnie pamięć nie myli, hrabia nie ma innych spadkobierców - zauważył Ballard. - Będzie się chyba musiał oswoić z myślą, że ty nim jesteś.

- Też tak sądzę, ale nie przyjdzie mu to łatwo. Napiszę do niego, że wystąpiłem z wojska, lecz wizyty mu nie złożę. Chyba pojedę do Szkocji, odwiedzę Kirklanda. Odetchnę świeżym, rześkim powietrzem, bez kul latających mi nad głową.

- Niezły pomysł! - Oczy Mariah rozbłysły. - Jeśli zaś wybierasz się na północ, mógłbyś, nie zbaczając zaledwie z drogi, zajrzeć do Hartley. Może tym razem moja siostra wyda ci się bardziej interesująca niż poprzednio?

- Zastanowię się nad tym.

Randall zabrał się do rostbefu i jorkszyrskiego puddingu. Mariah miała słuszość, jeśli chodzi o siostrę. Sarah była dokładnie taką panną, z jaką powinien się ożenić: pociągającą, rozsądną, zdolną do wypełniania obowiązków hrabiny, gdy przyjdzie na to czas. Ten, kto ją poślubi, będzie miał wspianą żonę. A jednak jedyną kobietą, która w ciągu ostatnich dziesięciu lat przyciągnęła jego uwagę, nie była młoda panna, lecz dojrzała kobieta.

W dodatku taka, której wielki świat nigdy nie uznałby za damę. Pani Bancroft - Julia - była wdową, mieszkała w Hartley i pełniła tam funkcję akuszerki i zielarki. Z Mariah łączyła ją serdeczna przyjaźń. Julia była tak nieśmiała, że starała się być niedostrzegalna. Nie zdradzała też żadnego zainteresowania osobą Randalla. Zupełnie się nie nadawała na żonę.

A jednak jej wspomnienie go prześladowało.

Gdyby odwiedził Townsendsów, mógłby przy okazji spotkać się z Julią... Cóż za niemądra myśl!

Ale jakże kusząca.

## 2

Pani Bancroft? - dał się słyszeć wysoki kobiecy głos, a równocześnie dzwoneczki na drzwiach małego domku zabrzęczały, oznajmiając przybycie gościa. - To ja, Ellie Flynn!

- Dzień dobry, Ellie. - Julia przeszła z kuchni do pokoju, w którym badała pacjentów, i wzięła na ręce dzidziusia Ellie. - Jakże się dziś miewa nasz panicz Alfred?

- O wiele lepiej, pani Bancroft. - Młoda kobieta uśmiechnęła się z czułością do rudowłosego synka, który wyciągał rączki do kota Julii. - Ta herbatka słodzona miodem od razu mu pomogła na kaszel!

- To niezawodny specyfik księżnej Ashton. - Julia zbadała uważnie chłopczyka, który uśmiechał się do niej szeroko. - Dobra nazwa leku to połowa sukcesu!

Herbatkę na kaszel przyrządzała według przepisu swojej przyjaciółki. Kiedy Mariah go jej przekazała, nie była jeszcze księżną. Wychowała ją babka, wiejska lekarka jak Julia, tyle tylko że lepiej od niej znała się na ziołach. Od akuszerki, która wyszkoliła ją w swoim fachu, Julia dowiedziała się jedynie o kilku prostych środkach leczniczych. Mariah wiedziała o nich niemal wszystko i jej przepisy stanowiły

cenny dodatek do kolekcji Julii, która skrzętnie zbierała informacje o wszelkich sposobach leczenia. Oddała teraz małego Alfreda matce.

- Prawdziwy okaz zdrowia! Opiekujesz się nim znakomicie, Ellie.

- Nie dałabym sobie rady bez pani pomocy. Kiedy Alfie się urodził, wcale się nie znałam na dzieciach!

- Ellie, która miała rude włosy jak jej synek i nie więcej niż dziewiętnaście lat, nieśmiało podała lekarce podniszczoną płócienną torbę. - Przyniosłam kilka świeżutkich jajek dla pani, może się przydadzą...

- Wspaniale! Właśnie miałam ochotę na jajeczko do herbaty. Wzięła torbę i przeszła do kuchni, by wyjąć owinięte słomą jajka,

po czym zwróciła torbę właścicielce. Nigdy jeszcze nie odmówiła pomocy matce ani dziecku w potrzebie - i dzięki temu ani ona, ani jej domownicy nigdy nie zaznali głodu, choć wielu z jej pacjentów nie mogło zapłacić gotówką za poradę.

Po wyjściu pani Flynn i jej synka Julia zasiadła przy biurku i starannie spisała obserwacje na temat pacjentów, których przyjęła tego dnia. Wąsik, bury kot, drzemał obok swej pani. Zakończywszy notatki, Julia odchyliła się do tyłu i, głaszcząc kota, ogarnęła wzrokiem swoje królestwo.

W Rose Cottage były od frontu dwa większe pokoje. W jednym z nich Julia przyjmowała pacjentów i przechowywała leki. W drugim urządziła bawialnię. Kuchnia, spiżarnia i sypialnia znajdowały się na tyłach domu. Pod spadzistym dachem była jeszcze jedna sypialnia, do której wchodziło się po stromych schodach. Z tyłu za domkiem znajdowała się stajnia, a w niej łagodny kucyk, oraz ogród, pełen ziół i różnych warzyw. Kwiaty rosnące od frontu Julia hodowała po prostu dlatego, że wierzyła, iż wszyscy ludzie potrzebują ich widoku.

Rose Cottage nie był taką siedzibą, do jakiej przywykła od dzieciństwa, ale jej dawne życie zakończyło się tragicznie, to natomiast, jakie wiodła teraz, okazało się o wiele lepsze. Miała dom, przyjaciół, czuła się potrzebna w małej społeczności, mieszkającej na odludziu.

Ponieważ nigdzie w pobliżu nie było doktora, Julia stała się kimś więcej niż zwykłą akuszerką. Nastawiała złamane kości, opatrywała rany, leczyła mniej skomplikowane choroby. Niektórzy utrzymywali, że radzi sobie z tym lepiej niż „prawdziwy doktor” z Carlisle. A z pewnością żądała za swe usługi znacznie mniej niż on. Chociaż podróż do Londynu, dokąd udała się kilka miesięcy temu, towarzysząc Mariah, wzbudziła w Julii niespokojną tęsknotę, przeważnie była zadowolona ze swego życia w Hartley. Nigdy nie będzie miała własnego dziecka, ale nie brakowało jej kontaktów z innymi dziećmi. Cieszyła się tu poważaniem ludzi i dumna była z tego, że zdobyła sobie szacunek własną ciężką pracą. Drzwi frontowe znów się otworzyły i do wnętrza wpadła młoda kobieta z maluchem na biodrze i płócienną torbą przewieszoną przez ramię. Julia uśmiechnęła się na widok dwóch stałych mieszkanek Rose Cottage.

- Wczesnie wracasz, Jenny. Jakże się miewają pani Wolf i Annie? Jenny Watson rozpromieniła się.
  - Obie zdrowe i szczęśliwe! To ja odbierałam Annie... i zawsze, kiedy ją widzę, czuję się taka dumna, jakbym ją sama urodziła! Julia się roześmiała.
  - Znam to uczucie; to wielka radość pomóc maleństwu w przyjściu na świat!
- Jenny sięgnęła do swojej torby.
- Pani Wolf przysłała ładny kawałek boczku.
  - Przyda się, jak znalazł, do jajek od Ellie Flynn.
  - No to zaparzę herbatę!

Jenny skierowała się w stronę kuchni. Umieściła swoją pociechę w kołysce niedaleko pieca. Czternastomiesięczna Molly potężnie ziewnęła i zwinęła się w kłębek, gotowa do drzemki. Julia z czułością przyglądała się dziecku. Jenny nie była pierwszą zrozpaczoną dziewczyną w ciąży, która pojawiła się na jej progu, ale tylko ona została na dobre w Rose Cottage. Poślubiła swego chłopaka wbrew woli rodziny, toteż gdy ją porzucił, krewni odwrócili się od niej, przygadując: „Jak sobie kto pościele, tak się wyśpi!” Bliska

głodowej śmierci dziewczyna błagała Julię, by wzięła ją na służbę za wyżywienie i dach nad głową. Okazała się bystra i pracowita, a po urodzeniu Molly zaczęła się uczyć od Julii sztuki położniczej. Była teraz na najlepszej drodze do zostania akuszerką, i to dobrą. Poza tym ona i Molly zastąpiły Julii rodzinę.

- Herbata gotowa! - zawołała właśnie, gdy znów rozległ się brzęk dzwoneczków wiszących na drzwiach frontowych.

Julia się skrzywiła.

- Gdybym dostawała szylinga za każdym razem, kiedy ktoś przeszkodzi mi w posiłku, byłabym bogata! Wstała - i skamieniała z przerażenia na widok trzech mężczyzn, którzy wtargnęli do domu. Dwóch nigdy nie widziała, ale krzepki prowodyr z blizną na twarzy był jej dobrze znany. Joseph Crockett, niegodziwiec, jej zażarty wróg, odnalazł ją wkońcu.

- No, no! A więc lady Julia naprawdę żyje - stwierdził z pogrózką w głosie i wyciągnął ukryty pod surdudem błyszczący nóż. - Ale i na to znajdzie się rada!

Wąsik zasyczał i uciekł w popłochu do kuchni. Julia cofnęła się, odrętwiała ze strachu.

Po tylu latach ukrywania się, stanęła znów oko w oko ze śmiercią.

Ładniutka pokojówka, która otworzyła drzwi frontowe Hartley Manor, dygnęła wdzięcznie, rozpoznawszy gościa. - Tak mi przykro, panie majorze, ale państwa Townsend nie ma w domu. Siostrzenica jaśnie pani wychodzi za mąż... aż na południu Anglii, państwo całą rodziną pojechali na wesele. Podczas swego dwutygodniowego, miłego pobytu w Szkocji, w posiadłości Kirklanda, Randall zastanawiał się, czyby nie odwiedzić rodziny Mariah. Nie podjął jednak decyzji aż do chwili, gdy dotarł do drogi ciągnącej się wzdłuż wybrzeża Cumberland i wiodącej do Hartley. Townsendarz przypadli mu do gustu i nie miał nic przeciwko złożeniu im wizyty, nawet jeśli nie zamierzał zalecać się do Sarah. Gdyby zaś przypadkiem natknął się w Hartley na Julię Bancroft... może wyleczyłby się z niefortunego zauroczenia?

Okazało się jednak, że działanie pod wpływem impulsu nie zawsze przynosi pożądane rezultaty.

Wręczył pokojówce kartę wizytową.

- Zechciej, proszę, powiadomić państwa Townsend po powrocie, że chciałem się z nimi zobaczyć.

Dziewczyna zerknęła na wizytówkę i zmarszczyła brwi.

- Już późno, proszę pana! Państwo Townsend bardzo by się gniewali, gdybyśmy pod ich nieobecność nie zapewnili takiemu gościowi noclegu!

Randall wahał się tylko przez chwilę. Co prawda w pobliskiej wsi znajdowała się całkiem przyzwoita gospoda, ale podróż miał męczącą, noga go bolała, a na dobitkę podróżował sam. Gordon, obecnie jego lokaj, a niegdyś ordynans, był z wizytą u swojej rodziny. Konie też zasłużyły na odpoczynek.

- Czy pani Beckett nadal niepodzielnie włada w kuchni? Pokojówka uśmiechnęła się figlarnie.

- O tak, i to mocną ręką! Będzie zachwycona, mogąc nakarmić zgłodniałego podróżnego!

- W takim razie przyjmuję zaproszenie. Z prawdziwą wdzięcznością.

Zszedł po frontowych schodach, by odprowadzić lekką karetkę podróżną i konie do stajni na tyłach domu. Nie miał okazji spotkać się z panną Sarah Townsend, ale może odwiedzi panią Bancroft, zanim ruszy w dalszą drogę? Dobre wychowanie obligowało go wręcz do tego!

Dobre wychowanie, jak się okazuje, też bywa niekiedy użyteczne.

Joseph Crockett podszedł do Julii i przytknął czubek noża do jej gardła. Stała bez ruchu, niemal pewna, że za chwilę zginie.

- Pojedziesz razem z nami, jaśnie pani! I dobrze wiesz, z kim się spotkasz u kresu podróży - warknął Crockett. Nacisnął nóż nieco mocniej i gdy kropla krwi spłynęła po szyi Julii, dorzucił jeszcze:

-Pamiętaj, masz być grzeczna, bo ci poderżnę gardło. Każdy mnie tylko pochwali, jeśli zabiję morderczynię!

Od strony kuchennych drzwi dobiegł jęk przerażenia. Ukazała się Jenny, którą zwabiły obce głosy. Crockett zaklął, odwrócił się błyskawicznie i uniósł nóż do góry.

- Nie! - Julia chwyciła go za nadgarstek. - Na litość boską, nie róbcie jej nic złego! Jenny w niczym nie zawiniła!

- Może podnieść alarm zaraz po naszym odjeździe - burknął.

Do pokoju na chwiejnych nóżkach weszła Molly z buzią skrzywioną ze strachu i uchwyciła się matczynej spódnicy. Jenny wzięła dziecko na ręce i z przerażeniem w oczach uciekła do kuchni.

- Łapcie ją! - warknął Crockett.

Młodszy z jego pomocników skoczył za Jenny i złapał ją za ramię, żeby nie mogła uciec.

- Jeśli zabijemy matkę i dziecko - powiedział - podniesie się straszny krzyk. Związę dziewczucę, żeby nie mogła się stąd ruszyć do jutra. Będziemy już daleko, zanim ktoś zauważy, że coś się dzieje.

Po dłużącej się w nieskończoność chwili namysłu Crockett niechętnie wyraził zgodę.

- No dobrze, zwiąż dziewczynę. Ruszamy stąd, kiedy tylko się z tym uporasz!

Julia odezwała się drżącym głosem:

- Ponieważ już tu nie wrócę, chciałabym napisać wyraźnie, że ofiarowuję Jenny mój domek z całym wyposażeniem.

- Zawsze dama z wielkim gestem! - mruknął opryskliwie. - Lepiej się z tym pospiesz!

Gdy Julia nabazgrała dwa zdania, zawierające jej ostatnią wolę, Crockett chwycił papier, by sprawdzić, czy nie zostawiła jakiejś wiadomości o porywaczach. Upewniwszy się, że nic takiego nie zrobiła, rzucił kartkę na stół.

- Weź lepiej szal. Czeka nas długa droga.

Julia zrobiła, co jej kazano. Zabrała ciepły, choć mocno podniszczony szal i czepek. Czy warto wziąć coś jeszcze? Zmarłym niczego nie potrzeba. Nie zwracając uwagi na Crockett-a, podeszła do krzesła z wysokim oparciem, do którego przywiązano Jenny, i serdecznie ją uściskała.

- Zostawiam ci mój domek i wszystko, co w nim jest. - Schyliła się i pocałowała Molly, kryjącą się za spódnicą matki. - Jesteś już dobrą akuszerką, Jenny. Nie martw się o mnie. I tak przeżyłam więcej szczęśliwych lat, niż się spodziewałam.

- O co tu chodzi? - spytała szeptem jej młoda przyjaciółka. Po policzkach spływały jej łzy.

- O sprawiedliwość! - warknął Crockett.

- Im mniej będziesz wiedzieć, tym lepiej dla ciebie. Bądź zdrowa, moja miła.

Julia otuliła się szalem i skierowała w stronę drzwi. Crockett miał przy sobie kajdanki z długim łańcuchem.

- A teraz zabezpieczymy się, żebyś nam nie uciekła, moja pani! Zatrzasnął kajdanki na lewym nadgarstku Julii i popędził ją przed sobą jak psa na smyczy.

Julia gotowa była paść na kolana i błagać o darowanie jej życia... gdyby sądziła, że odniesie to jakiś skutek. Ale Crockett tylko by szydził z jej słabości. Jeśli więc śmierć jest nieuchronna, Julia postanowiła wyjść jej naprzeciw z podniesionym czołem, nie szargając swej godności.

Oprócz niej nic już nie posiadała.

Wyszła przed dom, szczękając łańcuchem. Niczym się niewyróżniający, zamknięty powóz czekał już na nich. Na koźle siedział woźnica. Czterech nędzników przeciwko jednej słabej kobiecie. Nie było dla niej ratunku.

Crockett otworzył drzwiczki powozu i wskazał Julii miejsce w kącie. Potem siadł obok niej, nie wypuszczając z ręki łańcucha. Kiedy jego pomocnicy również zajęli miejsca, powóz ruszył.

Julia w odrętwieniu wpatrywała się w okno, gdy przejeżdżali przez Hartley. Gdy miasteczko pozostało w tyle za nimi, przymknęła oczy, powstrzymując łzy. Była taka szczęśliwa na tym odludziu...

Ale nawet tują dopadli.



### 3

Randall pożałał właśnie z zapalem kotlety pani Beckett, gdy ktoś zaczął się dobijać do drzwi Hartley Manor. Walenie było tak uporczywe, że major przez sekundę zastanawiał się, czy nie wystąpić samemu w roli odźwiernego. Ale kotlety były tak wyśmienite...

W chwilę później drzwi się otwały i we frontowym holu rozległy się podniecone głosy. Wymienione po kilkakroć nazwisko pani Bancroft sprawiło, że Randall zerwał się z krzesła i w paru susach dotarł do holu. Emma, ładniutka pokojówka, która go namówiła, by przenocował w Hartley Manor, wydawała się wstrząśnięta słowami młodej kobiety o przerażonych oczach i krwawiących nadgarstkach. - Co z panią Bancroft? - zapytał porywczo.

- Jacyś trzej nikczemnicy ją porwali! - Młoda kobieta otarła zapłakane oczy. - Jestem Jenny Watson, pani Bancroft uczy mnie na akuszerkę. Mieszkam u niej z moją córeczką. Ci, co ją porwali, związali mnie. Kiedy tylko się oswobodziłam, przybiegłam prosić pana Town-senda o pomoc... ale Emma powiada, że wyjechał. I co ja teraz zrobię?!

- Wiesz, dlaczego ją porwali?

- Jeden z nich mówił o niej „lady Julia” i „Jaśnie pani”, ale może tylko tak, na urągowisko... I powiedział, że wymierzą jej sprawiedliwość. - Jenny z trudem przełknęła ślinę. - **i...** nazwał ją morderczynią. Ale to niemożliwe!

Randall też nie mógł w to uwierzyć, w tej chwili jednak nie to było najważniejsze. Przede wszystkim musiał ocalić Julię z rąk porywaczy.

- Co dokładnie mówił?

Jenny westchnęła głęboko i powtórzyła podsłuchaną rozmowę.

- Wspomniał, że czeka ich długa podróż - powiedziała na zakończenie. - A ona nie spodziewała się, że wróci tu żywa, napisała więc, że zostawia mi swój domek i wszystko, co w nim jest. - Dziewczyna znowu się rozplakała. - Nie chcę jej domu! Chcę, żeby pani Bancroft wróciła zdrowa i cała!

- Jak dawno odjechali? Jenny zmarszczyła brwi.

- Może godzinę temu... albo trochę więcej. Randall popatrzył na jej zakrwawione nadgarstki.

- W jaki sposób pozbyłaś się tak szybko więzów? Zerwałaś je własnymi rękami?

- Nie związałam mojej Molly - wyjaśniła Jenny. - Ona ma tylko czternaście miesięcy, zostawili ją więc w spokoju. Kiedy odjechali, kazałam Molly, żeby podała mi nóż, i przecięłam postronki.

- Mądra dziewczyna! - powiedział Randall z uznaniem. - Czy ci ludzie, sądząc z mowy, byli Szkotami czy Anglikami?

- Anglikami! I to nie z pogranicza, lecz z południa.

- W takim razie pojechali pewnie drogą na wschód do Carlisle, a potem na południe, nie na północ, do Szkocji. - Randall odwrócił się do Emmy. - Pan Townsend ma wspaniałego gniadosza pełnej krwi, Wielkiego Turka. Zabrał go ze sobą, czy zostawił w stajni?

- Jest w stajni.

- W takim razie pojedę na nim. Każ go osiodłać.

- Niech pan będzie ostrożny - ostrzegła go Jenny. - To niebezpieczni ludzie! Ja... wolę nie myśleć, co zrobią pani Bancroft...

- Gdyby chcieli ją zabić, zrobiliby to od razu, kiedy ją znaleźli. Chyba jest bezpieczna, póki nie dotrą do celu podróży, a ja dopadnę ich wcześniej. Możesz być pewna!

Odwrócił się na pięcie i poszedł do swego pokoju, zastanawiając się, co powinien ze sobą zabrać. Pieniądze, płaszcz i kapelusz... I trochę chleba, sera i cydru, żeby się nie musiał nigdzie zatrzymywać, jeśli zgłodnieje. Na szczęście podróżował - jak zawsze - dobrze uzbrojony.

Przejeżdżając przez Hartley, Randall zatrzymał się, by porozmawiać ze starą panią Morse, która pracując w swoim ogrodzie, obserwowała bacznie, dokąd kto jedzie i skąd wraca. Dowiedziawszy się od niej dokładnie, jak wyglądał powóz i konie obcych przybyszów, major skierował się na wschód, w stronę Carlisle. Jak Randall przy-

puszczał, Wielki Turek okazał się znakomitym wierzchowcem i sadił niezmordowanie wielkimi krokami.

Przy drodze nie było zajazdów pocztowych, porywacze nie mogli wymienić koni, zmęczonych podróżą do Hartley, na inne, wypoczęte. Przy odrobinie szczęścia powinien ich dogonić, zanim dotrą do Carlisle. Gdyby tym diabłom udało się wjechać na bardziej uczęszczany trakt, pościg stałby się znacznie trudniejszy.

Porywacze jednak z pewnością byli przekonani, że nikt nie będzie ich ścigał. Gdyby nawet Charles Townsend, najznacznější obywatel w okolicy, był w domu, niewiele by zdziałał. Marna, wyboista droga spowolniłaby pogoń. Randall szczerze żałował, że Gordon bawi właśnie z wizytą u swej rodziny. Co prawda major mógł się doskonale obejść bez niego w podróży do Szkocji, a Gordonowi należało się trochę wolnego... ale dawny ordynans dawał sobie znakomicie radę podczas walki i w tej chwili byłby wielce przydatny.

Nieważne! Major mógł działać przez zaskoczenie, a to potężny atut. Przy odrobinie szczęścia oswobodzi Julię, nie zabijając nikogo. Gdyby jednak okazało się to konieczne...

Puścił konia rażnym klusem. Noga bolała go jak diabli i kto wie, czy się to jeszcze nie pogorszy, ale musi wytrwać tak długo, jak to będzie konieczne.

Gnając pod ciemniejącym niebem, Alex zastanawiał się, co zrobi Julia, gdy ją uwolni z rąk porywaczy. Już wiedzieli, gdzie mieszka, toteż w Hartley nigdy nie będzie bezpieczna...

Musi znaleźć inne rozwiązanie.

Porywacze Julii nie zwolnili tempa, gdy zapadła noc. Czemu akurat w naj wilgotniej szym, wiecznie zachmurzonym zakątku Brytanii ta właśnie noc musiała być tak widna?!

Nigdzie w pobliżu nie było przydrożnych zajazdów ani stacji pocztowych, ale po dwóch godzinach jazdy powóz zatrzymał się na krótko i najmłodszy z porywaczy, Haggerty, wydobył torbę z jedzeniem i dzbanek piwa ze schowka na bagaż w tylnej części pojazdu.

Kiedy znów ruszyli w drogę, ktoś wcisnął Julii do ręki kawał pasztetu. Próbowwała jeść, ale wszystko miało smak gliny.

- Napij się, jaśnie pani!

Crockett podał jej dzbanek z piwem. Julia pokręciła głową. Była spragniona, ale nie zamierzała pić z tego samego dzbanka co on. Przestała udawać, że je, i spoglądała przez okno, mimo że właściwie nie było na co patrzeć. Nagie kamieniste zbocza, na których nic nie rosło, wydawały się blade i upiorne. Księżyc, choć jeszcze nie w pełni, był dość jasny, by oświetlać drogę, po której szybko się posuwali. Jak długo będzie trwała ta podróż...Tydzień? Julia starała się nie myśleć o tym, co ją czeka na końcu drogi. Miała nadzieję, że będzie to szybka śmierć. Mało prawdopodobne, by ją torturowali, ale niewykluczone. Jej wróg nie cofnie się przed niczym.

Po upływie kolejnej godziny odezwała się:

- Byłabym bardzo zobowiązana, panie Crockett, gdybyśmy się zatrzymali.

Roześmiał się.

- A ja myślałem, że wielkie damy, takie jak ty, nie muszą chodzić na stronę!

Poczucie, że nie mając nic do stracenia, pozwoliło Julii odpowiedzieć spokojnie:

- Jestem taką samą kobietą jak wszystkie, panie Crockett.

- No, dobra! Odjechaliśmy już dość daleko od tej twojej brudnej dziury, a koniom przyda się chwila odpoczynku.

Dał znak woźnicy. Okrążali właśnie wzgórze i powóz zatrzymał się z turkotem, dotarłszy do prostego odcinka drogi za zakrętem. Mężczyźni wysiedli pierwsi. Haggerty skierował się na tył powozu, by znów wydobyć coś do picia. Crockett szarpnął łańcuchem Julii. Kajdanki wpiły się w jej obolały przegub. Pocięła krew. Julia z trudem wygramoliła się z powozu. Mięśnie jej zeszywniały, drżała z zimna. Gdy rozprostowywała członki, Crockett znów szarpnął łańcuchem i powiedział z wyraźną groźbą w głosie:

- Powinnaś okazywać więcej strachu, jaśnie pani!

- A to czemu? - odparła z zimną krwią. - Na co się przyda strach, gdy nie mają nadziei?

- Śmierć jest nie do uniknięcia, ale może być lżejsza albo cięższa! Oparł ręce na ramionach Julii i przyciągnął ją mocno do siebie. Jego dotyk budził w niej wstręt. Splunęła mu w twarz.

- Ty wiédźmo!

Crockett spoliczkował ją z taką siłą, że upadła na skalisty grunt. Niestety, nie dość twardy, by złamała sobie kark.

Wytropienie porywaczy okazało się dziecinnie łatwe, gdyż droga była tylko jedna, a śledzona przez Randalla zwierzyzna nie starała się przemykać niepostrzeżenie. Dogonił ich, gdy zatrzymali się na odpoczynek. Na szczęście jego wierzchowiec zarżał, wyczuwając obecność innych koni - i major zdążył się zatrzymać, nie wpadając prosto na porywaczy.

Nadstawił ucha, docierały do niego pojedyncze słowa. Uwiązał konia w zagajniku i wyciągnął z juków pamiętkę z czasów służby wojskowej - zniszczony wełniany szal, ciemnoszary, cuchnący końskim potem, ale użyteczny podczas podróży na zimnie i wietrze. Tej nocy przyda się do osłonięcia wpadających w oczy jasnych włosów i niemal całej twarzy.

Randall wyciągnął karabinek z olstra i sprawdził, czy broń jest gotowa do strzału. Potem bezszelestnie pokonał zakręt. Dzikie, porośnięte jedynie rzadką trawą wzgórze nadawały się tylko na pastwisko dla owiec, ale wzdłuż drogi rosło dość drzew i krzewów, by Alex mógł się ukryć w ich cieniu.

W blasku księżyca ujrzał wyraźnie konie, powóz i ludzi, którzy właśnie z niego wysiadali. Serce zabiło mu szybciej, gdy zobaczył Julię Bancroft. Te bydlaki uwiązały ją na łańcuchu jak zwierzę!

Kiedy zastanawiał się nad najlepszym sposobem uwolnienia jej z łap porywaczy, jeden z nich powiedział coś szyderczym tonem i przyciągnął Julię do siebie.

Plunęła mu w twarz. Zbir ryknął: „Ty wiédźmo!” i ją uderzył.

Niech go piekło pochłonie! Zanim jeszcze upadła na ziemię, Randall mierzył już z karabinu do łotra. Z najwyższym trudem pohamował się i nie wystrzelił. Podczas bitwy zawsze potrafił zachować zimną krew, dzięki czemu jego gniew stawał się zabójczym narzędziem - teraz jednak, na widok zbira policzkującego kobietę o tyle od niego niższą i słabszą, opanowanie niemal go zawiodło.

Nie wątpił, że zdołałby pokonać wszystkich czterech, ale trudno by było wyjaśnić tę jatkę... a poza tym Julia mogłaby doznać przy tym jakiejś szkody. Przede wszystkim powinien myśleć o niej!

Najlepiej wydobyć Julię z opresji bez użycia siły.

Nie, nie Julię. Panią Bancroft!

Przymrużył oczy i rozważał wszelkie możliwości.

#### 4

CTrockett wręczył koniec łańcucha Haggerty'emu, klnąc pod nosem.

- Zaprowadź tę cholerną damę w krzaki, zanim ją uduszę!

Pociągnął łyk piwa z dzbanka i podał go drugiemu ze swych pomocników. Półprzytomna Julia z trudem dźwignęła się na nogi i ruszyła za Haggertym w stronę najbliższych zarośli, w odległości może stu jardów od powozu. Na szczęście łańcuch był dość długi, by mogła się skryć przez wzrokiem mężczyzny. Młody strażnik odwrócił się, gdy weszła w krzaki.

Kiedy się z nich wynurzyła, powiedział ze skrepowaniem:

- Bardzo mi przykro, milady.

- Ale chyba nie na tyle, by mnie puścić wolno? - zauważyła sucho.

- Istotnie, łaskawa pani - odparł z żalem. - Zresztą nawet gdybym to zrobił, nie uszłaby pani daleko.

Miał rację. Górskie zbocze było porośnięte jedynie trawą i w świetle księżyca prześladowcy dognaliby ją bez trudu.

Żałując, że nie wzięła ze sobą szala, Julia już miała wrócić do powozu, gdy nagle dostrzegła jakiś cień wznoszący się groźnie za pleca-

mi Haggerty'ego. Sekundę później młody strażnik zwałił się na ziemię. Łańcuch zagrzecotał, a Julii zabrakło tchu.

- Kto...?

Nie zdążyła powiedzieć nic więcej: czyjaś mocna ręka zacisnęła się na jej ustach.

- Ciii... - szepnął jej do ucha jakiś głos. - Musimy uciekać, tak szybko i tak cicho, jak tylko się da! Julia skamieniała. Było coś znajomego w tym tajemniczym głosie. Przemknęło jej przez głowę pewne nazwisko... ale skąd ten człowiek miałby się tu wziąć?!

Nieważne, kto to! Każdy wybawca był darem niebios. Julia skinęła głową, on zaś cofnął rękę.

Zauważyła, że miał ze sobą strzelbę czy coś w tym rodzaju.

Gdy owinęła sobie zwisający koniec łańcucha wokół ręki, żeby nie brzęczał, tajemniczy zbawca pochylił się i dał jej znak, by zrobiła to samo. Był ciemno ubrany i miał zasłoniętą twarz, wyglądał więc jak cień, kryjący się wśród cieni. Suknia Julii też była ciemna. Oddalili się od kępy krzewów i posuwając się równolegle do drogi, ruszyli w kierunku, z którego Julia przybyła.

Jej wybawca okazał się prawdziwym mistrzem w wynajdywaniu takiej czy innej osłony, która pozwalała im przemykać się niedostrzegalnie. Na szczęście Crockett i jego ludzie rozmawiali i śmiali się głośno; dzbanek z piwem wędrował z rąk do rąk. Julia miała nadzieję, że nieprędko zauważą, jak długo nie wraca. Kiedy znaleźli się za zakrętem i od Crocketta odgradzało ich wzgórze i spory zagajnik, wybawca Julii zatrzymał się i odwrócił do niej. Jego smukła, choć barczysta postać wydawała się Julii znajoma, ale twarz nadal miał osłoniętą ciemnym szalem.

Gdy wreszcie pozbył się go, Julii zaparło dech. Zimne światło księżyca ślizgało się po jasnych włosach i surowych, nieskazitelnie wyrzeźbionych rysach. Zdumiewające! Jej wybawicielem był naprawdę major Randall, równie piękny i groźny, jak anioł śmierci.

Skoro go rozpoznała, ogarnęło ją dziwne poczucie, że ich spotkanie było nieuchronne. Po raz pierwszy spotkała go, gdy przybył

do Hartley z dwoma przyjaciółmi, szukając zaginionego księcia Ashtona. Znaleźli go u Mariah Ciarke, do której wówczas należało Hartley Manor. Z przyjaciół Ashtona Randall był najbardziej drażliwy i nieufny. A jednak, z niewiadomego powodu - może miała to być kara za jej grzechy? - Julia czuła, że jakaś silna, niepokojąca więź łączy ich oboje. Więź ta wydawała się jej równie niewątpliwa, jak niepożądana. Kiedy wszyscy razem wyruszyli do Londynu, Randall nie chciał nawet jechać w tym samym powozie co Julia, ona zaś była mu za to wdzięczna.

A teraz to właśnie on ją ocalił!

- Czemu właśnie pan, majorze? - spytała cicho. Zabrzmiało to raczej jak teoretyczne rozważanie jakiejś kwestii niż konkretne pytanie.

On jednak odpowiedział nad wyraz konkretnie:

- Bo wracając ze Szkocji, postanowiłem odwiedzić Townsendów. Nadal mówił zniżonym głosem, ale teraz wyprostował się i znów

ruszył szybko. Jego utykanie stało się wyraźnie widoczne, kulał znacznie bardziej niż kilka miesięcy temu. Julia dostosowała się do jego kroku. - Przecież Townsendowie wyjechali!

- Powiedziano mi o tym, ale też zaproszono, bym przenocował we dworze. Jadłem właśnie obiad, kiedy pani pomocnica, Jenny, przybiegła z wieścią o pani porwaniu.

- Nic jej się nie stało? - zapytała z niepokojem.

- Nic a nic. Poleciała swojej małej córeczce, żeby podała jej nóż, i przecięła nim więzy.

- Bogu dzięki!

Julia nigdy by sobie nie wybaczyła, gdyby Jenny lub Molly stało się coś złego z jej przyczyny.

- Pani drży?

Randall ściągnął surdut i narzucił go na ramiona Julii. Z ubrania promieniowało jeszcze ciepło jego ciała. - Zmarznie pan! - zaprotestowała.



Była zadowolona, że zrobiło się jej cieplej, ale też trochę niespokojna, gdyż okryta jego surdudem miała wrażenie, że czuje dotyk jego ciała.

Wzruszył ramionami.

- Zbyt często przebywałem w warunkach polowych, by przejmować się tym, czy mi ciepło, czy zimno. Potraktowała jego zapewnienie dosłownie i wsunęła ręce w rękawy surduta. Sięgał jej niemal do kostek, rozkoszowała się ciepłem okrycia z grubej wełny.

Randall zaprowadził ją do zagajnika, na lewo od drogi. Julia miała wrażenie, że uwiązany tam koń należy do Charlesa Townsenda, choć nie była tego pewna. Major schował broń do olstra przy siodle i dosiadł gniadosza, po czym wyciągnął rękę do Julii.

- Niech pani lepiej siądzie okrakiem!

Chwyciła jego rękę, on zaś z niepokojącą łatwością podciągnął ją do góry. Przerzuciła prawą nogę przez juki, przytroczone do siodła. Nie było to łatwe, ale jakoś sobie poradziła. Na znak Randalla koń ruszył stępą. Zawrócili na drogę i pojechali w kierunku Hartley.

Julia z pewnym wahaniem objęła majora w pasie, żeby nie stracić równowagi.

- Ten człowiek, którego pan uderzył, Haggerty... Czy on żyje?

- Tak, ale ocknie się z diabelnym bólem głowy. Czemu się pani o niego troszczy?

- Był najprzyzwoitszy z nich wszystkich.

Przymknęła oczy. Nadal drżała, nie mogąc uwierzyć, że znów jest wolna. Randall był niebezpiecznym i krępującym towarzyszem - ale przecież ocalił jej życie! Zachował się jak bohater - ratowanie kobiet w niebezpieczeństwie to przecież specjalność bohaterów.

Z oddali doleciały wrzaski.

- Ta cholerna wiedźma uciekła! - ryczał Crockett. Julia mocniej objęła Randalla w pasie.

- Proszę się nie martwić. Zanim się domyślą, że nie uciekła pani na pastwisko, byle dalej od nich, będziemy już daleko - powiedział uspokajająco.

- Nie ruszą za nami w pościg powozem?  
- Na pewno spróbują. - Roześmiał się. - Ale wtedy się przekonają, że uprzęż została pocięta i nie od razu uda im się panią ścigać!  
- Od tego pan zaczął? - zawołała z podziwem. - Ależ pan przewidujący!  
- Doświadczenie wojskowe też się może na coś przydać.  
- Szczerze jestem za to wdzięczna Bogu... i panu, majorze. - Odetchnęła głęboko, nadal nie mogąc uwierzyć, że jest już bezpieczna. - Myślałam, że nie ma dla mnie ratunku.  
Wzruszył ramionami i nic nie odpowiedział. Zapewne coś takiego było dla bohatera chlebem powszednim. Gdy okrążyli następne wzgórze, Randall puścił konia kłusem. Choć Wielki Turek miał lekki i pewny chód, Julia musiała objąć mocniej majora w pasie. Nigdy przedtem nawet się nie dotknęli i teraz Julia wiedziała już dlaczego. Wzajemna bliskość była ogromnie niepokojąca.  
- Wracamy do Hartley? Pokręcił głową.  
- Choćby nawet Wielki Turek nie musiał dźwigać nas dwojga i tak byłby zbyt zmęczony. A gdyby tamci ruszyli w ślad za nami i próbowali znowu porwać panią w Hartley...  
Nie musiał kończyć zdania. Julia nie zamierzała ściągać kłopotów na miasteczko, które od lat było jej domem. - Jestem pewna, że ma już pan w zanadrzu inny plan!  
- Zauważyłem niedaleko stąd ścieżkę wiodącą w górę, do chaty pasterzy. Możemy tam się ukryć i trochę odpocząć. - Odpocząć? Co za wspaniały pomysł!  
Oparła głowę o plecy Randalla i się odprężyła. Major budził w niej niepokój, ale wierzyła święcie, że wiedział, co robi.  
Otumaniona ze zmęczenia próbowała się zastanowić, co się z nią stanie teraz, gdy wrogowie wiedzą już, że żyje... A co tam, będzie się tym martwiła jutro!  
Wkrótce potem zjechali z drogi na ledwie widoczną ścieżkę, która wiodła w górę stromego zbocza.  
Postrzępione chmury przesłoniły

księżyc, tłumiąc jego blask. Przynajmniej raz deszczowa pogoda na coś się przydała!

Dostrzegli wreszcie ciemny prostokąt pasterskiej chaty i major zatrzymał konia.

- Szczęście nam sprzyja! Mamy nie tylko dach nad głową, drzwi i wszystkie cztery ściany, ale nawet przybudówkę na schronienie dla Wielkiego Turka.

- Byłabym szczęśliwa nawet w oborze, byle tylko Crockett i jego ludzie nas nie znaleźli!

Ześlizgnęła się z końskiego grzbietu i zachwiała, dotknawszy stopami ziemi. Randall ją podtrzymał.

Odsunęła się jak najdalej od niego, skoro tylko odzyskała równowagę.

- Ich szanse na to, że nas znajdą, są coraz mniejsze. - On też zsiadł z konia. - A gdyby nawet znaleźli, nie będę się patyczkował i rozprawię się z nimi ostatecznie.

- Czterech na jednego... nie zrobi to panu różnicy? - spytała bardziej zadowolona niż zdumiona.

- To amatorzy, ja zaś jestem żołnierzem. - Odwiązał juki i wniósł je do chaty. - Coraz lepiej! Mamy kominek, a nawet zapas drewna! Zostawię pani krzesiwo... czy może pani rozniecić ogień, gdy ja będę zajmował się Turkiem?

Weszła za nim do chaty, rada, że znalazła się pod dachem.

- Myśli pan, że możemy bezpiecznie rozpalić ogień?

- Jesteśmy tu dobrze schowani, a wiatr poniesie dym nie ku drodze, tylko w przeciwnym kierunku. - Podał Julii krzesiwo i wrócił do drzwi. - Rano spadnie deszcz. Zmyje ślady kopyt, gdyby ich szukali na drodze.

Uklękła koło kominka. Księżycowy blask przenikał przez okienko, przesłonięte pergaminem.

Wnętrze chaty składało się z jednej tylko izby. Pachniało tu kurzem i stęchlizną, ale mieli osłonę przed wiatrem i deszczem. Choć ręce Julii były zziębnięte i drżały z wyczerpania, zdołała rozpalić ogień.

Płonął już na kominku, gdy Randall wrócił do chaty.

Otworzył juki, wyciągnął z nich niewielki pled i podał go Julii.

- Proszę się tym okryć!

Zwróciła mu surdut i otuliwszy się szorstkim wełnianym kocem, usadowiła się przy ogniu. Randall znów sięgnął do juków.

- Nie jest pani głodna? Zastanowiła się.

- Prawdę mówiąc, umieram z głodu!

- Mam też trochę cydru.

Podał jej dzbanek, a potem pokroił chleb i ser. Julia z przyjemnością napiła się cierpkiego cydru.

- Jest pan doskonale zaopatrzony! Pewnie to też zasługa wojskowego doświadczenia?

- Podstawową zasadą podczas kampanii wojennej jest zapewnienie sobie zaopatrzenia.

Podał jej kromkę chleba i kawał sera, sam wziął drugą porcję i zapakował resztę żywności.

Julia wgrzyła się w ser z zapalem, nie zważając na elegancję. Czuła, że z każdym kęsem wraca jej energia. Chleb i ser smakowały obojgu wspaniale. Cydr był zimny i cierpki, wprost niezrównany!

W blasku ognia przystojna twarz Randalla wydawała się nieprzenikniona i zagadkowa. Julia nie miała powodu, by się go bać - ocalił jej przecież życie - ale był zbyt silny i męski, by mogła czuć się swobodnie w jego towarzystwie. Nawet gdy przymknęła oczy, wyczuwała jego obecność tak wyraźnie, jak żar bijący od ognia.

Przemocą oderwała od niego myśli i skierowała je w inną stronę. Musi czym prędzej postanowić, co teraz zrobi, skoro już jej nie grozi nieuchronna śmierć.

Była tak pogrążona w myślach, że aż podskoczyła, gdy Randall spytał:

- Czy pani wie, czemu ci ludzie panią porwali?

Miał prawo o to pytać. Wzdrygnęła się jednak na myśl, że będzie musiała mu wyjawić swój okropny sekret.

- Wiem.

- Jenny wspomniała, że nazwali panią morderczynią - powiedział bez ogródek. - Czy to prawda?

Zacisnęła usta i spojrzała mu prosto w oczy, wpatrujące się w nią z natężeniem. - Tak.

**5**

Randall patrzył uważnie na delikatną, śliczną twarz Julii. Trudno ją sobie wyobrazić jako morderczynię.

- Kogo pani zabiła?

Jej wzrok umknął w stronę płonącego na kominku ognia.

- Mojego męża.

- Zasłużył sobie na to? - spytał chłodno Randall. Podniosła raptownie głowę.

- Nikt dotąd nie zadał mi tego pytania.

- Każdy może zareagować gwałtownie, jeśli zostanie sprowokowany. Nie wygląda pani, moim zdaniem, na kobietę, która mogłaby kogoś zabić... chyba w wyjątkowo trudnej sytuacji. - Podał Julii dzbanek z cydrem. - Proszę mi o tym opowiedzieć!

Odprężyła się i upiła duży łyk. Czyżby się spodziewała, że wyrzuci ją na drogę, prosto w łapy porywaczy?... W swoim życiu żołnierza Alex stykał się częściej ze śmiercią niż większość ludzi - i wiedział, że niekiedy zabicie człowieka jest jedynym rozwiązaniem.

Nieraz się zastanawiał, jak wyglądało prawdziwe życie Julii Bancroft. I oto za chwilę dowie się prawdy. Może wówczas pojmie, czemu wydawała mu się tak nieodparcie pociągająca?

Otuliła się szczelniej kocem, jakby to była tarcza.

- Wysłałam za mąż, mając zaledwie szesnaście lat. Nasze małżeństwo zostało zaaranżowane przez rodziców. Wszyscy uważali, że to bardzo stosowna partia.

Randall dołożył jeszcze jedną gałąź do ognia.

- A pani jak się czuła?

**29**

- Wychowano mnie w przeświadczeniu, że małżeństwo zaaranżowane przez rodziców to najlepsze rozwiązanie. Wierzyłam, że ojciec wybierze dla mnie dobrego męża. - Uśmiechnęła się chłodno. - Mój narzeczony był młody, przystojny, czarujący. Byłam dość zadowolona.

- A jednak...?

- Mój przystojny, szlachetnie urodzony, nad wyraz odpowiedni mąż okazał się potworem.

Choć głos Julii wydawał się obojętny, drżenie ciała zdradzało jej prawdziwe uczucia.

- Znęcał się nad panią i ją znieważał? - zapytał.

- Tak.

Zamknęła się w sobie.

Randall starał się pohamować wściekłość na nieznanego męża Julii.

- Zabiła go pani w obronie własnej?

Ze znużeniem odgarnęła z czoła kosmyk miękkich, kasztanowatych włosów.

- Z początku... takie sceny zdarzały się rzadko, a on bardzo się kajał i przeproszał. Ale nasze małżeństwo stawało się nie do wytrzymania. Mąż był zazdrosny i oskarżał mnie o to, że mam ochotę go zdradzać dosłownie z każdym, kogo zobaczę. Wywiózł mnie na wieś i zadbał o to, by obsługiwały mnie wyłącznie kobiety. Z czasem jednak uświadomiłam sobie, że zadawanie mi bólu podniecało go.

- Głos jej się załamał. - Skąd miałam wiedzieć, jak sobie z kimś takim radzić? Byłam jeszcze dzieckiem i powtarzano mi zawsze, że mam spełniać swe obowiązki wobec męża...

- Do obowiązków żony nie należy pozwalanie na to, by mąż ją dręczył. - Teraz Randall rozumiał już, czemu Julia wiecznie usuwała się w cień, dlaczego wzdrygała się, ilekroć podszedł bliżej. Nie ufała mężczyznom, i trudno się dziwić! - Jak to się skończyło?

- Mniej więcej po roku stwierdziłam, że spodziewam się dziecka. Modliłam się, żeby to był chłopiec, bo mój mąż miałby wówczas syna i spadkobiercę. Powiedziałam mężowi, że po urodzeniu dziecka

chciałabym żyć z nim w separacji. - Jej szare oczy stały się dziwnie puste. - Wtedy całkiem oszalał! Powtarzał, że nigdy nie da mi wolności, że jestem jego własnością... I przez cały czas mnie bił, o wiele srożej niż dotąd. Byłam pewna, że mnie zabije. Odepchnęłam go, próbując uniknąć uderzeń jego szpicruty. Był pijany i stracił równowagę. Padając, uderzył głową o kant kominka. Zmarł chyba od razu. Randall się wzdrygnął. Bił ją szpicrutą?

- A zatem to nie było morderstwo, tylko nieszczęśliwy wypadek, gdy pani broniła się przed nim. - Zmusił się wręcz do tego, by mówić spokojnie. Jeśli zdradzi, jaki miota nim gniew, przerażona Julia gotowa uciec i zniknąć w mroku nocy! - A co z dzieckiem?

- Poroniłam tej samej nocy. - Oddech miała przyspieszony, nierówny. - Mój mąż mnie kopnął. Kilkakrotnie. Znowu się wzdrygnął. Dałby wiele, by objąć i pocieszyć Julię, ale wątpił, czy w tej chwili zniosłaby dotyk męskich rąk.

- Jak w takich okolicznościach ktoś może panią oskarżać o morderstwo?!

- Crockett, człowiek, który mnie porwał, był kompanem mojego męża, jego wiernym pomocnikiem. Łączyła ich szczególna, bardzo mocna więź. - Julia zapatrzyła się w ogień. Przebywała myślami gdzieś daleko. - To on znalazł ciało męża. Ja, zboczona krwią, leżałam obok. Crockett natychmiast postarał się zatrzeć wszelkie ślady, żeby nie było skandalu. - A więc nikt nie poznał prawdy?

- Przeprowadzono śledztwo. Oficjalny werdykt głosił, że była to śmierć na skutek nieszczęśliwego wypadku, ale Crockett powiedział mojemu teściowi, że to ja zabiłam jego syna. Mój teść był zrozpaczony po śmierci jedynaka. Musiał kogoś obwiniać o to nieszczęście, i obwiniał mnie. Od tamtego dnia nieustannie pragnął mojej śmierci.

- To on kazał panią porwać?

- Tak. - Przymknęła na chwilę oczy. - Nie wiem, jakie miał plany w stosunku do mnie, ale wątpię, czy uszłabym z życiem.

Randall przemyślał wszystko, co mu powiedziała, i to, co nie zostało wypowiedziane.

- Pewien jestem, że pani rodzina ma znaczenie i wpływy. Czy krewni nie mogli osłonić pani przed jego zemstą?

Zaśmiała się, nie będąc w stanie powstrzymać goryczy.

- Gdy tylko podniosłam się z łoża boleści, uciekłam do swego ojca. Ale mój teść napisał już do niego i powiadomił go, że to ja zamordowałam męża. Byli starymi przyjaciółmi, ojciec więc uwierzył jemu. Mnie wyklął i wydziedziczył. Powiedział, że zhańbiłam rodowe nazwisko. Nic dziwnego, że potem byłam dla teścia łatwą do upolowania zwierzyną.

Znów zamilkła. Jej myśli błądziły w przeszłości.

- A co było potem? - spytał Randall.

- Upozorowałam własną śmierć. Poszłam na brzeg morza, napisawszy przedtem w liście, że nie mogę znieść rozpaczki po śmierci męża. Zabrałam wszystkie pieniądze, jakie miałam, pozostawiłam na brzegu szal i czepek, i pozwoliłam całemu światu wierzyć w to, że się utopiłam.

Był to akt desperacji, a zarazem dowód niezwykłej odwagi. Coraz bardziej zaciekawiony historią jej życia, którą poznawał kawałek po kawałku, Alex zapytał znowu:

- Jak zdołała pani uciec? Wzruszyła ramionami.

- Wsiadłam do pierwszego dyliżansu, który akurat odjeżdżał, nie dbając o to, dokąd mnie zawiezie. Ale nie byłam jeszcze całkiem zdrowa po tym strasznym biciu i po poronieniu. Kiedy dostałam krwotoku podczas jazdy, woźnica pozostawił mnie w niewielkim miasteczku w pobliżu Rochdale w hrabstwie Lancashire. Miejscowa akuszerka zabrała mnie do siebie. Sądono, że nie przeżyję.

- Pozwoli pani, że zgadnę... Ta kobieta nazywała się Bancroft?

- Tak, to była prawdziwa pani Bancroft. Louise. Już niemłoda, bardzo doświadczona, nie mnie jedną ocaliła od śmierci. Spytałam, czy mogłabym u niej zostać i pomagać jej, póki całkiem nie wrócę do sił. Wkrótce zostałam jej uczennicą i przybrałam jej nazwisko. Powiedziałyśmy wszystkim, że jestem jej krewną. Odpowiadała mi praca akuszerki i dawała wiele zadowolenia. Louise nauczyła mnie wszyst-



kiego, co sama umiała, a ja opiekowałam się nią, gdy podupadła na zdrowiu.

- Po jej śmierci przeniosła się pani do Hartley?

- Chciałam wyjechać jak najdalej. Louise Bancroft była już bardzo chora, gdy otrzymała list od pewnej znajomej z Cumberland, która pisała, że w tej części hrabstwa potrzebują akuszerki.

Przeniosłam się tam po śmierci Louise. - Skrzywiła usta. - Przypuszczam, że to podczas mego pobytu w Londynie, gdy towarzyszyłam Mariah, mój teść nabrał podejrzeń, iż jego synowa znajduje się wśród żywych. Gdybym nie ruszała się z Hartley, pewnie nadal byłabym bezpieczna.

- Teraz nie może już tam pani wrócić!

Fascynacja Aleksa drobną, żyjącą w ukryciu kobietą, nie była już tak niepojęta. Od razu dostrzegł jej urodę, ale pięknych niewiast nie brakowało, a większość z nich bynajmniej nie starała się chować w cieniu. Tym, co czyniło Julię kobietą wyjątkową, był jej niezwykły hart i siła ducha.

Randall czuł nieodparte pragnienie otoczenia jej opieką - i chyba nie tylko opieką.

- Czy zastanawiała się już pani nad tym, co teraz zrobi?

- Wątpię, bym mogła czuć się bezpieczna w jakimkolwiek zakątku Anglii. - Znów odgarnęła włosy, jej twarz miała posępny wyraz. - Może wyjadę do kolonii? Akuszerka wszędzie się przyda.

- Domyślam się, że była pani żoną lorda Branforda - powiedział major, umyślnie starając się mówić lekko. - A teściem, żądnym pani krwi, jest hrabia Daventry.

Julia odruchowo cofnęła się i skuliła.

- Dobry Boże! Więc pan jest tym Randallem? Zastanawiałam się... Ale to dość często spotykane nazwisko, a pan wcale nie jest do nich podobny. - Jej palce zacisnęły się na kocu tak mocno, że kłykcie zbieleły. - Wyda mnie pan w ręce Crocketta?

Spojrzał jej prosto w oczy.

- Nigdy!

Patrząc na niego tak, jakby w każdej chwili mógł przeobrazić się w wilkołaka, spytała:

- Jak blisko jest pan spokrewniony z Branfordem i Daventrym?

- Ponieważ wielu krewnych zmarło w ciągu ostatnich kilku lat, a Daventry nie ma więcej własnego potomstwa, jestem obecnie jego jedynym spadkobiercą. - Twarz Randalla przybrała twarde wyraz. - Mój ojciec był jego młodszym, przyrodnim bratem. Nigdy nie mieli ze sobą wiele wspólnego, ja w dodatku jestem podobny do rodziny matki. Moi rodzice zmarli, gdy byłem małym dzieckiem, odesłano mnie więc do Turville Park, żebym się wychowywał razem z Branfordem.

- Jaki on wtedy był?

Randall powrócił myślą do chwili, gdy przybył do posiadłości Daventry'ego. Był przerażonym, bardzo nieszczęśliwym, zagubionym dzieckiem i rozpaczliwie pragnął nowego domu.

- Branford zmienił moje życie w piekło. Był starszy i większy ode mnie. Gdyby nie to, chybabym go zabił. Julia nie odrywała od niego wzroku.

- Nic dziwnego, że zaciągnął się pan do wojska!

- Żeby poznać najlepsze metody walki i zabijania? Nie myślałem o tym w ten sposób - odparł. - I bez tego walczyłem ze wszystkimi w Turville. Daventry, kiedy tylko mógł, wysłał mnie do szkół. Wyrzucano mnie ze wszystkich po kolei, aż w końcu trafiłem do Westerfield Academy.

- Gdzie lady Agnes Westerfield potrafi czynić cuda! - powiedziała cicho Julia.

- Ze mną rzeczywiście ich dokonała, nie ulega wątpliwości.

Przed poznaniem lady Agnes Alex był szalonym, pełnym nienawiści, wiecznie najeżonym dzieckiem. Przełożona nie starała się go poskromić. Spytała tylko chłopca, skąd w nim tyle gniewu. Wściekłość i poczucie krzywdy trysnęły zeń potokiem słów. Mówił o swoim bólu i upokorzeniu, i o podłych, złośliwych „kawałach”, jakie robiono mu w Turville. Lady Agnes wysłuchiwała go w milczeniu. A potem, co bardzo ważne, powiedziała chłopcu, że jego gniew był uzasadniony. Od tej pory rany Aleksa zaczęły się goić. - Dawniej zastanawiałam się, czy zachowanie Branforda nie było spowodowane przeze mnie. Może niektóre cechy mego charakteru

popudzały go do okrucieństwa... ? Ale to nie była moja wina, prawda? Zawsze był brutalny i okrutny!

- Julia westchnęła. - Ciekawe, ilu ludzi skrzywdził? Obawiam się, że bardzo wielu!

- Wiem, że nie zamierzała go pani zabić, ale kiedy tak się stało, oddała pani bezwiednie przysługę wielu. - Randall uśmiechnął się cierpko. - Jest też jakaś sprawiedliwość w tym, że zginął przypadkowo z ręki jednej ze swych ofiar.

- Wolałabym, żeby to nie były moje ręce! Daventry to niezwykle groźny wróg.

- Służyłem wówczas w wojsku i od lat nie utrzymywałem kontaktów z rodziną. Pozostało mi więc tylko mgliste wspomnienie, że Branford ożenił się i zmarł rok czy dwa później. - Randall z trudem szukał czegoś w pamięci. - Jego żoną była... lady Julia Raines, córka księcia Castleton, prawda?

- Ma pan znakomitą pamięć. - Uśmiechnęła się z ironią. - Nie mogę powiedzieć, by moja wysoka pozycja przyniosła mi wiele szczęścia.

Przyszła mu do głowy dziwaczna myśl... Ta kobieta pociągała go od pierwszej chwili, kiedy się spotkali. Pragnął jej, ale także podziwiał siłę jej charakteru i odczuwał niezwykłą potrzebę osłaniania jej przed wszelkim złem, na które przecież nie zasłużyła. Bóg świadkiem, że bardzo potrzebowała obrońcy!

- Znalazłem chyba sposób na rozwiązanie większości pani kłopotów - powiedział powoli i z namysłem. - Mogłaby pani wyjść za mnie.

Popatrzyła na niego ze zdumieniem.

- Czy pan oszalał?! Pański stryj, Daventry, wściekłby się z pewnością, gdyby pan się ze mną ożenił!

- Kiedy zostałem ciężko ranny w Hiszpanii, odesłano mnie do Londynu i powierzono opiece stryja - odparł z gorzką wesołością. - Umarłbym z zaniedbania na poddaszu hrabiowskiej rezydencji, gdyby Ashton nie wtargnął do Daventry House i nie wyciągnął mnie stamtąd. Myśl o tym, że stary diabeł zapala gniewem, wcale nie przejmuje mnie grozą.

Odparła z przestraczem, lecz stanowczo:

- Rozumiem pana, ale nie chcę być narzędziem pańskiej zemsty na stryju, majorze!

- To tylko jeden z powodów, najmniej ważny - zapewnił ją z całą powagą. - Rodzina Randallów potraktowała panią haniebnie. Z winy Branforda utraciła pani nazwisko, pozycję, dom i dziecko. Jako moja żona mogłaby to pani wszystko odzyskać, co byłoby sprawiedliwe!

- A więc gotów jest pan ożenić się ze mną, by sprawiedliwości stało się zadość? - Uśmiechnęła się z grymasem. - To bardzo szlachetne, ale małżeństwo jest związkiem dwojga ludzi, a nie dwóch zasad. Przecież się nawet nie lubimy, majorze! Dziękuję za pańską niezwykle pochlebną ofertę, ale muszę panu odmówić. Jej odmowa zabolęła go znacznie bardziej, niż przypuszczał. Tak bardzo, że pojął od razu, iż nie oświadczył się pod wpływem chwilowego impulsu.

- Ma pani wszelkie powody, żeby mnie nie lubić, lady Julio. Byłem dla pani w przeszłości wyjątkowo nieuprzejmy. Ale to nie dlatego, że pani nie lubię. Raczej... wręcz odwrotnie!

Spojrzeni na siebie. Oboje starali się ignorować niewyrażone słowami uczucia, które w nich zapłonęły. Julia z trudem przełknęła ślinę. - Przyznaję, że od pierwszej chwili, gdy się spotkaliśmy, istniała między nami... pewna więź. Ale to coś niewygodnego, raczej przeszkoda niż fundament przyszłego małżeństwa! - Naprawdę? - powiedział cicho. - Ta więź to wzajemna skłonność. A kłopoty wynikały z wiecznych prób jej przewyciężenia. Chyba będzie lepiej, jeśli przestaniemy z nią walczyć. Taka skłonność może się stać fundamentem znakomicie dobranego małżeństwa.

Julia zmarszczyła czoło.

- Czemu więc aż tak bardzo zmagał się pan z ową skłonnością, majorze? Można było pomyśleć, że zniechęcił mnie pan od pierwszego wejrzenia!

- Jako oficer w służbie czynnej nie mogłem myśleć o ożenku - odparł, choć czuł, że nie była to wystarczająca odpowiedź. Zmusił się więc do absolutnej szczerości. - A poza tym... siła tego uczucia mnie

przerażała. Nigdy jeszcze nie pociągała mnie tak żadna kobieta! Budziło to we mnie głęboki niepokój. Teraz jednak pomysł poślubienia pani wydaje mi się jak najbardziej słuszny. Łzy zabłyśły w jej oczach.

- Nie zostawia mi pan wyjścia, muszę wyjawić panu okrutną prawdę, majorze. Być może, gdybyśmy się spotkali, kiedy byłam szesnastolatką, takie wzajemne upodobanie wystarczyłoby, żeby nas połączyć. Moglibyśmy się pobrać, żyć razem szczęśliwie i doczekać do tej pory gromadki dzieci. ...Ale nie jestem już tamtą dziewczyną. - Przymknęła oczy w nagłym przyplywie bólu. - Nie mogę znieść myśli o powtórnym zamażpójściu. Sama wzmianka o wypełnianiu obowiązków małżeńskich sprawia, że mam ochotę rzucić się do ucieczki, krzycząc z przerażenia. Uratował mi pan życie, majorze, ale nie jestem niewinną dziewczeczką, ocaloną od smoka. Zbyt wiele mam lat i bolesnych blizn, jak na nieskalaną oblubienicę! Jeśli naprawdę chce mi pan pomóc, proszę mi towarzyszyć w drodze do Liverpoolu i... pożyczyć pieniędzy na podróż do Ameryki. Jako spadkobierca Daventry'ego bez trudu znajdzie pan sobie odpowiednią żonę. Słodką, łagodną młodą pannę, taką jak Sarah Townsend. A nie zranioną przez życie wdowę, która nie ma już panu nic do ofiarowania.

- Do wszystkich diabłów! - warknął. - Czemu wszyscy mnie swatają z Sarah Townsend?! To urocza, ale niedojrzała dziewczyna. A pani jest kobietą, jedyną, jakiej pragnę.

- Przywykł pan do tego, że zawsze zdobywa to, czego zapragnie - zauważyła sucho Julia. - Jednak po chwili zastanowienia z pewnością zrozumie pan, że kobieta, która nie chce wyjść za mąż, nie jest tym, na czym panu zależy.

Patrzył na jej smukłą postać, zaglądał w znużone, lecz niepokonane oczy Julii i rozważał jej słowa.

- To, co pani mówi, jest nad wyraz rozsądne... ale małżeństwo nie powinno być rezultatem rozsądnych rozważań. Pragnę, żebyś była częścią mojego życia, Julio! Oboje zazналиśmy wiele bólu. Nie zależy mi na pogodnej, niefrasobliwej panience, która nic nie wie

o ciemnych stronach życia. Między tobą a mną mogłoby się nawiązać znacznie głębsze porozumienie. Czy to nie ma dla ciebie żadnego znaczenia? Uważasz za niemożliwe, by nasze wzajemne zaufanie i przyjaźń pogłębiły się tak, żebyśmy zostali w końcu mężem i żoną, w pełnym znaczeniu tego słowa? - Może to jest możliwe - odparła z bólem. - Ale choćby nawet tak było... Muszę ci wyjawić całą prawdę, byś zrozumiał, że istnieje pewna nieprzewyciężona przeszkoda. Nie sądzę, bym kiedykolwiek mogła urodzić dziecko, majorze. Branford... okaleczył mnie. Ty zaś masz być następnym hrabią Daventry. Powinieneś dla dobra rodu ożenić się z kobietą, która da ci syna. A zatem Julia - a powinna się znać na takich sprawach - sądziła, że jest bezpłodna. Alex, nie mogąc usiedzieć spokojnie, wstał i zaczął krążyć nerwowo po izbie. Nie było w niej zbyt wiele miejsca na takie spacerunki.

Podstawowym obowiązkiem para jest splodzenie następcy. Ale Randall nie był na razie parem, a tytuł hrabiowski nie miał dla niego większego znaczenia.

Julia oparła się plecami o ścianę. Oczy miała zamknięte, twarz pozbawioną wszelkiego wyrazu. Randall wiedział już, że z uporem stara się być jak najmniej widoczna. Teraz objawiła mu się w całej swej tajonej sile i piękności. Przed katastrofalnym małżeństwem z Branfordem musiała być wyjątkowo czarującą dziewczyną. Brylantem pierwszej wody na matrymonialnym targowisku. Daventry nie zgodziłby się na nic gorszego dla swego syna i spadkobiercy!

Ta rozmowa jest trudniejsza dla niej niż dla mnie, pomyślał. A jednak Julia wyjawiała mu swą bolesną tajemnicę, gdyż była z gruntu uczciwa. I to właśnie najbardziej go ujęło. Im więcej mu wyjawiała, tym bardziej pragnął, by została jego żoną.

Pragnął również, by była nie tylko żoną, ale i kochanką. Pociągała go ze zdumiewającą siłą. Jej spokojny wdzięk i drobna, kształtna postać zachwyciły go od pierwszej chwili. Czy był w stanie znieść małżeństwo tylko z nazwy... z kobietą tak bardzo upragnioną, a jednak nieosiągalną?

Jeśli istniały jakieś szanse, że Julia zwalczy straszliwe wspomnienia z pierwszego małżeństwa, Alex gotów był podjąć to ryzyko. Ryzykował już nieraz - i to w mniej sprzyjających okolicznościach!

**6**

*Po* długim, pełnym ciężkich przejść dniu Julia nie miała dość energii nawet na to, by oburzyć się zaskakującą propozycją Randalla. Przyglądała mu się tylko, jak krążył niespokojnie po niewielkiej izbie. Kulał coraz bardziej, zapewne wskutek wyczerpującej jazdy. Popędził jej na ratunek, choć pod koniec męczącego dnia musiał już być znużony. Julia miała nadzieję, że major nie pomylił się, twierdząc, iż Crockett i jego ludzie z pewnością ich nie odnajdą. Walka z czterema przeciwnikami naraz to nie przelewki, nawet dla Randalla!

Uczucia Julii były dziwnie pogmatwane. Już sama obecność przystojnego mężczyzny, wyćwiczonego w sztuce zabijania, sprawiała, że Julia miała ochotę skryć się w najodleglejszym kącie. A jednak nie wyczuwała w Randallu okrucieństwa, tak charakterystycznego dla jej męża. Major zachowywał się niezmiennie jak człowiek nieposzlakowanego honoru i męstwa.

Aż dziw pomyśleć, że on i Branford byli stryjecznymi braćmi! Randall to wojownik - skupiony i często groźny... Ale jego niszczycielska siła nie wymykała się spod kontroli. Julia nie wyobrażała sobie, by mógł wyrządzić komuś krzywdę ot tak, dla przyjemności.

Poczuła prawdziwą ulgę, kiedy oboje otwarcie przyznali, że istnieje między nimi więź - niepokojąca, utrudniająca życie. W tej chwili Randall - jedną ręką oparty o ścianę, wpatrzony w ogień płonący na kominku - wydawał się Julii podobny do posagu greckiego atlety. Ale nie! Był smuklejszy, bardziej długonogi od antycznego ideału, a jego jasne włosy i wydatne, choć regularne rysy miały zdecydowanie nordycki charakter. Jeśli przypominał jakieś bóstwo, to raczej bożka wikingów niż przybysza znad Morza Śródziemnego.

**45**

Julia zastanawiała się, o czym myśli? Bardzo możliwe, że zmienił właśnie zdanie na jej temat. Teraz już wiedział, kim była, i zorientował się, że żaden mąż nie miałby z niej pożytku. Jeśli czuł się rozczarowany jej odmową, prędko się z tego otrząśnie. Mógł przecież zdobyć każdą kobietę, która mu się spodoba. Julia uświadomiła sobie, że po raz pierwszy widzi jego uśmiech.

Podniósł na nią zadumany wzrok.

- Wżyciu nie ma nic pewnego, Julio! Wiele młodych, zdrowych małżeństw nie doczekało się upragnionych pociech. A tym, którzy mogą się nimi pochwalić, rodzą się nieraz same córki. Sam fakt, że nie możesz mieć dzieci, nie świadczy wcale o tym, że nie nadajesz się na żonę. Czy zgodzisz się wyjść za mnie, lady Julio? Spojrzała na niego zaskoczona.

- Naprawdę oszalałeś, majorze! W tej chwili nie obchodzą cię dzieci... ale czy nie zmienisz zdania w przyszłości? - Pokręciła głową. Nie mogła uwierzyć, że mówił poważnie. - A nawet jeśli rzeczywiście nie zależy ci na potomstwie, jak możesz pragnąć żony, która nie będzie dzielić z tobą łóża? Chyba że zależy ci tylko na poślubieniu książęcej córki... albo uważasz, że w związku z kobietą aż tak upośledzoną będziesz miał pełne prawo do rozkoszy kawalerskiego życia!

Uniósł brwi.

- Nic podobnego! Zgadzam się, że to mało prawdopodobne, byś zmieniła zdanie w tym względzie, i wobec tego nie będzie to prawdziwe małżeństwo. Ale, jak sama powiedziałaś, z czasem sytuacja może ulec zmianie. Przysięgam, że wolałbym uciąć sobie rękę, niż sprawić ci przykrość! Postaraj się w to uwierzyć. Jeśli znajdziesz w sobie dość zaufania i nieco przyjaznych uczuć, może zdołasz pokonać odrazę do mężczyzn.

- Nie wierzę, by stać mnie było na tyle ufności - wyznała bezradnie.

A jednak, gdy wpatrywała się w jego opanowaną, przystojną twarz, czuła, że naprawdę chciałyby zmienić swój stosunek do niego. Oddałaby dwadzieścia lat życia, żeby być znowu normalną kobietą, równie szczęśliwą i nieskomplikowaną jak niegdyś, przed ślubem.



Mając szesnaście lat, marzyła o pieszczotliwym dotyku męskiej ręki. Radowała się z kradzionych jej przez narzeczonego całusów i czuła rozkoszny zawrót głowy, jak każda dojrzała już do zameścia panienka. Jakże spieszno jej było do małżeńskiego łóża, Boże, zlituj się...

Pragnąc, by Randall przekonał ją, że nie są to tylko czcze mrzonki, spytała:

- Choćby taka zmiana mogła się we mnie dokonać... jak można poślubić kogoś, kogo się prawie nie zna? Nie wiem nawet, jak ci na imię, majorze!

- Alexander David Randall.

Alexander... powtórzyła w duchu. Imię równie surowe i kanciaste jak on.

- Czy ktoś nazywa cię Alekssem?

- Czasami. Przeważnie mówią do mnie „Randall”. A teraz, kiedy już o tym wiesz, czy robi ci to jakąś różnicę?

- Alexander, wielki zdobywca! - powiedziała z przekąsem. - Czy to dlatego masz w sobie tyle uporu i chcesz koniecznie postawić na swoim, wbrew wszystkiemu?

To pytanie wymagało uczciwej odpowiedzi. Zastanowił się, po czym pokręcił głową.

- Moja propozycja nie ma nic wspólnego z chęcią postawienia na swoim za wszelką cenę. Zależy mi tylko na tym, żeby być z tobą, lady Julio. Jest w tobie coś, co działa na mnie niezwykle kojąco.

- Owszem, mówiono mi, że działam kojąco na pacjentki podczas porodu... ale nigdy nie słyszałam takiego komplementu od mężczyzny w pełni sił! Ta wychwalana przez ciebie cecha to chyba przeciwieństwo namiętności? - zażartowała, ale było jej przyjemnie, że przypisywał jej takie zalety. - Bije wprost w oczy, że jesteś mężczyzną pełnym temperamentu, majorze! Nie mogę uwierzyć, by małżeństwo wyprane z wszelkiej zmysłowości mogło ci dać szczęście.

- Powinniśmy zawrzeć ze sobą umowę: zgodzisz się, bym od czasu do czasu sprawdzał, czy twój stosunek do mnie nie uległ zmianie. - Przechylił głowę na bok w zamyśleniu. - Mogłabyś, na przykład,

pozwolić mi, żebym cię dotykał... A ja ze swej strony przysięgłbym, że przestanę natychmiast, jeśli powiesz „nie!” Zapuszczali się na głębokie wody! Julia przypomniała sobie, że Branford zachowywał się jak szalony, kiedy się roznamiętnił.

- Czy nie byłoby to zbyt trudne? Pożądania nie da się tak łatwo opanować!

- Potrafię zapanować nad sobą w mgnieniu oka. - Dostrzegła wesoły błysk w jego pozornie chłodnych niebieskich oczach. - To podobno jedna z moich najbardziej irytujących cech!

Ku własnemu zdumieniu Julia się roześmiała.

- Wyobrażam sobie! Ale twój upór bywa chyba równie irytujący. Wszelako małżeństwo, majorze, to coś wiążącego. Nie można tak po prostu rozejść się, jeśli się okaże, że nic z tego nie wyjdzie.

- Prawdę mówiąc, będziemy mieli taką możliwość. Być może nie okaże się to aż tak proste, ale powinno być całkiem realne. - Skrzyżował ręce na piersi i oparł się o chropowatą ścianę chaty. - Szkockie prawo małżeńskie różni się od angielskiego. Kobieta ma tam prawo, na równi z mężczyzną, domagać się rozwodu. Jeśli weźmiemy ślub w Szkocji, będziesz mogła rozwieść się ze mną z powodu cudzołóstwa lub porzucenia albo zażądać legalnej separacji w przypadku okrucieństwa męża.

Julia zmarszczyła brwi.

- To mi się wydaje takie... nieuczciwe: składać przysięgę małżeńską, pozostawiając sobie furtkę, przez którą będzie się można wymknąć!

- No cóż... być może. Małżeństwo to zawsze ogromne ryzyko. A jednak wielu chwali sobie błogosławiony stan małżeński! - Nie uciekł spojrzeniem w bok, a głos miał zdumiewająco łagodny. - Czy wolisz spędzić resztę życia, ukrywając się przed Daventrym i Croc-kettem? Może ci się to uda, jeśli zamieszkaż w obcym kraju, ale teraz, kiedy już wiesz, że żyjesz, mogą cię ścigać wszędzie. Jeśli jednak wyjdiesz za mnie, będziesz mogła wrócić do świata, w którym się wychowałeś. Nie jestem bogaczem, mam jednak wystarczający dochód i niewielką posiadłość. Jako moja żona będziesz znów jeździć

do Londynu, nosić wytworne toalety... Staniesz się dawną lady Julią Raines. Czy nie warto podjąć ryzyka, żeby to osiągnąć?

Wrócić do dawnego życia! Wizja, którą wyczarował Alex, była niezwykle kusząca.

- Ryzyko wydaje mi się zbyt wielkie, zwłaszcza ze względu na ciebie, majorze. Wiem, że jesteś wspaniałym obrońcą... ale możemy oboje stracić życie. - Wzdrygnęła się. - Nie chcę mieć twojej śmierci na sumieniu!

- Jako spadkobierca Daventry'ego mam na niego pewien wpływ. Choć osobiście mnie nie cierpi, ogromnie ceni sobie tradycję i swój hrabiowski tytuł - stwierdził Randall z czarnym humorem. - Jeśli zostaniesz moją żoną, jedyną gwarancją narodzin przyszłego spadkobiercy, możemy być pewni, że hrabia będzie bronił nas obojga.

- Tylko że ja nie mogę ci dać syna i spadkobiercy! Nie zdołała ukryć goryczy.

- Ale hrabia nigdy się o tym nie dowie. - Randall uśmiechnął się krzywo. - Cóż to będzie za przewrotny żart sprawiedliwego losu, jeśli tytuł Daventrych wygaśnie z powodu okrucieństwa Branforda! Nie proponuję ci jednak małżeństwa po to, by ukarać stryja, lady Julio. Uważam, że będzie ono korzystne dla nas obojga.

- Kuszysz mnie, majorze - powiedziała cicho. - Ale ta rozmowa wydaje mi się tak chłodna i logiczna... Czy małżeństwo naprawdę powinno być bezduszną kalkulacją obopólnych korzyści?

W Randallu nastąpiła raptowna zmiana. Julia czuła to wprost fizycznie.

- Moje uczucia do ciebie, Julio, bynajmniej nie są chłodne - powiedział równie cicho, jak ona. - Nigdy nie spotkałem kobiety, którą chciałbym poślubić. Sama myśl o szukaniu odpowiedniej żony sprawiła, że uciekłem czym prędzej do Szkocji. Zjawiłem się w Hartley rzekomo w tym celu, by raz jeszcze przyjrzeć się Sarah Townsend, ale, mówiąc szczerze, przyjechałem tam tylko dlatego, że chciałem zobaczyć się z tobą. Twoja sytuacja okazała się znacznie bardziej skomplikowana, niż sądziłem. A jednak im dłużej na ciebie patrzę, Julio, tym bardziej pragnę być z tobą na zawsze.

Wzruszona i zbita z tropu wypaliła:

- Kto ci właściwie pozwolił nazywać mnie po prostu Julią, majorze?!

- Tak jakoś samo wynikło to z rozmowy. - Usiadł na podłodze po turecku, tak blisko Julii, że mógłby jej dotknąć. Powstrzymał się jednak od tego. - Jeśli czujesz do mnie taką odrazę, że nie będziesz mieszkać ze mną pod jednym dachem... no cóż, jakoś się z tym pogodzę i nie będę cię męczył. Gdybyś jednak zechciała dołożyć starań, może kiedyś stalibyśmy się dla siebie kimś więcej...

Poznała po jego oczach, jaki jest w tej chwili bezbronny. I było to dla niej kompletnym zaskoczeniem.

- Nie jesteś mi obojętny, majorze - przyznała. - Miałeś słuszność, mówiąc o łączącej nas więzi. Ja także ją odczuwam, a teraz znam cię o wiele lepiej niż godzinę temu.

- To godzinne nicowanie mego charakteru zupełnie wystarczy! - wtrącił pospiesznie. - Dalsze badanie pogłębiłoby twe wątpliwości.

- To, że nie brak ci dowcipu, uważam za wielką zaletę. - Julia zapatrzyła się w ogień, zdumiona tym, że całkiem serio rozważa możliwość wyjścia za mąż. I to za Randalla, pomyśleć tylko! - Powiadasz, że powinnam dołożyć starań, by nasze małżeństwo stało się prawdziwe. .. Jak to sobie wyobrażasz?

Dorzucił jeszcze jedną szczapę do ognia.

- Myślę, że powinniśmy oboje poświęcić na ten eksperyment cały rok. Ja będę miał prawo cię dotykać, a ty w każdej chwili możesz mi powiedzieć, żebym dał temu spokój. Do następnego dnia, powiedzmy.

- To brzmi całkiem rozsądnie - zauważyła ostrożnie.

- Będę święcie dotrzymywał mojej przysięgi ślubnej, jak długo oboje będziemy czuli, że nasze małżeństwo ma jakieś szanse. Jeśli się ostatecznie rozstaniemy, to już co innego. Ale bardzo bym chciał spróbować, Julio.

Odwróciła się do niego i oczy ich się spotkały.

- Upłynęło wiele czasu, odkąd po raz ostatni dotknęłam mężczyzny. .. nie licząc przypadków, gdy musiałam opatrywać czyjeś rany

powiedziała niepewnie. - Podane przez ciebie warunki są wielkoduszne, ale mimo to nie wiem, czy będę w stanie ich dotrzymać.

- Naprawdę? - Powoli, jakby uspokajał płochliwego żrebaka, wyciągnął do niej rękę, a potem ujął jej dłoń. - Czy to jest dla ciebie nie do zniesienia?

Zamknęła oczy, wstrząśnięta jego dotykiem. Ktoś tak bardzo męski, ktoś, kto pragnął się z nią ożenić, trzymał ją za rękę... Odezwały się w niej głęboko zakorzenione lęki, ale ciepło i siła jego uścisku wydały się krzepiące. Najbardziej ze wszystkiego niepokoiło ją to, że Randall był tak pociągający. Otworzyła oczy.

- Trochę to niepokojące... ale nie mogę powiedzieć, żeby było nie do zniesienia.

- A to?

Podniósł jej rękę do ust i musnął wargami grzbiet dłoni. Zadrżała, gdy odezwały się w niej dawno zapomniane uczucia, które budziły zarówno zaciekawienie, jak i obawy.

- To również... mogłabym znieść. Ale jestem już u kresu wytrzymałości!

Uśmiechnął się do niej. Leniwie, nieco zagadkowo.

- A więc ponowię pytanie: czy wyjdiesz za mnie, lady Julio? Chociaż obiecał zawsze szanować jej życzenia, czuła, że już się chwieją mury obronne, które od lat osłaniały ją przed światem. Trwożyło ją to i budziło żywy, instynktowny sprzeciw. Wiedziała jednak, że nigdy więcej nie otrzyma tak zdumiewającej, niespodziewanej propozycji. Wierzyła, że Randall jest z nią całkiem szczery. Choć wszystko przemawiało za tym, że każdy normalny mężczyzna wycofałby się w tej sytuacji, majorowi zależało na niej tak bardzo, iż postanowił zaryzykować, choćby nawet ich małżeństwo miało się okazać pomyłką. A poza tym... intrygował ją ten człowiek! Choć z wielu powodów mógł budzić w niej lęk, Julia - o dziwo - czuła się przy nim bezpieczna. Tak już miała dość życia w wiecznym strachu! A perspektywa kolejnej ucieczki na inny kontynent doprowadzała ją niemal do łez. Jako młoda dziewczyna skłonna była do lekkomyślności. Przez długi

czas - zbyt długi! - tłumiała to w sobie. Teraz jednak miała wielką ochotę postawić całą swą przyszłość na jedną kartę. Jeśli major był zdecydowany na to małżeństwo, ona nie mogła okazać się gorsza! Wiedziała jednak, że musi pozostawić sobie jakieś wyjście.

- Tak... ale pod pewnym warunkiem. Otrzymam od ciebie, majorze, podpisany, choć niedatowany list, w którym oświadczysz, że zgadzasz się, iż nasze małżeństwo nie wytrzymało próby i że ty również życzysz sobie rozwodu.

Randall groźnie zmarszczył brwi.

- Ach tak?... Rozumiem. Julia odwróciła wzrok.

- Przepraszam, nie chciałam przez to powiedzieć, że jesteś niegodny zaufania...

- A jednak mi nie ufasz - dokończył cierpkim tonem. - No dobrze, dam ci taki list, zanim staniemy przed ołtarzem. Czy to wystarczy?

Jak na człowieka niepozbawionego dumy, skłonny był do wielkich ustępstw. Powinna odwzajemnić się tym samym. Nieco drżącym głosem odparła:

- Myślę, że tak. A zatem jeśli naprawdę tego chcesz, wyjdę za ciebie.

- Bardzo się cieszę - odparł po prostu. Uścisnął jej rękę i zaraz puścił. Rozsądny człowiek!

- Dokąd się najpierw udamy, majorze? Chyba przede wszystkim powinniśmy wymknąć się stąd. I to tak, by Crockett i jego ludzie nas nie spostrzegli.

- Będę pilnie nasłuchiwał przez resztę nocy. Stracili z pewnością sporo czasu, szukając cię w pobliżu miejsca, gdzie im uciekłaś. Ale wcześniej czy później zawrócą do Hartley albo skierują się w stronę Carlisle. Zależnie od tego, dokąd, według nich, pobiegłaś.

- Zapewne pomyślą, że ja, słaba kobieta, wrócę do Hartley, bo mam w tym miasteczku przyjaciół.

- Bardzo możliwe - przytaknął. Julia przygryzła wargę.

- Mam nadzieję, że nie wyrządzą krzywdy nikomu z mieszkańców!
  - I tak już zwrócili na siebie dość uwagi. Nie przypuszczam, żeby się na to zdobyli - uspokoił ją Randall. - Sądzę, że będą czekać w polu, poza miastem, żeby cię schwytać, gdy będziesz tam wracała. Zadrżała mimo woli.
  - Czuję się jak mysz, na którą zaczęły się koty!
  - Nie dopadną cię, nie ma obawy. Ponieważ mogli zacząć się przy drodze dosłownie wszędzie, udamy się na przełaj do Carlisle. Tam wynajmę powóz, a ty będziesz mogła wysłać liścik do Hartley z wiadomością, że wyrwałaś się z rąk porywaczy, ale nie zamierzasz wracać.
- Julia się zawahała.
- Jest w moim domku kilka rzeczy, które chciałabym odzyskać: pamiątki po matce, parę drobiazgów...
  - Możemy zajrzeć tam później - odparł. - Najpierw jednak jedziemy do Szkocji i bierzemy ślub!
- Julia się skrzywiła.
- Ślub w Gretna Green? To wulgarne, ale chyba konieczne.
  - Ani konieczne, ani pożądane - oświadczył z przekonaniem Randall. - To dobre dla uciekających par: najbardziej wysunięte na południe miejsce w Szkocji. Ale nas nic aż tak nie nagli, możemy zapuścić się nieco dalej. Przypuszczam, że weźmiemy ślub w domu mojego przyjaciela Kirklanda. Znasz go już. Cieszy się ogólnym poważaniem, a to doda splendoru naszemu weselu. Kirkland był jednym z trzech przyjaciół, którzy niegdyś wyruszyli na północ w poszukiwaniu zaginionego Ashtona. Ciemnowłosa, inteligentny, opanowany, traktował i Julię, i Mariah z kurtuazją i zrozumieniem. Ślub w jego domu był rozwiązaniem znacznie lepszym niż owiana mgiełką taniej sensacji ceremonia w Gretna Green.
  - Widzę, że wychodząc za ciebie, znajdę się pod opieką wszystkich zbłąkanych lordów z Westerfield!
  - Ma się rozumieć. - Wesóły błysk pojawił się w oczach Aleksa. -A z nami lepiej nie zadzierać, ani na polu bitwy, ani na salonach!

- Doceniam to, możesz mi wierzyć! - Przez tak długi czas Julia była zdana wyłącznie na własne siły... Myśl, że będzie miała teraz obrońców, wydała się jej naprawdę miłą. - Musimy tylko wymyślić historyjkę wyjaśniającą, czemu właściwie postanowiliśmy się pobrać.
- Może lepiej trochę rozminąć się z prawdą, skoro masz odzyskać dawną pozycję w towarzystwie. - Randall zastanawiał się przez chwilę. - A zatem, zrozpaczona po tragicznej śmierci męża, porzuciłaś wielki świat i postanowiłaś zamieszkać na wsi u dalekiej krewnej. Następnie zaprzyjaźniłaś się z księżną Ashton... ta część opowieści ma ogromne znaczenie. Zresztą naprawdę jesteś serdeczną przyjaciółką Mariah, i właśnie dzięki niej zawarliśmy znajomość, należę przecież do najbliższych księciu osób. Po wystąpieniu z wojska postanowiłem się ożenić, zacząłem się do ciebie zalecać i w końcu poprosiłem cię o rękę.
- Mówiłeś już wcześniej o porzuceniu kariery wojskowej. Zdecydowałaś się na to niedawno, prawda? Skinał głową.
- Daventry powiadomił mnie, że zmarł ostatni krewny, który prócz mnie miał prawo do dziedziczenia tytułu, i wobec tego mam wrócić do Anglii i przygotować się do przyszłych obowiązków: znaleźć sobie żonę i założyć rodzinę.
- Jestem zdumiona, że zamierzasz spełnić jego życzenie - stwierdziła sucho Julia.
- Chcąc nie chcąc, muszę, gdyż w tym wypadku nasze życzenia się pokrywają - wyjaśnił.
- To dość wiarygodna historyjka - orzekła Julia. - I prosta! Nie ma obawy, że coś popłączemy.
- No i niezbyt odbiega od prawdy - zauważył Randall. - Rzeczywiście wystąpiłem z wojska, pragnę się ożenić i pomyślałem o tobie.
- Popatrzyła na niego wymownie.
- Co nie przeszkodziło ci pojechać do Hartley Manor, by złożyć wizytę Sarah Townsend! Czyżby dopiero fakt, że pochodzę z książęcej rodziny, ostatecznie zaważył na twoim wyborze? Akuszerka z małej miejsciny była kimś niegodnym twojej uwagi?



- Zawsze byłaś damą w każdym calu, nawet jako akuszerka z małej miejsciny - oświadczył z naciskiem. - Oczywiście twoja pozycja towarzyska sprawi, że wszyscy zaakceptują cię jako moją żonę. A jedynym powodem tego, że w ogóle pomyślałem o innej kandydatce, było przeświadczenie, iż mnie zdecydowanie unikasz. Nawet nie przypuszczałem, że mogę pozyskać twą życzliwość. A mimo to pragnąłem znów cię zobaczyć. Ot tak, na wszelki wypadek!

Julia zapatrzyła się w dogasający ogień.

- Zawstydzasz mnie, majorze! Nie zasługuję na twoje względy, ale jestem za nie wdzięczna.

- Czyżbyś chciała powiedzieć, że mam zły gust?! - zaoponował wesoło, choć z poważną miną. - Zapewniam cię, że jest całkiem przeciwnie!

Roześmiała się.

- Najmocniej przepraszam! I niechący ziewnęła.

- Połóż się. Musisz być śmiertelnie zmęczona.

- Owszem. - Podniosła na niego oczy. - Nigdy bym nie przypuszczała, że wyjdę z tego cało!

- Ja też. Ale, jak widać, obojgu nam się udało. - Uśmiechnął się, co rzadko mu się zdarzało. Miał zdumiewająco słodki uśmiech. - Myślę, Julio, że we dwójkę damy radę wszystkiemu.

- Ja też mam taką nadzieję.

Położyła się i otuliła kocem. Była taka zmęczona, że nie przeszkadzała jej nawet twarda podłoga.

Zgodziła się wyjść za kogoś, kogo prawie nie знаła. Czyste szaleństwo! Ale jak to miło, gdy ktoś się o nas troszczy... od tak dawna mogła liczyć wyłącznie na siebie.

7

Randall położył się przy drzwiach, wsparty o ścianę. Okaleczona noga bolała paskudnie, gdy ją prostował. Wystawił ją dziś na próbę,

49

przekraczającą niemal ludzką wytrzymałość, ale się opłaciło! Julia jest bezpieczna, a on zadba o to, by nadal tak było.

Uchylił drzwi i wsłuchiwał się w odgłosy nocy. Usłyszałby stąd, gdyby ktoś jechał po drodze, biegnącej w dole. O tej porze jednak nie było nikogo. Do Aleksa docierał jedynie szelest nóżek małych zwierząt, które spieszyły tu czy tam, w sobie tylko znanych celach; słyhać też było nieustający, cichy plusk deszczu.

Aż dziw, myślał Randall, jak ważna stała się dla niego Julia, choć może nigdy nie będą prawdziwym małżeństwem. A jednak tyle dla niego znaczyła...

Wpatrywał się w śpiącą, która leżała przy ogniu, owinięta kocem. Kiedy z jej twarzy znikło napięcie, wydawała się taka młoda. I krucha. Choć dobrze poznał okrucieństwo swego stryjecznego brata, nie pojmował, jak Branford mógł znęcać się nad swą młodziutką, wrażliwą żoną.

Wierzył jednak święcie w każde słowo jej opowieści. Domyślał się też, że nie wspomniała o najstraszniejszych przeżyciach. Podobnie jak żołnierz zaraz po bitwie, nie była w stanie ujawnić całej zgrozy tego, co ją spotkało.

Nigdy już, na Boga, nie pozwoli nikomu skrzywdzić Julii! Był zdumiony, że zgodziła się wyjść za niego. Z pewnością nie uczyniła tego ze względu na jego mocno wątpliwy urok. Bardziej prawdopodobne, że chciała czuć się bezpieczna i wrócić do takiego życia, jakiego musiała się wyrzec. Nic nie szkodzi! Nie żałował swojej decyzji, choć Julia miała rację, twierdząc, że jest szalony, decydując się na taką żonę. Coś mu się nagle przypomniało. W szkolnych czasach zaczytywał się średniowiecznymi opowieściami o „miłości dwornej”. Lady Agnes, przełożona Westerfield Academy, sprowadziła do szkolnej biblioteki więcej książek tego rodzaju, mając specjalnie na uwadze zainteresowania Aleksa. Przykład całkowicie bezinteresownego poświęcenia rycerza dla „damy niezrównanej piękności”, przewyższającej swego wielbiciela pozycją i całkowicie dlań niedosiężnej, wydawał się Randallowi szlachetny i romantyczny. Coś z tego wzorca stało się

na zawsze cząstkajego charakteru. Teraz Julia była jego damą, on zaś rycerzem, który przysiągł służyć jej aż do śmierci.

Uśmiechnął się. Akcja średniowiecznej opowieści przeniosła się do współczesności, a on miał wreszcie okazję złożyć przysięgę wiernej służby kobiecie, na której tak mu zależało. Zależało! - oto słowo, które miało dlań naprawdę znaczenie. Gdy ranny i w gorączce leżał opuszczony w londyńskiej rezydencji Daventrych, oczekując śmierci, sam wyruszył jej na spotkanie i przewędrował długi szmat drogi. A choć Ashton uratował mu wtedy życie, upłynęło wiele czasu, nim Randall wrócił do niego w pełni. Przez cały rok żył w bólu i w pozbawionej wszelkiego sensu próżni. Posuwał się jakoś do przodu, krok za krokiem, gdyż mimo wszystko życie było zbyt cennym darem, by je marnować. Nie zaznał jednak ani szczęścia, ani nawet zadowolenia. Dlatego właśnie tak łatwo dał się namówić na wystąpienie z wojska. Żołnierz, któremu jest wszystko jedno, czy będzie żył, czy zginie, nie uchowa się długo na polu bitwy. A w jakimś zakątku duszy Randalla tliła się nadzieja, że z czasem otrząśnie się z tej apatii. Teraz miał kogoś, na kim mu naprawdę zależało. Chciał, by Julia była bezpieczna. Pragnął być razem z nią, gdyż w jej obecności ogarniał go błogi spokój.

A jeśli jego żona zażąda wolności, będzie wolała żyć bez niego? No cóż, pozostanie mu na pociechę pamięć o tym, co dla niej uczynił. Służba doskonała powinna być bezinteresowna, choć Randall wątpił, czy on sam wzniesie się na takie wyżyny. W każdym razie zyska coś na tym małżeństwie, bez względu na to, jak potoczą się ich losy.

Wyciągnął się na podłodze i oparł głowę na jukach jak na poduszce. Mimo że dokuczał mu fizyczny ból, czuł się teraz zdecydowanie lepiej niż wówczas, gdy żabojady omal nie ukatrupiły go w Hiszpanii. Jutro wyruszą z Julią do Szkocji i tam wezmą ślub!

Tej zaś nocy będzie drzemał czujnie jak zając.

Zmęczenie pomogło Julii zasnąć, ale obudziła się cała sztywna po nocy spędzonej na twardej podłodze. Dopiero po chwili

uprzytomniła sobie, gdzie się znajduje i jak tu trafiła. Prawda! Życie, które tak starannie sobie zbudowała, rozpadło się wczoraj na kawałki.

W chacie nie było już całkiem ciemno. Domyśliła się, że wkrótce będzie świtać. A major Randall zniknął bez śladu!

Wstała z trudem, starając się nie myśleć o tym, co ją czeka w przyszłości. Narzuciwszy koc na ramiona, wyszła na zewnątrz. Deszcz przestał padać, niebo było pogodne, powietrze rześkie. Zza gór na wschodzie przebłyskiwało światło, zwiastując bliski świt. Gdzieś tam w dole biegła droga - niewidoczna teraz dla Julii, lecz mająca dla nich wielkie znaczenie.

Cichy jak duch, Randall pojawił się nagle obok niej. Stanął tak blisko, że czuła bijące od niego ciepło, ale jej nie dotknął. Jej przyszły mąż. Ta myśl nie wydawała się już Julii tak nieprawdopodobna jak wieczorem. Zniżając głos, by nie zamącić ciszy wstającego dnia, spytała:

- Nie widać Crocketta i jego ludzi?

- Jakiś czas temu słyszałem tętent koni zmierzających na zachód. To mogli być oni. Jeśli uprząż okazała się nie do naprawienia, może podzielili się na dwie grupki i rozjechali w przeciwnie strony. Julia zadrzała.

- Jak to dobrze, że wybraliśmy drogę na przełaj!

- Jeśli los będzie nam sprzyjał, pomyślą, że zabłądziłaś w górach i zginiesz tam z zimna i wyczerpania; bezradna kobieta, zdana tylko na własne siły.

- Istotnie, mogłabym zginąć w ten sposób w nieznannej, niebezpiecznej okolicy - przytaknęła. - Ale Crockett musi się chyba domyślać, że ktoś mi dopomógł!

- Niekoniecznie. Ten z jego ludzi, któremu dałem po łbie, nie pamięta dokładnie, co się stało. Mogli dojść do wniosku, że to ty ogłuszyłaś go kamieniem i pocięłaś uprząż, zanim uciekłaś.

- Czyżbym była aż taką bohaterką? - Julia przygryzła wargę. - Mam nadzieję, że Crockett nie będzie się pastwił nad Haggertym za to, że pozwolił mi uciec.

- Nie warto rozczulać się nad kimś takim jak Haggerty - zauważył sucho Randall. - Najwyższy czas, żebyśmy coś zjedli, a potem w drogę!

Modląc się w duchu, by Crockett uwierzył, że zginęła w górach, Julia wróciła do chaty. Każde z nich połknęło spiesznie kilka kęsów chleba i sera i wypilo łyk cydru. Kiedy Randall osiodłał i objuczył konia, odwrócił się do Julii, by pomóc jej przy wsiadaniu. - Siadaj okrakiem!

Zmarszczyła brwi, myśląc o fatalnym stanie jego nogi.

- A ty nie wsiądziesz na konia?

- Wielki Turek miał wczoraj ciężki dzień - odparł. - Nie chcę go przemęczać podwójnym ciężarem. Do Carlisle jest tylko dziesięć mil. Powinniśmy tam dotrzeć wczesnym popołudniem.

Widząc, że nie ma sensu się z nim spierać, pozwoliła pomóc sobie przy wsiadaniu. Usadowiwszy się w siodle, obciągnęła suknię, lecz ta, niestety, ledwo zakrywała jej kolana. Randall udał, że nie dostrzeżga nieprzystojnie zadartej spódnicy, i Julia była mu za to wdzięczna. Ująwszy cugle, skierował konia na górskie bezdroże. Niebawem trafili na owczą ścieżkę, która wiodła we właściwym kierunku.

Ścielące się nisko mgły powoli się rozpraszały, wschodzące słońce wносиło ciepło i życie w surowy krajobraz. Julia pomyślała z goryczą, że przejażdżka wydawałaby się jej całkiem miłą, gdyby nie to, że ucieka przed śmiercią, będąc przy tym głodna, zziębnięta i przerażająco brudna.

Major Randall okazał się niekrepującym towarzyszem podróży, w dodatku zawsze wiedział dokładnie, którądy iść. Od czasu do czasu musieli szukać innej drogi, gdy górskie zbocze stawało się zbyt strome - i wówczas bez wahania obierał właściwy kierunek.

- Masz przy sobie kompas, majorze?

- Tylko w głowie. Jeszcze nigdy nie zdarzyło mi się zabłądzić.

- Jakże musiano cenić takiego zwiadowcę na wojnie!

- Owszem. Nasz patrol zawsze trafiał do obozu. - Gestem ręki wskazał porośniętą zielenią stoki gór. - Ale tu przyjemniej wędrować, nie mając na karku francuskiej kawalerii.

- A ja bym chyba wolała Francuzów od Crocketta!

Randall utykał coraz bardziej. Domyślając się, że jej towarzysz prędzej umrze, niż przyzna się do słabości, Julia poprosiła:

- Zatrzymajmy się na chwilę! Mam ochotę przejść się kawałek. Przystanął, ale ją zapewnił:

- Możesz spokojnie pozostać w siodle. Jesteś tak lekka, że Wielki Turek prawie nie czuje twego ciężaru.

- Lubię chodzić pieszo. Zwłaszcza po tym, jak wczoraj gniotłam się w jednym powozie z bandą opryszków!

Przerzuciła prawą nogę przez siodło i zsunęła się z konia. Turek był wysoki i potknęła się, dotknawszy nogą ziemi. Randall chwycił ją za ramię, żeby się nie przewróciła, ale zaraz puścił, zanim nagłe skrepowanie nie przerodziło się w coś groźniejszego.

Rada, że w chwili porwania miała na nogach solidne trzewiki, dotrzymywała dzielnie kroku majorowi, gdy ruszyli w dalszą drogę. Przyjemnie było rozprostować nogi. I bardzo dziwnie wędrować z prawie obcym mężczyzną, zmierzając do Szkocji, gdzie mieli wziąć ślub.

Idąc tak obok Randalla, dostrzegła na jego twarzy wyraźne oznaki bólu. Kulał też coraz bardziej.

- Wielki Turek wcale nie wygląda na zmęczonego. Może byś ty, majorze, na odmianę przejechał się na nim? - Nie zwykłem pieścić się ze sobą! - uciął krótko.

Julia zawsze wycofywała się, gdy jakiś mężczyzna się rozgniewał, ale ten wybuch spowodowany bólem to całkiem inna sprawa.

- To nie żadne pieszczenie, jeśli dasz wypocząć chorej nodze... zwłaszcza że masz akurat zły dzień.

- Nie mówię dobrych dni! - warknął. - Wyłącznie złe albo jeszcze gorsze!

- W takim razie stanowczo powinieneś jechać na koniu - odparła spokojnie.

Randall zrobił wściekłą minę.

- Zechciej, proszę, pilnować własnych interesów, dobrze? Roześmiała się mimo woli.

- To przecież mój interes, skoro mamy się pobrać. Ty też uznałeś porwanie mnie za swoją sprawę!  
W pierwszej chwili oniemiał, ale zaraz potem skapitulował z uśmiechem.

- Racja! Przepraszam, że taki ze mnie gbur. Jak już zauważyłaś, noga daje mi się dziś we znaki, ale na razie lepiej, żebym szedł. Mięśnie mi nie zeszywnieją.

- Jaka to była rana? - spytała Julia. Spojrzał na nią spode łba. - W braku kogoś bardziej kompetentnego, pełniłam w Hartley równocześnie obowiązki akuszerki, lekarza i chirurga. Miewałam do czynienia z wszelkimi chorobami i uszkodzeniami ciała.

- Badała mnie cała chmara specjalistów - przyznał Randall bez entuzjazmu. - Ogólnie rzecz biorąc, uważali, że właściwie powinienem być trupem, a to, że nie straciłem nogi, graniczy z cudem. Wątpię, byś mogła mi coś poradzić.

Uśmiechnęła się do niego pogodnie.

- Może i nie. Chcę tylko zaspokoić niezdrową ciekawość. Choroby i obrażenia zawsze mnie interesowały.

Było tak rzeczywiście, od dzieciństwa. W jakimś lepiej urządzonym świecie - kto wie, może studiowałaby medycynę, zamiast wychodzić tak wcześnie za mąż?

- No, jeśli tak się sprawy mają... - Jeszcze jeden przelotny uśmiech. - Szrapnel poszarpał mi nogę podczas bitwy pod Albuera. Chirurdzy robili, co mogli, ale w nodze pozostało kilka ostrych odłamków metalu. Przemieszczają się teraz i diabelnie utrudniają mi życie.

Julia domyśliła się, że nie wyciągnie już dalszych szczegółów od zahartowanego w trudach żołnierza.

- To z tą raną odesłali cię do Anglii i wtedy wylądowałaś na poddaszu Daventry'ego?

Randall skinął głową.

- Krwotok, zakażenie, wysoka gorączka... Byłem nieprzytomny, kiedy ktoś orzekł, że trzeba mnie oddać pod czułą opiekę stryja. Mój ordynans, Gordon, pewnie by im w tym przeszkodził, ale i on był ranny.

- Tę bitwę stoczono w maju ubiegłego roku, prawda? - Gdy Alex znów skinął głową, Julia spytała jeszcze: - Czy nie w tym właśnie czasie zmarł młodszy syn hrabiego? Randall westchnął.

- Niestety, tak. Chłopiec zawsze był słabowity; skosiła go jakaś gorączka i zaraz potem ja wylądowałem na progu stryja. Szalał z rozpacz. Podejrzewam, że właśnie dlatego odesłał mnie na poddasze, na pewną śmierć. Tylko dlatego, że jeszcze żyłem, a jego synów już nie było. Stryj nigdy za mną nie przepadał, ale też nigdy przedtem nie próbował mnie zgładzić.

Wzdrygnęła się w duchu na myśl, że Randall najwyraźniej pogodził się wówczas z perspektywą nieuchronnej śmierci.

- Przecież byłeś jego spadkobiercą! Nie zależało mu na tym, żebyś przeżył?

- Wtedy miał jeszcze jednego czy dwóch krewnych, bardziej niż ja uprawnionych do tytułu. Nie byłem niezbędny.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz i że hrabia bardziej ceni twoje życie, odkąd zostałeś jedynym spadkobiercą - zauważyła sucho Julia.

- Poza tym stryj zdążył się już pogodzić ze śmiercią syna - dodał Randall. - Nigdy nie widziałem tego chłopca. Urodził się już po twojej ucieczce, Julio. Jego matka, druga żona Daventry'ego, zmarła kilka dni po synku.

- Twój stryj stanowczo nie miał szczęścia, jeśli chodzi o dzieci i żony - stwierdziła Julia. - Nigdy nie zetknęłam się z obecną, trzecią z kolei, hrabiną, ale mówiono mi, że dwie poprzednie miały bardzo ciężkie życie: wieczne poronienia albo martwo urodzone dzieci.

- Trzecia żona Daventry'ego to wdowa, która urodziła pierwszemu mężowi trzech zdrowych synów. Stryj uważał to pewnie za rękojmię przyszłej płodności, ale jego nadzieje się nie ziściły. Jeśli więc zależy mu na tym, by rodowy tytuł nie wygasł, musi liczyć się ze mną... - Spojrzał znacząco na Julię. - **i** z tobą. A ona będzie jeszcze jedną bezpłodną lady Daventry! Czyżby ten tytuł był z góry skazany na wygaśnięcie?



- Obserwowanie dalszego ciągu rodzinnego dramatu może być interesujące. - Przyjrzała się uważnie przysłemu mężowi. Twarz miał szarą; niewątpliwie czuł dojmujący ból. - Może teraz wreszcie przyznasz, majorze, że lepiej wsiąść na konia niż iść pieszo?

Zaklął pod nosem.

- Może i tak, ale nie zwykłem jechać konno, gdy dama wędruje na piechotę!

Julia nie miała nic przeciwko temu, ale on najwyraźniej miał. Zwróciła się więc do konia.

- Zgodziłbyś się, Wielki Turku, ponieść znów nas oboje? Nie więcej niż trzy czy cztery mile!

Koń odwrócił do niej głowę i bardzo przyjaźnie trącił ją nosem w pierś. Julia uśmiechnęła się i zanurzyła palce w jego grzywie.

- Jestem pewna, że wyraził zgodę!

- Rzeczywiście, idzie rażno mimo wczorajszej jazdy - przyznał Randall. - To znakomity koń! Dobrze by było, gdyby Townsend mi go sprzedał.

- Bardzo wątpię. Odmówił już księciu.

- Ashton próbował i spotkała go odmowa? W takim razie Townsend mnie go z pewnością nie sprzeda! No dobrze, spróbujemy. Sam masz na to ochotę, a my nie musimy galopować.

Wskoczył na konia, skrzywił się z bólu i wyciągnął rękę, by pomóc wsiąść Julii. Wsparła stopę na jego dłoni - i siedziała już na końskim grzbiecie, za Randallem. Turek nie protestował.

Objęła majora w pasie i ruszyli w drogę. Czy dotykanie go niepokoiło ją tak samo, jak poprzedniego dnia? Doszła do wniosku, że mniej. Zawsze jakiś postęp! Może jest jeszcze dla niej nadzieja...?

Po przejechaniu mniej więcej mili spytała:

- Obmyśliłeś już, majorze, co będziemy robili, gdy dotrzemy do Carlisle?

- Prawdę mówiąc, nie. Trzeba znaleźć jakiś powóz, czy coś w tym rodzaju, by pojechać dalej.

Najszybciej, jak to możliwe. A ty, Julio? Czy musisz coś załatwić, prócz napisania listu do przyjaciół z Hartley?

- W starej części miasta jest sklep z używaną odzieżą. Chętnie bym tam wstąpiła i kupiła sobie coś do ubrania. - Skrzywiła się. - Musiałabym jednak pożyczyć pieniędzy od ciebie. Nie mam przy sobie ani pensa.

- Nie chcę nawet słyszeć o pożyczkach! Przecież lada chwila zostaniesz moją żoną. - Zmarszczył brwi.

- i jako moja żona nie powinnaś ubierać się w starzyznę!

- Od lat chodzę w znoszonych ubraniach. Dodatkowe kilka dni w takim stroju mi nie zaszkodzi - odparła łagodnie. - A w czepku i płaszczu mniej się będę rzucać w oczy.

- No, dobrze. Ale w przyszłości nie pozwolę na nic podobnego! - Poklepał rączkę trzymającą go w pasie. - Najwyższy czas, żeby cię ktoś zaczął rozpieszczać!

- Mnie, rozpieszczać? Co za dziwaczny pomysł! - Julia pomyślała o długich godzinach wyteżonej pracy i wiecznym oszczędzaniu, by związać koniec z końcem. Życie w Hartley było naprawdę dobre, lecz z pewnością nie należało do łatwych. - Chyba mi to przypadnie do gustu!

Jechali dalej w przyjaznym milczeniu, póki nie odkryli porośniętej trawą ścieżki, która wiodła we właściwym kierunku. Dzięki niej przenieśli się z głuszy, gdzie wędrowało się szlakiem wydeptanym przez owce, do krainy uprawnych pól i wyraźnie wytyczonych dróg.

Dotarłszy na szczyt, ujrzeni przed sobą Carlisle. Nad miastem górowała pełna dostojeństwa katedra. Randall oświadczył:

- Pora na odpoczynek! Muszę rozprostować nogi.

Pomógł Julii przy zsiadaniu i sam zsunął się z siodła. Twarz wykrzywił mu ból. Julia pragnęła mu pomóc, ale pozbawiona swoich ziół nie mogłaby nawet przyrządzić herbatki z wierzbowego łyka.

Obok drogi płynął strumień, zarówno więc koń, jak jeźdźcy mogli się nieco orzeźwić. Julia napiła się, spryskała twarz wodą i spojrzała tęsknie na widoczne w oddali miasto.

- Czy wystarczy nam czasu na porządny posiłek w Carlisle, zanim znowu ruszymy w drogę?

- Starczy, starczy! - Popatrzył na nią z podziwem. - Dzielny z ciebie żołnierz, lady Julio! Ani słowa skargi, choć miałaś do tego prawo.

- Ty się też nie uskarżałeś, majorze, mimo że noga daje ci się we znaki! - odparowała.

Usta mu zadrgały.

- Tak, aleja naprawdę jestem żołnierzem. A żołnierzowi nie wypada lamentować.

Wyciągnął pugilares i wręczył jej zwitek banknotów.

- Trochę pieniędzy na fatałaszki. Przyznaj się, Julio: jesteś doświadczoną amazonką? Może będę musiał wynająć wierzchowce, gdyby akurat nie było powozu.

Julia schowała banknoty. Miała nadzieję, że majorowi uda się jednak wynająć powóz. Tego tylko brakowało, żeby z chorą nogą musiał znów całe godziny spędzić w siodle!

- Ostatnimi laty nie miałam czasu na konne przejażdżki, ale chyba dam sobie radę. Zobaczymy, może znajdę w sklepie amazonkę. Randall zerknął w stronę miasta, mrużąc oczy.

- Carlisle aż z trzech stron opływają rzeki, nie ma tu wielu dróg dojazdowych. W tej sytuacji łatwiej byłoby tym łajdakom nas wypatrzeć. Jak sądzisz, którądy najlepiej wjechać do miasta, żeby nie zwracać na siebie uwagi?

Julia zmarszczyła brwi i się zastanowiła. Znała nieźle Carlisle.

- Jeśli okrążymy miasto od wschodu, wystarczy przebyć mały mostek i dotrzemy prosto na stare miasto. Sklep ze starymi ubraniami jest w pobliżu, w bocznej uliczce.

- Wobec tego pojedziemy tamtędy. Zostawię cię w sklepie, a sam poszukam stajni, gdzie można wynająć konie i powóz. - Ściągnął z palca prawej ręki złoty sygnet. - Mniej zwrócimy uwagi, podróżując jako małżeństwo. Włóż ten sygnet: odwrócony będzie wyglądał jak obrączka.

Wsuwając pierścień na serdeczny palec, Julia poczuła, że jest jeszcze ciepły.

- Niestety, niedobrana z nas para! Ty wytworny, piękny, prawdziwy arystokrata, a ja elegancją ani urodą nie grzeszę. Ot, niepozorna

szara myszka. Wszystkie kobiety będą nad tobą ubolewać, majorze, żeś nie znalazł sobie lepszej żony. Popatrzył na nią, skonsternowany. Julia nie wierzyła własnym oczom: naprawdę się zaczerwienił!

- Co za brednie! Moje ubranie mogło być kiedyś eleganckie, ale teraz, kiedy w nim spałem?! To ty jesteś arystokratką z urodzenia, nie ja! Piękny też nigdy nie byłem, z całą pewnością!

- Od razu widziałam, że jesteś piękny, kiedy tylko cię poznałam -odparła w zadumie. - I pomyślałam: Taki piękny... i taki nachmurzony!

Kiedy się roześmiał, stał się jeszcze piękniejszy.

8

lego popołudnia w Carlisle nie można było dostać żadnego powozu! W każdym razie Randall nie zdołał tego dokonać. Gdyby zaczekał do następnego ranka, pewnie coś by się znalazło, ale dręczył go niepokój. Chciał czym prędzej wywieźć Julię z tego miasta. Gdzie jak gdzie, ale w Carlisle porywacze z pewnością będą jej szukać.

Na szczęście udało mu się zdobyć dwa silne konie pod wierzch. Nie był zachwycony perspektywą Bóg wie ilu godzin konnej jazdy, ale jakoś temu podoła.

Wrócił do obskurnego sklepiku, w którym zostawił Julię. Choć rozglądał się pilnie, wypatrując porywaczy, nie zauważył nikogo podejrzanego. Być może Crockett nadal przeszukiwał wzgórze w pobliżu miejsca, gdzie Julia mu się wymknęła. Major nie miał jednak co do tego żadnej pewności. Sklep był mały. Nie brudny, ale zagracony. Na stołach porozkładano ubrania - osobno męskie, damskie i dziecinne. Najbardziej efektowny strój kobiecy - suknię, szal i czepek - rozwieszono na tylnej ścianie. Nigdzie jednak nie dostrzegł Julii. Chyba nie byłaby taka głupia, by wyjść sama na ulicę?!

66

Jakiś ruch przyciągnął jego uwagę. Odwrócił się i ujrzał Julię, szyjącą coś w kącie. Z pochyloną głową, w brunatnej sukni, była prawie niedostrzegalna.

- Skończyłaś już zakupy, moja droga? - spytał tonem troskliwego małżonka.

- Wróciłeś w samą porę! - Zawiązała supełek i odgryzła koniec nitki. - Skończyłam właśnie podszywanie obrąbka. - Wstała, strzepnęła ciemnoszarą pelerynką, po czym zarzuciła ją sobie na ramiona. Był to ubiór wyjątkowo pozbawiony szyku. Wzięła do ręki podniszczoną torbę podróżną i zawołała przez otwarte drzwi do kogoś w pokoiku na zapleczu sklepu: - No to już idę, pani Rown. Serdeczne dzięki za herbatę!

- Cała przyjemność po mojej stronie, złotko! - odkrzyknął kobiecy głos z silnym północnym akcentem. - Szczęśliwej podróży i dzięki za poradę!

Randall wziął torbę Julii i podał „żonie” ramię. Gdy wyszli na ulicę, spytał:

- Dawno się znacie z właścicielką tego sklepu?

- Właściwie to nie... ale spodziewa się dziecka... i była bardzo wdzięczna za kilka życzliwych rad.

Przyjrzał się uważnie nowemu ubraniu Julii. Szarobure, podniszczone, a na dodatek źle leżało.

- Ubrałaś się tak, że nikt z pewnością nie zwróci na ciebie uwagi. Brawo!

- Przez całe lata robiłam, co mogłam, żeby nie rzucać się w oczy. - Jej palce zacisnęły się na ramieniu majora. - Łudziłam się, że dzięki temu moja przeszłość nigdy mnie nie dopadnie. A jednak zjawił się Crockett i, prawdę mówiąc, nie zdziwiło mnie to.

- Wkrótce nie będziesz już musiała się ukrywać. Kiedy za mnie wyjdiesz i Daventry zrozumie, że jesteś mu potrzebna, odwoła swoje psy gończe.

Julia przygryzła wargę.

- Naprawdę wierzysz, że tak postąpi?

- Z pewnością... choć myślę, że niechętnie. - To, że Randall nieustannie musiał mieć się na baczności przed stryjem, pozwoliło mu zrozumieć, po części, jego charakter. - Zrobi to ze względu na tytuł.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz - powiedziała cicho Julia.

Randall również miał taką nadzieję. Choć mówił z przekonaniem, dobrze wiedział, że Daventry w gruncie rzeczy to nieprzewidywalny stary diabeł.

- Udało ci się kupić amazonkę? Nie mogłem zdobyć powozu, wynająłem więc konie pod wierzch.

Czekają na nas w zajeździe, gdzie zjemy obiad i napiszemy, do kogo trzeba.

Julia spojrzała niespokojnie na jego okaleczoną nogę; wiedziała jednak dobrze, że lepiej o niej nie wspominać. - Znalazłam amazonkę, choć jest na mnie zbyt obszerna. Mogę ją zwięzić w zajeździe.

Dotarli do głównej ulicy. Nagle Julii zaparło dech. Cofnęła się raptownie i przyłgnęła do ściany narożnego domu. - Crockett tu jest! Z jednym ze swoich ludzi!

- Zauważył cię?

Randall przeczesywał wzrokiem tłum przechodniów.

- Chyba... chyba nie. - Ręce Julii zacisnęły się w pięści. Usiłowała się opanować. - Spoglądał akurat w stronę katedry.

Wzrok Randalla zatrzymał się na wysokim mężczyźnie o drapieżnej twarzy.

- Ten w czarnym kapeluszu i butelkowym surducie?

- Tak!

Crockettowi towarzyszył groźnie wyglądający prostak; nie miał jednak drapieżnej inteligencji swego kompana. - Zmierzają w odwrotnym kierunku niż my. Możemy skręcić w boczną ulicę, tamtędy też dotrzemy do naszego zajazdu. Drogi z Carlisle rozchodzą się we wszystkich kierunkach, będziemy więc bezpieczni, kiedy stąd wyjedziemy.

Julia wysiłkiem woli rozluźniła zaciśnięte dłonie i znowu wzięła Randalla pod rękę.

- Postaram się być jeszcze bardziej niewidoczna!

Po kilku minutach dotarli do zajazdu Pod Białym Lwem. Było tu pełno ludzi, ale wynajęli osobny pokój, gdzie podano im - i to szybko - obfity obiad. Randall musiał się hamować, by nie rzucić się najedzenie jak zgłodniały wilk. Nie był całkiem pewien, czy mu się to udało. Julia, acz nieco bardziej powściągliwa, jadła z równym zapałem.

- Teraz, gdy zaspokoiliam głód, widzę wszystko w jaśniejszych barwach. - Po zakończeniu posiłku wstała i podeszła do okna. -W pobliżu ani śladu Crocketta!

- Czepek tak ci zasłania twarz, że łotr pewnie by cię nie poznał, choćbyśmy mu przejechali przed nosem! - Major dopił resztkę piwa i wstał. - Powiem stajennemu, żeby siodłał konie. Wielki Turek zostanie tu na noc, a rano odprowadzą go do Hartley. Przy okazji możesz wysłać listy do przyjaciół.

- Wobec tego napiszę je od razu i przebiorę się w amazonkę. -Julia opuściła zasłonę w oknie i odsunęła się od niego. - Nie chce mi się wierzyć, że jeszcze wczoraj rano obudziłam się we własnym łóżku w Hartley! Teraz mi się zdaje, że od tej pory upłynęło całe życie...

- To był istotnie urozmaicony dzień. Uśmiechnęła się.

- Bardzo łagodnie to określiłeś!

Jeśli to ją śmieszy, tym lepiej! - pomyślał z ulgą.

Mimo woalki na twarzy, Julia miała wrażenie, że każdy przygląda się jej podejrzliwie, gdy wyjechali z dziedzińca gospody i skręcili na północ. Mówiła sobie, że Crockett wypatruje przecież samotnej kobiety idącej pieszo, a nie podróżującej konno pary małżeńskiej, ale nerwy miała napięte do ostatnich granic. Usiłowała spoglądać równocześnie we wszystkie strony, i to nie odwracając głowy; czuła też nerwowe mrowienie w plecach na wysokości łopatek.

Na szczęście nie była sama ze swoimi obawami. Jej towarzysz wydawał się niewzruszony, mogłaby się jednak założyć, że dostrzegał wszystko i wszystkich wokół nich. Jak dotąd, tylko ona czerpała korzyści z tej znajomości!

Poczuła ulgę, gdy wyjechali z Carlisle i znaleźli się na szlaku, wiodącym do Szkocji. Panował tu nieustanny ruch w obu kierunkach. Obok ciężkich wozów chłopskich widać było konnych jeźdźców i różne powozy. Przemknął nawet jak błyskawica dyliżans pocztowy.

Randall także się odprężył, choć jego oczy pozostały czujne. Gdy ujechali jakieś dwie mile na północ, zauważył:

- Dobrze sobie radzisz z koniem, mimo braku praktyki.

- Jako dziecko miałam bzika na punkcie koni, podobnie jak mój brat - przyznała. - A to, że nie mogłam już jeździć konno, było dla mnie jednym z najcięższych wyrzeczeń po ucieczce. Miałam taką cudowną klaczkę... - Powstrzymała cisnące się jej na usta słowa i poklepała po karku statecznego, choć pozbawionego szyku wałacha. - W Hartley miałam wózek zaprzężony w kuca, ale na wierzchowca nie było mnie stać.

- Nadal masz lekkie ręce do cugli i znakomicie trzymasz się w siodle.

- Być może... ale jestem pewna, że kiedy się zatrzymamy na noc, wszystko mnie będzie bolało! - powiedziała żałośnie.

Uśmiechnął się szeroko.

- Może uda się nam kupić po drodze maści na obolałe mięśnie! Odpowiedziała mu uśmiechem, ale przypomniała sobie, że bóle, jakie on musi znosić, nie dadzą się porównać z jej drobnymi kłopotami. Zamilkli, popołudnie wlokło się bez końca.

Słońce już się zniżało na niebie, gdy dotarli do niskiego kamiennego mostku, gdzie należało uiścić mostowe.

- Witajcie w Szkocji i w Gretna Green! - zauważył sarkastycznie Randall. - Słyszałem, że przy tutejszej rogatce jest izba, gdzie mogą wziąć ślub ci, którym tak spieszo, że nie wytrzymają do słynnej kuźni!



- Kpisz, czy co?! - Julia spojrzała podejrzliwie na towarzysza. - Nie... widzę, że nie. Niektóre parki są doprawdy bardzo niecierpliwe!

- Dla łajdaka, który chce zapewnić sobie rękę bogatej dziedziczki, nim opiekunowie zdążą ją wyrwać z jego szponów, im szybciej

**65**

klamka zapadnie, tym lepiej! - Randall uścił opłatę i ruszyli dalej. - Zostały nam jeszcze dwie godziny dziennego światła. Jakies pięć mil na północ jest następne miasteczko, a w nim dwa zajazdy pocztowe. Jeśli zgodzisz się pojechać dalej, Julio, możemy tam przenocować... i wynajmiemy powóz na resztę drogi. Julia zdławiła w sobie gwałtowny protest. Nie zapiszczała: Ja chcę do łóżka, teraz, zaraz!, powiedziała tylko:

- Jeśli dzięki temu Crockett mnie nie dopadnie, jakoś wytrzymam!

Randall uśmiechnął się z aprobatą.

- Dzielna z ciebie dziewczyna!

- Zacząłeś mówić ze szkockim akcentem, gdy tylko minęliśmy granicę! - zauważyła, nieco rozweselona. - To moja pierwsza wizyta w Szkocji, choć lata całe mieszkałam niedaleko stąd. Na pierwszy rzut oka wygląda tu tak samo, jak w północnej Anglii!

- Tyle tylko, że tu możesz wziąć od ręki ślub, wystarczy dwóch świadków - zwrócił jej uwagę. - Zawsze co zagranica, to zagranica! Zadowolona, że wstrzymają się ze ślubem aż do Edynburga, Julia przyglądała się uważnie słynnej kuźni pośrodku miasta, obok której właśnie przejeżdżali.

- To tu zawiera się te wszystkie śluby? Nigdy nie rozumiałam, czemu udziela ich kowal nad kowadłem!

- Kirkland mówi, że kowal spaja ze sobą dwa różne kawałki metalu w jedną całość - odparł Randall. - Tak właśnie małżeństwo ma połączyć mężczyznę i kobietę.

Julia obserwowała go kątem oka. Zamknięty w sobie, przystojny, opanowany... Mężczyzna, z którym należy się liczyć. Czy on i ona zespolą się kiedyś ze sobą tak ściśle, jak dwa kawałki rozgrzanego do czerwoności metalu? Taka bliskość z owym niemal jej obcym człowiekiem wydawała się nieprawdopodobieństwem.

.. .A jednak od wczoraj uważała go za swego obrońcę. Może więc z czasem stanie się jej bliski jak mąż?

## 9

*Pięć* mil do następnego miasteczka dłużyło się bez końca. Gdy wreszcie dotarli do celu, była obolała od stóp do głów.

- Zasłużyliśmy chyba na dobry wypoczynek w prawdziwym łóżku?

- Oczywiście!

Na twarzy Randalla malowało się znużenie nie mniejsze od tego, jakie odczuwała sama. Na szczęście stary, zbudowany z kamienia zajazd Pod Królewskim Herbem znajdował się tuż przy trakcie, o parę kroków na lewo od drogi. Wjechali na dziedziniec. Wszystkie stawy Julii niemal głośno zaprotestowały, gdy zsunęła się w końcu z damskiego siodła.

Randall zeskoczył z konia. Ledwie dotknął stopą ziemi, prawa noga ugięła się pod nim. Zaklął i przytrzymał się siodła, żeby nie upaść.

- Randall!

Julia rzuciła cugle stajennemu i podbiegła do majora. Spostrzegła z przerażeniem, że prawa nogawka skórzanych bryczesów jest przesiąknięta krwią.

Nie podnosząc głowy, wykrztusił:

- To tylko... odłamek szrapnela przebija się na zewnątrz.

I on jechał z taki bólem?! Szalencie! - pomyślała Julia. Rzuciła spieszenie stajennemu:

- Zatroszcz się o konie... i wnieś nasze bagaże, jak najszybciej! Wzięła Randalla pod ramię.

- Zdołasz wejść do środka?

- Zaczekaj chwilę... - Odetchnął chrapliwie może tuzin razy, po czym podniósł głowę. - Jesteś za mała, by służyć mi za szczudło!

- Jakoś sobie dotąd radziłam z mężczyznami zbyt tępymi, by zauważyć, że źle z nimi! - odparła.

Randall uśmiechnął się słabo, wyprostował i puścił siodło.

- Twoje grubiaństwo działa na mnie ożywczo. A przecież zwykle jesteś taka dobrze wychowana!

- Ty za to masz dziwne poczucie humoru.

Bez pośpiechu pomogła mu wejść na frontowe schodki i do wnętrza budynku. Kulał okropnie.

Domyśliła się, że jest półprzytomny z bólu. Na spotkanie wyszła im energiczna kobieta w fartuchu.

- Nazywam się Ferguson, jestem właścicielką zajazdu - oznajmiła z wyraźnym szkockim akcentem.

Jej spojrzenie padło od razu na zakrwawioną nogę Randalla. - Jakież kłopoty?

- Mój mąż, major Randall, potrzebuje pomocy lekarza - odparła Julia. - Gdzie mieszka najbliższy chirurg? - W Gretna Green. Julia zakłęła w duchu. Powinni tam zostać!

- W takim razie potrzebujemy pokoju, gorącej wody, czystego płótna, miodu, laudanum, jeśli je macie, dwóch naprawdę ostrych noży i butelki najmocniejszego trunku, jaki można tu dostać.

- Najlepsza będzie nasza domowa whisky. - Oberżystka podparła Randalla mocnym ramieniem i poprowadziła gości korytarzem na tyły budynku. - Mamy tu jeden wolny pokój na parterze. Jakże się pani mąż tak poranił?

- To Francuzi tak go poranili.

- Och, biedaczysko! Mój najmłodszy też służy w szkockim regimencie. - Pani Ferguson puściła Randalla, żeby otworzyć na oścież drzwi do niewielkiej sypialni o bielonych wapnem ścianach. - Chwilkę, tylko przykryję łóżko! Wyjęła dwa grube, stare koce z drewnianej skrzyni i rozpostarła je, chroniąc kapę. Julia zdjęła Randallowi surdut. Alex opadł bezwładnie na łóżko, jasne włosy były mokre od potu. - Zaraz przyniosę wszystko, czego pani sobie życzyła, pani Randall.

- Dziękuję.

Julia zdjęła pelerynkę i czepek, i powiesiła je na oparciu krzesła, które stało obok łóżka.

Prawdę mówiąc, po pierwszym mężu Julia też nazywała się Randall, ale ponieważ był wicehrabią, tytułowano ją zawsze „lady Branford”. Nazwisko „pani Randall” odpowiadało jej teraz znacznie bardziej.

- No i już po twoim incognito - zauważył Alex, nie otwierając oczu. - Mówisz władczo, jak przystało na lady Julię Raines!

- Raczej na panią Bancroft, doświadczoną akuszerkę, pełniącą także obowiązki lekarza i chirurga. Ściągnęła Randallowi buty, rada, że są dobrze rozchodzone, a nie - jak nakazywała moda - zbyt ciasne.

- Zażądałaś noża... Czyżbyś zamierzała dokonać operacji w polowych warunkach?

- Jeśli to będzie konieczne. - Zbadała wnętrze prawego buta majora. - Widzę, że masz tu schowany sztylet, ostry jak brzytwa! Ciekawe, czemu wcale mnie to nie dziwi? Byłabym zaskoczona, gdybyś nie uzbroił się po zęby. - Zsunęła mu bryczesy z kozłej skóry, po czym rozcięła przesiąkniętą krwią nogawkę kalesonów. Krew sączyła się z rany po zewnętrznej stronie uda. Julia obmacywała obrażenie bardzo ostrożnie i nagle cofnęła rękę, mamrocząc pod nosem coś zgoła niestosownego dla damy. - Miałaś rację, że odłamek wychodzi! Poczułam wyraźnie ostrą krawędź.

- To nie pierwszy odłamek tego szrapnela, który się wykluwa. - Palce Randalla zacisnęły się kurczowo na kocu, gdy Julia złożyła cienki ręcznik, wiszący na umywalce, i przycisnęła go do rany, by powstrzymać krwawienie. Chory z trudem wciągnął powietrze. - Może ci się przyda moja brzytwa? Jest w jukach. To było jeszcze lepsze od noża! Zjawił się właśnie stajenny z bagażem; Julia podziękowała mu i przyklękawszy, zaczęła grzebać w jukach. Znalazła właśnie przybory do golenia Randalla, gdy wkroczyła pani Ferguson z tacą, na której zgromadziła wszystko, czego Julia sobie życzyła. Za właścicielką zajazdu szła pokojówka z dzbanem gorącej wody.

- Tu jest pełna butelka whisky, a tu większy i mniejszy nóż, i mnóstwo bandaży... Potrzeba pani jeszcze czegoś, pani Randall?

Julia zbadała zawartość tacy.

- To powinno wystarczyć. Dziękuję.

Pani Ferguson spojrzała niepewnie na Randalla.

- Może przydałaby się pani moja pomoc?

- Sami sobie poradzimy - odparł Randall chrapliwym głosem. - Moja żona zna się na tym. Pani Ferguson wyraźnie poczuła ulgę. Błyskawicznie ulotniły się obie z pokojówką. Julia zanurzyła kawał płótna w whisky i wytarła nim starannie ostrza brzytwy i wszystkich noży.

Alex nie spuszczał butelki z oczu.

- Niepotrzebna strata porządnej whisky!

- Wybacz, mój drogi.

Podłożyła mu dwie poduszki pod głowę i plecy, nalała szklanek whisky, zaprawiła ją laudanum i podała Randallowi. Wypił połowę jednym haustem.

- Chyba i tobie nie zaszkodziłby porządny łyk... ale może lepiej, jeśli nie zechcesz.

- Napiję się z przyjemnością, gdy już będzie po zabiegu. - Obmacała znowu całe udo, cal po calu, naciskając ostrożnie mięśnie, by sprawdzić, czy nie utkwiły w nich inne odłamki metalu. Szło jej znacznie łatwiej, gdy myślała o Randallu wyłącznie jako o pacjencie. - Dorobiłeś się niezłej kolekcji blizn!

- Chirurg, który wyłuskał ze mnie większość tego paskudztwa, przysięgał, że tak pięknie wygarbowanej skóry jeszcze nie widział!

Napił się znowu, tym razem bez pośpiechu. Zacisnął palce na szklance, gdy Julia dotykała okolic rany. Po zakończeniu badania orzekła:

- Prócz dużego odłamka, który spowodował paskudne krwawienie, zauważyłam jeszcze jeden, nad kolanem. Nie przebił dotąd skóry, ale jest obluzowany. I wyraźnie się przesuwają.

- No to nic dziwnego, że boli jak diabli! - mruknął. - Bardzo przepraszam. Ten drugi też usuniesz, prawda? Julia otarła wilgotne dłonie o spódnice.

- Bardzo bym chciała. Z tego, co wiem o szrapnelach, niektóre odłamki więzną na zawsze i nie powinny sprawiać kłopotów, ale ten z pewnością będzie ci się dawał we znaki.

- I to wkrótce. - Major odetchnął głęboko kilka razy. - Masz doświadczenie w podobnych zabiegach?

- Ponieważ w Hartley nie było chirurga, zwykle ja usuwałam śrut, ostre drzazgi i inne ciała obce, które uwięzły w ludzkim ciele. Przeważnie męskim, nawiasem mówiąc. - Złożyła czystą płócienną szmatkę i zmyła gorącą wodą krew z jego uda. - Wy, mężczyźni, jesteście bardziej skłonni do wypadków. Powiem ci na pociechę, że nigdy przez pomyłkę nie pozbawiłam żadnego mężczyzny czegoś, z czym wolałby się nie rozstawać.

Uśmiechnął się krzywo.

- To doprawdy wielka pociecha!

Nie był już taki blady - czy to dzięki żartom, czy whisky, czy w końcu dlatego, że leżał wreszcie na łóżku, zamiast trząść się na końskim grzbiecie.

- To będzie diabelnie bolało - ostrzegła. - Na pewno się nie poruszysz? Mogę poprosić panią Ferguson o przysłanie służącego, żeby cię przytrzymał. Alex się skrzywił.

- Wątpię, by cokolwiek mogło mnie zboleć jeszcze bardziej niż to, co już wycierpiałem! Daj mi tylko tę butelkę.

- Bądź ostrożny! - ostrzegła, spełniwszy jego prośbę. - Połączenie mocnych trunków z laudanum może być niebezpieczne.

- Nie tak łatwo mnie wykończyć. - Wypił dobry łyk. - A stosowane we właściwych proporcjach whisky i opium wytworzą miłe złudzenie dystansu między moimi odczuciami a twoim nożem.

Ogarnięta nagłą niepewnością odezwała się: - Jeszcze nie jest za późno, by posłać po chirurga z prawdziwego zdarzenia! Randall pokręcił głową.

- Do roboty, moja droga żono! Mam do ciebie co najmniej tyle zaufania, ile do rzezignatów, którzy mnie ćwiartowali w Hiszpanii!

Uśmiechnęła się niezbyt pewnie, rada, że miał do niej zaufanie, ale zaniepokojona spoczywającą na jej barkach odpowiedzialnością. - Nie jestem jeszcze twoją żoną... i kto wie, czy nie wycofasz swej propozycji, zanim się uporam z moją pracą!

Roześmiał się, a oczy mu zabłyśły.

- Zgodnie ze szkockim prawem jesteśmy już zaślubieni, Julio! Oświadczyliśmy oficjalnie, że jesteśmy małżeństwem, i to w obecności dwóch świadków.

- Jesteśmy małżeństwem? - odezwała się nieswoim głosem Julia. Nie była przygotowana na coś takiego! A jednak... - Może to i lepiej: obeszło się bez ślubnej ceremonii i nie muszę ci przyrzekać posłuszeństwa.

- Teraz to ja nie czuję się wcale zaskoczony - mruknął. - Zapamiętam to sobie: od tej kobiety nie oczekuj, że będzie ci posłuszna!

Udając, że nie słyszy tej niestosownej uwagi, Julia przygotowywała się do zabiegu, układając jak najbliżej, w zasięgu ręki, złożone kawałki płótna do ocierania i tamowania krwi. Brzytwa Aleksa i mniejszy z noży pani Ferguson były najostrzejsze, raz więc jeszcze przemyła je alkoholem. Gdy już była gotowa do wykonania pierwszego cięcia, poprosił: - Mów do mnie!

- Co mam mówić?

- Wszystko jedno. Jak nauczyłaś się przeprowadzać takie zabiegi?

- Zawsze mnie to fascynowało. Jako dziecko wymykałam się do wsi, gdzie przyjmował miejscowy lekarz, i przyglądałam się temu, co robił. To od niego nauczyłam się myć narzędzia w alkoholu. - Otarła krew ze sterczącego z rany odłamka i przygotowała się do cięcia. - Chętnie studiowałabym medycynę, gdyby kobietom na to pozwalano. Ale zawód akuszerki okazał się równie pasjonujący, a to przecież kobieca profesja! Mówiła nadal, przeprowadzając operację. Znała z doświadczenia pierwszą zasadę chirurgii: należy działać szybko. Im szybciej będzie pracowała, tym prędzej zadanie zostanie wykonane, tym mniej krwi straci pacjent i tym rychlej wróci do zdrowia.

Przekonała się, że usuwanie odłamka szrapnela jest trudniejsze od usuwania śrutu, gdyż odłamek był większy, nieregularny w kształcie i miał ostre krawędzie. Żałowała, że nie ma szczypiec i musi wyciąć groźny odłamek metalu z ciała Randalla.



- Musiał się przemieszczać od dłuższego czasu. Gdyby od początku znajdował się tuż pod skórą, twoja armia rzezignatów dawno by się z nim rozprawiła.

- Czułem bóle w nodze od wielu miesięcy. Niech to szlag! Wzdrygnął się, gdy wetknęła ostrze pod uwięziony w mięśniu

odłamek i podważyła go, ale zachował względny spokój i nie poruszył raptownie nogą. Otarła krew, zalała ranę whisky i ponownie osuszyła, po czym zakryła ją opatrunkiem, do którego użyła miodu.

Spytał zdumiony:

- Miód?!

- Nauczyłam się tego od Louise Bancroft. Rany rzadziej ropieją, jeśli je posmarować miodem. -

Owinęła udo bandażem. - Z tym już załatwione. W dalszym ciągu chcesz, żebym usunęła ten drugi odłamek?

- Lepiej i z nim skończyć przy okazji. - Wypił potężny łyk whisky. - Uderzaj, lady Makbet!

- Ona sama nie wywijała nożem. Ciekawe, czy była zła, że mąż musi ją w tym wyryć? Moja guwernantka kazała mi się uczyć na pamięć słynnych monologów ze wszystkich sztuk Szekspira. Do dziś je pamiętam! „Daj mi te sztylety!”\*. To kwestia lady Makbet. Była niewątpliwie niedoszłym chirurgiem!

Julia zaczęła recytować inne monologi, których się nauczyła przed wieloma laty. Pozwalało jej to skoncentrować się na wykonywanym zabiegu.

Tym razem sprawa była jeszcze trudniejsza, gdyż odłamek nie „dojrzał” jeszcze do wyjścia. Musiała przeciąć brzytwą nieuszkodzoną skórę. Powtarzając sobie w duchu, że w ten sposób oszczędzi Randallowi - czyżby naprawdę swemu mężowi? - przyszłych cierpień, dokonała cięcia wokół odłamka. Był mniejszy od poprzedniego, ale utkwiał w pobliżu ważnych ścięgien i więzadeł. Modląc się, by któregoś z nich nie uszkodzić, Julia obluzowała i usunęła złośliwy kawałek metalu.

***Makbet, akt II scena 2, przekł. Macieja Słomczyńskiego.***

Dziękując gorąco Bogu, że nie wyrządziła nieodwracalnej szkody Randallowi, opatrzyła kolejną ranę i odłożyła starannie noże na tackę. Potem opadła na drewniane krzesło, stojące obok łóżka. Kręciło się jej w głowie, była kompletnie wyczerpana i, nie wiedzieć czemu, bliska płaczu.

- Napij się! - Randall podał jej butelkę whisky.

Wzięła ją do ręki i odchylając głowę do tyłu, pociągnęła zdrowo. Przełknęła - i dostała ataku kaszlu.

- Dobry Boże! - wysapała, gdy była znów w stanie mówić. - To może powalić byka!

Roześmiał się.

- O to właśnie chodzi!

Wypiła jeszcze jeden, mniejszy łyczek i zwróciła mu butelkę, a potem wstała, słaniając się na nogach.

- Robi się ciemno. Poproszę panią Ferguson o lampę.

- Postaraj się też o coś do jedzenia dla siebie! A mnie, z łaski swojej, podaj nocnik.

Zmarszczyła brwi.

- Czujesz się na tyle dobrze, że sam sobie z nim poradzisz?

- Z powodzeniem. A potem zamierzam przespać całą dobę! - Randall obdarzył ją zdumiewająco słodkim uśmiechem. - Dzięki, moja niezłomna damo! Jesteś... wprost niewiarygodna!

Trochę speszona tymi komplementami, Julia wybiegła z pokoju i udała się do kuchni, gdzie pani Ferguson dyrygowała dwiema pod-kuchennymi.

- Wygląda pani na wykończoną - zauważyła bez ogródek. - Co z mężem?

- Teraz odpoczywa. Wyliże się z tego! - Julia zdobyła się na uśmiech.

- Ma się rozumieć! Nie przyzna się taki, że coś mu dolega, póki nie padnie! Ech, ci mężczyźni! -

Oberżystka prychnęła pogardliwie. - Siadaj, dziewczyno, i zjedz, zanim i ty padniesz, jak on.

Usuwanie odłamka szrapnela z nogi własnego męża to nie przelewki!

Julia się zastanowiła.

- Nie takie to męczące jak asystowanie przez dwie doby przy ciężkim porodzie, ale też niełatwe.

- O, to jesteś akuszerką!

I pani Ferguson bez dalszej zachęty zaczęła opowiadać o własnych porodach i pięknych, zdrowych dzieciakach, które wydała na świat.

Julia z przyjemnością siedziała w milczeniu, pozwalając, by oberżystką zalewała ją potokiem słów, przygotowując równocześnie jedzenie dla niej: zawieszistą zupę z porów na kurzym rosole, świeżutki chleb, ser i gorącą herbatę. Potem odesłała swego gościa z powrotem do pokoju, z lampą i solenną obietnicą, że pojutrze, z całą pewnością, będzie czekał na nich wynajęty powóz. Przez cały następny dzień Randall musi leżeć w łóżku, czy chce tego, czy nie!

Wszedłszy do pokoju, Julia przekonała się, że jej świeżo upieczony mąż był na razie stracony dla świata. Najwyraźniej udało mu się wstać bez kłopotów, gdyż leżał teraz pod przykryciem. Wyglądał tak spokojnie... Julia uświadomiła sobie, że dotychczas na jego twarzy zawsze malował się ból.

Pomyślała kwaśno, że co prawda zgodziła się wyjść za niego, ale nie obiecywała dzielić z nim łoża. Ponieważ jednak nie uśmiechało się jej spanie na twardej, zimnej podłodze, tej nocy nie miała innego wyboru, jak położyć się obok niego.

Zauważyła z przyjemnością, że na zniszczonej brązowej amazonce prawie nie widać krwawych plam i rozebrała się do koszuli. A pragnąc, żeby i głowie było lżej, rozpuściła włosy.

Jeśli oficjalne podanie się za małżeństwo w obecności świadków rzeczywiście było równoznaczne z małżeństwem, w takim razie była to jej noc poślubna. Julia wzdrygnęła się na wspomnienie swojej pierwszej nocy z Branfordem. Ta noc poślubna była całkiem odmienna od poprzedniej - i Bogu dzięki! Sprawdziła, czy Randall nie ma gorączki i czy bandaże nie przesiąkły krwią. Ani śladu gorączki. Ani krwotoku. Jak mówiła oberżystce, powinien się z tego wylizać.

Przygasiała lampkę tak, że świeciła tylko słabym blaskiem i wsunęła się pod przykrycie po lewej stronie Randalla, odsuwając się od

niego jak najdalej. Była zbyt zmęczona, by odczuwać strach na myśl o spaniu w jednym łóżku z potężnie zbudowanym mężczyzną. Na szczęście był niemal w stanie śpiączki.

Choć ich ciała się nie stykały, czuła bijące od niego ciepło. Przymknęła oczy i musiała przyznać, że to ciepło jest całkiem miłe. Nawet bardzo przyjemne!

Randall powoli odzyskiwał świadomość. To, co się działo z jego głową, wskazywało wyraźnie, że przesadził nieco z piciem, a prawa noga bolała go, ale nie był to już ból przeszywający. Jego wewnętrzny zegar wskazywał z grubsza czwartą nad ranem. A zatem miał za sobą przespaną noc! Mimo to wcale mu się nie chciało wstawać. Zwłaszcza że do jego boku tuliła się ciepła, mięciutka istotka.

Sam fakt, że Julia nie zdecydowała się na spędzenie nocy na podłodze, zdawał się świadczyć o pewnej poprawie ich wzajemnych stosunków. Julia ułożyła się wygodnie w zagięciu jego ramienia, co więcej, obejmowała go w pasie. Ciekawe, które z nich w nocy przysunęło się bliżej do sąsiada? Chyba jedno i drugie, bo spotkali się jakoś tak pośrodku.

Przez okno wpadało dość księżycowego blasku, by mógł zobaczyć jej twarz. Wyglądała jak śpiący anioł o ciemnych włosach, opadających miękko na osłonięte tylko koszulą ramiona. Randall poczuł, jak budzą się w nim różnorodne uczucia - podziw, wdzięczność, czułość...

Żadne z nich nie uzna, że naprawdę zawarło małżeństwo, póki w Edynburgu nie odbędzie się ceremonia ślubna. A jednak byli tu razem, w jednym łóżku. I każde z nich stanowiło już istotną część życia współmałżonka.

Randall spostrzegł ze zdumieniem, że zbudził się w nim czysto fizyczny pociąg. Po zastanowieniu doszedł do wniosku, że wszelkie objawy namiętności wygasły w nim od czasu, gdy został ranny pod Albuerą. Opuściła go - jak sądził - zarówno fizyczna, jak i emocjonalna namiętność. Dopiero teraz, nareszcie, czarna chmura spowijająca całe jego życie zaczęła się rozpraszać.

Delikatnie pogładził Julię po plecach. Pragnął jej od chwili, gdy ujrzał ją po raz pierwszy. To pragnienie wrosło głęboko w jego umysł i serce. Teraz wzmocnił je dodatkowo czynnik czysto fizyczny - niepoohamowane pożądanie. Mogło to skomplikować sytuację, i to poważnie, a jednak Alex ani myślał się przejmować. Nie martwił się ani trochę!

Julia budziła się powoli. Była pełna wewnętrznego spokoju -i bezpieczna. Pławiła się w jakimś przyjemnym zamroczeniu, dopóki nie uświadomiła sobie, że leży przytulona do boku Randalla, jej głowa spoczywa na jego ramieniu, on zaś obejmuje ją drugą ręką.

Zesztywniała i już się miała odsunąć, gdy usłyszała jego niski głos:

- Nie musisz uciekać! Gdybym nawet zapomniał o swej obietnicy, że zostawię cię w spokoju, nie jestem w dość dobrej formie, żeby cię napastować. - Odwrócił głowę na poduszce tak, że ich oczy się spotkały. - Chyba że nie możesz znieść tego, że cię obejmuję?

- Prawdę mówiąc, wręcz przeciwnie. - Westchnęła z ulgą. - To miło przytulić się do kogoś w chłodny ranek.

- A takich jest w Szkocji pod dostatkiem!

- W Hartley też ich nie brakuje.

Jej łóżko w Rose Cottage było znacznie mniej wygodne. Wąsik robił co mógł, żeby ją ogrzać, ale cóż? Był tylko małym kotkiem.

- Przypuszczam, że jest to jeden z głównych powodów, dla jakich ludzie się żenią - zauważył filozoficznie Randall. - Żeby czuć czyjś dotyk, ciepło i fizyczną bliskość. Namiętność to wspaniała rzecz, ale nie trwa wiecznie. Serdecznie przytulić się do kogoś można znacznie częściej.

Julia uniosła głowę, by popatrzeć mu w twarz. Powiedziała ze zdumieniem:

- Nie wiedziałam, że podchodzisz do tego tak romantycznie! Roześmiał się.

- Wcale nie! Poszukiwanie takiej bliskości to właściwie zwierzęca cecha. Pomyśl o kociętach albo szczeniakach tulących się do siebie.

Branford nigdy nie odczuwał takiej przyjemności, gdy jej dotykał. Znacznie bardziej interesowało go zadawanie bólu. Julia zeszywniała i zmieniła temat.

- Czy to twoje kochanki nauczyły cię czerpać przyjemność ze szczenięcych igraszek?

- Chyba nauczyłem się tego od matki - odparł w zadumie. - Bardzo lubiła przytulania. Nie uświadamiałem sobie tego do tej pory, ale trochę mi ją przypominasz. Nie tyle wyglądem czy charakterem, co wewnętrznym ciepłem. Tak, to wasza wspólna cecha.

Julia wiedziała od swoich pacjentów, że wiele starych małżeństw rzadko współżyje ze sobą fizycznie. Jeśli Randall potrafi się zadowolić macierzyńskim ciepłem, może okazać się niezłe dobraną parą?

- Moja matka także lubiła ścisnąć nas i przytulać. Niezbyt to arystokratyczna cecha... - Może właśnie dlatego Julii tak odpowiadały ciepłe uściski, niedomagające się niczego więcej? Spędziła zbyt wiele lat bez fizycznego kontaktu z kimkolwiek. - Chętnie przeleżałabym tak cały tydzień...

- Ja też - odparł nie bez żalu. - Ale musimy czym prędzej ruszać w drogę!

- O żadnej drodze nie ma mowy aż do jutra. - Wtuliła się głębiej w jego pachę. - Musisz jakoś znieść jeden dzień przeznaczony na jedzenie, spanie i nic więcej!

Roześmiał się nisko, a jego gardłowe pomruki skojarzyły się Julii z mruczeniem kota.

- Przechytryłaś mnie, jak widzę! Niech ci będzie, dzisiaj odpoczywamy. Tutaj nic nam chyba nie zagraża.

Gdy Julia znów zapadała w sen, tuląc się do Randalla, pomyślała, że jeśli w taki właśnie sposób on wyobraża sobie małżeństwo doskonałe, to jej to bardzo odpowiada.

Julia wyglądała przez okno powozu, gdy wytaczał się z dziedzińca zajazdu Pod Królewskim Herbem, a potem pomknął na północ, w stronę Edynburga.

- Po tylu spokojnych latach w Hartley, mam teraz wrażenie, że wpadłam w niekończący się wir wydarzeń... A przecież upłynęły zaledwie trzy dni od chwili, gdy zostałam porwana!

- Trzy dni pełne niespodzianek - przypomniał jej Randall. -Chociaż... wczoraj było bardzo spokojnie. Istotnie, tego dnia panował błogi spokój. Major okazał się nie-wymagającym małżonkiem - przespał niemal cały dzień. Wynurzył się z otchłani snu dwukrotnie, by rzucić się najedzenie... i zaraz potem znowu zasnąć. Ale jego ciało orientowało się najlepiej, co dla niego dobre! Gdy Julia po południu zmieniała Randallowi opatrunek na udzie, stwierdziła, że rany już się ładnie goją- Taki pacjent to prawdziwa satysfakcja dla lekarza - zauważyła. -

Dziś wyglądasz tak krzepko i zdrowo, że prawie ci niepotrzebna ta stara, wygięta laska od pani Ferguson. A ja mogę sobie wmawiać, że jestem cudowną uzdrowicielką! Roześmiał się.

- Bo naprawdę nią jesteś! Obrabiało mnie na wszelkie sposoby wielu specjalistów, ale ty z powodzeniem możesz się z nimi równać. W dodatku jesteś od nich znacznie ładniejsza! Odwróciła wzrok, speszona tym komplementem.

- Kłamstwo godne dżentelmena, majorze!

- O nie, to szczerą prawdą, lady Julio! Tak długo starałaś się być niewidzialna, że całkiem zapomniałaś, jaka jesteś urocza.

Julia nie odrywała oczu od groźnych szkockich gór, rozdarta wewnętrznie między satysfakcją, że wydała mu się pociągająca, a ogromnym zażenowaniem.

Poczuła ciepłą dłoń Randalla na swojej ręce.

- Naprawdę jesteś śliczna, Julio - powiedział cicho. - Dawniej, zanim wyszłaś za mąż, musiałaś dobrze o tym wiedzieć i z pewnością cieszył cię podziw wszystkich. To całkiem naturalne. Mogłaś zapomnieć o tym w ciągu minionych lat, ale teraz, gdy wracasz do życia, powinnaś znów przyjąć do wiadomości, kim naprawdę jesteś. A jesteś śliczną kobietą!

Uśmiechnęła się krzywo.

- Na to mnie na razie nie stać. Pozwól, że oswoję się z myślą, iż wyglądam... całkiem znośnie.

- Doskonale, milady! - W jego głosie były ciepło i wesołość. - Wyglądasz... całkiem znośnie. Masz taką wyjątkowo... znośną karnację. Zdejmij, proszę, czepek, żebym mógł podziwiać twoje niezwykłe... znośne włosy o barwie kasztanów!

Roześmiana Julia odważyła się, zdejmując czepek, spojrzeć na Randalla. Niegdyś jego surowe, ostro rzeźbione rysy wydawały się jej groźne, ale teraz nie czuła już lęku.

- Wprost nie do wiary, jaki potrafisz być miły, majorze! Gdy się poznaliśmy, byłeś koleczasty jak jeż.

- Masz rację, miłe zachowanie było całkiem nie w moim stylu - odparł z powagą. - Mam nadzieję, że względu na ciebie, że nie powtórzą się te moje dawne humory.

Choć mówił to z miną bardzo poważną, oczy błyszczały mu radością. Cień bólu nie przesłaniał już jego twarzy.

- Odkąd się znamy, co jakiś czas metalowy odłamek wydobywa się z twego ciała. To chyba usprawiedliwia te kwaśne miny! Randall westchnął.

- Mam nadzieję, że usunęłaś ostatni wędrujący odłamek z nogi. Nadal mnie pobolewa, ale po raz pierwszy od ponad roku nie jest to przeszywający ból.

- Wszystkie moje chirurgiczne narzędzia są w pogotowiu, gdyby trzeba było znów cię uleczyć ze złych humorów! Uniósł brwi.

- Czy to ma być miła obietnica, czy groźba?

- Groźba - odparła z anielską minką.



- Będę to miał na względzie. - Zamyślił się. - Widzę też, że odkąd przestałem ci się sprzeciwiać, czuję się znacznie lepiej. Od lat moje życie było tylko bólem i walką. Dzięki tobie zaczynam pojmować, że istnieje jeszcze coś poza tym.

- Egzystencja wiejskiej akuszerki bardzo się różni od doli żołnierza - przyznała, coraz lepiej rozumiejąc, co Randalla w niej pociąga. - Ale teraz, gdy oboje zerwaliśmy z dawnym sposobem życia, co nas czeka w przyszłości? Nie należę do nieustraszonych kobiet, cieszę się więc, że ominie mnie tułaczka żołnierskiej żony. Wspomniałeś coś o niewielkiej wiejskiej posiadłości, prawda?

- Odziedziczyłem Roscombe po matce. To mająteczek w pobliżu Cirencester; mieszkałem tam jako mały chłopiec. Choć nie jest to książęca posiadłość, w jakiej się zapewne wychowałeś, myślę, że przypadnie ci do gustu. - Uśmiechnął się. - Już się cieszę na myśl, jak będę chodził koło gospodarstwa! Chcę nauczyć się wszystkiego, co trzeba, o hodowli owiec i zbieraniu plonów. Pewnie stanę się też za-palonym myśliwym, jak przystało na dziedzica. No wiesz: sfora psów, bujne bokobrody i czerwona gęba!

Julia się roześmiała.

- Tego ani rusz nie mogę sobie wyobrazić! Ale podoba mi się myśl o spokojnym życiu na wsi. Wygodnym, bez zbytniej okazałości. Uda się nam chyba od czasu do czasu wpaść do Londynu?

- Oczywiście! Jak wiesz, mam oddzielny apartament w londyńskiej rezydencji Asha... Możemy jednak wynająć dom, jeśli wolisz.

- Może Londyn wcale mi się nie spodoba aż tak, żebym chciała tam mieć własny dom? Jeśli Ashton nie ma nic przeciwko temu, przyjemnie będzie zatrzymać się u niego i Mariah, kiedy udamy się do miasta. - Popatrzyła w zadumie na skaliste zbocza szkockich gór. - Na północy jest pięknie, ale brakowało mi tchnących spokojem pól i wiosek południowej Anglii. Z przyjemnością wrócę w tamte strony! - Chciałabyś nadal pracować jako akuszerka?

Zadał to pytanie od niechcienia, jakby nie przywiązywał do niego większej wagi.

Julia odwróciła się raptownie.

- Zgodziłbyś się na to?

- Uważam, że po koszmarze małżeństwa z moim stryjecznym bratem zasłużyłaś w pełni na to, by sama decydować o swoim życiu - powiedział łagodnie. - A poza tym, gdybym się do wszystkiego wtrącał, opuściłabyś mnie. Wolałbym, żeby do tego nie doszło.

Uświadomiła sobie, że nie tylko Alex trzymają za rękę, ale i ona ściska go tak mocno, że tamuje dopływ krwi. Ostrożnie rozluźniła zaciśnięte palce.

- Nie snułam tak dalekosiężnych planów, ale lubię pomagać dzieciom przychodzącym na świat... I za nic nie chciałabym znów żyć w klatce!

- A ja wcale nie chcę cię w niej zamykać. - Patrzył na nią z napięciem. - Masz dar uzdrawiania, Julio. Nie chcę pozbawiać ludzi możliwości korzystania z twoich talentów. W hrabstwie Gloucester nie brak lekarzy i chirurgów, czeka cię więc zapewne tylko praca akuszerki. W każdym razie będziesz mogła pomagać cierpiącym... no i starczy ci czasu na wypełnianie obowiązków pani domu i dziedziczki Roscombe.

- To mi wygląda na bardzo rozsądny plan! - przytaknęła zdumiona, że Randall docenia jej pracę i rozumie, jak wiele dla niej znaczy. - Słowo daję, nie spotkałam dotąd mężczyzny, który by nie chciał decydować o wszystkim, oczekując od żony bezwzględnego posłuszeństwa!

- Prawie przez całe życie wykonywałem rozkazy albo sam je wydawałem. Często bywały szalone, niekiedy przerażające - odparł sucho. - Bardzo mi odpowiada, dla odmiany, subtelna sztuka kompromisu!

Julia dostrzegła kryjące się pod jego kostycznym humorem bezmierne znużenie wojną, ciągnącą się latami, i wojskowym drylem. Uśmiechnęła się.

- Zaczynam wierzyć, majorze, że nasze małżeństwo ma szansę na przetrwanie!

A co dziwniejsze, szczerze pragnęła, żeby tak było.

Podróż do Edynburga okazała się krótka i dobrze zorganizowana. Dotarli do celu w ciągu jednego dnia dzięki silnym koniom pocztowym i krótkim postojom. Choć w powozie trochę trzęsło, Randallowi udało się przespać znaczną część podróży. Julia zazdrościła mu żołnierskiej umiejętności zasypiania w każdej wolnej chwili, okazała się ona pomocna w leczeniu ran.

O zmierzchu stanęli przed imponującą miejską rezydencją Kirk-landa. Randall udzielał Julii objaśnień, gdy przejeżdżali ulicami Edynburga, który okazał się naprawdę piękny, choć bardziej surowy w stylu, niż sądziła. Miała nadzieję, że uda się jej zwiedzić zamek, górujący groźnie nad miastem.

Randall, pomagając jej wysiąść z karetki podróżnej, mówił:

- W tym właśnie domu zatrzymałem się u Kirklanda podczas ostatniej wizyty. Ponieważ on sam nieustannie podróżuje w interesach swego przedsiębiorstwa okrętowego, jego ulubiona ciotka Maggie mieszka tu na stałe i zarządza domem. Na pewno spodoba ci się pani Gowan, a ona z przyjemnością pomoże nam urządzić niebawem przyzwoite wesele.

Julia spojrzała z wahaniem na kamienną fasadę budynku.

- Czy lord Kirkland nie będzie miał ci za złe, że mnie tutaj przywiozłeś?

- Ależ skąd! - Randall wsparł się na lasce, drugie ramię podając Julii. - Zdobyłaś już przecież jego sympatię. Mawiał, że twoja i Ma-riah obecność ogromnie uatrakcyjniły podróż z Hartley do Londynu.

Julia wsparła się na ramieniu majora i weszli na frontowe schody. Randall prawie nie utykał.

- To była naprawdę miła podróż, choć spoglądałeś na mnie wilkiem!

- Jak ci już mówiłem, wszystko okazało się znacznie łatwiejsze, odkąd przestałem się opierać twoim urokom. - Zastukał do drzwi i zwrócił się do majordoma, który je otworzył: - Myślałeś, żeście się mnie pozbyli, Tanner, ale nie na długo, jak widzisz! Majordomus się uśmiechnął.

- To prawdziwa przyjemność widzieć znów pana majora, i to tak rychło! Lord Kirkland też się ogromnie ucieszy.

Zerknął ze zdziwieniem na Julię.

- Moje plany uległy zmianie - odparł z uśmiechem Randall. Majordomus z ukłonem zaprosił ich do środka.

- Jeśli państwo zechcą zaczekać w salonie, zawiadomię jego lor-dowską mość o przybyciu gości.

I otworzył drzwi na prawo.

Julia weszła do salonu, Randall nadal gawędził z Tannerem. Ściągała właśnie rękawiczki, kiedy za biurkiem, stojącym przy oknie, ujrzała znajomą postać.

- Lord Masterton?

Potężnie zbudowany, zawsze opanowany Kirkland był jednym z przyjaciół szkolnych, którzy wyruszyli na poszukiwanie zaginionego Ashtona. Okazywał zawsze wiele życzliwości jej i Mariah.

- Sądziłam, że walczy pan w Hiszpanii!

Siedzący za biurkiem mężczyzna podniósł wzrok, a potem wstał i odsunął się od okna.

- Najmocniej przepraszam, ale nie jestem Mastertonem, tylko jego znacznie mniej szacownym, w dodatku nieślubnym, przyrodnim bratem. Pani pozwoli, Damian Mackenzie. Wolno spytać, z kim...?

Teraz, gdy nie oświetlał go od tyłu ostry blask słońca, Julia spostrzegła swą omyłkę. Nieznajomy i lord Masterton mieli podobne rysy i potężne, muskularne sylwetki. We włosach nieznajomego pojawiały się jednak jaśniejsze, rudawe błyski, w oczach zaś migotały szelmowskie iskierki. W dodatku tęczówki były różnej barwy, co Julia zauważyła dopiero wówczas, gdy podszedł bliżej: jedno oko miał piwne, drugie niebieskie. Zaskakujące... i trochę niesamowite.

Przez sekundę zastanawiała się, jak powinna się przedstawić. Lady Julia Raines w ogóle nie zniżyłaby się do tego, ale mimo oświadczenia Randalla, że chce przywrócić jej należne miejsce w świecie, nie czuła się już wcale księżącą córką. Panią Bancroft nigdy naprawdę nie była, nie zamierzała też używać tytułu lady Branford, a panią Randall, żoną Aleksa, jeszcze nie została. Zdecydowała się więc na wykrętną odpowiedź: - Jestem Julia. Zgoła nieinteresująca, z prawego łóża.

- Znakomita riposta! - odparł lekkim tonem. - Tak, mój szacowny brat walczy w Hiszpanii i mam nadzieję, potrafi schylić się w porę, gdy doń ktoś kropnie z karabinu!

- Czy pan także uczęszczał do Westerfield Academy, panie Mackenzie? - spytała Julia. - O ile wiem, zawarte tam przyjaźnie są bardzo trwałe.

- Proszę mówić do mnie „Mac”! Nie znoszę, gdy ludzie traktują mnie nazbyt serio. - Uśmiechnął się ironicznie. - Tak, jestem kolejnym produktem naszej Szkoły. Rozstałem się z nią dwa lata później niż Will.

- Mac jest żywym dowodem, że nawet lady Agnes nie jest w stanie zrobić człowieka z każdego powierzonego jej pieczy łobuziaka - oświadczył Randall, wkraczając wreszcie do salonu. Podszedł do Maca z wyciągniętą ręką. - Miło znów cię spotkać. Nie widzieliśmy się... - zastanawiał się przez chwilę - dobrych parę lat!

- Bardzo żałowałem, kiedy mi Kirkland powiedział, że rozminąłem się z tobą o jeden dzień - powiedział Mackenzie, gdy uścisnęli sobie ręce. - Cóż cię tym razem sprowadza do Edynburga? Randall objął Julię ramieniem. - Właśnie się zaręczyliśmy i pomyślałem, że Kirkland pomoże nam tu urządzić szkockie wesele. - Żenisz się z tą dziewczyną?! - zawołał Mackenzie zdumiony.

- Mam nadzieję, że nie zamierzałaś nikogo obrazić, choć dziwnie to zabrzmiało - wycedził Randall lodowatym tonem. - Najmocniej przepraszam, nie miałem nic złego na myśli! - Mackenzie skłonił się Julii. - Po prostu nigdy nie przypuszczałem, że się ożenisz, Randall! Moje najlepsze życzenia dla was obojga. Julia odpowiedziała skinieniem głowy, zastanawiając się w duchu, czy Mackenzie nie stara się ukryć zdumienia tym, że tak przystojny mężczyzna jak Randall żeni się z niepozorną szarą myszką, taką jak ona. Wątpliwości takie byłyby zresztą uzasadnione, ale chyba nawet ten niepoprawny łotrzyk nie miałby tyle czelności, by wyrazić je na głos.

Chwilę niezręcznej ciszy przerwało wejście Kirklanda, ciemnowłosego, przystojnego i zagadkowego jak zawsze.

- Randall, co cię tu sprowadza...? Julio! - Zwykle nieporuszo-na twarz Kirklanda rozjaśniła się w szerokim uśmiechu. Serdecznie uściskała jej dłoń. - Randall jest jak zły szeląg, który uparcie powraca, ale zobaczyć znów panią, Julio, to naprawdę urocza niespodzianka!

- Zaręczyliśmy się właśnie z Julią i mam nadzieję, że będziemy mogli wziąć ślub w twoim domu - wyjaśnił Randall. - A jak do tego doszło, to dość skomplikowana historia.

Kirkland wydawał się równie zaskoczony, jak Mac, choć znacznie lepiej potrafił ukryć zdziwienie.

- Moja ciocia Maggie ubóstwia uroczystości ślubne i będzie zachwycona, mogąc dopomóc w przygotowaniu wesela. Nie ma jej teraz w domu, ale wieczorem wróci. Pozwoli pani, Julio, że zaprowadzę panią do pokoju gościnnego. Jak tylko się pani nieco odświeży po podróży, proszę zejść na dół. Omówimy przy obiedzie wszystkie sprawy, choćby nie wiem jak skomplikowane! Ty, Randall, zajmiesz ten sam pokój co poprzednio. Mac, czy mógłbyś powiedzieć Tannerowi, żeby nakryto do stołu na cztery osoby? Niezwykle energiczny człowiek z tego Kirklanda! Gdy prowadził Julię do pokoju na piętrze, przypomniała sobie wszystko, czego się o nim dowiedziała. Nie było tego zbyt wiele. Swój tytuł odziedziczył po ojcu, angielskim arystokracie, jego matka była jednak córką bogatego szkockiego kupca. Już jako chłopiec Kirkland w pożałowania godny sposób uwielbiał swoich szkockich krewnych, a także - Boże, zmiłuj się! - handel. Wysłano go więc do Westerfield Academy. Zamiast jednak przeistoczyć się tam w godnego szacunku przedstawiciela angielskiej arystokracji, został ostatecznie właścicielem wielkiego przedsiębiorstwa przewozowego, prawdziwym potentatem wśród armatorów. Kirkland zaprowadził Julię do obszernego pokoju gościnnego z pięknym widokiem na edynburski zamek.

- Mam wrażenie, że pokój został przygotowany jak należy. Zaraz przyjdzie pokojówka i sprawdzi, czy czegoś nie brakuje.

- Jestem pewna, że wszystko jest w najlepszym porządku. -Wystarczyło rozejrzeć się po pokoju, by przekonać się, jak dalece

Kirkland dba o wygodę swoich gości. - To niezwykle uprzejme z pana strony przyjąć nas tak gościnnie, choć zjawiamy się nieoczekiwanie i bez zaproszenia!

- Miewałem znacznie bardziej zaskakujące wizyty. - Oczy błysnęły mu wesoło. - I o wiele mniej szacownych gości!

Pod wpływem nagłego impulsu Julia spytała:

- Randall mówi, że w Szkocji kobieta może, tak samo jak mężczyzna, domagać się rozwodu. Czy to prawda?

- Jak najbardziej. - Nie zmieniając obojętnego wyrazu twarzy, Kirkland przyjrzał się jej uważnie. - Czyżby nie ufała pani słowom Randalla, Julio? Powinna mu pani wierzyć. Jest wręcz zatrwajająco uczciwy. - Nie wątpię! - Odwróciła się, by zdjąć pelerynkę. - Ktoś jednak mógł go wprowadzić w błąd.

- Randalla trudno wprowadzić w błąd. - Kirkland przyglądał się w zadumie narzeczonej Aleksa. - To dość szczególne, Julio, że pyta pani o rozwód, jeszcze przed zawarciem małżeństwa. Czyżby dręczyły panią jakieś wątpliwości? Aczkolwiek mówił to beznamyślnym tonem, nie ulegało wątpliwości, że niepokoi się o przyjaciela. - Bardzo lubię i cenię Randalla - zapewniła go Julia. - Nie mam jednak zaufania do samej instytucji małżeństwa.

- Samuel Johnson powiedział, że drugie małżeństwo to triumf nadziei nad doświadczeniem - stwierdził Kirkland. - Ale co byśmy poczęli bez nadziei? Randall bywa może czasem szorstki, ale to jeden z najwrażliwszych ludzi, jakich znam. I niesłychanie lojalny.

- Sama się o tym przekonałam. Wiem, że mam szczęście. - Uśmiechnęła się gorzko. - Ale jemu chyba mniej ono dopisało! - Wątpliwości są czymś naturalnym, gdy człowiek decyduje się na tak poważny krok. Myślę jednak, że dobrze do siebie pasujecie.

Stukanie do drzwi obwieściło przybycie pokojówki, która przyniosła skromny bagaż Julii i dzban gorącej wody. Kirkland skierował się w stronę drzwi.

- Spotkamy się na dole, gdy będzie już pani gotowa!

Po wyjściu Kirklanda i pokojówki, Julia nalała wody do miednicy i zaczęła się myć. A więc przynajmniej jeden ze starych przyjaciół majora uważał, że Julia i Randall pasują do siebie! Może nadzieja istotnie zatriumfuje nad doświadczeniem?

## ***II***

Kiedy Randall skończył pisanie listu, który miał później pomóc Julii wyplątać się z więzów małżeńskich, doszedł do wniosku, że zdążyła już chyba umyć się i przebrać. Przeszedł więc przez korytarz i zastukał do jej drzwi, oznajmiając, kto chce z nią porozmawiać. Noga bolała go po długim i ciężkim dniu spędzonym w podróży, ale i tak znacznie mniej potrzebował laski.

Gdy Julia zawołała: „Proszę wejść!”, skorzystał z zaproszenia. Nawet w swej zniszczonej, źle dopasowanej sukni jego przyszła żona wydawała mu się po prostu urocza. Lśniące kasztanowate loki, opadające na ramiona, z pewnością były nie tylko „znośne”, a delikatne rysy i nieskazitelna cera Julii wprost kusily, by jej dotknąć.

Prawdę mówiąc, miał ochotę przebyć pokój w kilku skokach i chwycić Julię w objęcia, ale wyraz jej zatopionej w myślach twarzy mówił dobitnie, że nie jest usposobiona do takich igraszek. Bez wahania zaprosiła go jednak do swojej sypialni, co dowodziło, że w ich wzajemnych stosunkach nastąpił pewien postęp, tyle musiało mu dziś wystarczyć.

- Mam pokój po przeciwnej stronie korytarza - oznajmił. - Niby blisko, a jednak zbyt daleko!

Rzuciła mu przelotny uśmiech.

- Naprawdę nie możemy spać tu razem. Przecież nie jesteśmy jeszcze małżeństwem! Mam nadzieję, że w nocy nie będzie zbyt chłodno.

- Jeszcze tylko dwa albo trzy dni i będziemy mężem i żoną w oczach całego świata. - Choć sypiali w jednym łóżku tylko przez



dwie noce, dziś wieczór będzie mu jej bardzo brakowało. Wręczył jej dopiero co napisany list. - Proszę, oto rzecz, na której tak ci zależało.

Rozłożyła dokument i spiesznie przeczytała krótkie oświadczenie, zaledwie kilka linijek.

- Doskonale! Bardzo dziękuję.

Z nieodgadnionym wyrazem twarzy odłożyła list i zaczęła upinać włosy. Randall miał nadzieję, że po ślubie zdołają namówić na inne, mniej surowe uczesanie.

- Nie wiedziałam, że Will Masterton ma brata - zauważyła od niechcienia.

- Mac jest synem jakiejś aktorki... I jedynym powodem, dla którego Will Masterton wylądował w Westerfield Academy - wyjaśnił Randall.

- Zawsze się zastanawiałam, jak się tam znalazł - przyznała Julia. Jej ręce przez cały czas poruszały się automatycznie, zmuszając włosy do absolutnego posłuszeństwa. - Bez trudu można zrozumieć, czemu reszta waszej paczki trafiła do szkoły dla trudnych chłopców... ale nie sposób wyobrazić sobie Willa jako kogoś, kto sprawia poważne kłopoty!

- Matka Maca zmarła, gdy ten był jeszcze całkiem mały, toteż odesłano go do rezydencji jego ojca, żeby to on zdecydował, co zrobić z dzieckiem - wyjaśnił Randall. - Will, który jest od Maca starszy o dwa lata, bardzo się przywiązał do młodszego braciszka. Przypuszczam, że lord Masterton wolałby oddać Maca komuś na wychowanie

i zapomnieć o nim, ale Will mu na to nie pozwolił. Nie zgodził się też pójść do szkoły bez brata.

Narobił kłopotu, chociaż masz rację: wcale nie jest z natury mąciwodą!

- W odróżnieniu od ciebie - zauważyła Julia, rzucając mu znowu przelotny uśmiech.

- W odróżnieniu ode mnie - przytaknął wesoło Randall. - Bywa jednak wyjątkowo uparty. Lord Masterton nie miał ochoty posyłać swego bękarta do tak renomowanej szkoły jak Eton czy Harrow, toteż najlepszym rozwiązaniem wydało mu się wysłanie obu synów do Westerfield Academy.

- Pan Mackenzie miał wielkie szczęście, znajdując w Willu obrońcę. - Julia bezlitośnie przyszpiliła ostatnie ciemne loki. - Nie wydaje się jednak żywić wielkiego respektu dla starszego brata! Pozwalał sobie na dość niestosowne uwagi...

- To cały Mac! Bez wahania oddałby życie za Willa. I zginąłby z kpina na ustach. - Randall podał Julii ramię. - Zejdziemy na dół?

Przyjęła jego ramię. Randalla niezwykle radowały wszystkie te drobne oznaki, świadczące o tym, że stanowią już parę.

- Czemu i Kirkland, i Mackenzie wydawali się tacy zaskoczeni wieścią o twoim małżeństwie? - spytała, gdy wychodzili z pokoju.

- Bo zaklinałem się dawniej, że nigdy się nie ożenię, zwłaszcza gdyby to miało sprawić przyjemność memu stryjowi. - Uśmiechnął się krzywo. - Dopiero ostatnimi czasy zrozumiałem, jaki byłbym głupi, odmawiając sobie czegoś, czego sam pragnę, tylko dlatego, że i Daventry sobie tego życzy.

- Oto pozbawiony blasku rozsądek wieku dojrzałego! Wymienili spojrzenia, serdeczne i pełne zrozumienia. Gdy skierowali się w stronę schodów, Randall dorzucił:

- Wydaje mi się, iż lepiej będzie wyjaśnić Kirklandowi i Macken-ziememu, że mój stryj dybie na twoje życie, i dlaczego. Wolisz, żebym to ja opowiedział im o wszystkim?

Julia westchnęła.

- Tak, bardzo proszę. Tylko... nie wtajemniczaj ich w te najbardziej upokarzające dla mnie szczegóły...

- Na pewno tego nie zrobię - obiecał. - I żaden z nich nie będzie miał prawa wspomnieć o czymś, co ty wolałabyś utrzymać w tajemnicy. - Dotarli do schodów i ruszyli w dół, na parter. - A teraz, lady Julio, najwyższy czas porzucić życie w cieniu i wyjść na światło dzienne!

- Nie będziesz nam dłużej potrzebny, Tanner - oświadczył Kirkland. Gdy majordomus opuścił jadalnię, podjął na nowo: - Mam nadzieję, że zyskałem trochę łaski w pani oczach, Julio, powściągając swoją ciekawość przez cały obiad! Proszę się przyznać, czy nie miała

pani kiedyś ochoty przekonać się, o czym rozmawiają panowie przy kieliszku porto? Ma pani teraz okazję dowiedzieć się tego.

- Chyba wolę pozostać w błogiej nieświadomości! - Już miała wstać i wyjść z jadalni, gdy Randall zdołał pochwycić jej spojrzenie. Słyszała niemal jego myśli. Przekonywał ją w duchu, że jeśli chce stawić w przyszłości czoło całej londyńskiej śmietance towarzyskiej, nie powinna teraz uciekać przed dwoma mężczyznami, którzy byli przecież jego przyjaciółmi. Dodała więc: - Ale może jednak powinnam zostać, jako że rozmowa będzie dotyczyła mojej osoby.

Kirkland skinął głową, jakby uznał to za coś całkiem naturalnego.

- Jeśli pani nie jest obeznana z etykietą obowiązującą podczas takich spotkań przy porto, dodam, że z przyjemnością najpierw usłużę damie, siedzącej po mojej prawej stronie... - Tu nalał jej pół kieliszka rubinowego wina. - Poza tym jednak zwyczaj nakazuje przekazywać karafkę najbliższemu sąsiadowi z lewej... - Potwierdził słowo czynem, popychając kryształową karafkę po lśniącym mahoniowym blacie w stronę Randalla. - I nigdy nie podnosić jej bez potrzeby, gdyż któryś z dżentelmenów, który zbyt już sobie podochocił, mógłby, nie daj Boże, rozlać trunek...

- A byłaby to nieoceniona strata! - wtrącił z namaszczeniem Mackenzie.

Randall nalewał sobie porto, a Kirkland znów zabrał głos.

- Wspomniałeś, że historia waszych zaręczyn jest bardzo skomplikowana. Możesz nam to bliżej wyjaśnić? - Choć znasz Julię jako panią Bancroft, w rzeczywistości jest to lady Julia Raines - odparł zwięźle Randall i podsunął karafkę Mackenziemu. Macowi zaparło dech. Był tak zaskoczony, że zapomniał o napełnieniu swego kieliszka.

- Była pani żoną Branforda, lady Julio? Julia wzdrygnęła się w duchu.

- Tak.

- Proszę przyjąć wyrazy najgłębszego współczucia!

- Z powodu jego śmierci? - spytała sucho.

- Z powodu tego małżeństwa. - Mackenzie miał taką minę, jakby napił się octu. Nalał sobie w końcu porto i odesłał karafkę z powrotem do Kirklanda. - Musiał być z niego wcielony diabeł... a to i tak za mało powiedziane!

- No właśnie! - odezwał się Randall, specjalnie odciągając ich uwagę od Julii. - Pewnego dnia, gdy był pijany i zachowywał się w wyjątkowo bestialski sposób, Julia odepchnęła go, starając się uciec. Przewrócił się, uderzył o coś głową i wskutek tego zmarł. Niestety, Daventry, jego ojciec, a mój stryj, obwinia Julię o jego śmierć. Sytuacja była nie do wytrzymania, toteż Julia upozorowała w końcu samobójstwo i uciekła.

Kirkland uniósł brwi.

- Podejrzywałem, Julio, że w pani życiu jest jakaś tajemnica, ale tego się nie domyślałem! Jeśli jest pani jedną z Rainesów... to musi być córką Castletona?

- Byłam nią kiedyś - odparła lakonicznie. - Ale ojciec wyparł się mnie.

- Co tam! Nadal jest pani jego córką, cokolwiek stary złośnik powiedział czy napisał w testamencie! - Kirkland przyglądał się jej bacznie. - A więc zaszyła się pani w dzikich ostępach Cumberland i została akuszerką. Dopiero Randall wywabił panią z ukrycia?

- Z ochotą pozostałabym w Hartley na zawsze. - Julia pomyślała z żalem o swym spokojnym, użytecznym życiu i o przyjaciółkach, których tam zdobyła. - Zostałam jednak rozpoznana, zapewne wtedy, gdy pojechałam z Mariah do Londynu, a cztery dni temu porwało mnie kilku zbirów na polecenie Daventry'ego. Randall przypadkiem bawił z wizytą w Hartley i pospieszył mi na ratunek, gdy tylko usłyszał o porwaniu. Wyrwał mnie z rąk tych czterech łotrów, zaproponował mi małżeństwo... i tak oto zjawiliśmy się tutaj. Kirkland i Mackenzie wlepili wzrok w majora.

- Było ich tylko czterech, Randall? - zauważył ironicznym tonem Mac. - Nie warto o tym wspominać, skoro nie miałeś przynajmniej pół tuzina przeciwników!

Randall wzruszył ramionami.

- Nawet nie doszło do walki. Gdy konie, zaprzężone do ich powozu, odpoczywały, wypatrzyłem Julię i udało nam się umknąć pod osłoną nocy.

- Zobaczymy, czy zrozumiałem wszystko jak należy - powiedział Kirkland, powoli i z namysłem. - Zamierzasz się ożenić z wdową po swoim stryjecznym bracie. Twój stryj, którego tytuł masz odziedziczyć, uważają za morderczynię i szuka zemsty teraz, gdy już wie, że Julia żyje. Czyżbyś sam się prosił o kłopoty, Randall, czy też to one tak za tobą gonią?

- Nie określiłbym w ten sposób swego zamiaru poślubienia Julii - odparł major. - Co prawda fakt, że jest wdową po moim stryjecznym bracie, komplikuje nieco sprawę, ale chciałem się z nią ożenić, zanim jeszcze dowiedziałem się, kim naprawdę jest. A choćby nawet tak nie było, jak mógłbym stać z założonymi rękami, dowiedziawszy się, że jakieś łotry wtargnęły do jej domu, związały jej pomocnicę i w biały dzień uprowadziły Julię?!

- Jasne, że byś nie mógł! - Kirkland zmarszczył brwi. - Czy Julii nadal grozi niebezpieczeństwo? Wydaje mi się to bardzo prawdopodobne.

- Sądzę, że Daventry odwoła swoje psy gończe po tym, jak go odwiedzę i powiadomię o swoim małżeństwie z Julią. Stryj marzy

o tym, by przed śmiercią zobaczyć krzepkiego niemowlaka, przyszłego spadkobiercę tytułu. Musi zatem dbać o życie Julii, mojej żony. -Randall zmarszczył brwi. - Wątpię, by jego zbiry odnalazły nas tutaj, tak daleko od Cumberland. Zanim jednak dotrzemy do Londynu i porozmawiam ze stryjem... rzeczywiście, istnieje pewne niebezpieczeństwo.

- Zamierzałem wrócić niebawem do Londynu - odezwał się Mackenzie, tym razem całkiem poważnie.

- Jeśli chcecie, możemy udać się tam razem.

- Co prawda nie wyobrażałem sobie, że spędzę miesiąc miodowy w twoim towarzystwie, Mac - odparł Randall, a usta drgnęły mu lekko - ale owszem, bardzo nam na rękę twoja propozycja. Lepiej się zabezpieczyć na wszelki wypadek.

Mackenzie uśmiechnął się radośnie. Powaga znowu go opuściła.

- Znakomicie! Długa podróż wyraźnie nabiera uroku, jeśli istnieje możliwość porachowania komuś kości!

- Zamierzamy po drodze zahaczyć o Cumberland i zabrać z Hartley niektóre z pamiątek należących do Julii - uprzedził Randall. - To przedłuży podróż o kilka dni.

Mac wzruszył ramionami.

- Przynajmniej zwiedzę nieznane mi zakątki Anglii.

Drzwi jadalni otwarły się i wpłynęła majestatycznie elegancko ubrana dama w średnim wieku.

- Słowo daję, nie mogę opuścić domu nawet na jeden dzień, by nie zapanował w nim chaos! -

Uśmiechnęła się czule do siostrzeńca i obrzuciła wzrokiem jego gości. - Tanner powiadomił mnie, że major Randall wrócił z narzeczoną i że to ja mam urządzić im wesele...?

Kirkland wybuchnął śmiechem, a wszyscy panowie pospiesznie wstali.

- Tanner mówił prawdę, ciociu Maggie... chyba że narzeczona Randalla wolałaby jakieś inne rozwiązanie. Lady Julio, oto pani Margaret Gowan, najstarsza z moich ciotek. Pozostawiam sprawę wesela w waszych rękach, drogie panie!

Julia wstała.

- Ponieważ moja obecność nie jest już tu niezbędna, życzę wam dobrej nocy, panowie. Nie musicie dłużej zmuszać się do wzorowego zachowania!

- Pani podejrzenia ranią mnie, milady - odparł Mackenzie tonem bolesnego wyrzutu.

Randall się roześmiał.

- Przejrzała cię na wylot, Mac!... Śpij dobrze, Julio!

Jego spojrzenie mówiło wyraźnie, jak bardzo żałuje, że nie będzie mógł przyłączyć się do niej.

Julia odkryła ze zdziwieniem, że i ona tego żałuje, i ruszyła za panią Gowan. Pogodna, rozsądna kobieta przypominała jej trochę panią Ferguson z zajazdu Pod Królewskim Herbem.

Poleciwszy, by podano im herbatę w jej prywatnym saloniku, pani Gowan zaprowadziła tam gościa. Była to bezpretensjonalna, wygodnie urządzone bawialnia.

- Proszę się czuć jak u siebie w domu, lady Julio. - Gestem ręki wskazała wyściełane krzesła. - Jestem pewna, że ma pani interesującą historię do opowiedzenia... o ile zechce mi ją pani opowiedzieć, moja droga. Major Randall nie pisnął nawet słówkiem o rychłym ożenku, kiedy nas opuszczał w zeszłym tygodniu.

- Zdecydowaliśmy się na to całkiem nagle, choć znamy się już od pewnego czasu - odparła Julia, z rozmysłem nie wyjaśniając bliżej sprawy.

Nieco rozczarowana, że nie dowie się niczego więcej, ale nadal życzliwa i gościnna, pani Gowan zaczęła z innej beczki:

- Tanner powiedział, że chcecie, by ślub odbył się jak najszybciej. Jakiego rodzaju ceremonia najbardziej by pani odpowiadała?

Julia dotąd nie zastanawiała się nad tym, musiała więc uczynić to teraz.

- Skromny ślub kościelny. Nic wyszukanego.

- Przypuszczam, że pani i pan Randall jesteście wyznania anglikańskiego. - Starsza dama wyjęła arkusz papieru i ołówek, by robić notatki. - Czy zależy wam na ślubie anglikańskim, czy też wystarczy nabożeństwo w naszym kościele prezbiteriańskim?

Nad tym Julia również się nie zastanawiała. Ponieważ jednak zdecydowali się na ślub w Szkocji, ze względu na możliwość otrzymania rozwodu, czemu nie miałyby to być ślub szkocki w pełnym tego słowa znaczeniu?

- Ślub prezbiteriański odpowiada nam w zupełności, a z pewnością będzie z nim mniej kłopotu!

- Istotnie. - Pani Gowan skinęła głową z aprobatą. - Nasz kościół parafialny znajduje się na sąsiedniej ulicy i bez trudu będziecie się tam mogli pobrać. Co jeszcze?

Julia skrzywiła się na myśl o swoim podniszczonym, pozbawionym szyku ubraniu.

- Jeśli starczy czasu, chciałabym postarać się o jakąś ładniejszą suknię. Nie wzięłam ze sobą nic odpowiedniego.
  - Nie będzie z tym najmniejszego kłopotu! Moja najmłodsza córka ma podobną figurę do pani; z pewnością ofiaruje pani z miłą chęcią jedną czy dwie suknie, choćby po to, żeby zaraz sprawić sobie nowe fatałaszki! - Pani Gowan odnotowała coś na swojej liście spraw do załatwienia. - Choćby ślub miał być nie wiem jak skromny, należy się koniecznie zatroszczyć o sprawy tak ważne jak suknia ślubna! Czy ma pani w Edynburgu przyjaciół lub znajomych, których chciałaby pani zaprosić na uroczystość?
  - Nie znam tu nikogo prócz lorda Kirklanda. Jestem wdową i zawsze mieszkałam w Anglii - wyjaśniła Julia. - Moje pierwsze wesele było wystawne. Wolałabym, żeby to drugie różniło się od niego pod każdym względem.
  - Zadbamy o to! - Podano herbatę i pani Gowan napełniła obie filiżanki. - A teraz proszę mi powiedzieć, czego jeszcze sobie życzysz w związku z weselem...
- Kiedy Julia wychodziła za Branforda, wszystkie przygotowania pozostawiła starszym. Ona sama nie miała właściwie nic do powiedzenia. Tym razem wesele będzie skromne, ale według jej gustu. Oby - daj Boże - podobnie było z całym małżeństwem!

## ***12***

Kiedy pani Gowan wyprowadziła Julię z jadalni, Mac dopił porto i wstał.

- Wychodzę! Muszę zbadać pewną jaskinię gry.
- Uważaj lepiej na sakiewkę! - poradził mu Kirkland. Po jego wyjściu Randall spytał:
- Wybrał się tam w charakterze twego oficjalnego czy nieoficjalnego wysłannika?



- I jedno, i drugie. A przy okazji załatwi własne sprawy. - Kir-kland się uśmiechnął. - Nie wszyscy są tak prostolinijni jak ty.

- Cóż, wojna sprowadza życie do spraw zasadniczych. - Randall pomyślał o tym, co go czeka w przyszłości. - Teraz, gdy pożegnałem się z wojskiem, wszystko stało się znów bardziej skomplikowane. Kirkland odchylił się do tyłu i splótł ręce na brzuchu.

- Naprawdę jesteś pewny, że zdołasz ujarzmić swojego stryja?

- Nie, ale pomyślałem, że będę udawał pewnego siebie, póki rzeczywistość temu nie zaprzeczy - stwierdził z lekką ironią. - Żaden plan bitwy nie wytrzymuje pierwszego zetknięcia z nieprzyjacielem. Daventry potrafi być rozsądny, ale równie możliwe, że wyciągnie pistolet z biurka i wyceluje we mnie. Z tym bym sobie poradził! Trudniej się obronić przed wynajętymi skrytobójcami, przyczajonymi w ciemnych zaułkach. Ze względu na Julię mam nadzieję, że uda się ominąć to zagrożenie. Dość się już nacierpiała z winy Randallów!

- Nigdy nie zetknąłem się bezpośrednio z Branfordem, a ty też nigdy o nim nie opowiadałeś... - Kirkland spojrzał na niego uważnie. - Taki był zły?

- Jeszcze gorszy.

Randall wiedział, że nigdy nie dowie się i nie pojmie, ile wycierpiała młodziutka dziewczyna zdana na łaskę i niełaskę Branforda. A Julia była wtedy prawie dzieckiem! Znał jednak wystarczająco dobrze swego stryjecznego brata, by poczuć zimny dreszcz na samą myśl o tym, co musiała znosić.

- Byłbyś gotów posunąć się nawet do zabicia Daventry'ego? - spytał spokojnie Kirkland.

Randall zmarszczył brwi i rozważył to pytanie. Jego stryj po prostu nie przyjmował do wiadomości okrucieństwa syna. Nawet nie próbował tego sprawdzić. Dlatego właśnie oboje, Randall i Julia, musieli tak cierpieć. A poza tym zrobił co mógł, by jego ranny bratanek zmarł, pozostawiając go bez jakiegokolwiek opieki. - Może tak... ale musiałby mnie diablo sprowokować!

- Mam nadzieję, że uda ci się go ugłaskać. Cóż by to był za skandal, gdybyś go zabił.

- Bardzo to łagodnie określiłeś. - Randall napełnił oba ich kieliszki. - Aha, byłbym zapomniał... Dzięki za pomoc. Moglibyśmy się ostatecznie pobrać w Gretna Green, ale nie chciałem podejrzanego ślubu, który można by było zakwestionować.

Kirkland nie pił, tylko obracał w palcach kieliszek porto.

- Mam wiele szacunku dla Julii... ale czy jesteś pewien, że wasze małżeństwo to rozsądny pomysł? Nie wydaje się przekonana, czy naprawdę chce wyjść za mąż.

- Właśnie dlatego przyjechaliśmy do Szkocji - odparł cierpko Randall. - Zgodziła się poślubić mnie tylko dlatego, że nie widzi innego wyjścia.

Kirkland się odprężył.

- Powinienem się domyślić, że wiesz ojej wątpliwościach.

- Gdyby był na to czas, zabiegałbym o nią w jak najbardziej tradycyjny sposób, ale to niemożliwe.

Najłatwiej będzie mi jej bronić, kiedy zostanie już moją żoną.

Była to prawda, Randall nie wiedział jednak, czyjego zaloty zakończyłyby się sukcesem, gdyby Julia nie znajdowała się w niebezpieczeństwie. Obawiał się, że nie.

- Widzę, że nadal jesteś szlachetnym rycerzem w lśniącej zbroi! - Kirkland zawahał się, czy mówić dalej. - Choć Julia potrzebuje obrony i w pełni na nią zasługuje, nie musisz jednak poświęcać dla niej całej swej przyszłości!

- Małżeństwo z Julią nie jest dla mnie poświęceniem - stwierdził kategorycznie Randall. - Nie przestawałem o niej myśleć od chwili, gdyśmy się poznali.

Kirkland przyjrzał mu się uważnie.

- A, w takim razie „lepiej jest żyć w małżeństwie, niż płonąć”\*. - Uniósł kieliszek jak do toastu. -

Obyście byli oboje tak szczęśliwi, jak na to zasługujecie. Najlepiej we wspólnym stadle!

Randall gotów był za to wypić. Zwłaszcza za to, by się spełniło to ostatnie życzenie!

\* **Święty Paweł Pierwszy List do Koryntian, 7, 9, Biblia Tysiąclecia, wyd. IV**

Julia pisała przy biurku w swoim pokoju, gdy usłyszała na korytarzu ciche kroki, którym towarzyszył stukot laski. To Randall wracał do swojej sypialni. Z pewnością zauważy światło pod jej drzwiami!

Może wstąpi, żeby jej życzyć dobrej nocy?

Była szczerze zadowolona, gdy zapukał do jej drzwi.

- Proszę wejść! - zawołała, wstając z fotela na jego powitanie. - Właśnie sporządzam całe mnóstwo list... Jest tyle spraw do załatwienia! Pani Gowan radzi, żebyśmy wzięli ślub za dwa dni. A po uroczystości kościelnej chce urządzić tutaj weselne śniadanie.

- Doskonale. - Spojrzał na swoją poplamioną w czasie podróży garderobę. - Muszę sobie kupić jakieś przyzwoite ubranie. A może uda mi się pożyczyć coś od Kirklanda? Jesteśmy podobnego wzrostu i budowy. - Uśmiechnął się. - Nie zdecydowałaś się na ucieczkę? Ilekroć cię widzę, jestem zaskoczony, że jeszcze mi się nie wymknęłaś!

Choć mówił to żartobliwie, Julia wyczuła, że kryje się pod tym prawdziwy niepokój.

- Czasem czuję się niepewnie - przyznała. - Ale dałam słowo i nie ucieknę. Zresztą u twego boku mam największe szanse na zwyczajne życie!

Parsknął śmiechem i zrobił zdumioną minę.

- Sam nie wiem, czy powinienem być uradowany, czy zgnębiony... Naprawdę jestem taki zwyczajny?

- Przecież to komplement!

- W takim razie serdeczne dzięki. Śpij dobrze, Julio! Odwrócił się, chcąc wyjść.

- Zaczekaj!

Wspięła się na palce i uściskała go na dobranoc. Jej ręce wsunęły się pod surdut Aleksa. Laska upadła z hałasem, gdy odwzajemnił uścisk, obejmując ją silnymi ramionami.

Chociaż spali razem przez dwie noce, po raz pierwszy objęli się na stojąco.

- Aach... - westchnęła, tuląc się do niego i oparła głowę na jego ramieniu. Czowała bicie jego serca, rytm oddechu, wyczuwała twarde

muskuły rąk, pieszczących ją tak delikatnie. - Byłoby nam wygodniej, gdybym urosła wyższa!

- A ja uważam, że pasujesz do mnie znakomicie.

Gładził ją po głowie, jego palce wplątały się w jej włosy. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że szpilki z nich wypadły, a loki rozsypały się na ramiona.

- Masz wyjątkowo... znośne włosy - szepnął, pieszcząc je palcami.

Zaśmiała się cicho i nagle poczuła się bardzo pociągająca i ani trochę nieprzestraszona. Przy Randallu była bezpieczna. Pełniąc obowiązki lekarza w Hartley, nieraz operowała, zszywała i łątała poszkodowanych mężczyzn, ale opatrywanie pacjenta i obejmowanie zdrowego mężczyzny to dwie całkiem różne sprawy!

Ręce Randalla wędrowały po jej ramionach. Powoli zaczął gładzić jej plecy.

- Rad jestem, że trochę przywykłaś do mego dotyku - szepnął.

- Lubię twój dotyk.

Było to doprawdy zdumiewające, ale prawdziwe. Nie wiedziała, jak długo tak się obejmowali. Z pewnością długo... a jednak jeszcze za krótko! Randallowi te łagodne pieszczoty zdawały się całkowicie wystarczać. Dzięki Bogu, nie był ogarniętym żądzą, niezgrabnym wyrostkiem! Znacznie łatwiej mogła sobie wyobrazić małżeństwo oparte na wzajemnej serdeczności i przyjaźni.

W końcu Randall westchnął i wypuścił ją z objęć.

- Już późno! Za chwilę zasnę na stojąco. - Pochylił się, podniósł swoją łaskę, lekko się skrzywił, zginając prawą nogę. - Dobranoc, milady!

W jego głosie było tyle czułości, że miała ochotę mrużyć jak kotka. Z żalem powiedziała:

- Jeszcze tylko dwie noce w osobnych łóżkach!

Randall skamieniał. Przez chwilę myślała, że ją pocałuje i cofnęła się o krok. Nie była jeszcze gotowa na takie poufałości. Wyczuwając nastrój Julii, musnął tylko jej czoło leciutkim pocałunkiem. Była to przelotna pieszczota, niebudząca lęku.

- Będę spał spokojniej, wiedząc, że nie zamierzasz uciec. Odszedł, nim zdążyła odpowiedzieć, że wcale już nie chce od niego uciekać.

### ***B***

Dla Randalla cały jego ślub tonął w jakiejś mgle, z której od czasu do czasu wyłaniały się obrazy niezwykle jasne i wyraziste: Julia, wyglądająca prześlicznie, zupełnie jak jutrzienka, w różowej sukni, z lśniącymi falami kasztanowatych włosów, otaczających jej delikatną twarzyczkę... Nagłe ożywienie jednego z gości (był to Mackenzie), gdy dotarło do niego, jak urocza jest panna młoda... Zimne jak lód rączki Julii, kiedy przypinała Randallowi do surduta gałązkę białego wrzосу ze swej wiązanki ślubnej, szepcząc załamującym się głosem, że to na szczęście...

Czuł się niespokojny, jakby stapał po rozżarzonych węglach. Był pewien, że Julia musi denerwować się jeszcze bardziej, bo przecież miała stanąć przed ołtarzem po raz drugi - a jej pierwsze małżeństwo okazało się katastrofą! „Triumf nadziei nad doświadczeniem”. Też coś!

Zdawał sobie jasno sprawę z tego, jak wielkie podejmuje ryzyko, zawierając to małżeństwo... ale pragnął jej całym sercem i duszą, każdą cząsteczką swego ciała. Nawet już nie próbował zrozumieć, jakim sposobem udało mu się ją przekonać. Liczyło się tylko to, że Julia gotowa była zawierzyć mu na tyle, by powiedzieć „tak”.

Weselne śniadanie w domu Kirklanda okazało się w gruncie rzeczy wczesnym weselnym obiadem i ciągnęło się przez wiele pełnych radości godzin. Goście śmiali się, przekomarzali z nowożeńcami i pałaszowali frykasy, Randall zaś czuł, że coraz bardziej się uspokaja, a świat wokół niego staje się realny.

Obiad dobiegał już końca, gdy Kirkland wstał, by wznieść toast. Unosząc w górę kieliszek i zwracając się do nowo zaślubionej pary, powiedział z uśmiechem:

- Znam cię od dwudziestu lat z okładem, Randall, ale nigdy mi przez myśl nie przeszło, że okażesz tyle zdrowego rozsądku, żeby się ożenić, w dodatku z tak wspaniałą kobietą jak Julia!

- Bo jej jeszcze wtedy nie znałem, nie wiedziałem więc, że kiedykolwiek zechcę się ożenić! - zauważył pan młody.

Pochwycił spojrzenie żony i nagle ogarnęła ich dziwna wesołość, zmieszana ze smutkiem, gdy pomyśleli o wszystkich tych skomplikowanych sprawach, które sprawiły, że drogi ich życia ostatecznie połączyły się ze sobą.

Nieco poważniejszym tonem Kirkland mówił dalej:

- Na tym szkocko-angielskim weselu pozwolę sobie wygłosić błogosławieństwo po gaelicku i po angielsku.

Wygłosiwszy kilka zdań w potocznej mowie Celtów, zakończył w zrozumiałej angielszczyźnie:

- Niech wam zdrowie służy przez wszystkie dni, Niech wam będzie dane długie życie w spokoju, Obyście dożyli sędziwej starości, poważani dla swej dobroci i bogactwa!

- Serdeczne dzięki.

Randallowi zupełnie by wystarczyło zdrowie, długie życie i spokój. Bogactwo nie było mu potrzebne.

Co się zaś tyczy dobroci, Julia miała jej w sobie tyle, że wystarczy na dwoje. Powiódł spojrzeniem po weselnych gościach. Mógł ich niemal policzyć na palcach. Z wyjątkiem Maca, byli to krewni i przyjaciele Kirklanda. Wszyscy, co do jednego, ujrawszy Julię, zakochali się w niej na zabój.

Unosząc w podzięcie swój kieliszek, Randall zwrócił się do nich:

- Dziękuję wam wszystkim za to, żeście przybyli, by uświetnić swą obecnością nasze wesele. -

Opróżnił kieliszek jednym haustem, po czym wstał i skłonił się przed Julią, nie mogąc powstrzymać radosnego uśmiechu na samą myśl: To naprawdę jest moja żona! - Ponieważ jutro rano wyjeżdżamy z Edynburga, może byś chciała spędzić resztę popołudnia na zwiedzaniu miasta, milady? Nie miałaś dotąd czasu, by je obejrzeć, jak należy.

- Chętnie to zrobię!

Julia wstała i do podziękowań męża dodała jeszcze własne miłe słowa, przeznaczone dla gości, a panią Gowan serdecznie uściskała. Potem włożyła szal i czepek i wraz z mężem wymknęli się z domu Kirklanda. Wyszli na spokojną ulicę, przy której stały także inne rezydencje. Jak zwykle w Szkocji, dzień był jasny, wietrzny i dość chłodny. Randall odetchnął z ulgą.

- To była wspaniała uroczystość, ale bardzo się cieszę, że jesteśmy wreszcie sami. Co chciałabyś zwiedzić? Edynburski zamek? Pałac Holyrood? Kręte uliczki i zaułki starego miasta? Uprzedzam cię, Edynburg nie przypomina żadnego z angielskich miast!

Julia schwyciła męża za ramię.

- Chcę zobaczyć wszystko! Roześmiał się.

- Może ci jednak wystarczy obejrzenie tego, co zdołamy zwiedzić, nim całkiem opadniemy z sił?

- No dobrze. Wystarczy. - Zaniepokoiła się nagle. - Będziemy zwiedzać, póki cię noga nie rozboli. A nie wzięłaś dziś nawet laski!

- Bo prawie mi już nie dokucza. Dobra robota, żono! - Patrzył na twarz Julii: prześliczną, pogodną, nieco znużoną. Jego żona! Gdy skręcali w Princes Street, powiedział cicho: - Tak się cieszę, żeś mi nie uciekła, Julio!

- Ja też się cieszę. Nie mogę sobie nawet przypomnieć, co mnie aż tak niepokoilo. Czuję się cudownie: wolna jak ptak!

- To dlatego, że klamka już zapadła. - Uśmiechnął się nieco żałośnie. - Najtrudniej jest podjąć decyzję, wiesz? Julia roześmiała się. Wydawała się taka młoda i beztraska.

- Masz rację. Czuję się tak, jakbym zaczynała życie od nowa. Patrę w przyszłość, nie oglądając się wstecz! - Puściła łokieć Randalla i wzięła go za rękę, splatając palce z palcami męża. - Podjąłeś ogromne ryzyko, żeniąc się z kobietą, której jedyne wiano stanowią kłopoty. Dziękuję ci, żeś się jednak na to zdecydował!

- Każde małżeństwo wiąże się z pewnym ryzykiem. - Alex zamilkł na chwilę. - Nie wiem, czemu tak jest, ale z tobą mogę rozmawiać o sprawach, o których nie mówiłbym z nikim innym.

- A ja wyjawiałam ci sekrety, z jakich nie zwierzyłabym się nikomu! Chyba to dobrze wróży naszemu małżeństwu? Twarz Julii była pełna ciepła i życia, jak przystało na szczęśliwą pannę młodą. Z uczuciem radosnego podniecenia pomyślał, że dzisiejsza noc - być może - będzie ich prawdziwą nocą poślubną. Julia zmieniła się ogromnie w ciągu ostatnich kilku dni. Jeśli nie była jeszcze gotowa na małżeńskie poufałości, nie zamierzał jej przymuszać. Ale jakże by mógł nie żywić nadziei? Im bardziej czuł się szczęśliwy, tym goręcej jej pragnął.

Gdy wyszli na szeroką Princes Street, Julia powiedziała:

- Bardzo mi się podobała małżeńska przysięga, bez tych bzdur, że żona powinna być posłuszna mężowi! Wybuchnął śmiechem.

- Szkotki są bardzo niezależne; znajduje to odbicie nawet w przysiędze małżeńskiej. Jakby ją stworzono dla ciebie!

Ręka Julii zacisnęła się w jego dłoni.

- Rada jestem, że przyjechaliśmy do Edynburga. To miasto i twoi przyjaciele sprawili, że nasze małżeństwo tak pomyślnie się rozpoczęło!

Randall pomyślał z nadzieją, że kiedyś będą opowiadali wnukom o swoim weselu! Otrzeźwiał nagle, przypomniawszy sobie, że nie będzie żadnych wnuków. Nie przejął się, gdy Julia wyznała mu, iż nie jest zdolna do rodzenia dzieci, bo nigdy dotąd nie myślał o ożenku i założeniu rodziny. A to, czy tytuł Daventry'ego wygaśnie, czy nie, mało go obchodziło. Teraz jednak przekonał się, że sprawa potomstwa nie jest mu obojętna. Chciałby mieć córeczkę, która odziedziczy słodki uśmiech Julii i bystrość jej umysłu. Przyjemnie byłoby wychowywać syna - łagodnie, nie za pomocą brutalnych kar. Myśl, że nigdy nie doczeka podobnych radości, zaboląła go bardziej, niż mógł przypuszczać dwa tygodnie temu. A jednak nawet to niewiele dlań znaczyło, dopóki miał Julię.



Julia nie pamiętała, kiedy po raz ostatni było jej tak lekko na sercu, jak podczas zwiedzania z mężem Edynburga. Randall okazał się idealnym przewodnikiem. Czuła się przy nim bezpieczna i kochana, a poza tym tak dobrze znał to miasto! Było wspaniałe, miało bogatą, dramatyczną przeszłość - i bardzo różniło się od Londynu!

Od chwili, gdy zaproponował jej małżeństwo, Julia zastanawiała się, czy to w porządku - poślubić kogoś tylko dlatego, że to najlepsze wyjście z trudnej sytuacji? A jednak Randall stał się dla niej nie tylko „mniejszym złem”, ale kimś naprawdę ważnym.

Był zdumiewająco dobry i niezwykle cierpliwy. Choć nadal miała obiekcje co do małżeństwa, nie mogłaby, doprawdy, znaleźć lepszego od niego męża!

Gdy wrócili wreszcie do rezydencji Kirklanda, ściemniało się już i Julia czuła przyjemne zmęczenie. Ponieważ Kirkland nie korzystał z obszernych apartamentów pana domu, przeznaczono teraz te pokoje na gniazdko dla nowożeńców.

- Dostrzegam w tym rękę pani Gowan! - stwierdziła Julia, gdy weszli do wielkiej sypialni.

Musnęła palcami róże, których wielki bukiet umieszczono na ozdobnym stoliczku.

- Wie, co należy zrobić! - przyznał z aprobatą Randall, mierząc wzrokiem meble, ustawione w przeciwległym końcu pokoju. Dwa krzesła, a pomiędzy nimi elegancko zastawiony stół, z osłoniętymi półmiskami i z butelką wina, chłodzącą się w wiaderku z lodem. -Może przeberzemy się już w nocne stroje i zasiądziemy do kolacji na zimno z szampanem? Myślałem, że podczas weselnego śniadania najadłem się na tydzień z góry, ale tyleśmy się nachodzili, że znowu czuję głód.

- Dobrze jedzenie, szampan i wygodne łóżko! - Julia uśmiechnęła się do męża, zdejmując czepek. - Czy mógłbyś rozpiąć mi suknię, żebym nie musiała wołać pokojówki?

- Ależ oczywiście!

Ręce trochę mu drżały, zwłaszcza gdy rozwiązywał wstążeczki na karku i w talii; czuła dotyk jego ciepłych palców na skórze. Uśmiech-

nęła się. Lepsza odrobina niezręczności niż zbyt wiele wprawy w rozbieraniu kobiet!

Uporawszy się ze swym zadaniem, Randall nachylił się i pocałował żonę lekko w kark. Dotknięcie jego gorących ust sprawiło, że przeszył ją dreszcz - nie była pewna, z rozkoszy, czy ze strachu. Pewnie trochę jednego i drugiego, co także było niepokojące.

- Dziękuję.

Nie patrząc na męża, przeszła do niewielkiej damskiej garderoby. Choć godzina nie była jeszcze późna, zmęczył ją dzień pełen wrażeń. Najwyższy czas położyć się do łóżka! Zwłaszcza że miała je dzielić z Randalle. Tak ciepło i miło będzie przytulić się do niego, a potem zasnąć smacznie w jego ramionach.

Julia rozpuściła włosy i wyszcotkowała je, by luźno opadały na ramiona. W przyćmionym świetle wyglądała niemal na szesnastoletnie dziewczątko, jakim była podczas swej pierwszej nocy poślubnej. Tylko po jej oczach można było poznać, jak wiele przeszła w życiu.

Odwróciła się i zdjęła różową suknię, po czym włożyła elegancką muślinową koszulę nocną i specjalnie dobrany do niej szlafroczek. Dostała je w prezencie ślubnym od pani Gowan. Rękawy były długie, dekolt niezbyt głęboki, ale powiewne fałdy niemal przejrzystej tkaniny i uroczy haft - biały na białym tle - sprawiły, że Julia poczuła się ze wstydem dziewczą oblubienicą.

Powtarzając sobie w duchu, że nie będzie to ich pierwsza wspólnie spędzona noc, wróciła do sypialni. Randall, z rękoma założonymi do tyłu, stał przy oknie i przyglądał się, jak ostatnie blaski dnia gasną za strzelistymi wieżami edynburskiego zamku. Ciemnoniebieski szlafrok podkreślał jego płowe włosy, potężną budowę ciała i szerokie ramiona.

Wyglądał jak groźny wiking - i nagle świadomość, że wyszła za niego i jest z nim sama w sypialni, wzbudziła w Julii ostry niepokój.

Rozwiał się on jednak natychmiast, gdy Randall odwrócił się do niej z uśmiechem. Ten nieugięty wojownik, który budził w niej lęk podczas pierwszego spotkania, okazał się niesłychanie dobry! Julia

podejrzewała, że ta dobroć stanowiła zasadniczą cechę jego charakteru; inaczej nie przetrwałaby nawet dzieciństwa.

- Wyglądasz całkiem znośnie! - powiedział z wesołym błyskiem w oku. - Niełatwo ci było udawać szarą myszkę, kiedy stworzona jesteś, by olśniewać jak rajski ptak!

- O, rajski ptak to stanowczo zbyt wyszukany komplement... ale może uszłabym w tłoku jako zięba? - Uśmiechnęła się do męża niby to sennie, lecz z wyraźną aprobatą. - Ty też całkiem dobrze się prezentujesz: taki pogodny i zdrowy!

- Od pewnego czasu nie dokucza mi już ustawiczny ból; musiało się to odbić na moim wyglądzie i zachowaniu. Choć Randall mówił lekkim tonem, jego spojrzenie było niezwykle intensywne, niepokojące. Julia nie chciała, by jakikolwiek mężczyzna - nawet mąż - patrzył na nią w ten sposób.

- Czy wiesz, że pani Gowan owdowiała aż trzy razy? - zagadnęła, wdychając zapach róż z wielkiego bukietu. - Nie wyobrażam sobie, jak ona to zniosła!

- Według Kirklanda, wszystkie trzy małżeństwa były szczęśliwe, a ciocia Maggie nie miałyby nic przeciwko czwartemu! Albo ma wyjątkowe szczęście, albo potrafi bezbłędnie ocenić, który z konkurentów to materiał na dobrego męża.

- Nigdy nie przypuszczałam, że wyjdę za mąż po raz drugi, a już z pewnością nie zdecydowałabym się na trzecią próbę! - oświadczyła stanowczo Julia. - Jeśli okaże się, że nie poradzę sobie w małżeństwie z kimś tak pełnym zrozumienia i mądrym jak ty, wycofam się raz na zawsze!

Roześmiał się, nieco zaskoczony.

- Naprawdę nie chciałem dopraszać się komplementów, Julio! Myślałem jedynie o tym, jakim jestem szczęściarzem, że zdecydowałaś się wyjść za mnie. Napijesz się szampana?

- Tak, bardzo proszę.

Przyglądała mu się z przyjemnością. Patrząc na jego zwinne ruchy, nikt by się nie domyślił, ile miesięcy bólu i ile bolesnych zabiegów musiał znieść! A poza tym był naprawdę bardzo przystojny...

Nalał iskrzącego się wina do wysokich kieliszków i podał jeden z nich żonie, muskając przy tym jej rękę koniuszkami palców.

- Nasze zdrowie, na dobre i na złe!

- Z pewnością nie zabraknie ani jednego, ani drugiego - powiedziała cierpko i skosztowała ostrożnie wina. Pieniący się trunek sprawił, że poczuła ulgę. - Alexandrze... - powiedziała w zamyśleniu. - Czy ktoś zwracał się do ciebie pełnym imieniem?

- Tak mówili do mnie rodzice. Ale od tamtej pory prawie nikt. „Alex” czy „Randall” są krótsze i wygodniejsze.

- Alexander - powtórzyła cicho. - Kiedyś w przyszłości będziesz Aleksandrem, hrabią Daventry. Dobrze to będzie wyglądało na tabliczce pod wspaniałym portretem w galowym mundurze. Z pewnością zawiśnie w rodzinnej galerii w Turville Park, by budzić podziw przyszłych pokoleń. A może artysta uwieczni cię jako rycerza w zbroi na mlecznobiałym rumaku?

Randall uśmiechnął się szeroko. - Nie brak ci wyobraźni, milady!

- Czemu tak do mnie mówisz? - spytała zaciekawiona. - Czy dlatego, że jestem córką księcia? To przecież sprawa przypadku, rzecz bez znaczenia!

Wydawał się nieco zażenowany.

- Jako chłopiec zaczytywałem się w rycerskich opowieściach. W średniowieczu piękne damy pozwalały, by rycerz obierał jedną z nich za panią swego serca i wiernie jej służył. I ty, milady, jesteś moją panią. Czy to ów rycerski duch kazał mu jej bronić, gdy była w niebezpieczeństwie? Jeśli tak, powinna być wdzięczna losowi. - Jakiś ty romantyczny, mój dzielny rycerzu! Roześmiał się.

- Nie zdradź mnie tylko przed Kirklandem albo Mackenziem! Nie daliby mi chwili spokoju.

- Z pewnością sądzą, że jesteś twardy jak z żelaza - pocieszyła go.

Wypiła znowu łyk szampana i uświadomiła sobie, że jest szczęśliwa. Nie tylko zadowolona, ale naprawdę szczęśliwa. I że czeka w podnieceniu, co jeszcze los ma dla niej w zanadrzu!

Na dziś wystarczała jej wiara w to, że mąż zdołają obronić przed zionącym nienawiścią teściem. Ośmielała się nawet mieć nadzieję, że kiedyś, w przyszłości, ich związek z Randallem stanie się prawdziwym małżeństwem, w pełnym znaczeniu tego słowa. Uniosła więc także swój kieliszek szampana.

- Za naszą przyszłość!

- Za naszą przyszłość! - Randall trącił się z żoną kieliszkiem. - Czasem w kantynie oficerskiej spełnialiśmy toasty ze splecionymi ramionami, o tak! - Złączył prawe ramię z ramieniem Julii, dzięki czemu ich ciała stykały się teraz od pasa do kolan. - Tym sposobem dwie osoby, jeśli mają w czubie, mogą się nawzajem podtrzymywać.

- Nie mam jeszcze w czubie, ale dostrzegam dobre strony takiego rozwiązania!

Świadoma bliskości jego silnego, ciepłego ciała, Julia podniosła kieliszek do ust. Randall uczynił to samo i uśmiechnął się przekornie. Czemu dawniej sądziła, że jego oczy są zimne? Były takie czyste, jasne i szczerze - jak najprawdziwsze diamenty. Czowała, że szampan perli się we krwi, zrobiło jej się tak lekko na sercu! To, że ich ciała stykały się, było takie przyjemne... Randall wydał się jej uosobieniem męskiej siły i waleczności. Ośmieliła się przysunąć do niego jeszcze bliżej.

Zmienił się na twarzy. Jednym haustem dopił szampana i odstawił kieliszek. - Julio...

Pochylił się, żeby ją pocałować - i nagle serce Julii zaczęło bić jak szalone. Ich pierwszy pocałunek!

Ku jej zaskoczeniu, ogarnęła ją fala namiętności, ogłuszającej i oślepiającej.

Nie mogła złapać tchu. Kieliszek w jej ręku przechylił się i ostatnie krople wina spłynęły na dywan.

Randall ostrożnie wyjął go z jej ręki i odstawił na stół. A potem pochwycił ją w objęcia tak mocno, że ich ciała stopiły się ze sobą.

- Milady... - szepnął ledwie dostłyszalnie.

Napór pobudzonego męskiego ciała sprawił, że radość Julii przemieniła się w panikę. Usiłowała ją przewyciężyć. Przecież Randall

nie był taki jak Branford, pod żadnym względem! Po prostu jej pragnął - i miał do tego prawo. Ona zresztą też go pragnęła. Naprawdę! Namiętność, którą wykluczyła ze swego życia, odżyła w niej, płomienna i domagająca się swoich praw, w chwili, gdy poczuła silne ręce Randalla na swoich plecach i biodrach. O Boże, jak mogła o czymś takim zapomnieć?

Wargi Julii rozchyliły się i pocałunek stał się jeszcze bardziej żarliwy. Oddech Aleksa się rwał.

- Jesteś taka piękna, Julio - szepnął chrapliwym głosem. - Taka niezwykła...

Ściągnął jej z ramienia szlafroczek i koszulę. Julia poczuła chłodny powiew na rozgrzanym ciele, a potem palący dotyk jego ręki.

Zesztywniał nagle, dotknąwszy okropnych blizn, o których tak rozpaczliwie usiłowała zapomnieć.

- Julio...?

Przerażające wspomnienia odżyły w blasku piekielnego ognia, gdy przeszłość i terażniejszość zderzyły się nagle ze sobą. Julia poczuła, jak wali się na nią lawina rozkoszy, namiętności, straszliwego bólu...

Z jej gardła wyrwał się krzyk.

## 14

Radość Randalla z powodu spontanicznej reakcji żony zmąciło odkrycie zdumiewającej, niepojętej blizny na jednej z jej cudownych piersi.

Szczyście pierzchnęło, gdy Julia wyrwała się raptownie z jego objęć. Cofając się w popłochu, wpadła na ścianę. Płacząc, kulila się teraz na podłodze, a ciemne włosy opadały jej na twarz.

Zmiana nastroju była tak nagła, że Randall odczuł ją jak uderzenie kuli armatniej. Był pewien, że Julia pragnie go równie mocno, jak on jej! Wierzył, że wkrótce będą kochankami, staną się naprawdę mężem i żoną, zaznają spełnienia, o którym marzył od chwili, gdy ją poznał.

Nadzieja ta zgasła raptownie, a nagłe zrozumienie sytuacji rozdarło mu serce, jak wybuch szrapnela. Jednakże jego ból nie miał nawet porównania z cierpieniem Julii. Paniczna ucieczka świadczyła dobitnie o tym, jakim koszmarem było jej pierwsze małżeństwo.

Ukląkł obok niej, przerażony odkryciem, że Branford - nieżyjący od tyłu już lat - potrafi nadal doprowadzić ją do takiego stanu.

- Powiedz mi, co się stało, Julio! Muszę to zrozumieć! Pokręciła głową, z twarzą ukrytą w dłoniach.

- To... to nie twoja wina.

Wiedział, że nie zawinił, ale przecież to właśnie on musiał się uporać ze skutkami tego, co zaszło.

Lewe ramię Julii nadal było obnażone, mógł więc przekonać się na własne oczy, że nie było złudzeniem coś, co wyczuł dotykiem.

Delikatna, krągła pierś Julii została oszpecona okropną blizną, przypominającą niekształtne B.

Z posepnym wyrazem twarzy poprawił koszulę żony, zakrywając jej ramię.

- Podpis Branforda, oczywiście - odezwał się ze sztucznym spokojem. - A jednak nie przypuszczałem, że był zdolny do takiego bestialstwa.

Julia skuliła się jeszcze bardziej.

- Na drugiej piersi wyciął literę D, jak Daventry - powiedziała martwym głosem. - To było tej nocy, gdy wspomniałam o separacji. Tej samej nocy, kiedy umarł.

Randall miał nadzieję, że skłaniając Julię do mówienia, zdoła ją wyrwać z jej piekła.

- Wspomniałaś, zdaje się, że był wtedy pijany?

- Pijany i wściekły. - Z trudem zaczerpnęła powietrza. - Najpierw omal nie zatłukł mnie na śmierć, a potem wyjął nóż, unieruchomił mnie, przyciskając kolanem, i pociął na mnie ubranie. To był stary saraceński sztylet, który Branford wyjątkowo lubił. Ubóstwiał zresztą noże wszelkiego rodzaju.

- Wiem. Mógł je ostrzyć godzinami!

Randallowi gardło się ścisnęło na to wspomnienie. A myślał, że dawno już o tym zapomniał... Jakże często Branford gonił swego małego kuzyna, ściskając w garści jeden z tych noży! Randall był jednak zwinny, no i nauczył się walczyć w swojej obronie, gdy szybkie nogi nie wystarczały.

Popatrzył na cienką białą bliznę, wijącą się wokół jego lewego nadgarstka i przedramienia. Była to pamiątka wydarzenia, po którym mały Alexander zrozumiał wreszcie, że musi walczyć, jeśli chce zachować życie.

Powściągnawszy gniew, by nie zdenerwować jeszcze bardziej Julii, odezwał się do niej:

- Najgorszy zbrodniarz nie zasłużył na okropności, jakie ty musiałaś znosić!

- Byłam jego żoną - powiedziała gorzko. - Mógł robić ze mną, co zechce. Nieustannie mi to powtarzał.

Byłam jego własnością i miał prawo mnie naznaczyć, żeby nie ulegało wątpliwości, iż należę do niego. A gdy już wyciął mi na piersiach swoje inicjały, zgwałcił mnie.

- Dobry Boże, Julio! - zawołał Randall. Był zbyt wstrząśnięty, by panować nad sobą. Roześmiała się histerycznie.

- Ten gwałt ostatecznie wyszedł mi na dobre! Kiedy Branford... skończył, osunął się na mnie i jakoś zdołałam zepchnąć go z siebie. Udało mi się wstać, ale zanim rzuciłam się do ucieczki, znowu mnie schwytał. Byłam tak zalana krwią, że aż śliska, i nie potrafił mnie utrzymać. Odepchnęłam go. Upadł... i uderzył głową o kant kominka. Nie przypominam sobie, żeby któreś z nas wtedy krzyczało... ale ilekroć staję mi przed oczyma tamta scena, słyszę jakieś krzyki. Dziwne, prawda?

- Branford był wcielonym złem! - odparł drżącym głosem Randall.

Wziął Julię za rękę, próbowała się wyrwać, jednak jej nie puszczał. Czuł, że musi ją zatrzymać w realnym świecie, by nie pograżyła się bez reszty w straszliwej przeszłości.

- Nie możesz obwiniać siebie o jego szaleństwo!



- Nie, ale mogę wyrzucać sobie przerażającą głupotę. - Drżący głos Julii był ledwie dosłyszalny. - Nigdy nie powinnam wychodzić za niego!
- Nie masz się czego wstydzić, byłaś taka młodziutka... Prawie dziecko, kiedy cię za niego wydali. A głupia nie byłaś nigdy! - Uścisnął lekko jej dłoń. - Jestem o tym przekonany.
- Tak ci się zdaje? Powiedziałam przecież, że wyszłam za niego chętnie... a to jeszcze nie wszystko! - Zaśmiała się gorzko. - Najstraszniejsze, najbardziej upokarzające jest to, że szalałam za Branfordem. Był przystojny, czarujący... Istny księżę z bajki, o jakim marzy każda dziewczyna. I myślałam... że on także mnie kocha. Byłam bezgranicznie głupia!
- Znając dobrze Branforda, Randall rozumiał doskonale, co Julia miała na myśli.
- Z początku był czuły i kochający, prawda? Jeśli cię skrzywdził, przeproszał tak gorąco, zaklinał się, że to niechcący... Starał się pozyskać twoją ufność, byś cierpiała podwójnie, i z fizycznego bólu, i z gorzkiego zawodu! Julia znieruchomiała.
- Skąd wiesz?
- Ze mną było tak samo, tylko stosunki między dwoma chłopcami nigdy nie są aż tak bliskie, jak między mężem i żoną.
- Mimo to zdrada stryjecznego brata bolała go tak mocno! Z początku, gdy dostał się pod opiekę stryja, patrzył w Branforda jak w tęczę... Marzył o starszym bracie, który byłby zarazem jego przyjacielem. Przez dwa tygodnie żył tym złudzeniem. Na krótko złagodziło ono nawet jego rozpacz po stracie rodziców.
- Potrafił kłamać jak nikt! - szepnęła Julia. - Z pewnością wiesz o tym równie dobrze, jak ja. Wiedział, niestety. Ale jeśli jego zrozumienie pomagało Julii, to wszystko, co musiał znieść, nabierało jakiegoś sensu.
- Żałuję, że to nie ja zabiłem tego diabła! Zaśmiała się ironicznie.
- Niestety, to ja dopuściłam się morderstwa.

- To był nieszczęśliwy wypadek! - powiedział Randall. - I to w chwili, gdy broniłaś się przed nim! - Potrafił jednak zrozumieć, że kobieta, która jest stworzona do pielęgnowania życia, a nie unicestwiania go, mogła tak to odczuwać. - Branford sprawił, że lata małżeństwa były dla ciebie piekłem. Nie pozwól, by zrujnował resztę twego życia!

- To byłby dopiero triumf zza grobu, prawda? - Julia przyłgnęła wilgotnym od łez policzkiem do ręki Randalla. - Branford byłby w siódmym niebie, wiedząc, że okaleczył mnie tak, iż żaden inny mężczyzna nie będzie już miał ze mnie pożytku!

Drżała pod wpływem szoku, jak żołnierz po bitwie.

- Może napijesz się koniaku? - spytał Randall. Gdy skinęła potakująco, zawyrokował:

- Pora, żebyś wyszła z kąta.

Wstał i pociągnął Julię za rękę, by skłonić ją także do podniesienia się.

Palce miała lodowato zimne, a twarz mokrą od łez, zapanowała jednak nad rozdzierającym bólem, który - wbrew rozsądkowi - nakazywał jej uciekać. Na bosaka, w białym nocnym stroju wydawała się taka drobna, piękna - i niezłomna. Rad, że napełnił przezornie podręczną flaszkę, Randall nalał koniaku do mniejszego kieliszka dla Julii, a do większego dla siebie. Pragnął jak najprędzej zapomnieć o skrwawionej, oszalałej z bólu dziewczynie, usiłującej wyrwać się okrutnemu mężowi. Niestety jednak, wszystkie trunki świata nie były w stanie zatrzeć tego obrazu w jego głowie.

Po kilku łykach Julia odezwała się nieco mocniejszym głosem:

- Łudziłam się, że pogrzebałam już najgorsze wspomnienia, ale byłam w błędzie. A teraz jeszcze moje koszmary gotowe udzielić się tobie!

Randall wzruszył ramionami.

- Brzemie, którym się z kimś podzielimy, staje się lżejsze.

- Być może. - Wypiła resztkę koniaku, ale nie chciała więcej, choć Randall jej proponował. - Jutro będę znowu spokojna. Obiecuję ci to, Alexandrze! Teraz jednak chciałabym zostać sama.

Choć pragnął ją pocieszyć, nie zdziwiło go, że nie mogła znieść jego dotyku.

- Prześpię się na podłodze.

Z trudem wciągnęła powietrze w płuca.

- Bardzo mi przykro, ale chcę być naprawdę sama. Przejdę do któregoś z wolnych pokoi.

Raz jeszcze powiedział sobie w duchu, że przecież to nie od niego Julia odwraca się w tej chwili. Musi uporać się z przeszłością w taki sposób, jaki wydaje się jej najlepszy. Czuł jednak, że nie zniósłby, gdyby uznała za najlepsze rozwiązanie opuszczenie na zawsze dopiero co poślubionego męża.

- Nie uciekniesz?

- Nie. Słowo daję! - Westchnęła. - Mam już dość uciekania i dość tego straszenia zza grobu! Chcę znów być wolna. I pragnę, by moje wewnętrzne zmagania nie przysparzały ci bólu.

- Razem jakoś się z nimi uporamy. Pamiętaj o tym, milady! - Pragnął wziąć ją w ramiona i osłonić od okropnych wspomnień tamtej nocy, ale wiedział, że to niemożliwe. - A więc do jutra rana!

- Do jutra rana! - powtórzyła jak echo. - Dziękuję ci. Za wszystko. Za zrozumienie, za to, że tu jesteś, i za to, że zgadzasz się zostawić mnie samą.

Puścił jej dłoń, ale jakoś nie mógł się zdobyć na to, żeby odejść, nie dotknąwszy nawet jej gęstych, lśniących włosów. Te jedwabiste loki tak go kusiły... Cofnął raptownie rękę i zacisnął ją mocno.

- Spij dobrze, milady!

Wsunął flaszkę z resztką koniaku do kieszeni szlafroka, wyszedł na korytarz i powoli zszedł na dół.

Wchodził właśnie do swojej dawnej sypialni, kiedy Mackenzie wyjrzał z jednego z sąsiednich pokoi. Był ubrany, jakby wybierał się na nocne łowy. Zatrzymał się, w jego spojrzeniu odbiło się zaskoczenie i jakby podejrzenie.

- Zdawało mi się, że słyszałem krzyk kobiety...

- Pewnie koty harcują - odparł lakonicznie Randall, wściekły, że Mac przyłapał go podczas nocy poślubnej z dala od panny młodej.

- Wyobrażam sobie, że do kobiety, która miała do czynienia z lordem Branfordem, należy odnosić się z wyjątkową cierpliwością - powiedział cicho Mackenzie.

Randall spojrzał na niego groźnie.

- Wiesz co? Z dwojga złego wolę, gdy jesteś płytki i gruboskórny. Twarz Maca zmieniała się w nieodgadnioną uprzejmą maskę.

- Jak sobie życzysz.

Odwrócił się, by odejść, przedtem jednak dotknął lekko ramienia Randalla. Dowód współczucia ze strony tego diablaka?!

Randall zamknął za sobą drzwi. Zasłony w oknie były rozsunięte i do pokoju wpadało dość światła, by mógł się zorientować, że pościel znikła, a koce i kapa leżą starannie złożone w nogach łóżka. Ze znużeniem wyciągnął się na gołym materacu. Noga mu dokuczała po długim spacerze, ale stokroć bardziej bolało go serce.

A więc Julia kochała Branforda! Cała sprawa stawała się przez to jeszcze trudniejsza do zniesienia. Randall wierzył przedtem, że pomoże Julii zwalczyć demony przeszłości, a ona stanie się naprawdę jego żoną. Przez krótki czas wydawała się bliska tego, a nawet pełna zapału... Ale demony zwyciężyły.

Czy kiedykolwiek zdoła zapomnieć o swym straszliwym zawodzie miłosnym i pokocha znowu?... Jej przeszłość mogła okazać się przeszkodą nie do pokonania.

Pociągnął zdrowy łyk koniaku. Zawartością flaszki trudno było upić się do nieprzytomności, ale może to, co w niej zostało, złagodzi nieco ból.

**15**

Nawet koniak nie zdołał wygnać lodowatego zimna z duszy Julii. Po wyjściu Randalla rozpalila ogień na kominku i zwinęła się w kłębek na niewielkiej kanapie. Kusiło ją, by wczołgać się pod biurko, ale odarłoby ją to z resztek godności. Najwyższy

**116**

czas zacząć się zachowywać jak osoba dorosła, a nie przerażone dziecko!

Gdzieś w głębi serca tliła się myśl o ucieczce. Znaleźć się gdzieś, gdzie nikt by jej nie znał, gdzie mogłaby zacząć życie od nowa! Nie miała jednak dość sił ani energii, by stawić czoło samotności. Ponieważ nie umiała zerwać całkowicie z przeszłością, musiała dążyć naprzód, torując sobie drogę ku przyszłości przez przerażające gruzy pierwszego małżeństwa. Powinna więc przyjrzeć się dokładnie Branfordowi i przemyśleć swoje uczucia do niego.

Zmusiła się do tego, by zsunawszy luźne fałdy szlafroka i koszuli nocnej, spojrzeć na okaleczone piersi. Będąc młodziutką dziewczyna, traktowała swe zdrowe, młode ciało jako coś oczywistego. Nie było może doskonale piękne, ale pełne wdzięku, kształtne i godne męskiego podziwu. Natura tak już stworzyła młodzieńców i dziewczęta, że podobali się sobie nawzajem!

Tę naturalną dumę z własnego wyglądu zniweczyło jej pierwsze małżeństwo. Rzadkie chwile doznań zmysłowych, których doświadczała w początkowym okresie, zastąpił wkrótce wstręt - i do męża, i do siebie. A litery, które Branford wyciął na jej piersiach, sprawiły, że Julia ostatecznie samą siebie znienawidziła. Czuła się ohydna, oszpecona. Żaden mężczyzna nie mógł jej pragnąć. Ona także nie pragnęła nikogo. Przez całe lata unikała widoku swego pokrytego bliznami ciała. W jej sypialni nie było lustra, ona zaś nauczyła się ubierać i rozbierać, nie patrząc i nie myśląc o cielesnej powłoce, chyba że było to absolutnie konieczne.

Spoglądając wstecz, pojęła, że upływ czasu, samo życie i praca, którą wykonywała, złagodziły nieco jej nienawiść i odrazę do ciała. Pomogła przyjść na świat tylu niemowlętom, poczętym z miłości. Była świadkiem naprawdę głębokich więzi pomiędzy małżonkami. Nasłuchiwała się wreszcie tylu sprośnych czy tylko swawolnych żartów - zamężne kobiety nie pilnowały specjalnie języka w rozmowie z akuszerką, w dodatku wdową!

Wielkie, mniej więcej pięciocentymetrowe, niezdarne inicjały Branforda zostały wycięte na górnej części jej piersi. Niełatwo było

Julii omijać je wzrokiem. Z czasem ogniście czerwone szramy zblak-ły teraz były to wypukłe białawe blizny. Julia nie czuła właściwie nic, gdy powiodła po nich palcem. B - czyli Branford - był to tytuł jej męża, który zniknął zarówno z życia Julii, jak i z tego świata. D - jak Daventry - miało oznaczać jego świetną przyszłość. Cóż za ironia losu! Być może w końcu Julia zostanie hrabiną Daventry. Tyle że będzie miała wówczas (Bogu dzięki!) innego męża.

Poprawiła koszulę i szlafrok i znów ułożyła się na kanapie, patrząc nieobecny wzrokiem w migoczący na kominku ogień. Miała zaledwie szesnaście lat, gdy ojciec oznajmił jej, że ma poślubić syna i spadkobiercę hrabiego Daventry.

Julia była przygotowana na to, że poślubi kogoś utytułowanego - należało tego oczekiwać ze względu na jej wysoką pozycję i arystokratyczne pochodzenie. Teoretycznie mogłaby się temu sprzeciwić, gdyby po spotkaniu z Branfordem uznała, że jest dla niej odrażający. Ona jednak była oczarowana narzeczonym, którego wybrał ojciec.

Pamiętała do dziś uśmiech, jaki rzucił jej Branford podczas pierwszego spotkania. Ciemnowłosego wicehrabia był taki przystojny i elegancki... I zapewniał, że jest zachwycony perspektywą poślubienia tak pięknej i wytwornej damy.

Jakże Julia pragnęła wierzyć, że jest naprawdę piękna i elegancka! Jakaż dziewczyna nie pragnęłaby tego? Kiedy Branford ją pocałował, by przypieczętować w ten sposób ich zaręczyny, była już w nim prawie zakochana. Ich wesele stało się najważniejszym wydarzeniem sezonu. Zaszczyciło je swym udziałem aż siedmiu członków rodziny królewskiej! No cóż, córka księcia Castletona w pełni zasługiwała na taki honor.

Teraz, z perspektywy czasu, Julia dostrzegała, iż od samego początku pewne oznaki świadczyły o tym, że z Branfordem jest coś nie w porządku. Czy to tylko jego błyskotliwy urok i niekiedy zjadliwy dowcip sprawiały, że czuła się nieswojo w jego towarzystwie?... Miewał też ataki wesołości, które przyczyny nie mogła odgadnąć... A jednak ignorowała wszystko, co podszeptował jej instynkt!

Branford pozbawił ją dziewictwa w sposób przerażająco brutalny, potem jednak obejmował ją czule, tłumacząc, że tak bywa zawsze. Dopiero znacznie później Julia uświadomiła sobie, że mąż wcale nie starał się oszczędzić jej cierpienia, a pod przykrywką fałszywego współczucia kryła się rozkosz, jaką sprawiało mu zadawanie jej bólu.

Była normalną młodą kobietą i z początku zdarzało się, że znajdowała przyjemność w pożyciu małżeńskim. Coraz częściej jednak kończyło się na płaczu. Branford przeproszał z pozorną szczerością, a Julia dochodziła do wniosku, że wina musi leżeć po jej stronie. To ona była za młoda, za mała, za głupia, żeby stać się żoną z prawdziwego zdarzenia!

Tak się tego wstydziła, że nie rozmawiała z nikim na ten temat. Była przecież lady Julią Raines, wicehrabiną Branford - i nie powinna ujawniać swoich słabości.

Dopiero po jakimś czasie dostrzegła niezdrowy blask w oczach męża, gdy sprawiał jej ból. Jeszcze później zdała sobie sprawę z tego, że mąż niekiedy zadaje sobie trud, żeby ją zadowolić, tylko po to, by znów się łudziła, że wszystko w ich małżeństwie da się naprawić i będą odtąd zawsze szczęśliwi. Kiedy tak utwierdzała się w miłości do męża, stawała się jeszcze bardziej bezbronna. Łatwiej mógł ją zranić.

Była zrozpaczona, gdy po raz pierwszy Branford przyznał się, że poszedł do łóżka z inną kobietą, a ta okazała się nieskończenie bardziej satysfakcjonującą partnerką od niej - jego żony. Niebawem jednak myśl o kolejnych kochankach męża zaczęła sprawiać jej ulgę. Niestety, nie zaniedbywał całkiem swojej żony. Jego obowiązkiem było przecież spłodzenie syna i spadkobiercy.

Julia witała z radością wyjazd męża do Londynu, gdyż dzięki temu mogła żyć w spokoju. W samotności miała okazję do rozmyślań i doszła do wniosku, że ich małżeństwo jest z gruntu złe. Schodziła Branfordowi z drogi, gdy powracał do wiejskiej rezydencji. Rosła też jej odporność na zadawane przez męża duchowe tortury oraz na wszelkie próby manipulowania nią. Doprowadzało to Branforda do furii.

I wtedy zaczął ją bić.

Na wieść o tym, że jest w ciąży, omal się nie załamała. Wkrótce jednak dostrzegła pewną szansę odzyskania wolności. Jakże pragnęła urodzić Branfordowi zdrowego syna! Zamierzała też zająć się osobiście wychowaniem dziecka - do chwili, gdy zostanie wysłane do szkoły z internatem. W końcu zwróciła się do męża z prośbą, by wyraził zgodę na separację. To żądanie wyzwoliło w nim, z całą siłą, brutalność, sadyzm i skrajny egoizm.

Czy mogła załatwić sprawę inaczej? Była zbyt dobrze wychowana, by wywołać rodzinny skandal, a myśl o ucieczce nawet nie przyszła jej do głowy. Wśród małżeństw arystokratycznych nierzadkie były przypadki separacji: mąż i żona żyli osobno, każde po swojemu. Julia zamierzała spełnić swój obowiązek, dając mężowi dziedzicę. Ponieważ Branford czuł dla niej tylko pogardę, powinien być zadowolony: mógł trzymać się od żony z daleka, zapewniwszy już sobie spadkobiercę!

Ale wicehrabiemu nie przypadło do gustu takie rozwiązanie. Omal nie zabił żony. Jeszcze dziś Julia drżała na wspomnienie tamtej ostatniej, straszliwej nocy, gdy odżywała z całą wyrazistością w jej pamięci.

Popiół na kominku zapadł się - i to pomogło jej uświadomić sobie przerażającą prawdę: cieszyła się z tego, że Branford umarł.

Świadomość, że przyczyniła się do jego śmierci, ciążyła jej przez te wszystkie lata nieznośnym brzemieniem. Nigdy w życiu nie skrzywdziłaby z rozmysłem żadnej żywej istoty!

Gdyby jej mąż ocalał, Julia nie miałaby najmniejszego wpływu na dalsze życie. Czy ma czuć się winna tego, iż ogarnęła ją ulga? Być może. Ale i tak nie odmieni to przeszłości. Jeśli więc jednemu z nich tamtej nocy była pisana śmierć, Julia cieszyła się, że zginął Branford, nie ona.

Okrutny, nieszczęsny, szalony Branford!... Dorzuciła do ognia i zapatrzyła się na iskry, ulatujące w górę paleniska. Gniew i ból, niczym płonące węgle, paliły jej duszę. Julia wyobraziła sobie, że rzuca do ognia swój gniew, płomienie pożerają go, a popioły znikają



w mroku nocy. Jedno po drugim, oddawała bolesne wspomnienia na pastwę żywiołu. Branford nie był już w stanie jej skrzywdzić - chyba że sama pozwoli mu na to.

Nie, nie pozwoli! Nigdy więcej.

Głęboko w jej sercu zaczęła nieśmiało rozkwitać - jakże jeszcze słabiutka - nadzieja na osiągnięcie spokoju. Skulona na kanapie, myślała o tym, że ów spokój zawdzięcza dobroci drugiego męża i temu, że potrafił przyjąć ją taką, jaka była - niedoskonała i okaleczona.

Gdyby spotkała Randalla, mając szesnaście lat, czy zrobiłby na niej wrażenie? Wyobraziła go sobie jako chudego chłopaka, małowównego, ale przeżywającego wszystko bardzo głęboko; nie przypominał jeszcze tego imponującego mężczyzny, jakim się miał stać. Aż strach pomyśleć, że w szesnastej wiosnie życia wybrałaby może z nich dwóch bardziej sztywnego Branforda!

Teraz jednak była dorosłą kobietą, doświadczoną przez życie. Co na temat nowo poślubionego męża podszeptowała jej intuicja? Że był człowiekiem honoru, który nigdy nie skrzywdziłby jej z rozmysłem! Branford podbił ją uśmiechem, gdy spotkali się po raz pierwszy, Randall przy pierwszym spotkaniu odstraszył ją chmurną miną. Stokroć bardziej wolała teraz jego szczerą, choć nachmurzoną twarz od czarującego, ale fałszywego uśmiechu Branforda.

Choć przyjęła oświadczenia Randalla z zamiarem rozwiązania małżeństwa, gdyby nie układało się jak należy, nie doceniła powagi przysięgi. Złożyła ją dwukrotnie - najpierw przed ołtarzem, a potem tej pierwszej nocy, zanim Alex wyszedł z pokoju. Obiecała pozostać z nim na dobre i złe. Nie będzie łatwo wycofać się z tego ślubu!

Czy dla Randalla nie byłoby lepiej, gdyby się jej pozbył? Powiedział, iż nie ma dla niego znaczenia to, że jest bezpłodna... ale czy nie zmieni zdania teraz, gdy rozstał się z wojskiem i wrócił do normalnego życia? Może jednak powinna go opuścić, żeby znalazł sobie inną, nieokaleczoną żonę?

Nie! Nie miała prawa podejmować za niego takiej decyzji. Wybrał właśnie ją, nieważne, z jakiego powodu. Opuszczając go, sprawi mu ból, a nie zasługiwał na to!

Ponieważ była to godzina prawdy, Julia przyznała w duchu, że woli mieć za męża Randalla niż kogokolwiek innego. Odpowiadał jej jego cierpki humor i mądrość, a także rosnąca zażyłość między nimi. Najbardziej zaś zdumiewające było to, że podobają się jej także jego silne ciało, pełne wewnętrznego ognia, i twarz o regularnych rysach, niezdradzająca uczuć.

On także miał swoje blizny. Może razem łatwiej zdołają je zaleczyć?

Ponieważ rzeczy Randalla poprzedniego dnia przeniesiono do „gniazdka dla nowożeńców”, Alex nie miał innego wyjścia i musiał następnego ranka udać się na górę. Nie był pewien, jakie go czeka powitanie, ale Julia dała mu przynajmniej słowo, że nie ucieknie w środku nocy.

- Proszę!

Głos Julii brzmiał całkiem normalnie. Randall zastał ją już ubraną do podróży w niebieską suknię. Wydawała się spokojna. Ani śladu wczorajszego załamania.

- Są tu moje ubrania - bąknął tonem usprawiedliwienia.

- Tak, wiem. Czekałam na ciebie. - Wskazała na tacę, na której znajdował się imbryczek świeżo zaparzonej herbaty, filiżanki i słodkie bułeczki. - Pokojówka właśnie nam to przyniosła. Może napijesz się herbaty?

- Z przyjemnością. - Zamknął drzwi, rad, że wszystko wróciło do zwykłego porządku. - Jak się dziś czujesz?

Nie była to tylko zdawkowa formułka.

Julia sięgnęła po imbryczek. Uśmiechnęła się z goryczą.

- Spędziłam noc, zmagając się z duchami, ale chyba je pokonałam.

Zmusił się do wypowiedzenia słów, których nie można było uniknąć.

- Czy życzysz sobie unieważnienia małżeństwa? Nie powinno być z tym trudności, ponieważ nie zostało skonsumowane. Nasze wstępne porozumienie mówiło wyraźnie, że wolno mi cię dotykać,

ale ty w każdej chwili możesz powiedzieć „nie!”, jeśli będziesz miała tego dość. Być może... była to dla ciebie zbyt ciężka próba. - Czując, że jego słowa zawisły niezręcznie między nimi, dodał: - Cokolwiek postanowisz, zrobię co w mojej mocy, by cię obronić przed Daven-trym.

Julia zastygła z imbryczkiem w ręku.

- A ty? Czy życzysz sobie unieważnienia? Byłoby to... całkiem zrozumiałe w obecnej sytuacji. Uprzejmość godna dżentelmena nakazywała dostosować się do jej życzeń, teraz jednak wybiła dla nich godzina szczerości. Świadom, że jego odpowiedź może zaważyć na całym ich dalszym życiu, odparł:

- Nie życzę sobie wcale unieważnienia naszego małżeństwa! Ale skoro nie możesz znieść mego dotyku, to chyba jedyne możliwe rozwiązanie.

Julia odstawiła imbryczek, przeszła przez pokój i stanęła na wprost Raridalla. Spoglądając na niego przenikliwym wzrokiem, przyłożyła dłoń do jego twarzy. Major nie zdążył się ogolić, z pewnością wyczuła szczecinę nowego zarostu.

- Przepraszam za wczorajszą noc - powiedziała cicho. - To się już nie powtórzy, nigdy więcej! - Z lekkim wahaniem pochyliła się i objęła go w pasie. Drżąc lekko, przytuliła się do niego, jakby w zwolnionym tempie: najpierw poczuł dotyk jej piersi na swoich piersiach, potem przylgnęła do niego mocniej, wreszcie oparła głowę na jego ramieniu.

Był poruszony tym milczącym dowodem zaufania. Żołnierz szturmujący warowne miasto nie okazałby więcej odwagi niż ta drobna kobietka, która czubkiem głowy sięgała zaledwie jego podbródka. Gdy pogłaskał ją po włosach, poczuł wyraźny zapach lawendy.

- Wydarzenia ubiegłej nocy były bardzo... pouczające - mruknął. - Wolałbym jednak nie przeżywać tego raz jeszcze!

Julia zaśmiała się lekko. Poczuł ciepło jej oddechu na rękawie szlafroka.

- Czekają nas jeszcze inne przeszkody do pokonania... Ale najtrudniejszą chyba właśnie pokonaliśmy. Potem żadne z nich już nic nie powiedziało. Trzymali się tylko w objęciach. Randall gładził Julię po plecach, czuł pod palcami łuki jej żeber i kręgosłup. Przymknął oczy i napawał się tym, co uznał za najcudowniejsze w swojej żonie: jej słodyczą i zapachem lawendy  
Nie była to wprawdzie noc poślubna, o której tak marzył, ale zawsze jakiś początek.

## 16

*Julia*, przekonała się, że jej powrót do Rose Cottage był pewnym rozczarowaniem. Stukała do drzwi wiele razy, nie doczekała się jednak odpowiedzi. A drzwi były zamknięte na klucz, jak stwierdziła, próbując je otworzyć. Przez te wszystkie lata, które spędziła w Hartley, drzwi jej domku niemal zawsze stały otworem.

- Pewnie Jenny Watson wyszła gdzieś na dłużej - stwierdził Randall.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz! - Julia przesunęła ręką pod zewnętrznym parapetem w oknie bawialni. Znakomicie! Klucz nadal był schowany w dawnym miejscu. Otworzyła drzwi i weszła do środka, po czym odetchnęła z ulgą. - Chyba wszystko w porządku!

Domek wyglądał schludnie i widać było, że ktoś w nim mieszka. Uśmiechnęła się, gdy bury kot wychynął, nie wiedzieć skąd i zaczął się ocierać o jej nogi.

- No, jakże się miewasz, Wąsik? - spytała czule.

- Nie wygląda na to, żeby głodował - zauważył Mackenzie. Gdy weszli do domku, Rose Cottage nagle zmałał, stał się wręcz miniaturowy.

- Życie idzie naprzód, a Jenny i Wąsik najwyraźniej dają sobie nieźle radę, choć mnie tu nie ma.

W głosie Julii słyhać było prawdziwą ulgę.

## 129

- Jakoś dziwnie znowu tu być, prawda? - spytał Randall.

- Rzeczywiście.

Zmarszczyła czoło, zastanawiając się nad własnym odczuciem.

- Wszystko wygląda tak samo, ale moje życie wywróciło się do góry nogami. Od tylu lat byłam panią Bancroft, osobą użyteczną, niemającą wrogów... a teraz pani Bancroft przestała istnieć. Raz na zawsze.

- Przecież nigdy naprawdę nie istniała - zauważył cicho Randall.

- No cóż... chyba tak.

A jednak pani Bancroft wydawała się jej taka realna przez te wszystkie lata!

- Czy spakowanie rzeczy zajmie ci dużo czasu?

Pokręciła głową. Niewiele rzeczy dawnej akuszerki przyda się jej w nowym życiu.

- Do czasu, gdy się z tym uporam, Jenny i Molly powinny wrócić i będziemy mogli się pożegnać.

Randall chciał coś powiedzieć, ale się zawahał.

- Powinienem zajrzeć do Hartley Manor. Wszyscy tam dowiedzą się z przyjemnością, że jesteś już bezpieczna, aja chciałbym się upewnić, czy Wielki Turek wrócił zdrowo i cało. Nie powinienem jednak zostawiać cię samej.

Wszyscy troje mieli się na baczności, zwłaszcza jadąc z Carlisle do Hartley. Choć nie natrafili nigdzie na żaden ślad Crocketta i jego ludzi, Julia zauważyła, że Randall nadal zachowuje czujność.

- Ja zostanę z lady Julią - odezwał się Mackenzie. - Nie spuszczę jej z oka.

- Znakomicie! - Randallowi wyraźnie ulżyło. - Wracając przez miasteczko, zamówię dla nas nocleg w gospodzie. I wrócę tu jak najszybciej.

- Nic mi się nie stanie! - zapewniła go Julia. - Nie musisz się o mnie martwić.

- Może i nie - przyznał. - Ale Hartley to jedyna miejscowość, gdzie Crockett będzie się chciał zacząć, w nadziei że tu wrócisz.

Mackenziemu wyraźnie poprawił się humor.

- Nie ma to jak odrobina rozrywki! Julia zadrzała.

- Ja wolałabym się nudzić!

- Zrobię, co w mojej mocy, żebyś nudziła się w małżeństwie ze mną, ile dusza zapragnie! - Randall roześmiał się, pocałował lekko Julię w policzek i wyszedł.

Gdy turkot powozu ucichł w dali, Julia spytała:

- Może napije się pan herbaty albo mego imbirowego piwa, panie Mackenzie?

- Piwo imbirowe bardziej mi odpowiada!

Mackenzie wszedł za nią do kuchni. Julia naląła z wysokiej butli do dużej szklanicy mile pachnący pienisty napój. Mac, skosztowawszy go, pochwalił:

- Wyśmienite! Jeśli zdecyduje się pani kiedyś uciec od Randalla i zacząć nowe życie, może pani z powodzeniem zostać piwowarem.

Julia, która nalewała sobie właśnie piwa imbirowego do małej szklaneczki, wzdrygnęła się.

- Doprawdy nie mam ochoty żartować na ten temat.

- Najmocniej przepraszam! Moje poczucie humoru jest nie do przyjęcia. - Głos mu wyraźnie spoważniał. - Ale zapewniam panią: Randall w niczym nie przypomina Branforda.

- Znał pan mego pierwszego męża?

- Nasze ścieżki w Londynie krzyżowały się od czasu do czasu. - Mackenzie się skrzywił. -

Zapamiętałem pewien incydent, gdy byłem na tyle nieostrożny, by wygrać z nim w karty w jednym z tych podrzędnych „piekiełek”. Oskarżył mnie wtedy o oszustwo, ale byłem tam dobrze znany, a Branford zrażał sobie ludzi na każdym kroku, ostatecznie więc wyrzucili za drzwi jego, a nie mnie. Ma się rozumieć, wściekł się na mnie za to i z dwoma kompanami zaatakował mnie, gdy stamtąd wychodziłem. Cud boski, że nie zatłukli mnie na śmierć!

Było to niepokojąco podobne do innych wyczynów Branforda.

- Jak udało się panu ujść z życiem?

- Ashton akurat przejeżdżał tamtędy, wracając do domu z jakiegoś bardziej szacownego klubu. Zauważył bijatykę i poznawszy mnie, zatrzymał powóz. Branford i jego kompani uciekli na widok odsieczy. Zawsze można było ufać Ashtonowi, że znajdzie się tam, gdzie jest najbardziej potrzebny!

- Zawiadomił pan policję o tym, że na pana napadli? Mac pokręcił głową.

- A któż potraktowałby poważnie moje oskarżenie! To w końcu lord Branford, przyszedł hrabia Daventry... a cóż ja? Bękart o wątpliwej reputacji. Ponieważ i tak miałem zamiar opuścić Londyn na jakiś czas, wyjechałem, uznawszy, że ten incydent czegoś mnie nauczył: lepiej trzymać się z dala od ludzi, którzy nie umieją przegrywać!

Julia zastanawiała się, czy Branforda dałoby się jakoś poskromić i utrzymać w karbach, gdyby choć raz musiał ponieść konsekwencje swoich podłych czynów? Bogactwo i ogromne znaczenie jego rodziny chroniły go skutecznie od wszelkich, choćby nie wiadomo jak zasłużonych kar. Jedynym człowiekiem, z którym Branford się liczył, był jego ojciec - a zaślepiony hrabia święcie wierzył, że ukochany syn nie jest zdolny do popełnienia niczego złego.

Dopiła piwo.

- Najwyższy czas zacząć się pakować!

Odstawiła szklaneczkę i poszła do swojej dawnej sypialni. Nic się tam nie zmieniło, zupełnie jakby Jenny miała nadzieję, że Julia wróci. A może po prostu nie mogła uwierzyć, że domek należy teraz do niej? Od dziś naprawdę tak będzie. Julia zapisała Jenny Rose Cottage w swojej skreślonej w pośpiechu ostatniej woli. Ponieważ jednak nie umarła, przeniesie zgodnie z prawem tytuł własności na swą uczennicę, zanim opuści na zawsze Hartley. Jenny i jej córeczka będą miały zapewniony dach nad głową. Większość pamiątek Julii była schowana w dolnej szufladzie ko-módkki. Kilka sztuk biżuterii po matce, niezbyt cennych, mających jednak dla niej wartość pamiątki. Tomik poezji (prezent od babki) i inne drobiazgi, pochodzące z dzieciństwa i wczesnej młodości. Za-

brała też kamyk, znaleziony nad morzem i ofiarowany jej przez Molly, gdy dziecko raczkowało beztrąsko po plaży. Nie zachowała niczego z czasów swego pierwszego małżeństwa. Jedyne pamiątki z tamtego okresu nosiła na własnym ciele.

Spakowawszy te okruchy przeszłości do torby podróżnej, Julia pomyślała o dwóch dniach, które minęły od jej dramatycznej drugiej nocy poślubnej. Wspólna podróż w niewielkim, zamkniętym powozie okazała się niezłym sposobem na oswojenie się z ciągłą obecnością niedawno poślubionego małżonka. W towarzystwie Mackenziego Julia i Randall nie poruszali istotnych tematów, a mimo to, gdy zatrzymali się w zajeździe na pierwszą noc, Julia była gotowa spędzić ją w jednym pokoju z mężem. Kiedy jednak bez słowa pościelił sobie na podłodze, poczuła do niego ogromną wdzięczność. Wszystko zatem szło we właściwym kierunku, choć bez zbędnego pośpiechu.

Julia przejrzała jeszcze zawartość biurka, a potem pozostałych pokoi, ale dodała niewiele do torby podróżnej. Nawet notatki, dotyczące poszczególnych pacjentów, postanowiła zostawić w Hartley na użytek Jenny.

Ponieważ ani jej uczennica, ani Randall jeszcze nie wrócili, Julia ruszyła na poszukiwanie Mackenziego, który usadowił się wygodnie w pokoju od frontu.

- Pakowanie zajęło mi mniej czasu, niż sądziłam - stwierdziła. - Mam zamiar przejść się teraz na plażę i pożegnać z morzem.

Mac dopił resztkę imbirowego piwa.

- Będę pani towarzyszył.

- Szczerze mówiąc, wolałabym pójść sama. Naprawdę nie sądzę, żeby mi była potrzebna eskorta.

- Randall wygarbowałby mi skórę, gdybym nie poszedł z panią. - Mackenzie wstał. Niemal dotykał głową niskiego sufitu. - Proszę też zostawić kilka słów do niego, żeby wiedział, gdzie nas szukać, gdy wróci!



Julia mogła sobie tylko wyobrazić, jak poczułby się Randall, gdyby po powrocie zastał domek pusty. Nakreśliła więc krótki liścik i przypięła go do drzwi frontowych. Potem wyszła z domu, z Mackenzie u boku.

- Jak stąd daleko do morza? - zagadnął Mac.

- Dziesięć minut spacerowym krokiem. W całym Hartley nie ma ani jednego domu, od którego nie biegłaby dróżka na plażę!

Zawsze zachwycała ją silna więź z morzem miasteczka, w którym tak się zadomowiła.

Ruszyła przodem po ścieżce biegnącej między wzgórzami. Na ich stokach pasły się owce. Wyszli następnie na wąski pas piasku i kamieni, odgradzony od pastwiska kamiennym murem, żeby owce nie powłaziły bezmyślnie do morza.

- To tutaj fale wyrzuciły na brzeg ciało utopionego Ashtona? - spytał Mackenzie.

- No, nie całkiem utopionego... I nie tutaj, tylko po drugiej stronie cypla, prosto pod wejście do Hartley Manor. - Wskazała ręką na północ. - Bogu dzięki, że Mariah go znalazła! Do rana pewnie by umarł z zimna. Szła ostrożnie po zbitym, ciemnym piasku, omijając wygładzone przez wodę kamienie i kępy splełanych wodorostów. Ta mała plaża była jej ulubioną samotnią - miejscem, które odwiedzała, gdy pragnęła rozkoszować się spokojem. Kochała morze, które nie podlegało działaniu czasu. Mackenzie, być może, odgadł jej uczucia, gdyż szedł za nią w odstępnie kilku kroków.

Nagły huk - a może był to ostry trzask? - odbił się echem od powierzchni wody. Po chwili znów coś huknęło. W odległości kilku cali od Julii fontanna piasku trysnęła w powietrze. Przecież to niemożliwe, żeby ktoś strzelał?

Mackenzie zaklął, chwycił Julię za ramię i pociągnął w dół, za kamienny mur odgradzający pastwisko od morza. Zaparło jej dech, gdy przygniótł ją do ziemi, osłaniając własnym ciałem.

Ni stąd, ni zowąd Mac wyjął - licho wie skąd - pistolet. Nabił go z wprawą i, wystawiając głowę ponad mur, wystrzelił. Huknęło tak,

że Julia omal nie ogłuchła. Nic dziwnego, znajdowała się tuż obok strzelającego. Mackenzie błyskawicznie schylił się i zniknął za murem, gdy odpowiedziano na jego strzał.

Nabijając ponownie broń, zauważył ze spokojem:

- Coś mi się zdaje, że pani prześladowcy nas odnaleźli!

Serce Julii zabiło gwałtownie, ale udało się jej opanować drżenie głosu:

- Czyli że Randall miał rację.

Padły dwa następne strzały. Mac spojrzął na piasek, smagany kulami.

- Jest ich dwóch i zapędzili nas w kozi róg. Ale nic nam nie grozi, bo marni z nich strzelcy. Nie mogą podejść bliżej, bo wystrzelalibyśmy ich jak kaczki. Ale i my nie mamy się dokąd wycofać. Klasyczny pat!

- Jak długo to może potrwać?

Julia sięgnęła pod siebie i wydobyła ostry kamyk, który wpijał się jej w biodro. Rano z pewnością będzie miała siniaki! Mackenzie wzruszył ramionami. Wytknął znów głowę nad ogrodzenie i skrył się natychmiast, gdy kolejna kula przeleciała obok niego.

- Niedługo. Randall usłyszy strzały i zabierze się do tych drani, skoro tylko wróci od Townsendów.

Julia pomyślała, że Mac bagatelizuje sprawę i rzuciła kąśliwie:

- Jak widzę, ufa pan bezgranicznie talentom Randalla!

- I nie bez powodu.

Wychylił się ponad mur i strzelił. W odpowiedzi na jego wystrzał rozległy się dwa inne. W zachowaniu i ruchach Maca było coś dobrze Julii znanego. Po chwili zrozumiała co.

- Pan też służył w wojsku?

- Owszem, w Portugalii, pod dowództwem Randalla. - Mackenzie rzucił jej bezczelny uśmiech pirata.

- Ale zostałem zdegradowany i odesłano mnie z powrotem do Anglii.

Zdegradowany. Pozbawiony stopnia oficerskiego. Ale nie za tchórzostwo! Julia była tego pewna.

- Z powodu jakiejś kobiety? - spytała na chybił trafił. Roześmiał się.

- Jest pani doprawdy zbyt domyślna!

Kiedy poruszyła się, chcąc przybrać wygodniejszą pozę, Mackenzie położył jej na ramieniu wielką dłoń i przycisnął do ziemi.

- Niechże się pani nie wierci! Ten murek nie jest zbyt wysoki.

- Pan jest w większym niebezpieczeństwie niż ja, bo ciągle się pan wychyla zza tego muru! - zaprotestowała.

Znowu wzruszył ramionami.

- Mówiłem już, patałachy nie mają pojęcia o strzelaniu.

Kilka następnych minut dłużyło się w nieskończoność. Przeciwnicy strzelali, a Mac im odpowiadał, by zniechęcić ich do podejścia bliżej. Julia leżała na zimnym piasku, ostre kamyki wrzynały się jej w plecy. Żałowała, że nie potrafiła należycie docenić spokojnego życia, które dotąd wiodła.

Znów rozległ się strzał. Mackenzie nastawił ucha.

- Randall włączył się do akcji! Spojrzała na niego zdumiona.

- Skąd pan wie, że to on?

- Strzela z karabinka. To brzmi zupełnie inaczej niż pukawki tamtych dwóch!

- Ma pan mnóstwo niezwykłych talentów, panie Mackenzie! - zauważyła cierpko.

- Tylko żaden z nich się nie przyda, gdybym chciał żyć, jak Pan Bóg przykazał! - Sprawdził pistolet i cały się sprężył, jakby gotował się do skoku. - Pomogę Randallowi! Wyrówna to nasze szanse.

Chwyciła go za ramię, chcąc odwieść od tego zamiaru.

- Zastrzelą pana, Mac!

- Nie, Randall odwróci ich uwagę! - tłumaczył Mac, wysuwając rękę z jej uścisku. - Orientuję się całkiem nieźle, gdzie się dranie przyczaiły, we dwóch rozprawimy się z nimi raz-dwa! Niech pani tu leży i nie rusza się, póki nie będzie znów bezpiecznie. Randall albo ja przyjdziemy po panią!

I już go nie było. Poruszał się bardzo szybko, mimo że był zgięty wpół. Julia leżała - nieruchoma jak kamień - licząc uderzenia swojego serca. Trudno uwierzyć, że upłynęło zaledwie kilka minut.

Wydawało się jej, że minęły wieki.

Nagle posypała się lawina strzałów. Julia drżała, nie umiejąc odróżnić, jak Mac, odgłosów jednego rodzaju broni od drugiego. Co gorsza, usłyszała jakiś krzyk. A potem drugi. Czy krzyczał ten sam człowiek, czy kilku? Czy to głos Randalla?... Niczego nie była pewna.

Instynkt lekarza nakazywał jej wstać i sprawdzić, czy ktoś nie jest ranny. Nie była jednak taka głupia, by umyślnie wystawiać się na strzały. Wbiła paznokcie w piasek i siłą woli starała się opanować rosnące w niej napięcie.

W końcu zamknęła oczy i modliła się, by jej mężowi i Macowi nic się nie stało. Wiedziała, że te obawy są wręcz niestosowne - przecież zarówno Randall, jaki Mackenzie byli pewni zwycięstwa. Ona jednak miała prawo się bać!

- Julio!

Randall z karabinkiem w ręku popędził na maleńką plażę. Z pewnością jego żona była bezpieczna... ale musiał przekonać się o tym na własne oczy.

Drobna postać wyskoczyła zza kamiennego muru i rzuciła się w ramiona majora.

- Tak się bałam, że coś się stanie! No i jak wam poszło? Z panem Mackenzie też wszystko w porządku?

Randall objął ją mocno i czuł, jak wali jej serce. Było mu bardzo przykro, że się niepokoiła... ale jak wspaniale wiedzieć, że martwi się o niego!

- Napastników było dwóch - raportował zwięźle. - Jeden zginął, drugi uciekł. Żaden z nich nie był Crockettem. Mac oberwał, ale to tylko zadrapanie, nic poważnego.

Odetchnęła z ulgą. Przez chwilę jeszcze tuliła się do męża.

- Lepiej przyjrę się jego ranie. Jesteś pewien, że jeden z tych łotrów nie żyje?

- Jak najbardziej.

Wolał, żeby Julia nie zobaczyła wszystkiego. Otoczył ją opiekuńczym ramieniem, gdy ruszyli ścieżką pod górę.

Zabity leżał na samym szczycie, twarz miał zasłoniętą płaszczem. Kilka kroków dalej, na kamiennym ogrodzeniu siedział Mackenzie. Był bardzo blady. Julia obejrzała prowizoryczny opatrunek na jego lewym ramieniu. Na fularze, którego użyto jako bandaża, widniały szkarłatne plamy, ale ręka już nie krwawiła.

- Trzeba będzie oczyścić ranę i na nowo zabandażować, ale na razie to musi wystarczyć. - Z niepokojem przyjrzała się pobladłej twarzy Maca. - Czy to pańska jedyna rana? Wygląda pan, jakby miał zaraz zemdleć.

- Mac nie lubi widoku krwi - wyjaśnił Randall.

- Jak pan w takim razie mógł znieść życie w wojsku, panie Mackenzie?!

- Cudza krew nie robi na mnie wrażenia - odparł Mac z urazą. - Tylko na widok własnej mam mdłości.

Randall był pełen podziwu dla Julii: nawet się nie uśmiechnęła! Spytała z całą powagą:

- Zdoła pan wrócić na piechotę do mego domku? Opatrzę tam pana jak należy.

- Im prędzej, tym lepiej!

Mac wstał, choć niezbyt pewnie trzymał się na nogach.

Randall chwycił go za zdrowe ramię, żeby podtrzymać. Zasłabnięcia Maca, ilekroć się zranił, mogły się wydawać zabawne, zwłaszcza u tak potężnego mężczyzny o żołnierskiej postawie. Była to jednak całkiem realna przypadłość.

- Townsendowie wrócili już do domu. - Randall usiłował zabawiać przyjaciela rozmową. - Wszyscy troje otrzymaliśmy od nich zaproszenie, z noclegiem włącznie. Skoro tylko Julia opatrzy ci rękę, idziemy do dworu!

- Znakomicie! - ucieszyła się Julia. - Miałam nadzieję, że zobaczę się z nimi przed wyjazdem z Hartley. - Popatrzyła na zwłoki i przygryzła wargę. - Sprawdzę, czy to jeden z porywaczy.  
- Sprawdź, jeśli musisz - zgodził się niechętnie Randall. Przyklęknął przy zmarłym i odsłonił jego twarz. Kula przeszła czaszkę łotra, ale nie zniekształciła jego twarzy.  
- To on powoził - powiedziała Julia bezbarwnym głosem. - Ani razu nie słyszałam jego nazwiska. Randall pomyślał, że to wielka szkoda, iż nie zastrzelił ich prowodyra, Crocketta.  
- Townsend jest sędzią pokoju, to z pewnością pomoże w załatwieniu sprawy - powiedział. Zostawili za sobą zwłoki i szli dalej, do dawnego domku pani Bancroft. Julia po raz ostatni popatrzyła na morze. Randall domyślił się, że w przyszłości nie będzie już wspominała swej ulubionej samotni, „własnej” plaży, z takim sentymentem.

## 17

Z westchnieniem zachwyty zanurzyła się w gorącej kąpieli. Dzień był długi i męczący, ale Townsendarzowie wprowadzili w Hartley Manor imponującą ilość nowoczesnych ulepszeń od czasu, gdy Charles wygrał tę posiadłość w karty. Do takich właśnie wygod należała duża przenośna wanna, ukryta za parawanem w sypialni Randallów.

Zanim Julia opatrzyła w Rose Cottage ramię Mackenziego, Jenny i Molly zdążyły wrócić do domu. Wszystkie trzy witały się wylewnie, nie szczędząc gorących uścisków ani łez. Jenny była szczerze uradowana tym, że jej mentorka jest zdrowa i bezpieczna, Julia spostrzegła też, że jej uczennica weszła już prawie w rolę miejscowej akuszerki. I bardzo dobrze! Jenny Watson będzie doskonale pasowała do Hartley, a Hartley do niej.

## 134

Wkrótce po przywitaniu nastąpiło jeszcze bardziej łzawe pożegnanie, a następnie Julia wraz z swą eskortą udała się do dworu. Townsendarz dopiero tego ranka powrócili z podróży. Charles Townsend zamierzał właśnie powiadomić listownie księcia i księżnę Ashton o porwaniu Julii, gdy zjawił się Randall. Dziedzic Hartley Manor mógł zapewnić Ashtonów, że ofiara porwania jest już bezpieczna. Większą część dnia wypełniły ożywione rozmowy na temat wysokiej pozycji towarzyskiej, jaką w rzeczywistości zajmowała Julia, a także jej małżeństwa z majorem. Sarah Townsend, bliźniaczka Mariah, uznała, że to niezwykle romantyczna historia. Julia miała nadzieję, że naiwnej dziewczynie los oszczędzi podobnie „romantycznych” przeżyć.

W czasie gdy Julia zażywała kąpieli, Randall i Mackenzie przeszli do gabinetu Charlesa Townsendarza, by przekazać mu - jako sędziemu pokoju - dość bezładną relację z wtargnięcia na teren Hartley uzbrojonych zbirów oraz przekonać go, że zastrzelenie jednego z nich było koniecznością. Julia zastanawiała się początkowo, kto - Randall czy Mac - zabił łotra. . . i w końcu doszła do wniosku, że woli tego nie wiedzieć. Obaj byli żołnierzami i obaj wykonali po prostu coś, co trzeba było wykonać. Jak dalece zbliżone do normalności okaże się jej przyszłe życie? Miała nadzieję, że Randall nie mylił się, twierdząc, iż hrabia Daven-try przywoła do nogi swoje psy myśliwskie, dowiedziawszy się o ich małżeństwie. Nie wyobrażała sobie dalszego życia w nieustannym strachu przed skrytobójcami! Niemal jeszcze gorsze było to, że i inni mogli paść ofiarą wściekłości Daventry'ego...

Przymknęła oczy i rozkoszowała się gorącą kąpielą z dodatkiem wonnego olejku lawendowego. Musiała chyba zdrzemnąć się na chwilę, gdyż ocknęła się zaskoczona, gdy ktoś nagle otworzył drzwi sypialni.

- Julio! - zawołał Randall.

Choć wanna była ukryta za parawanem, Julia poczuła się okropnie: była naga, sam na sam w sypialni ze swoim mężem! Wygramoliła się z wanny, starając się nie zachlapać dywanu.

- Tak mnie urzekła ta gorąca kąpiel, że zapomniałam o czasie! -bąknęła, sięgając po ręcznik.

Usłyszała brzęknięcie szkła o drewno.

- Nie musisz się spieszyć - odparł Randall. - Townsend kazał wstawić drugą wannę do mojej garderoby, ja też jestem już po kąpieli.

Nocna koszula i szlafrok Julii wisały na parawanie. Ubrała się i wyszła z ukrycia, rozczesując włosy. Randall usadowił się w jednym z foteli. Po kąpieli włożył tylko spodnie i nawet nie wciągnął w nie koszuli. Wilgotne włosy wydawały się nieco ciemniejsze. Był wypoczęty, zadowolony i zabójczo wręcz przystojny. - Widzę, że znacznie lepiej niż ja znosisz, gdy ktoś usiłuje cię zabić! - powiedziała Julia cierpkim tonem. - Po prostu mam w tym względzie większe doświadczenie. Zwrócił uwagę Julii na stolik, ustawiony między dwoma fotelami.

Stały na nim kieliszek koniaku i kubek, z którego unosiła się para.

- Przyniosłem koniak dla siebie - wyjaśnił - i jakiś osobliwy napitek, do którego (jak zapewniła kucharka) masz wyraźne upodobanie. Zdaje się, że to gorące mleko z dodatkiem korzeni i jakiegoś trunku. - O! To posset, specjalność Mariah! - ucieszyła się Julia. Wzięła z toaletki szczotkę do włosów i usiadła w fotelu na wprost Randal-la. - Jak to miło ze strony pani Beckett, że o tym pamiętała! Mariah nauczyła się od swojej babki przyrządzania rozmaitych domowych leków i kordiałów, do których zalicza się i ten specjał. Posset jest wyjątkowo smaczny i po męczącym dniu działa kojąco. Nie masz ochoty skosztować? Alex zmierzył niepewnym wzrokiem kubek, z którego popijała Julia.

- Może innym razem - wymówił się.

Odstawiła mleczny specjał i znów wzięła do ręki szczotkę, starając się rozczesać jak najdokładniej wilgotne, splątane włosy.

- Czy zabicie jednego ze zbirów Crocketta spowoduje jakieś kłopoty?

- Townsend uważa, że troje świadków tak szacownych jak ty, ja i Mackenzie wystarczy, by zakwalifikować ten przypadek jako w pełni



usprawiedliwione zabójstwo. Prawdę mówiąc, uznanie Maca za osobę godną szacunku to lekka przesada! - Uśmiechnął się.

- Pokpiwasz sobie z niego, ale mu ufasz! Dziś opiekował się mną nad wyraz troskliwie.

- Byłem tego pewien! Jest absolutnie godny zaufania, jeśli chodzi o naprawdę ważne sprawy. -

Randall ze zmarszczonymi brwiami przyglądał się żonie, szczotkującej włosy. - Spoglądasz w lustro najrzadziej ze wszystkich pięknych kobiet, jakie znam!

Julia zeszywniała. Coś ją ścisnęło w żołądku. Dopiero po dobrych kilku minutach zdołała odpowiedzieć:

- To dlatego, że wcale nie jestem piękna. Zdecydowanie wolę się nie przyglądać własnemu odbiciu.

- Ależ jesteś piękna, Julio! - zapewnił ją z przekonaniem. - Wiem, że przez wiele lat musiałaś się ukrywać... ale teraz nie jest to już konieczne!

Spoczywające na kolanach ręce Julii zacisnęły się mocniej na szczotce do włosów.

- Od tamtej nocy w Edynburgu staram się jakoś pogodzić ze swym potwornym oszpeceniem. Ale to... wymaga czasu.

- Nie jesteś wcale oszpecona! - oświadczył stanowczo. - Owszem, masz blizny na swoim ślicznym ciele, ale piękność nie potrzebuje doskonałości! Zresztą, te blizny są prawie niedostrzegalne.

- Aleja nie potrafię zapomnieć, że je mam... i czuję się odrażająca - odparła ze ściśniętym gardłem.

Wolałaby, żeby mąż porzucił ten temat i nigdy już do niego nie wracał.

Randall wypił łyk koniaku.

- Bardzo mi przykro, że twoim zdaniem jestem odrażający - powiedział. - Miałem nadzieję, że wydam ci się przynajmniej... dość przystojny.

Spojrzała na niego.

- Jak możesz mówić takie głupstwa? Jesteś piękny! Irytująco piękny. Z pewnością doskonale o tym wiesz!

- Jeśli blizny są czymś potwornym, to muszę być odrażający -odparł bardzo spokojnie. - Sama widziałaś, jak wygląda mój prawy bok i prawa noga, a nie są to bynajmniej moje jedyne blizny. Wątpię, czy kiedykolwiek widziałaś człowieka tak pokrytego bliznami jak ja!

Wpatrywała się w niego jak urzeczona, gdy obracał się, żeby mogła przyjrzeć się jego plecom, zanim znów spojrzą sobie twarzą w twarz. Szerokie ramiona Aleksa, jędrne, muskularne ciało i smukła talia były piękne, ale istotnie pokryte bliznami wszelkiego rodzaju. Prawy bok ucierpiał od szrapnela jeszcze bardziej niż noga. Całe ciało przypominało mapę drogową, poznaczoną śladami walk i cierpienia.

Julii zaschło w ustach; dotknęła cienkiej, długiej, białej blizny wokół prawego barku.

- Jak to się stało?

- To ślad francuskiej szpady. Zapoznałem się z nią podczas odwrotu do La Coruńy. Ja paskudnie się wykrwawiłem, ale mój przeciwnik nie żyje. - Zmarszczył brwi i przyglądał się swojemu ciału. - Każda z tych blizn ma, oczywiście, swoją historię... ale, prawdę mówiąc, już nie pamiętam, w jakich okolicznościach zdobyłem je wszystkie. Po większej części były to lekkie rany. Goi się na mnie jak na psie, ale szramy pozostają.

- Masz doprawdy imponującą kolekcję blizn! - przyznała. -O większości z nich pewnie nikt nie wie. Uniósł brwi z lekką ironią.

- Ty jednak twierdzisz, że nawet ukryte blizny czynią człowieka odrażającym.

- W twoim przypadku to całkiem co innego! Te blizny są godne szacunku. To dowody męstwa!

- Przede wszystkim dowody tego, że nie zawsze byłem dość zręczny, by uskoczyć w porę. - Ukląkł przed nią i zanim się domyśliła, co zamierza zrobić, zsunął jej z ramion koszulę i szlafrok i objął piersi Julii dużymi, ciepłymi dłońmi.

Zaparło jej dech. Miała wrażenie, że poraził ją grom.

- Przestań!

- Kiedy postanowiliśmy się pobrać, wyraziłaś zgodę na to, żebym cię dotykał - powiedział spokojnie.  
- Czy aż tak cię to przeraża? Przysięgam, że nie chcę cię zniewolić! - Odetchnął głęboko. - ...Choć jest to dla mnie ciężka próba. A więc: czy to mój dotyk tak cię niepokoi? A może to, że ktoś patrzy na twoje blizny?

Julia miała ochotę uciec... Albo kopnąć z całej siły uparciucha! Zamiast tego popatrzyła jednak na blizny, szpecące górną część jej piersi, i zmusiła się do zastanowienia.

- Twoje dotknięcie nie jest dla mnie przykre. - Prawdę mówiąc, ciepły uścisk jego twardych dłoni sprawiał jej wyraźną przyjemność. - Ale z powodu blizn czuję się odrażająca. Okropnie zeszpecona.

- To, co ci uczyniono, było niewypowiedzianie ohydne. Ale to wcale nie znaczy, że ty jesteś odrażająca!

Zaczął powoli, delikatnie, gładzić kciukami jej sutki.

Znów miała wrażenie, że poraził ją piorun. Tym razem piorun dobroczynny, niósł ze sobą rozkosz. Piersi, których tak nienawidziła, nadal były zdolne odpowiedzieć na pieśczęotę. Sutki stwardniały pod wpływem rytmicznych, zmysłowych ruchów palców.

- Jestem pewien, że gdybyś poślubiła kogoś rozsądnego i wiodła zwyczajne życie wśród zwyczajnych ludzi, byłabyś teraz równie piękną i dobrą kobietą - mówił Randall. - Brakowałoby ci jednak siły i tego, co sprawia, że jesteś jedyna w swoim rodzaju! Usta Julii wykrzywił grymas.

- Powinnam zatem być wdzięczna moim katom za tortury, jakie mi zadawali? Za to, że zmusili mnie do upozorowania własnej śmierci, do ucieczki, do życia w nędzy?

- Wdzięczna? Nie! Ale wszystkie te przeżycia stanowią część ciebie, Julio, tak samo jak te piękne kasztanowate włosy i cudowna, kremowa... - z trudem przełknął ślinę - .. rozkoszna w dotyku skóra! Każdego z nas kształtuje życie. Twoje było twarde, ale dzięki temu jesteś urzekająca.

Ona miałaby być urzekająca? Chętnie by w to uwierzyła, ale podobne myśli wydawały się jej czymś zupełnie dziwnym.

- Jestem... jestem ci wdzięczna za to, co usiłujesz zrobić - powiedziała drżącym głosem, odpychając jego ręce. - Ale nie zniosę już dziś niczego więcej!

Godząc się z jej decyzją, Randall delikatnie poprawił jej koszulę i szlafrok na ramionach, po czym wstał z klęczek i odsunął się od żony. Julia odetchnęła z ulgą.

A ponieważ nagi tors Aleksa zbyt rozpraszał jej uwagę, znów zażyła łyżeczkę kojącego possetu, nim wróciła do szczotkowania włosów.

- Nie jestem pewna, czy uleczysz moją duszę, Alexandrze, czy też doprowadzisz mnie do szaleństwa!  
- oznajmiła kwaśno.

- Mam nadzieję, że dokonam tego pierwszego.

Otworzył bielizniarkę i wyjął z niej swój ciemnoniebieski szlafrok. Osłonięcie nim pięknego ciała męża pomogło Julii nieco się skupić, ale intensywny błękit podkreślał barwę jego jasnych włosów i niebieskich oczu. Spuściła wzrok. - Bardzo bym chciał, żeby nasze małżeństwo się dopełniło, milady. Sądzę jednak, że stanie się to dopiero wówczas, gdy oboje pogodzimy się z naszymi bliznami. Tymi na ciele i tymi na duszy. - Uśmiechnął się. - A to oznacza, że masz prawo sprzeciwiać mi się zawzięcie, gdybym próbował zaprzeczyć temu, co nie ulega wątpliwości! Oczy Julii się zwężyły.

- Jeśli ty masz prawo dotykać mnie każdego dnia... to może ja codziennie będę cię wypytywać o pochodzenie twoich blizn? - Proszę bardzo, choć nie wydaje mi się, żeby to podziałało na mnie tak skutecznie, jak moje zabiegi na ciebie! Chociaż... niektóre z tych blizn są pamiątką bólu zarówno duchowego, jak i fizycznego. Jeśli zapytasz o którąś z nich, może uda ci się wywołać ból, zbawienny w skutkach. - Które to blizny? - spytała z zainteresowaniem.

- Sama musisz je odnaleźć wśród całej reszty.

Wyjął z bielizniarki dwa złożone koce i rozpostarł je na podłodze. Julia zorientowała się, że mąż przygotowuje sobie posłanie.

- Nie rób tego! - zaprotestowała. - Chętnie położę się z tobą do łóżka, byleś nie liczył na nic więcej.

- A zatem mamy już pewien postęp! - stwierdził z uśmiechem. Julia tak bardzo pragnęła przytulić się do niego. Uważał, że jest urzekająca! Spodobało jej się to, choć nie mogła uwierzyć w jego słowa.

Randall wszedł za parawan, żeby przebrać się w nocny strój. Ponieważ był znacznie wyższy od Julii, nad parawanem widać było wyraźnie jego potężne ramiona.

Pragnąc spokoju, a nie zamętu w myślach, Julia odwróciła wzrok, a następnie wypila do końca mleczno-korzenny napój.

- Z pewnością od razu zasnę, gdy tylko przyłożę głowę do poduszki!

Wstała, zdjęła szlafrok i wślizgnęła się pod kołdrę, po czym przesunęła się na „swoją” stronę łóżka.

Randall wynurzył się zza parawanu i zaczął gasić światła.

- Chciałabyś spędzić tu jeszcze jeden dzień? Charles Townsend zaproponował, żebyśmy zabawili nieco dłużej. Miałabyś dzięki temu więcej czasu na pożegnanie z przyjaciółmi.

- O tak, jeśli tylko nie spieszy ci się do Londynu.

Z trudem powstrzymała ziewnięcie. Nie przesadziła, mówiąc o swym zmęczeniu i senności.

Zgasiwszy wszystkie światła, Randall także położył się do łóżka. Materac ugiął się pod jego ciężarem, a Julia zsunęła się po gładkim prześcieradle i przywarła do boku męża.

- Przepraszam!

Usiłowała powrócić na dawne miejsce.

- Czemu uciekasz? - Podłożył jej rękę pod głowę i przyciągnął żonę do siebie. - Po co spać w jednym łóżku, jeśli nie mielibyśmy się nawet dotknąć?

Jego uścisk był raczej przyjacielski niż zmysłowy, nie odsunęła się więc od niego. Choć Branford często domagał się, by z nim współżyła, zupełnie go nie interesowały takie serdeczne uściski. Julii natomiast odpowiadało ich miłe ciepło, czuła się spokojna i bezpieczna.

Do chwili, gdy jej dłoń otarła się niechcący o jego pobudzoną męskość. Alex zeszywniał, zaparło mu dech. Julia odskoczyła, wydając zdławiony pisk.

- Nie chciałam! Naprawdę nie chciałam!

- Wiem! - Nie odsunął się od niej, tylko wziął ją za rękę i splótł palce z jej palcami. - Choć czynimy postępy, mamy jeszcze długą drogę do przebycia. - Uścisnął mocno rękę Julii. - Czy już ci mówiłem, jak bardzo cię podziwiam za odwagę, z jaką stawiałaś czoło swoim demonom?

Uśmiechnęła się krzywo w ciemności.

- Nie sądzę, żebym okazała zbyt wiele odwagi. Za każdym razem, gdy wywierałeś na mnie nacisk, chciałam po prostu uciec! Chociaż... dzisiaj przez chwilę miałam ochotę porządnie cię kopnąć!

Jego śmiech był niski i głęboki.

- Rad jestem, że tego nie zrobiłaś, ale chęć walki zamiast ucieczki to, moim zdaniem, dobry znak. Jesteś doprawdy zdumiewającą niewiastą! Przeciwności sprawiają, że wyrastamy ponad przeciętność. Właśnie dlatego Mariah jest znacznie bardziej interesująca niż Sarah, nawet jeśli są bliźniaczkami, równie pięknymi i miłymi. Niewinność, prawdę mówiąc, to nic ciekawego.

- Z pewnością niewielu mężczyzn zgodziłoby się z tobą! Wzruszył ramionami.

- Gusta są różne. Mnie podobają się kobiety, które znają już drogi bólu i ciemności.

- Bo lepiej cię rozumieją? - spytała cicho. Zapadło długie milczenie, zanim odpowiedział:

- Uważam, że celem małżeństwa powinno być przeniknięcie się nawzajem, aż do głębi. Ciebie byłoby na to stać.

- Podobnie jak ciebie. Ośmielona ciemnością, Julia spytała:

- Czy to bardzo boli... kiedy jesteś pobudzony i nie możesz zaspokoić żądzy?

- Założę się, że to Branford naopowiadał ci takich rzeczy - zauważył sucho. - Owszem, długotrwałe pobudzenie bywa nieco...

uciażliwe, ale bardzo rzadko jest nie do zniesienia. Tylko smarkacz, nie dorosły mężczyzna, pozwala, by rządziły nim zmysłowe zachcianki!

Z Branfordem właśnie tak się sprawy miały. Ją zaś prawo zmuszało do zaspokajania owych zachcianek.

- Jako akuszerka spędziłam kilka ostatnich lat przeważnie w towarzystwie kobiet i małych dzieci - powiedziała po namyśle. - Zaczynam sobie uświadamiać, jak mało wiem o dorosłych mężczyznach!

- Nie przejmuj się: należysz do tych, co się szybko uczą! - Raz jeszcze uściśnął jej dłoń. - W każdym razie bardzo szybko dowiedziałaś się wielu rzeczy o mnie. Co się zaś tyczy pobudzenia, to ma ono zdecydowanie więcej dobrych stron niż przykrych konsekwencji. Gdy jestem pobudzony, wiem, że żyję. A przez długi czas niemal o tym zapomniałem.

Wolałaby nie myśleć o jego krainie ciemności... Gdyby jednak nie wycierpiał tyle, nie byłby w stanie jej zrozumieć. I nie mógłby jej pragnąć.

Przewróciła się na bok i pocałowała go lekko w policzek.

- Spij dobrze, Alexandrze!

Jego szept: „Spij dobrze, milady!”, towarzyszył jej nawet w krainie snów.

## **18**

Julia wierciła się niespokojnie na siedzeniu powozu. Przeżyła ostatnie dwanaście lat w spokojnych, prowincjonalnych miasteczkach, nie oddalając się nigdy bardziej niż o parę mil od domu. Całkiem odwykła od długich podróży. Randall i Mackenzie okazywali znacznie więcej wytrzymałości niż ona.

Major wyglądał przez okno.

- Szybko nam minęła ta podróż! Dojeżdżamy właśnie do Grantham.

Julia wyjrzała przez okno i nie zauważyła nic szczególnego.

- Pewnie jeździsz tak często Wielkim Północnym Traktem, że znasz na pamięć całą drogę! Czy zatrzymamy się w Grantham, czy pojedziemy dalej, do następnej stacji pocztowej?

- Znosiłaś bardzo dzielnie te wlokące się w nieskończoność dni podróży. - Uśmiech Randalla pełen był zrozumienia. - Grantham może się poszczycić jednym z najlepszych zajazdów pocztowych, to wprost idealne miejsce, by spędzić w nim noc.

Mackenzie siedział naprzeciw nich i bez większego przekonania grał w kości sam ze sobą - prawa ręka przeciwko lewej. Nie odrywając wzroku od gry, mruknął:

- Moja matka umarła w Grantham.

- Nie wiedziałem o tym - odparł zaskoczony Randall.

- A skąd miałeś wiedzieć? - Mac zebrał kości i potrząsnął nimi. - Jak wiesz, była aktorką. Jechaliśmy na północ, bo chciała przyłączyć się do trupy występującej w hrabstwie York. Zmarła nagle.

Julia przypomniała sobie, że Mac był wtedy tylko małym dzieckiem.

- Był pan przy tym? Jakie to okropne!

Mackenzie rzucił kości na siedzenie obok siebie i wpatrywał się w nie. Jego twarz była całkiem pozbawiona wyrazu.

- Na szczęście garderobiana matki okazała się zaradną kobietą. Zadbła o to, by pochowano ją na tutejszym cmentarzu parafialnym, a potem spakowała moje rzeczy i zawiozła mnie do wiejskiej rezydencji ojca.

- Widywał pan już wcześniej lorda Mastertona? - zainteresowała się Julia.

- Raz czy dwa... Pamiętam, że powiedział: „Jest bardzo podobny do mego syna Willa, ale nie ma jego dobrych manier”. - Mackenzie uśmiechnął się od ucha do ucha. - Do dziś się to nie zmieniło!

Roześmiali się wszyscy troje, ale Julia zauważyła:

- Całe szczęście, że garderobiana wiedziała, gdzie przebywa lord Masterton, i że pana tam odwiozła!



- Zabrała za swoje trudy całą biżuterię matki i jej stroje - odparł sucho Mac. - Ale rzeczywiście miałem szczęście. Mogła mnie zostawić w Grantham na łasce tutejszej parafii.

- Dobrze się też złożyło, że lord Masterton uznał cię za syna -dodał Randall. - Może nie był wzorem cnotliwego życia, ale dbał o swoich chłopców. Spędziłem niejedne wakacje z Willem, Makiem i z resztą ich rodziny. Julia domyśliła się, że Alex odwiedzał kolegów, żeby się nie spotykać z Branfordem. I nagle coś się jej przypomniało.

- Nie myślałam o tym od lat... ale Branford miał nieślubnego syna. Urodził się jakiś czas przed tym, nim zaszłam w ciążę. Branford często mi dokuczał, że jakoś się nie kwapię do obdarzenia go potomkiem, choć taki z niego ogier! Ciekawe, co się stało z tym chłopcem? Musi mieć teraz dwanaście... a może trzynaście lat. Mackenzie zmarszczył brwi.

- Czy dziecko pozostawało pod opieką matki?

Julia zastanawiała się przez chwilę, ale w końcu pokręciła głową.

- Chyba tak... ale niczego więcej nie pamiętam. Mac zasepił się jeszcze bardziej.

- Mam nadzieję, że po śmierci wicehrabiego nie zapomniano o chłopcu. Musiał być wtedy małym brzdącem...

- Ostatecznie jego matka mogła zwrócić się do Daventry'ego, gdyby została bez grosza po śmierci Branforda - zauważył Randall.

Miał bez wątpienia słuszność, ale Julia jakoś nie mogła zapomnieć o chłopcu. Każde dziecko powinno mieć porządny dom! Gdy wjechali na główną ulicę Grantham, Mackenzie dał znak woźnicy, by zatrzymał konie. - Chyba wysiądę i przejdę się trochę, by rozprostować nogi! Spotkamy się w zajeździe. Zamówisz pokój i dla mnie, Randall? Zakładam, że zatrzymacie się Pod Aniołem i Księciem? Major skinął głową.

- Gdyby nie mieli tam wolnych pokoi, staniemy w najbliższej oberży, przy tej samej ulicy. Zapomniałem, jak się oberża nazywa, ale znajduje się tuż za Aniołem i Księciem.

- W takim razie znajdę was bez trudu.

Powóz przystanął i Mackenzie pośpiesznie wysiadł.

Gdy zatrzasnął już drzwiczki za sobą i oddalił się, Julia oznajmiła:

- Mam ochotę pójść w ślady pana Mackenziego. Mnie też przydałoby się rozprostować nogi!

- Bardzo wątpię, czy Macowi zależy teraz na towarzystwie. -Randall wskazał na wyraźnie widoczną za oknem strzelistą, kościelną wieżę. - Wspomniał, że jego matka została pochowana na parafialnym cmentarzu. Przypuszczam, że chce odwiedzić jej grób.

- W takim razie oczywiście zostawię go w spokoju. - Julia opadła na swoje miejsce. - Pamiętam, że kiedyś bywaliśmy w tym zajeździe, Pod Aniołem i Księciem. Było to bardzo dawno temu. Moja rodzina zawsze zatrzymywała się w Grantham, ilekroć podróżowaliśmy na północ... dopóki mój ojciec nie rozgniewał się strasznie na właściciela i od tej pory nigdy już nie zajrzał Pod Anioła. - Julia pokręciła głową, w której kłębiły się wspomnienia. - Ten właściciel nazywał się Beaton. Dziwne, że to pamiętam! - Obecny właściciel jest zapewne synem Beatona, którego zapamiętałaś. - Randall wziął żonę za rękę, ponieważ byli teraz sami. -Czy twój ojciec często wpadał w gniew?

- Mam wrażenie, że był nieustannie poirytowany. Nic dziwnego, że tak się rozsierdził na mnie, gdy jego zdaniem ściągnęłam hańbę na Rainesów.

Powóz zatrzymał się przed szeroką kamienną fasadą zajazdu Pod Aniołem i Księciem. Randall wyskoczył pierwszy, a następnie pomógł Julii przy wysiadaniu.

- Gniew to taka niepotrzebna strata energii! A dobrowolna rezygnacja z wygod pierwszorzędного zajazdu to skończona głupota.

- Mając przyjaciół na północy, musisz często podróżować tą drogą - zauważyła Julia, gdy weszli do wnętrza zajazdu i czekali na pojawienie się właściciela.

- Aż zbyt często! Zazwyczaj podróż Wielkim Północnym Traktem jest okropnie nudna: za oknami migają tylko w przelocie pola, miasteczka i stacje pocztowe. - Uśmiechnął się przekornie. -

A najtrudniejsza do zniesienia była dla mnie ta droga, gdy towarzyszyłem Mariah i Ashowi z Hartley do Londynu. Ty odgrywałaś wówczas rolę przyzwoitki Mariah, a ja marzyłem tylko o tym, by znaleźć się na drugim końcu świata! Julia się roześmiała.

- Miałeś taką srogą minę, jakbyś zamierzał siłą wyrzucić mnie z powozu!

- Obecna podróż jest o całe niebo miłsza, kiedy już przestałem zмагаć się z losem i zostałem twoim mężem. - Ton jego głosu nadal był lekki, ale oczy spoglądały poważnie. - Mil do przebycia nadal jest wiele, a drogi są równie wyboiste... ale za to łóżka stały się znacznie wygodniejsze!

Zaczerwieniła się, ale odpowiedziała mu uśmiechem. Od chwili gdy Randall powrócił znów do wspólnego łóżka, zachowywał się jak skończony dżentelmen, dotrzymywał słowa i nigdy nie narzucał się jej z pieszczotami. Był okropnie zażenowany, gdy pewnego ranka, zaraz po obudzeniu, spostrzegł, że dotyka ręką jej piersi. Dobrze wiedząc, że zrobił to niechcący, we śnie, Julia spokojnie odsunęła jego dłoń, i leżeli jeszcze przez kilka minut, przytuleni do siebie, zanim wstali. Im więcej czuła do niego zaufania, tym łatwiej było jej uwierzyć w to, że zostaną kiedyś kochankami... choć jeszcze nie teraz.

Zjawił się wreszcie właściciel zajazdu, człowiek znacznie młodszy od tego, którego Julia zapamiętała. Był jednak podobny do swego poprzednika, sympatyczny i uprzejmy.

- Jak to miło gościć znów pana u nas, panie majorze! Czy zatrzyma się pan na dłużej?

- Tylko na tę noc - odparł Randall. - Proszę o jeden pokój dla mnie i mojej żony, i drugi dla pana Mackenziego, który niebawem się tu zjawi.

Twarz Beatona zajaśniała radością, gdy składał ukłon Julii.

- Pozwoli pan, majorze, że złożę mu gratulacje. Życzenia wszelkiej pomyślności, łaskawa pani Randall! - Zajrzał do księgi gości. - Mają państwo szczęście: oczekujemy, co prawda, licznego towarzystwa, ale narożny pokój, który tak panu odpowiada, majorze, jest

wolny... a także nieco mniejszy dla pana Mackenziego, dwoje drzwi dalej.

Przez okno dobiegł głośny turkot zatrzymujących się przed zajazdem powozów. Julia domyśliła się, że przybyło właśnie liczne towarzystwo, którego się spodziewał pan Beaton. Randall wpisał ich nazwiska do rejestru, Julia zaś zdjęła czepek, myśląc przy tym, że jeśli dopisze pogoda, powinni dotrzeć do Londynu za półtora dnia. Miała gorącą nadzieję, że tak się właśnie stanie.

Lokaj we wspaniałej liberii wszedł do zajazdu i przytrzymał otwarte drzwi, gdyż wkraczał właśnie jego pan. Niezbyt wysoki, ale niezmiernie władczy mężczyzna z zarozumiałą miną wszedł szybkim krokiem do zajazdu Pod Aniołem i Księciem. Z tyłu za nim tłoczyła się liczna świta, prawie niedostrzegalna w blasku jego wielkości.

Spojrzenia Julii i nowo przybyłego się spotkały. Wydała zdławiony jęk, nie wierząc własnym oczom. Dobry Boże, nie! Dlaczego ze wszystkich zajazdów Anglii właśnie tu musiał trafić?!

Przybysz znieruchomiał w pół kroku. Na jego twarzy odbiło się niedowierzanie, a na koniec wściekłość. Po chwili dłużącego się nieznośnie milczenia wybuchnął:

- Podobno umarłaś?!

Julia żałowała, że nie może zemdleć na zamówienie, unikając tym sposobem okropnego spotkania... ale nie było wyjścia. Odezwała się więc nieco drżącym głosem:

- Bardzo mi przykro, że sprawiam ci taki zawód, ojcze! Pogardliwe spojrzenie księcia Castletona przemknęło po postaci

Randalla, który odwrócił się na głos żony.

- Czy to twój najnowszy kochanek, Julio? - szydził ojciec. -Przypuszczam, że tak właśnie zarabiasz na życie. Do niczego innego się przecież nie nadajesz!

Zjadliwy ton jego głosu podział na nią jak siarczasty policzek, zachwiała się i omal nie upadła.

Podtrzymała ją silna, ciepła dłoń Randalla, która zacisnęła się na jej łokciu. Mrużąc oczy, major wycedził:

**153**

- Możesz być ojcem Julii, wasza książęca mość, aleja nikomu nie pozwolę znieważać mojej żony!
- Przyznała ci się do tego, że zamordowała swego pierwszego męża, szlachetnego młodego dżentelmena? - warknął Castleton. - A potem, któż to wie? Mogła jeszcze zabić tuzin innych!
- To absurd, mości książę - odparł Randall z lodowatym spokojem. - Każdy ojciec, obdarzony choćby odrobiną ludzkich uczuć, ucieszyłby się, że jego dawno utracona córka żyje... ale niewiele widać w księciu z normalnego ojca, jeśli oddał swe dziecko na pastwę takiego okrutnika jak Branford. To wasza książęca mość, nie Julia, zhańbił nazwisko Rainesów!
- Jak śmiesz, mój panie! I kim właściwie jesteś?! Randall skłonił się od niechcienia, z lekką ironią.
- Major Randall, do usług. Jeśli książę życzy sobie satysfakcji, służę z przyjemnością. Uprzedzam jednak, że powszechnie uchodzę za dobrego strzelca i biegłego szermierza.

Oczy księcia się zwięzły.

- Czy nie jesteś przypadkiem krewnym Daventry'ego?
- Jestem jego bratankiem i spadkobiercą. - Randall błysnął zębami w uśmiechu. - Tak więc lady Julia zostanie pewnego dnia hrabiną Daventry, choć tym razem wyszła za mąż z własnego wyboru, a nie z twojego, mości książę!

Spoglądając z nienawiścią na swego przeciwnika, Castleton warknął:

- Pozbądź się tej hołoty, Beaton! Nie będę nocował pod jednym dachem z takimi kreaturami!

Właściciel zajazdu, który obserwował przykrą scenę z niepokojem, ale i z pewną fascynacją, odparł grzecznie:

- Bardzo mi przykro, wasza książęca mość, ale ci państwo są już zapisani w księdze gości. Zapewniam księcia pana, że nie zetknie się z nimi więcej, gdyż ich pokoje znajdują się po przeciwnej stronie domu.

Książę wpatrywał się w Beatona z niedowierzaniem.

- Przedkładasz tych ludzi nade mnie?!

- Nie mam żadnych podstaw do tego, by odmówić miejsca w moim zajeździe majorowi Randallowi i lady Julii - odparł Beaton. - Zachowują się nad wyraz uprzejmie.

Ta zawołana przygana pod adresem księcia nie chybiła celu.

- Takiś sam jak twój ojciec, łotrze! - krzyknął Castleton.

- To dla mnie komplement - odparł niewzruszony Beaton. - Podziwiałem ojca pod każdym względem.

- Moja noga nigdy więcej nie postanie w tej podłej dziurze! - Księżę zwrócił znów lodowaty wzrok na Julię. - Miałem dla ciebie nieco szacunku, gdym myślał, żeś odebrała sobie życie, by odkupić winy.

Ale widzę, że jesteś tylko tchórzliwą oszustką. Nie mam już córki!

Castleton obrócił się na pięcie, by opuścić zajazd, gdy Randall odezwał się twardym głosem:

- Julia obejdzie się doskonale bez ojca, pozbawionego ludzkich uczuć. Ale ma prawo do swojej części schedy i nie możesz jej tego odmówić, księżę! Zmuszę cię do uznania jej praw. Mój doradca prawny skontaktuje się z twoim.

Ojciec Julii rzucił przez ramię piorunujące spojrzenie na majora, po czym, wzburzony, opuścił zajazd, trzaskając drzwiami. W ślad za nim poszła jego świta. Po chwili pełnej napięcia ciszy Beaton odezwał się ze spokojem:

- Jego księżęca mość przestał zaszczycać swą obecnością nasz zajazd jeszcze za życia mojego ojca.

Potem jednak postanowił dać mi szansę, gdy przejąłem rodzinną firmę. Ale znów się okazało, że Anioł i Księżę nie spełniają jego wymagań.

- Przykro mi, że doznałeś przeze mnie uszczerbku w interesach. - Randall był naprawdę zmartwiony. Beaton wzruszył ramionami.

- Księżę Castleton rzadko tu zagląda i zawsze są z nim kłopoty. Pan, majorze, i pańscy przyjaciele jesteście częstymi gośćmi, zawsze mile widzianymi. - Przeszedł do spraw bardziej prozaicznych: -

Może chcieliby państwo zjeść dziś sami, w prywatnej jadalni?

Randall spojrzał badawczo na żonę.

- Zjemy nieco później, w naszym pokoju.

Julia skinęła głową, była mu wdzięczna za tę decyzję. Pragnęła ukryć się przed ludźmi jak ścigany lis.

- Powiadom pana Mackenziego, kiedy się zjawi, co się tu wydarzyło, Beaton. Ale wolałbym, żebyś nie rozmawiał na ten temat z nikim innym - dodał Randall.

- To oczywiście. Któż by chciał, żeby jego sprawy rodzinne wałkowano publicznie? - mruknął Beaton.

- Proszę za mną, panie majorze, lady Julio...

Julia prawie nie zdawała sobie sprawy z tego, że wchodzi po schodach na górę. Czuła jedynie podtrzymującą ją rękę męża. I wiedziała, że nie jest zdana wyłącznie na siebie.

Kiedy to po raz ostatni jakiś mężczyzna ujął się za nią?

Nigdy.

## **19**

**Gdy** tylko Beaton pozostawił ich samych w przestronnej sypialni, Julia rzuciła się mężowi w objęcia, kryjąc twarz na jego ramieniu. Jej smukłe ciało wydawało się takie kruche... Randall obejmował ją, żałując, że nie potrafił oszczędzić żonie okropnej sceny.

- Tak mi przykro, że zostałeś narażony na coś podobnego!

- To nie ty powinnaś przeproszać! - odparł Randall gorzko. Wyjął czepek z jej zdrętwiałych paluszków i rzucił go na łóżko. - Czy twój ojciec zawsze był takim złośliwym?

Zastanowiła się.

- Nie jestem pewna. Jako mała dziewczynka byłam zbyt dobrze ułożona, by wywołać jego gniew.

Widywałam go rzadko, a jeśli już spotkaliśmy się, był zawsze bardzo sztywny i oficjalny. W myśli przeważnie nazywałam go księciem, nie ojcem. Wydaje mi się, że on nie znosi kobiet. - Zadrżała. - A potem... pojechałam do niego po śmier-

ci Branforda, a on był dla mnie taki okropny! Nie wiedziałam, że jest w nim tyle złości.

- Teraz już lepiej rozumiem, czemu porzuciłaś swoje dawne życie.

Randall dałby nie wiem co, by pognać za Castletonem i pobić go do nieprzytomności, ale oparł się tej pokusie. Jakoś nie wypadało potraktować w ten sposób teścia, bez względu na to, jak bardzo sobie zasłużył na podobną nauczkę. Zamiast tego Alex zajął się włosami Julii - wyjął z nich szpilki i rozczesywał palcami opadające na ramiona loki.

- Składam hołd sile twego charakteru i jestem ci wdzięczny, że nie rzuciłaś się wtedy do morza, żeby utonąć. - Kusiło mnie to, bardzo kusiło... - Usłyszał jej zdławiony śmiech. - Ale byłam zbyt uparta, żeby się poddać! Nie wiem, czy można to nazwać siłą charakteru?

- 'W każdym razie bardzo mi ją przypomina. Masował koniuszkami palców skórę jej głowy i ucieszył się, widząc, jak napięte rysy Julii łagodnieją.

- Wiedziałam, że mój ojciec będzie oburzony, kiedy wrócę do świata żywych, ale miałam nadzieję, że dowie się o tym w jakiś inny sposób - powiedziała ze smutkiem. - Ujrzał mnie nieoczekiwanie, żywą i zdrową, i to sprawiło, że doszły w nim do głosu najgorsze cechy charakteru. Podejrzewam, że najbardziej rozwścieczyło go to, iż wywiodłam go w pole: uwierzył w moje samobójstwo.

- Jedno dobre, że masz to już za sobą. - Randall przesunął kojąco ciepłą dłoń wzdłuż jej pleców. - Wątpię, czy nawet Daventry mógłby do tego stopnia wytrącić cię z równowagi!

- To prawda. Wyraźnie się uspokoiła, spytał więc:

- Chcesz, żebym sobie poszedł?

- Nie! Nie!

Objęła go z całej siły, jakby się obawiała, że ktoś zechce ją oderwać od męża. Randall poczuł ogromne zadowolenie.

- Nie chcesz się ze mną rozstać? No to chyba znów zrobiliśmy kilka kroków do przodu! - Wziął Julię na ręce i usiadł na niewielkiej



kanapie, trzymając żonę na kolanach. Wydała cichutki, rozczulający pisk i przytuliła się do niego, kryjąc twarz na jego ramieniu. - Castle-ton, Daventry, Branford... Czy wszyscy mężczyźni w twoim życiu mieli takie charaktery? Jaki jest twój brat?

- Anthony?... Nie mam pojęcia, jak przyjmie wieść o tym, że żyję. W dzieciństwie byliśmy sobie bardzo bliscy, ale nie widziałam go od tak dawna! Wysłano go do Eton, gdy tylko był dość duży, by pójść do szkoły z internatem... Miał zaledwie czternaście lat, kiedy wyszłam za mąż i opuściłam dom.

- Julia przygryzła wargę. - Wolałam nie myśleć o Anthonym. Był niegdyś moim kochanym, małym braciszkiem, ale od tylu już lat nosi tytuł markiza Stoneleigh... Może stał się zarozumiałcem nie do zniesienia, jak mój ojciec?

- Cóż za przygnębiająca myśl! Sądzę, że już niebawem dowiesz się prawdy. - Randall zmarszczył brwi. - Do tej pory nie zastanawiałem się nad tym, jak ułożą się twoje stosunki z rodziną, kiedy przyjedziemy do Londynu. Stoneleigh jest twoim najbliższym krewnym. Może napiszesz do niego, żeby dowiedział się o wszystkim od ciebie, a nie od ojca?

- Oczywiście! Jutro poranną pocztą wyślę list do Anthony'ego, choć, być może, ojciec zdąży go powiadomić wcześniej. Napiszę także do mojej babki, że odwiedzę ją niebawem! Może już wyjawic wszystkim, że żyję.

- Będiesz tematem najbardziej sensacyjnych plotek w eleganckim świecie co najmniej przez tydzień!

- prorokował Randall. - Może nawet przez dwa tygodnie?

- Z pewnością nie tak długo! - Julia uniosła głowę, by spojrzeć mężowi w oczy. Z ciemnymi włosami, opadającymi na ramiona wyglądała bardzo młodo i ślicznie. - Skąd wiedziałeś, że mam jakieś prawa do rodzinnego majątku? Kiedy zerwałam z moim dawnym życiem, sprawa spadku zupełnie wyleciała mi z głowy; od tamtej pory nie poświęcałam temu ani jednej myśli!

Randall wzruszył ramionami, nie przestając gładzić miękkiej wypukłości jej biodra.

- Twoja matka pochodziła bez wątpienia z arystokratycznego rodu. Musiał zatem zostać spisany kontrakt małżeński, a w nim określono, co przypadnie każdemu z dzieci, zrodzonych z tego związku. Może nawet dziedziczysz jakąś posiadłość?

- Moja matka pochodziła z rodu Howardów. - Julia uśmiechnęła się niewesoło. - Podobno płynie w moich żyłach najbardziej błękitna krew w Brytanii. Znacznie szlachetniejsza od krwi tych parweniuszy z Hanoweru, którzy zasiadają dziś na angielskim tronie!

A zatem pochodziła od księcia Norfolk, pierwszego angielskiego diuka. Wcale to Randalla nie zaskoczyło.

- Kontrakt ślubny twoich rodziców był zapewne równie skomplikowany, jak traktaty pokojowe między zwaśnionymi państwami na kontynencie europejskim!

- Z pewnością masz słuszość. - Zabrzmiało to dość sucho. - Małżeństwo ze mną może się też nieźle opłacić... zwłaszcza że majątek żony przechodzi na męża!

- Nie mam ci za złe, że jesteś podejrzliwa, jeśli chodzi o motywy postępowania wielu mężczyzn, Julio.

- Oczy Randalla zwięzły się, gdy pochwycił jej spojrzenie. - Ale ja mogę bez trudu zapewnić utrzymanie żonie. Nie muszę oglądać się na twój spadek czy na fortunę Daventry'ego. Teraz jednak, po spotkaniu z twoim ojcem, uznałem, że powinnaś odzyskać swoje pieniądze, żebyś nigdy już nie była zależna od żadnego mężczyzny. Mam zamiar przekształcić to wszystko, co zdołam wyciągnąć od twego ojca, w fundusz powierniczy, z którego jedynie ty będziesz miała prawo czerpać.

Julia pochyliła głowę, policzki jej poczerwieniały.

- Wiem, że nie jesteś łowcą posagów! Wszelkie kontakty z ojcem budzą we mnie najgorsze instynkty... podobnie zresztą jak w nim zetknięcie ze mną.

- Twoje drobne uszczypliwości to nic w porównaniu z tym, co budzi się we mnie na widok Daventry'ego - zapewnił ją Randall. Jego ręka znów objęła pieszczotliwie biodra żony. Julia była drobniutka, lecz niezwykle kształtna. - Powiedz, czy odwiedziłaś swoją babcie,

gdy przyjechałaś do Londynu razem z Mariah? To babka ze strony matki, prawda?

Skinęła głową potakująco.

- Z całej rodziny tylko Grandmere wiedziała, że żyję. W ubiegłym roku poważnie zachorowała i bałam się, że nigdy jej już nie zobaczę... Przede wszystkim dlatego odważyłam się na wyjazd do Londynu.

- I wtedy właśnie Daventry odkrył, że żyjesz, i nasłał na ciebie Crocketta!

- Tak - przyznała po namyśle Julia. - Ale nie żałuję tego. Z chaosu ostatnich kilku tygodni wynikło coś, co bardzo mnie cieszy: będę znów mogła żyć po dawnemu, być sobą!

Randall też nigdy by jej nie spotkał, gdyby nie zgodziła się towarzyszyć Mariah.

- .. No i gdybyś żyła bezpiecznie w Hartley, nie musiałybyś wychodzić za męża dla zapewnienia sobie bezpieczeństwa!

Odchyliła głowę do tyłu. Jej szare oczy spoglądały bardzo poważnie.

- Jesteś jedynym obrońcą, jakiego kiedykolwiek miałam - powiedziała miękko. - Tylko ty! Nawet nie wiedziałam, jak bardzo mi to jest potrzebne.

Podniosła głowę i go pocałowała.

Nie był to wcale zdawkowy pocałunek. Randall odwzajemnił go z zapalem. Julia była taka ciepła, zmysłowa... Więzy powściągliwości, jaką sobie narzucił, odkąd wyrwał ukochaną z rąk porywaczy, zaczęły pękać, gdy jego ręce błędziły po urzekających krągłościach żony.

Julii zapało dech w piersi.

- Czuję się jak kot, bardzo rozpieszczony...

- I przypuszczam, że jak kot czmychniesz, gdy będziesz już miała dość pieśczot! - Nachylił się i ucałował ją we wrażliwe miejsce poniżej ucha. - Na razie jednak... czy mogłabyś zaufać mi na tyle, Julio, by odprężyć się i pozwolić na pewną próbę? Przekonajmy się, czy mogę sprawić ci rozkosz...

Choć jeszcze za wcześnie na to, byśmy zostali kochankami, może zdołam cię namówić na kilka kroczków we właściwym kierunku?

- Umysł i ciało nadal mam strwożone, ale moje serce ci ufa - zapewniła go i uniosła rękę do jego policzka.

Leciutkie muśnięcie jej palców wywarło na Aleksie niesłychane wrażenie.

Widząc w tym jakąś nadzieję dla siebie, zbliżył usta do jej ust i pogłębił pocałunek tak, że ich języki się zetknęły. Opór Julii był coraz słabszy, słyszał jej przyspieszony oddech. Wyczuwał wyraźnie pod dłonią pikowany gorset żony i zorientował się, że włożyła na podróż krótszy i lżejszy, sięgający zaledwie talii. Przesuwając lekko ręką od pasa w dół, czuł jędrną wypukłość jej bioder i sprężystość długich ud, okrytych zaledwie dwiema cienkimi warstwami materiału.

Julia zeszywniała, gdy ręka męża spoczęła na jej kolanie. Udał więc, że interesuje go bez reszty jej zgrabne uszko i sprawdził, jak dalece jest wrażliwe. Okazało się, że ogromnie. Gdy musnął brzeżek małżowiny językiem, Julia westchnęła z wyraźną satysfakcją.

Kiedy dłoń Randalla sięgnęła znów pod spódnicę żony i powędrowała w górę jej uda, poczuł, że Julię przeszył lekki dreszcz. Nie próbowała jednak powstrzymać męża od dalszych pieszczot. Wyczuwał już pod palcami nie gładkość pończochy, lecz jedwabiste ciepło kobiecego ciała.

Gdy jego skóra przylgnęła do jej nagiej skóry, ręka Aleksa znowu znieruchomiała; chciał, by żona przywykła do jego dotyku. Głowa Julii opadła do tyłu, piersi jej falowały, gdy przesuwiał wargami po jej szyi. Mruczała z rozkoszy jak kotka pod pieszczotą jego języka.

Wsunął rękę między jej uda i posuwał się coraz wyżej, powoli i ostrożnie. Julia szarpnęła się i wydała ostry jęk, gdy po raz pierwszy dotknął wilgotnego, rozpalonego, sekretnego miejsca u zbiegu jej ud.

- Czy jest ci to niemiłe? - spytał szeptem, naciskając lekko bokiem dłoni delikatne fałdki. - Chcesz, żebym przestał?

- Nie jest... niemiłe - odparła załamującym się głosem. - Nie przerywaj...

- Jak sobie życzysz.

Pieścił ją coraz śmieiej. Oddech Julii stał się chrapliwy, rozsunęła nogi, jakby ułatwiając Randallowi dostęp. On także oddychał z coraz większym trudem, w miarę jak podniecenie żony udzielało się i jemu.

Julia wygięła plecy w łuk, oczy miała zamknięte, jej biodra zaczęły się bezwiednie kołysać w odwiecznym rytmie.

- Alex... - wyszeptała, pełna napięcia i spragniona.

Nagle krzyknęła, wbijając mu paznokcie w ramię i w plecy, i zacisnęła się wokół jego prawej dłoni. Żar jej ciała i zapach seksu niemal pozbawiły Randalla przytomności. Pragnął nade wszystko zjednoczyć się z nią... Jeszcze nie teraz! Na razie musi mu wystarczyć satysfakcja, że dzięki niemu Julia zaznała rozkoszy. Z pewnością bliski był już dzień, gdy i on wreszcie zanurzy się w niej.

Otworzyła nieprzytomne oczy. - Nie miałam pojęcia... - szepnęła. - Żyłam tak blisko z tymi pełnymi temperamentu kobietami, opiekowałam się nimi przez te wszystkie lata... a nigdy nie rozumiałam naprawdę, o czym mówią i czemu tak się rwą do mężczyzn!

- To dopiero pierwszy krok, Julio. - Ucałował jej zroszone potem czoło. - Jest tych rozkoszy znacznie więcej! Jej ślicznie zaokrąglone pośladki napierały na niego, podniecając go do granic wytrzymałości. Poruszył się niespokojnie, nie chcąc zaalarmować Julii.

Choć nieco otumaniona rozkoszą, nawet w tej chwili okazała się bardzo spostrzegawcza. Zsunęła się z kolan męża na kanapę, nie odsuwając jego ramienia.

- Tak mi przykro! Pomogłeś mi zapomnieć o spotkaniu z ojcem... a ja sprawiam ci ból!

Objął ją mocniej.

- To nic wielkiego... Tak się cieszę, że dałem ci trochę rozkoszy!

- A jednak...

Oczy jej zwięziły się w szparki, gdy mierzyła wzrokiem jego zbyt opięte spodnie. Potem westchnęła głęboko - i zaczęła je rozpinać.

- Na litość boską, Julio! - Randall skamieniał. Miał wrażenie, że w żyłach zapłonął mu ogień, kiedy jej palce zacisnęły się na jego pulsującej męskości. - Przecież... nie musisz tego robić!

- Wiem! - Przygryzła wargę, wstała i siadła mu okrakiem na kolanach. Jej spódnice okryły ich oboje kaskadą falbanek. - I właśnie dlatego mogę to uczynić.

Opadała powoli na niego i nagle utknęła. Zanim zdążył coś zrobić, powiedziała:

- W porządku! Tylko, widzisz... ja jestem wąska, a ty taki wielki! Zakołysała biodrami, co niemal doprowadziło go do szaleństwa.

Schwycił ją obiema rękami za biodra, całym jego ciałem wstrząsnęły dreszcze.

Gdy zaczęła znów opadać, tym razem wszystko poszło gładko. Randall był tak wstrząśnięty, pożądanie tak go paraliżowało, że nie mógł się poruszyć.

Julia pochyliła się nad nim i przycisnęła policzek do jego policzka.

- Nie poszło znów tak źle!

Głos jej drżał, ale brzmiała w nim determinacja.

- Gdzie tam źle. Doskonale!

Objął ją ramionami w talii, przekonany, że zdobycie się na coś takiego drogo ją kosztowało. A jednak w swym ogłupiającym, godnym pogardy upojeniu nie mógł znieść myśli, że Julia zaraz się od niego oderwie.

W ciągu dwóch - a może dwudziestu? - uderzeń serca obejmowali się nawzajem, dostosowując się fizycznie i duchowo do radykalnej zmiany, jaka zaszła w ich związku. A potem Julia uniosła twarz do pocałunku. Nasyciła jego zmysły swoim dotykiem, smakiem i zapachem. Jego żona... i spełnienie, o którym tak marzył, i obawiał się, że nigdy go nie dostąpi!

Pragnął, żeby ta chwila trwała wiecznie, ale Julia zakołysała się, ciałem przy jego ciele, i szepnęła:

- Ciekawam...

On stał się krzesiwem, ona zaś hubką, gdy szaleństwo ogarnęło ich jak pożar.

Czul, że rozpryskuje się na milion odłamków, a jego umysł zatracą się w mnogości doznań...

Wreszcie ucichła ognista zawierucha, ale każde włókienko jego ciała wibrowało, świadome huraganu, który się przez nie przewalił.

- Boże wszechmogący! - zdołał wykrztusić, z całej siły tuląc Julię do siebie.

Roześmiała się cicho.

- Coś mi się zdaje, że wzywasz imienia boskiego nadaremno!

- Wcale nie! — Wtulił twarz w jej ciemne włosy. — Modlitwy przybierają nieraz różną postać. To ty jesteś odpowiedzią na modły, które nieświadomie zanosilem.

- Nie wiem, czy to, co mówisz, jest niezwykle romantyczne... czy graniczy z bluźnierstwem!

Łagodnie wyswobodziła się z jego objęć, wstała i wzięła z umywalki dwa ręczniki.

Odbierając od żony jeden z nich, Randall powiedział:

- Naprawdę nie spodziewałem się, że to nastąpi jeszcze dziś! - Wpatrywał się w jej twarz. - Dobrze się czujesz? Nie sprawiłem ci bólu?

W gruncie rzeczy pragnął się dowiedzieć, czy Julia nie żałuje tego, co zrobiła, a jednocześnie bał się usłyszeć odpowiedź na to pytanie.

Serce w nim zamarło, gdy Julia zmarszczyła brwi. Kiedy się jednak odezwała, wydawała się zamyślona, ale nie strapiona.

- Trochę z tym było kłopotu, ale nie więcej, niż należało się spodziewać. - Wytarła się i opuściła spódnice. - Cieszę się, że już po wszystkim. Następnym razem pójdzie łatwiej!

Niezbyt to było romantyczne, ale przynajmniej wspomniała o następnym razie.

- Następnym razem będzie o wiele przyjemniej! - obiecywał, zapinając bryczesy.

- Dzisiaj też było wspaniale. - Podniosła głowę i ich oczy się spotkały. Powiedziała jeszcze cieplejszym tonem: - Naprawdę dałeś mi rozkosz! I pozbyłam się lęków, które od tak dawna mnie prześladowały.

To był doprawdy dobry początek! Pełen nadziei na przyszłość Randall wstał i objął żonę ramieniem, przyciągając ją mocno do siebie.

- Mam zamówić dla nas kolację i kąpiel?

- Znakomicie! Czy mógłbyś rozpiąć mi suknię i gorset? Marzę o cichym, spokojnym wieczorze we dwoje. - Obejrzała się przez ramię i dodała miękko: - Dziękuję ci za twoją dobroć. I za cierpliwość! Zabrał się do rozsznurowywania tasiemek.

- Warta jesteś największych poświęceń, milady!

Pokraśniała i zmieszana spuściła głowę. Włosy jej opadły, odsłaniając kark. Alex pochylił się i w przyływie czułości ucałował żoniny karczek. Julia mu ufała!

Poczuł się naprawdę żonaty.

## 20

Było już prawie ciemno, gdy powóz zajechał przed Ashton House. Julia zdążyła już zapomnieć, jak wielkajest książęca rezydencja. Jakby czytając w myślach żony, Randall się odezwał:

- To rozrośnięte gmaszysko jest, jak powiadają, największym prywatnym domem w Londynie. I właśnie dlatego Ash mógł mi przydzielić cały apartament, bez obawy, że zabraknie mu pokoi.

- Będę bardzo zadowolona, mogąc wreszcie zatrzymać się na dłużej w jednym miejscu! - oświadczyła z przekonaniem Julia, gdy mąż pomagał jej wysiąść z powozu.

Znakomicie wyszkoleni lokaje zjawili się natychmiast, by wnieść ich bagaże do wnętrza domu.

Mackenzie także wysiadł z powozu, żeby pożegnać się z przyjaciółmi.

- Lady Julio, to była dla mnie prawdziwa przyjemność zawrzeć znajomość z panią. - Ucałował szarmancko jej dłoń. - Jestem tylko rozczarowany, że obeszło się w podróży bez większych atrakcji!



Julia uniosła brwi.

- Uważa pan, panie Mackenzie, że próba zabójstwa to drobnostka, niewarta wzmianki?
- Okropne nudziarstwo - przytaknął. - No cóż... ale jestem poszukiwaczem mocnych wrażeń, jak wiecie! Randall roześmiał się i potrząsnął ręką przyjaciela.
- Dzięki za to, że pomogłeś mi osłaniać Julię, Mac. I w ogóle za wszystko!
- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł Mackenzie, tym razem z całą powagą. - Ja też mam wobec ciebie pewne długi wdzięczności.
- W takim razie, ponieważ ktoś z pewnością zechce wydać bal z okazji powrotu lady Julii do wielkiego świata, możemy chyba liczyć, że się zjawisz, jeśli wyślemy ci zaproszenie?
- Aż tyle ci nie zawdzięczam!

Mackenzie uśmiechnął się ironicznie, wskoczył z powrotem do powozu i dał znak woźnicy, żeby ruszał.

Julia wsparła się na ramieniu męża i oboje weszli na schody wiodące do frontowych drzwi.

- Czy to nieślubne pochodzenie przeszkadza panu Mackenzie-mu brać udział w życiu wielkiego świata?
- Prawdę mówiąc, nie. Jego ojciec był parem, a Mac jest jak najbardziej uznawany za członka rodziny przez Willa Mastertona i resztę rodziny. Zdobył też sobie przyjaciół wśród niesfornych młodych lordów z Westerfield Academy. Zawsze jednak woli trzymać się z dala od londyńskiej śmietanki towarzyskiej. - Randall się skrzywił. - Ja też od niej stroniłem, ale teraz to już niemożliwe.
- Byłeś oficerem w służbie czynnej, a to najlepsza wymówka, żeby wymigać się od balów w Almack's... - Julia zapatrzyła się na profil Aleksa. Jej piękny mąż, za którego marsowym wyglądem kryła się niezwykła dobroć i cierpliwość! - Ale głównym powodem naszego przyjazdu do Londynu jest mój powrót do wielkiego świata, a to oznacza, że będziesz musiał brać udział w balach i rautach. Czy będzie to dla ciebie okropna mordęga?

- Nie jestem pewien - przyznał, gdy drzwi otwały się przed nimi. - Nigdy nie obracałem się w najwyższych kręgach. Może życie towarzyskie w niewielkich dawkach okaże się zajmujące? Czy bardzo tęskniłaś za urokami towarzystwa?

- Wydano mnie za mąż wcześnie, potem zaś żyłam samotnie na głuchej prowincji... nie mam więc pojęcia, czy życie w wielkim świecie sprawi mi przyjemność. Jeśli nawet tak będzie, postaram się zażywać tej przyjemności w sposób umiarkowany, podobnie jak ty. - Jej ręka zacisnęła się na ramieniu męża. - Całe szczęście, że rozpoczniemy je w jesiennym sezonie. Ten większy, wiosenny, byłby chyba ponad moje siły!

Podszedł do nich majordomus z ledwie dostrzegalnym uśmiechem, co w wypadku tego sztywnego jegomościa oznaczało, że nie posiada się z radości.

- Panie majorze, pani Bancroft, jakże miło znów państwa widzieć! Ich książęce mości spożywają dziś obiad w domu. Natychmiast ich powiadomię o państwa przybyciu.

- Nie przeszkadzaj im w jedzeniu, Holmes! - odparł Randall. - Wystarczy, jeśli zameldujesz nas po obiedzie.

- Nie byłbym godny mego stanowiska w tym domu, gdybym nie zaanonsował bezzwłocznie takich gości! - oświadczył Holmes z nieugiętym wyrazem twarzy.

Randall zerknął na Julię i w jego oczach pojawiły się wesołe błyski.

- W takim razie przekaz ich książęcym gościom, że przybył major Randall wraz z żoną.

Holmes był tak zaskoczony, że pozwolił sobie na uniesienie brwi, nim zapewnił:

- Nie omieszkać. Skłonił się i zniknął.

- Powinni zaraz się tu zjawić - stwierdziła Julia, zdejmując czepek. - Zwłaszcza Mariah!

Nie omyliła się. Zanim zdążyła zdjąć płaszcz, dały się słyszeć pospieszne, lekkie kroki. Już z daleka księżna wołała radośnie:

- Randall, ty łotrze! Czyżbyś zmienił zdanie co do mojej siostry Sarah i skusił ją na wypad do Gretna Green?

Mariah wpłynęła do holu jak burza. Jej wewnętrzna pogoda i serdeczność sprawiły, że w całym wielkim przedsiönku pojaśniało i ociepliło się. Ciemnowłosa, powściągliwy Ashton szedł kilka kroków za żoną, ale jego powitalny uśmiech był równie przyjazny.

Ujrzawszy nowo przybyłych, księżna zatrzymała się tak nagle, że mąż omal na nią nie wpadł.

- To ty, Julio?! Czyżbyście się pobrali?

- Jak najbardziej - odparła ze spokojem Julia.

- Adamie, jesteś mi winien pięć gwinei! - Mariah rzuciła się w ramiona Julii i uściskała ją z całej siły.

- Mówiłam ci, że Randall właśnie ją sobie upodobał!

- ...Podczas gdy ja, tępy jak wszyscy mężczyźni, sądziłem, że oboje nie żywicie do siebie sympatii! - Ashton klepnął Randalla po ramieniu, gdy już uścisnęli sobie ręce. - Jak to ładnie z twojej strony, żeś zadbał o to, by najlepsza przyjaciółka Mariah weszła do rodziny!

- Julia nie paliła się do tego, ale gdy wyleczyła moją chorą nogę, uznałem, że muszę się z nią ożenić, by zawsze mieć pod ręką chirurga na wszelki wypadek - wyjaśnił Randall.

- Chodzisz teraz znakomicie! - Zielone oczy Ashtona błyszczwały wesołością. - Nie dziwię się ani trochę, że chciałeś ją poślubić. Znacznie bardziej zdumiewa mnie to, że ona wyraziła na to zgodę!

Julia przypomniała sobie, jaką przenikliwość wykazywał zwykle książę Ashton.

- Całkiem sobie chwaliłam wdowieństwo, ale Randall skłonił mnie do zmiany zdania. Były zresztą pewne... niezwykle okoliczności, usprawiedliwiające taką decyzję.

- To brzmi interesująco! - oświadczyła Mariah. - Macie teraz kilka minut na umycie się i odświeżenie, a potem zjemy razem obiad. Nie musicie się przebierać! To będzie taki domowy, całkiem nieoficjalny posiłek.

- Wobec tego za dziesięć minut. - Randall podał żonie ramię, po czym zwrócił się do lokaja: - Proszę wnieść rzeczy lady Julii do mego apartamentu.

- Lady Julii?! - wykrzyknęła Mariah.

- Mówiłam, że to bardzo skomplikowana sprawa!

Julia machnęła niecierpliwie ręką i ruszyli schodami na górę.

Bawiąc w Ashton House kilka miesięcy temu, Julia nie zwiedzała apartamentów Randalla, rozglądała się więc teraz z zainteresowaniem, gdy wprowadził ją do salonu. Był to duży pokój, gustownie umeblowany w miłych dla oka odcieniach błękitu i śmietanki. Okna wychodziły na ogród za domem.

- Ślicznie tu! Nic dziwnego, że wygodnie ci się mieszka.

- To bardzo wielkoduszne ze strony Asha: nalega, żebym uważał jego dom za własny - zgodził się z nią Randall. - Sypialnia jest tam, a te drzwi prowadzą do garderoby.

Drzwi garderoby otworzyły się nagle i stanął w nich żwawy, ciemnowłosy młody mężczyzna z jednym z surdutów Randalla przewieszonym przez ramię. - Witamy w domu, panie majorze! -

Dopiero teraz zauważył Julię. Pamiętał ją z poprzedniej podróży do Londynu i na jego twarzy odmalowało się zaciekawienie, gdy powitał ją ukłonem. - Pani Bancroft! To prawdziwa przyjemność znów panią widzieć. - Już nie pani Bancroft - Randall objął żonę w talii - tylko lady Julia Randall.

Moja żona! Julia wiedziała, że osobisty lokaj nieraz odczuwa zazdrość i niechęć, gdy jego pan się żeni. Na szczęście między nią a Gordonem panowały zawsze przyjacielskie stosunki. A choć na twarzy służącego dostrzegła zdumienie, nie wydawał się przygnębiony.

- Najszczęsze gratulacje, jaśnie panie! - Skłonił się ponownie Julii. - Czy pokojówka milady przybędzie niebawem?

- Miło znów cię zobaczyć, Gordonie. - Przez ostatnie dwanaście lat Julia sama musiała dbać o siebie i prawie zapomniała, że dama powinna mieć służącą. - Nie mam w tej chwili pokojówki, ale chyba wkrótce będzie mi potrzebna...

Spojrzała pytająco na męża. Randall skinął głową.

- Masz przecie zamiar obstałować nową garderobę. Koniecznie potrzebujesz pokojówki.

Na samą myśl o rozmowach z kandydatkami na miejsce pokojówki Julii zrobiło się słabo.

- Może księżna ma jakąś służącą, która zasługuje na to, by powierzyć jej tę funkcję...

Gordon spojrzał na Julię i odezwał się z nadzieją w głosie:

- Znam pewną młodą kobietę, która byłaby chyba odpowiednia, lady Julio. Nie jest bardzo doświadczona, ale ma dobre oko do strojów, pięknie szyje, nie brak jej sprytu, pracowitości ani dobrego charakteru...

Randall się uśmiechnął.

- Czy to przypadkiem nie ta dziewczyna, o której tyle mi opowiadałeś w Portugalii?

Gordon się zarumienił.

- Tak jest, panie. Ale naprawdę jestem przekonany, że Elsa nadawałaby się doskonale na pokojówkę lady Julii.

- W takim razie koniecznie muszę z nią porozmawiać — oświadczyła Julia.

- Serdeczne dzięki, milady! Mogłaby stawić się jutro po południu na rozmowę... - Skłonił się lekko. -

Bagaż lady Julii zostały tu przyniesione. Czy państwo będą zajmowali wspólnie te pokoje?

- Jak najbardziej! - odparł Randall. - A kiedy już rozpakujesz nasze rzeczy, Gordonie, będziesz miał wolny wieczór. To była długa podróż i wczesnie udamy się dziś na spoczynek.

- Tak jest!

Gordon rozłożył oczyszczony i odprasowany surdut na oparciu fotela i zniknął.

Skoro tylko zostali sami, Randall uściskał żonę z całego serca.

- Przypuszczam, że Gordon zaraz pomknie do pięknej Elsy, by powiadomić ją, iż być może będą pracowali w tym samym domu. Co się zaś tyczy tej dziewczyny, to mogę ci opowiedzieć ze szczegółami,

szerzej niżbyś chciała, wszystko ojej wyglądzie, krewnych i o tym, jak to ona i Gordon się poznali... Julia wybuchnęła śmiechem.

- Wobec tego mam nadzieję, że Elsa się nada! - Odprężyła się w objęciach męża, zachwycona tym, że zna już tak dobrze jego uściski, zapach i siłę ramion. - Niewiele trzeba, żebym zasnęła... -mruknęła.

- Jeszcze bardziej trzeba ci jedzenia i dobrego towarzystwa, a jedno i drugie czeka już na dole! - Jego ręce gładziły biodra Julii, przyciągał ją do siebie. - Podróż była męcząca, ale to nic w porównaniu z tym, co czeka nas tu, w Londynie! Ja też z przyjemnością położę się dziś wcześniej do łóżka!

Pojawszy, że mąż nie myśli bynajmniej o śnie, Julia odparła z lekkim wahaniem:

- Ja też z przyjemnością wcześniej się położę.

Zdając sobie sprawę z dręczących ją jeszcze obaw, Randall odparł:

- Zrobimy, co zechcesz.

Poczuła subtelną zmianę w jego uścisku: nadal był czuły, ale już nie tak zachłanny.

- Jak ty cierpliwie znosisz moje humory - powiedziała ze smutkiem. -Jako żołnierz pewnie życzyłybyś sobie niezwłocznej kapitulacji!

Roześmiał się.

- Żołnierz przede wszystkim musi być cierpliwy, a nie tylko szukać okazji do ataku. Byłem gotów czekać cały rok, w nadziei że kiedyś zechcesz położyć się obok mnie... Uważam więc, że posuwamy się naprzód wielkimi krokami!

- To prawda - odparła po namyśle. - Jeszcze dwa tygodnie i moja płochliwość zniknie raz na zawsze; będziesz mógł mnie uwodzić, kiedy tylko zechcesz!

- A ja mam nadzieję, że za kolejne dwa tygodnie to ty będziesz uwodziła mnie!

Ucałował wrażliwe miejsce pod jej lewym uchem.

Julii zapało dech w piersiach. Poczwała, jak wzbiera w niej pożądanie. Choć nigdy dotąd nie wyobrażała sobie, że mogłaby prowokować męża, teraz ten pomysł wydał się jej równie ciekawy, jak zuchwały.

- To doprawdy interesujące, Alexandrze! Na razie jednak musimy się nieco odświeżyć i przyłączyć do naszych gospodarzy.

- Jak dalece chcesz ich wtajemniczyć w nasze sprawy? - spytał Randall.

Puścił żonę i ściągnął surdut, który miał na sobie przez cały dzień. Julia się zastanowiła.

- Chyba we wszystko, z wyjątkiem najbardziej drastycznych szczegółów. Nie wspomnimy im ani o bliźnach, ani o mojej bezpłodności. Powinni się jednak dowiedzieć o porwaniu i o tym, jak zginął Branford. - Możesz im zaufać i powiedzieć wszystko, co tylko zechcesz. - Nalał wody do miednicy, by obmyć twarz i ręce. Wytarłszy się, dodał jeszcze: - Zakładam, że oficjalna wersja, przeznaczona do ogólnej wiadomości, będzie bardziej okrojona? Musimy uzgodnić wszystkie szczegóły.

Julia wyszczotkowała włosy i związała je na karku. Była rada, że ma przyjaciół, którzy staną po jej stronie. Pierwsze miejsce wśród nich zajmował Randall, ale Mariah i Ashton znajdowali się tuż za nim. - Opinię publiczną należy powiadomić, że Brandon zmarł na skutek obrażeń, jakich doznał, upadłszy nieszczęśliwie. To szczerą prawdą. A ja byłam tak zrozpaczona, że uciekłam, pozwalając, by uznano mnie za zmarłą. To także prawda... w pewnym sensie.

- Dość zbliżone do prawdy i łatwe do zapamiętania - stwierdził Randall. - A jak powinna brzmieć oficjalna wersja, dotycząca naszego małżeństwa?

- Możemy powiedzieć, że poznaliśmy się w Hartley, a ja zdradziłam ci, kim jestem, dowiedziawszy się o twoim pokrewieństwie z moim zmarłym mężem. - Julia spryskała wodą twarz. - Po dwunastu latach żałoby byłam już prawie zdecydowana na powtórne małżeństwo. .. a tobie jak mogłabym się oprzeć?

Randall wzniosł oczy do góry

- Pamiętaj, że powinniśmy się trzymać jak najbliżej prawdy. A szczegółów im mniej, tym lepiej! Ponieważ nie udzielałaś się towarzysko podczas swego poprzedniego pobytu w Londynie, będziesz dla tutejszej socjety nad wyraz intrygującym nabytkiem!

Julia troszkę przekomarzała się z mężem, twierdząc, że nikt nie może mu się oprzeć, ale wierzyła, że naprawdę tak jest. Gdy rozkoszowała się widokiem jego smukłego i silnego ciała, rysującego się pod cienką koszulą, była przekonana, że każda kobieta musi od pierwszego wejrzenia poczuć do niego pociąg! Ona sama, gdy się spotkali, nie była kobietą w pełni, ale teraz jej kobiecość z każdym dniem odradzała się i rozkwitała.

Randall włożył czysty surdut, podał żonie ramię i oboje zeszli na dół, gdzie księstwo czekali na nich w małym salonie. Wchodząc, zauważyli, że Mariah dosłownie promienieje.

Julia przyjrzała się uważnie przyjaciółce i rozpoznała przyczynę tej promienności.

- Spodziewasz się dziecka!

- Skąd wiesz? - wykrzyknęła Mariah. - Ach, prawda, ty oczywiście znasz się na rzeczy! Tak się cieszę, że będę cię miała przy sobie! Jestem zachwycona... ale i trochę przestraszona.

- Ja tak samo! - dodał z przejęciem Ashton.

Tłumiąc w sobie bolesną zazdrość, Julia powiedziała uspokajająco:

- Rodzenie dzieci to coś najbardziej naturalnego pod słońcem. Poradzicie sobie z tym doskonale.

- Moje gratulacje! - Randall uścisnął dłoń Ashtona, a następnie ucałował Mariah w policzek. - Ależ wasze rodziny muszą być przejęte!

- Na pewno będą, kiedy się o tym dowiedzą - przyznała Mariah. - Nie powiadomiliśmy jeszcze nikogo. Ale cieszę się, że Julia sama się domyśliła, bo mogę z nią o tym porozmawiać!

- A teraz, gdy wymieniliśmy najświeższe nowiny... napijemy się kseresu, jak nakazuje moda - spytał książę - czy od razu rzucimy się na obiad, jak zgłodniałe wilki?



- To drugie! Bez przerwy chce mi się teraz jeść... - Mariah skrzywiła się - z wyjątkiem ranków, bo wtedy mam mdłości.

Ze śmiechem obie pary przeszły do małej jadalni, zwanej „rodziną”, znacznie przytulniej szej niż imponująca jadalnia, gdzie spożywano proszone obiady. Rozmawiali o wszystkim i o niczym, w lekkim tonie, póki posiłek nie dobiegł końca. Gdy już na polecenie Mariah podano herbatę dla pań i porto dla panów, Ashton odprawił służbę, by porozmawiać z przyjaciółmi bez świadków.

- A zatem, cóż to były za niezwykle wydarzenia? Coś mi się zdaje, że niezbyt miłe niespodzianki! Randall zerknął na Julię. Dała mu znak, by zaczął mówić.

- Pierwszą z owych niespodzianek była, zaraz po moim przybyciu do Hartley, wieść o porwaniu Julii.

- Przyciągnąwszy w ten sposób uwagę Ashtonów, Alex trzymał nadal słuchaczy w napięciu, opisując zwięźle oswobodzenie Julii, a następnie pospieszny ślub w Edynburgu. Księżę zmrużył oczy, był to wyraźny znak, że pod jego złudną łagodnością kryje się stalowy charakter.

Gdy Randall skończył, Mariah szepnęła zdławionym głosem:

- Bogu dzięki, że przybyłeś do Hartley w samą porę! Czy Daventry chciał zamordować Julię?

- Nie sądzę, żeby planował morderstwo z zimną krwią. Gdyby jednak poniósł go gniew... - Randall pokręcił głową, na jego twarzy malowała się powaga. - **i** ty go znasz, Julio. Jak myślisz, co zamierzał uczynić, gdyby Crockett przywiózł cię do niego?

- Przypuszczam, że Daventry kazał mnie porwać, żeby móc wrzeszczeć na mnie, przeklinać i wypominać mi, jaką jestem zbrodniarką - Julia starała się mówić tak spokojnie, jakby rozmawiali o pogodzie. - Zapewne nie planował morderstwa, ale łatwo mógł stracić panowanie nad sobą.

- Czy hrabia przestanie prześladować Julię, kiedy się dowie, że jest ona żoną jego spadkobiercy? - spytał Ashton.

- Tak sądzę - odparł z przekonaniem Randall. - Ale, oczywiście, nie mam co do tego pewności. Jeśli tego nie uczyni... No cóż, zrobię wszystko, co niezbędne, by ocalić żonę. Stryj powinien być teraz

w Londynie, napiszę więc do niego, prosząc, by spotkał się ze mną przy najbliższej sposobności. Julia wzięła głęboki oddech. - Pojadę z tobą. Randall zmarszczył brwi.

- Daventry gotów wybuchnąć jak bomba, gdy usłyszy o naszym małżeństwie. Twoja obecność pogorszy tylko sprawę. - Wolałabym mieć to już za sobą. - Julia uśmiechnęła się smutno. - Jeśli ma zmiążyć nas oboje, chyba lepiej, żebyśmy byli razem!

Twarz mu złagodniała.

- Masz rację.

- Dość już o zagrożeniach! Pora porozmawiać o rozrywkach - oświadczyła Mariah. - Musimy wydać bal i zaprezentować was uroczyście wielkiemu światu! Powiedzmy, za dwa tygodnie. Przez ten czas zdążysz sobie sprawić wspaniałą toaletę, Julio! Zadbam o to, by najlepsza krawcowa odwiedziła cię tutaj. A ty, Randall, musisz wystąpić w galowym mundurze. Widok takiego bohatera w barwach regimentu przyprawi o omdlenie nawet najodporniejsze damy!

Randall jęknął, słysząc te słowa, Julia jednak zgadzała się w duchu ze swą przyjaciółką. Nie zwracając uwagi na majora, Mariah mówiła dalej:

- Adamie, czy nasza pozycja towarzyska jest wystarczająco mocna, by zatriumfować nad Castletonem, który wyparł się Julii?

- Chyba tak. - Ashton uśmiechnął się czule do żony. - Castle-ton nie jest zbyt lubiany, podczas gdy za tobą, moja Złocista Księżno, wszyscy szaleją!

- .. Złocista Księżno? - zdziwił się Randall.

- Nasz *beau monde* chętnie nadaje przydomki swoim ulubieńcom. - Mariah się uśmiechnęła. - Biorąc pod uwagę moje dość osobliwe wychowanie i wykształcenie, uważam swą popularność za doskonały dowcip! Julii zaświtała nagle pewna myśl.

- Czy to by pomogło, gdyby moja babka wzięła udział w organizowaniu tego balu? Dowiodłaby w ten sposób, że nie cała rodzina się mnie wyparła.

Mariah skinęła głową.

- Znakomity pomysł! A kim jest twoja babka?

- To księżna wdowa de Charente.

Ashton, który najlepiej z nich znał londyńską śmietankę towarzyską, wybuchnął śmiechem.

- Najwyżej ceniona i najbardziej niedostępna arystokratyczna dama w Londynie! Jej obecność niewątpliwie ułatwi ci, Julio, wejście do towarzystwa, o ile jej książęca mość zechce nam dopomóc.

Randall uniósł brwi.

- Widzę, że nie żartowałeś, wspominając o swej „najbardziej błękitnej krwi w Anglii”, milady!

Julia wzruszyła ramionami.

- Dla mnie to po prostu Grandmere! Podczas mojej poprzedniej wizyty powiedziała, że już czas, bym wróciła do świata, zapewne więc poprze twoje starania, Mariah!

Oczy jej przyjaciółki załśniły.

- Życie w wielkim świecie to pasjonująca gra, a nam los właśnie rzucił znakomite karty. Gwarantują, że nasz bal będzie najgłośniejszym wydarzeniem jesiennego sezonu!

## **21**

Następnego ranka Randall wysłał krótki list do Daventry'ego, w którym wyjaśniał, że ożenił się i chciałby - wraz z żoną - odwiedzić stryja. Daventry odpowiedział niezwłocznie, ustalając termin spotkania na popołudnie tego samego dnia.

Kiedy major pomagał żonie wsiąść do powozu Ashtonów, zauważyła z podziwem:

- Jaki ty jesteś opanowany! Ja obgryzłabym sobie paznokcie za zdenerwowania, gdyby nie to, że włożyłam rękawiczki.

Alex uśmiechnął się krzywo.

- Jeśli nawet wyglądam na opanowanego, to tylko czcze pozory! Gdy jako mały chłopiec przybyłem do Daventrych, stryj wydawał mi się dziwnym połączeniem Boga i diabła w jednej osobie. Wolałem zawsze schodzić mu z drogi, niż wdawać się w skazane z góry na porażkę boje, i do dziś nie palę się do spotkania z nim.

Ale kiedy Randall leżał umierający na poddaszu Daventry House, stryj odgrywał rolę złego ducha... Czy możliwe będzie utrzymywanie z kimś takim jak on normalnych stosunków? Raczej nie. Małżeństwo z Julią również mogło się przyczynić do ostatecznego zerwania znajomości z Daventrym. Jeśli tak będzie, no cóż - mała szkoda, krótki żal!

- Miałaś rację - powiedział Alex do żony. - Lepiej, że stawimy mu czoło razem niż osobno. Rzuciła mu nieco wymuszony uśmiech, a on wziął ją za rękę. Nawet przez rękawiczkę czuł, że palce miała zimne jak lód. Przez resztę drogi nie odzywali się do siebie.

Skoro tylko dotarli do Daventry House i wysiedli z powozu, Julia uchwyciła się ramienia męża.

- Nienawidzę tego domu! - szepnęła, gdy wchodzili na frontowe schody. - Spędziliśmy tu z Branfordem kilka dni po naszym ślubie, przed wyjazdem do jego majątku pod Bristolem.

Randall wolał nie myśleć, jak wyglądała jej noc poślubna z Branfordem i ich miodowy miesiąc.

- Ja też nie przepadam za tę rezydencję. Należy ona, jak się zdaje, do nieruchomości objętych majoratem, nie można więc jej sprzedać... Ale to wcale nie znaczy, że nie mógłbym wynająć komuś tego domu, gdy przejdzie w moje ręce. A my znaleźlibyśmy sobie inny, wedle naszego gustu.

Twarz Julii się rozpozodziła.

- To wspaniały pomysł!

Dotarli do drzwi, które otwarły się przed nimi. Majordomus skłonił się z szacunkiem.

- Lord i lady Daventry oczekują pana i pańskiej małżonki w małym salonie, panie majorze.

Stryj najwidoczniej postanowił potraktować ich uprzejmie, skoro w spotkaniu miała wziąć udział hrabina. Ciekawe, jak długo potrwa, zanim Daventry rozpozna Julię?

Wprowadzono ich do salonu. Hrabina siedziała obok tacy zastawionej do herbaty. Trzecia żona Daventry'ego była przystojną blondynką w średnim wieku; odznaczała się wrodzoną elegancją i opanowaniem. Skinęła im głową na powitanie, ale nie podniosła się z miejsca.

Przede wszystkim jednak uwagę przyciągał sam hrabia. Wysoki, siwowłosy, porywczy z natury, zawsze przypominał Randallowi pryskający iskrami fajerwerk tuż przed wybuchem. Wstał teraz na powitanie bratanka i jego żony. Julia szła za mężem, nieco się ociągając. Jak się domyślał Alex, usiłowała opóźnić moment rozpoznania, jakby dało się tego uniknąć!

- Witaj, Randall - rzucił sztywno Daventry. - Spodziewałem się, co prawda, że zechcesz zasięgnąć mojej rady przed podjęciem ostatecznej decyzji... Mam nadzieję, że dokonałeś trafnego wyboru!

Tłumiąc w sobie odruch buntu, który budziły w nim zawsze ty-rańskie zapędy stryja, Randall odparł:

- Sądziłem, że wybór należy wyłącznie do mnie, gdyż to ja spędzę resztę życia z moją żoną. Nie ulega jednak wątpliwości, że jej urodzenie i wychowanie są jak najbardziej odpowiednie dla przyszłej hrabiny. Stryju, lady Daventry, pozwólcie, że wam przedstawię moją żonę, lady Julię Randall.

Julia zrobiła krok do przodu, była teraz wyraźnie widoczna dla gospodarzy.

- Dzień dobry, milordzie, dzień dobry, lady Daventry. Hrabina odpowiedziała na to powitanie miłym uśmiechem, ale

hrabia skamieniał na widok Julii.

- Niech cię diabli porwą, Randall! - wykrztusił wreszcie. - Jak śmiałeś wprowadzić tę morderczynię do mego domu? Czy to jakiś niesmaczny żart?

Randall aż się gotował wewnątrz, ale utrzymał swój temperament na wodzy.

- Nic podobnego. Julia i ja wzięliśmy ślub w Edynburgu. Daventry wybuchnął potokiem obelg.  
- Myślałem, żeś wydorósł na tyle, by docenić wagę swych obowiązków! A ty zamiast tego żenisz się z tą podłą suką, morderczynią mego syna!

Był już najwyższy czas, by wyjaśnić sprawę do końca. Randall wziął Julię za rękę, nie bardzo wiedząc, któremu z nich dwojga ten gest miał dodać odwagi. Julia była śmiertelnie blada, nie spuściła jednak oczu, gdy wokół niej rozpętało się piekło.

- Śmierć Branforda była skutkiem nieszczęśliwego wypadku. Nastąpiła w chwili, gdy Julia walczyła w obronie własnego życia -stwierdził bez ogródek Randall. - A Branford był potworem, stryju, choć ty nigdy nie chciałeś dostrzec tej prawdy. Sprawiało mu przyjemność dręczenie i okaleczanie ludzi. Ja sam cudem uniknąłem śmierci w tym domu, Julia zaś omal nie zginęła z ręki twego pierworodnego!

- Łzesz! - ryknął Daventry. - Branford był wzorowym synem, pełnym szacunku i posłusznym! To ty zawsze mu zazdrościłeś, gdyż przewyższał cię pod każdym względem! Jak śmiesz znieważać go teraz, gdy nie ma go tutaj i nie może sam się bronić?

- Okazywał ci szacunek, stryju, ponieważ to ty trzymałeś w ręku klucz od kasy - odparował Randall. - W stosunku do wszystkich innych zachowywał się despotycznie i brutalnie. A ty po jego śmierci oskarżyłeś Julię... wskutek czego wyparł się jej rodzony ojciec! -Uścisnął mocniej rękę żony. - Zdołała utrzymać się przy życiu, mimo podłych knowań twoich i Castletona. A teraz jest moją żoną i nie pozwolę, byś wyrządził jej znów jakąś krzywdę!

- A więc ta szczwana dziwka otumaniała cię swoimi łgarstwami! -Daventry wpatrywał się w Julię, a jego usta wykrzywiły się w gorzkim uśmiechu. - Wygląda równie młodo i niewinnie jak w dniu, gdy poślubiła mego syna. Nie miej do mnie pretensji, młokosie, kiedy tobą też się znudzi i pozbędzie się kolejnego męża!

Cierpliwość Randalla się wyczerpała. Ale to Julia zaprotestowała głośno:

- Dość tego!

Puściła rękę męża i sama - drobna, kipiąca gniewem istotka - zaatakowała Daventry'ego:

- Dwanaście lat temu tłumaczyłam sobie, że to rozpacz po śmierci syna tak cię zaślepią, hrabio. Ale dłużej tego nie zniosę! - Prychnęła wściekle. - Branford omal mnie nie zabił! A ubiegłego lata ty o mało nie zabiłeś Randalla, zaniedbując go karygodnie, gdy został ciężko ranny! Branford był szalony, i litowałam się nad nim niemal tak mocno, jak się go bałam. Ale ty nie jesteś obłąkany, panie hrabio! Jesteś tylko egoistyczną, arogancką, tyrańską bestią, a to znacznie większy grzech!

Daventry aż się cofnął, słysząc te słowa.

- Wiedziałeś, Randall, że z tej twojej świątobliwej akuszerki taka drapieżna jędza? Jeśli wierzysz w jej oszczerstwa, jeszcze większy z ciebie dureń, niż sądziłem!

- Chcesz się przekonać na własne oczy, hrabio, do czego był zdolny ten twój niewinny, szlachetny syn? No to patrz! - Julia zdarła *fichu*, ozdobną chustkę, osłaniającą jej dekolt. Ukazały się okropne blizny na jej piersiach. - To Branford wyrwał nożem inicjały na moim ciele, tej nocy, gdy omal mnie nie zabił. - Jej głos zniżył się do przejmującego szeptu. - Tej nocy, gdy kopał mnie, póki nie poroniłam dziecka, które nosiłam pod sercem. Tej nocy, której zmarł!

Hrabina jęknęła z przerażenia i przytknęła rękę do ust.

- Wielkie nieba!

- Sama się poraniłaś, żeby wzbudzić współczucie - odezwał się po chwili Daventry, ale w jego głosie nie było przekonania.

Nie mógł oderwać oczu od blizn na ciele Julii.

- Nie bądź skończonym głupcem, Daventry! - Powstrzymując się z najwyższym trudem od powalenia hrabiego jednym ciosem, Randall objął drżące ramiona żony, która starała się zasłonić pierś pomiętą chustką. - Nie tylko Julia nosi na ciele ślady okrucieństwa Branforda. Mam ci pokazać blizny po ranach, które mi zadał, gdy byłem dzieckiem o połowę mniejszym od niego?

Twarz Daventry'ego wykrzywiła się z gniewu i bólu, ale wówczas odezwała się hrabina:

- Wiem, jak go kochałeś, mój drogi, ale Branford... nie był normalny. - Po jej twarzy przemknął cień odrazy. - Ja także obawiałam się pozostać z nim sam na sam.

Jej mąż odwrócił się raptownie i zmierzył ją wściekłym spojrzeniem, hrabina jednak mówiła dalej:

- Choć Branford potrafił być czarujący, zbyt wielu ludzi opowiadało o nim potworne rzeczy.

Nieemożliwe, by wszystkie te opowieści były wyssane z palca! Zwracała się do mnie z podobnymi sprawami służba, która uciekła w popłochu z domu Branforda, a także kupcy i dzierżawcy, których skrzywdził... - Pełne współczucia spojrzenie hrabiny spoczęło na Julii. - Przestań więc obwiniać tę biedną dziewczynę o to, co się wydarzyło!

Z twarzą pełną bólu Daventry wykrzyknął:

- *Et tu, Louisa, contra me?!*

- Najwyższy czas, byś przestał oglądać się wstecz - powiedziała łagodnie hrabina. Jej ręka odruchowo spoczęła na brzuchu. - Przyszłość jest znacznie ważniejsza od przeszłości!

- Masz słuszność, moja droga! - Na twarzy hrabiego zmagaly się ze sobą sprzeczne emocje.

Zwyciężyło uczucie triumfu. Daventry zwrócił się do swoich gości. - Gotów byłem uznać cię w ostateczności za swego spadkobiercę, Randall, ale wiem od niedawna, że nie będziesz mi dłużej potrzebny. Wstań, Louiso!

Hrabina wstała. Nie ulegało wątpliwości, że jest w zaawansowanej ciąży. Ta nowina poraziła Randalla jak potężny cios, nie zamierzał jednak okazać tego po sobie. Po chwili opanował się całkowicie.

- Moje gratulacje, stryju, pani hrabino - powiedział ze spokojem. - To radosna nowina dla was obojga!

- Ale nie dla ciebie! - W głosie Daventry'ego brzmiała niekłamana satysfakcja. - To będzie syn, jestem tego pewny! Zawsze płodziłem tylko synów. A ten będzie zdrowy jak ryba. Znów będę miał spadkobiercę z własnej krwi!

Korzystając z tego, że stryj jest w wyśmienitym humorze, Randall zwrócił się do niego:



- Masz pełne prawo odtrącić mnie, bo nie jestem ci już potrzebny... ale przestań prześladować moją żonę! Odwołaj rozkazy, które wydałeś Crockettowi i jego ludziom!

Alex zerknął przy tym na hrabinę, domyślając się, że nie miała pojęcia o tym, co jej mąż zaplanował.

- W ciągu ostatniego miesiąca Julia została porwana przez twoich zbirów, którzy znęcali się nad nią i omal jej nie zastrzelili. A wszystko dlatego, że nie chciałeś zaakceptować prawdy o swoim synu. Jak słusznie powiedziała Julia: dość już tego!

Oczy Randalla zwęziły się w groźne szparki. Pod takim spojrzeniem majora bledli nieustraszeni żołnierze.

- A jeśli nie, to poleje się krew, i to nie Julii ani moja!

- Major ma rację, hrabio! - odezwała się lady Daventry przerażona tym, co wyjawiał Randall. -

Naprawdę nie możesz znęcać się tak nad żoną swego bratanka. To nie do pomyślenia!

Hrabia skrzywił się, jakby się napił octu, ale spojrzawszy na żonę, przyrzekł niechętnie:

- Każę Crockettowi zostawić ją w spokoju.

- Słowo dżentelmena? - wołał się upewnić Randall.

- Tak jest, do diaska! - odwarknął hrabia. - A teraz wynoście się z mojego domu... i mam nadzieję, że nigdy więcej nie zobaczę żadnego z was! I nie wyobrażaj sobie, Randall, że coś po mnie odziedziczysz! Ani złamanego szeląga!

- W przeszłości niczego od ciebie nie otrzymałem i niczego nie spodziewałem się na przyszłość - odparł Alex. W jego głosie znów zabrzmiał gniew. - A to, że przestałem być twoim spadkobiercą, to już tylko czcza formalność. - Niech was oboje diabli wezmą! - Daventry zmierzył swoich gości ostatnim piorunującym spojrzeniem i wściekły wymaszerował z pokoju wielkimi krokami.

Hrabina pierwsza przerwała pełne napięcia milczenie.

- To doprawdy była niemiła scena! Czy zechcecie napić się ze mną herbaty? Działa niezwykle kojąco, a moja kucharka piecze znakomite ciasteczka.

Randall spojrział pytająco na żonę. Na jej twarzy malował się taki sam gniew i znużenie jak na twarzy majora, ale mimo to skinieniem głowy wyraziła chęć przyjęcia zaproszenia.

- Dziękujemy, lady Daventry napijemy się z przyjemnością - odpowiedział Randall. - To bardzo uprzejmie z pani strony. Chyba do dziś nie miała pani okazji zawrzeć znajomości z moją żoną, nieprawdaż?

- Istotnie, a bardzo bym chciała zapoznać się bliżej z lady Julią. Proszę, siadajcie!

Hrabina wskazała im krzesła naprzeciw siebie, po drugiej stronie stołu nakrytego do herbaty.

Znalazłszy się tak blisko lady Daventry, Randall dostrzegł delikatne zmarszczki wokół jej oczu, a także niepokój i napięcie na twarzy. Maniery jednak miała nienaganne.

- Czy napiją się państwo herbaty ulung... - tu wskazała stojące przed nią dwa ozdobne imbryczki - czy też lapsang suczong? To mój ulubiony gatunek!

Jej nieposzlakowane maniery mogły się wydawać groteskowe w obecnej sytuacji, ale Randall domyślił się, że maska idealnego spokoju w obliczu najdziwniejszych wybryków męża musiała się stać drugą naturą hrabiny, umożliwiającą jej współzycie z Daventrym.

- Jeśli można, poproszę o lapsang suczong.

Major nie podejrzewał lady Daventry o trucicielskie zamiary, ale co mu szkodziło wybrać herbatę, którą sama będzie piła?

Julia doszła chyba do tego samego wniosku, gdyż oświadczyła:

- Ja także poproszę o suczong.

Lady Daventry z wdziękiem napełniła filiżanki aromatycznym napojem.

- Lady Julio, czy zechce pani przyjąć w drobnym upominku jedwabny szal, wiszący na oparciu pani krzesła? Doskonale pasuje kolorem do pani karnacji!

- Serdeczne dzięki, lady Daventry. - Julia zarzuciła na ramiona szal, który zasłonił jej pogniecione *fichu*. - *Cóż* za cenny i uroczy prezent!

- To doprawdy drobiazg! - Hrabina podała im filiżanki. - Gdy byłam jeszcze dziewczynką, majorze, znałam pańską matkę i ogromnie ją podziwiałam. Jest pan do niej bardzo podobny. Randall poczuł nagle, że coś ścisną go w gardle, gdy odbierał z jej rąk kruchą filiżankę.

- Dziękuję, pani hrabino. Jestem rad, że wrodziłem się w rodzinę matki.

- I słusznie! Blairowie są bardziej... godni zaufania od Randal-lów. - Hrabina zawzięcie mieszała cukier w herbacie, nie odrywając oczu od srebrnej łyżeczki. - Co nie znaczy wcale, że Daventry jest szalony albo z gruntu zły! Jego zaślepienie wynikało z głębokiej miłości.

- Taka ślepa miłość może sama w sobie nie być złem, lecz miewa zgubne skutki - odparł sucho Randall. - Branford był z całą pewnością szalony, a to, że ojciec nie roztoczył nad nim żadnej pieczy, pogorszyło jeszcze sprawę: mógł wyrządzać znacznie więcej krzywd. - Major również zamieszał nerwowo herbatę, łyżeczka brzęknęła w zetknięciu z delikatną porcelaną. - A ożenienie go z takim niewinnym dzieckiem jak Julia uważam po prostu za zbrodnię!

- Zgadza się w zupełności. - Poważne spojrzenie hrabiny przeniosło się z majora na Julię. - Tak się ucieszyłam, dowiedziawszy się, że pani żyje! Z tego wszystkiego, co słyszałam na temat Branforda, mogę sobie wyobrazić, jakim piekłem musiało być współżycie z nim!

- O nie! - odparła cicho Julia. Patrzyła posepnie. - Nie może pani sobie tego wyobrazić, hrabino! Lady Daventry znieruchomiała.

- Chyba ma pani rację... Zaaranżowanie waszego małżeństwa było ogromnym błędem mojego męża... ale on tak bardzo obawiał się, że jego ród wygaśnie. I nie bez powodu: wszystkie trzy jego żony (ze mną włącznie) cierpiały na skutek ustawicznych poronień i martwo urodzonych dzieci. Dlatego nie wspominałam mu o swej obecnej ciąży, aż do chwili gdy nabrałam pewności, że donoszę to dziecko.

- Czy Branford odziedziczył szaleństwo po Randallach? - spytała Julia.

Hrabina pokręciła głową.

- Nie, po rodzinie swojej matki. Pierwsza żona Daventry'ego była... niezrównoważona, ale odznaczała się niezwykłym urokiem. Daventry do dziś wspomina ją jako największą miłość swojego życia. Zmarła w połogu. Zdumiony spokojem, z jakim hrabina o tym mówiła, Randall się odezwał:

- A jednak mój stryj ożenił się jeszcze dwukrotnie! Podsunęła mu talerz lukrowanych ciasteczek.

- Hrabiemu zależało na podtrzymaniu rodu. Wiązał wielkie nadzieje ze swym młodszym synem, Rupertem, który szczęśliwie przetrwał okres niemowlęstwa... ale biedny chłopiec zawsze był choro- wity! Daventry szalał z rozpaczy, gdy Rupert zmarł, mając zaledwie dziesięć lat. - Twarz hrabiny spochmurniała. - Ja również bolałam nad jego śmiercią. To było dobre dziecko! Nikt by się nie doszukał w nim śladu szaleństwa. To syn Daventry'ego z drugiego małżeństwa.

Julia odezwała się ostro:

- Wydaje się pani rozsądną kobietą, lady Daventry. Czemu więc nie protestowała pani, gdy hrabia omal nie zabił bratanka, pozbawiając go wszelkiej opieki podczas choroby?

Lady Daventry spojrzała Randallowi prosto w oczy.

- Przebywałam wówczas w Turville Park, wracając do sił po ostatnim poronieniu, gdy przywieziono pana ciężko rannego z Hiszpanii. Proszę mi wierzyć, że nigdy bym nie pozwoliła na takie karygodne zaniedbanie! Byłam przerażona, dowiedziawszy się o tym poniewczasie od służby. Proszę przyjąć moje najszczerze przeprosiny! A zatem Daventry nie tylko utracił wówczas jedyne pozostałego przy życiu syna, ale jego żona poroniła, co zwiększyło jeszcze rozpacz hrabiego. Trudno się dziwić, że nie mógł znieść bratanka, który tak uparcie czepiał się życia! Ale owo połączenie wściekłości z ojcowskim bólem omal nie stało się przyczyną śmierci Randalla.

- Nie było w tym pani winy, hrabino - przyznał major. - Ale z pewnością bym umarł, gdyby Ashton nie wtargnął do Daventry House i nie zabrał mnie stąd.

- To było koszmarne lato dla nas wszystkich! Ogromnie mi przykro, że tak źle został pan tu potraktowany... i cieszę się niezmiernie, że miał pan w Ashtonie oddanego przyjaciela. - Hrabina zwróciła się teraz do Julii. Była wyraźnie przejęta. - Lady Julio... mój mąż nazwał panią „akuszerką”... Czy pani naprawdę nią jest?

A więc o to chodziło! Gościnność hrabiny była szczerą, ale przede wszystkim zależało jej na otrzymaniu fachowej porady od Julii!

- Jak najbardziej. - Julia poczęstowała się pierniczkiem, nie odrywając spojrzenia od pani domu. - Z przyjemnością porozmawiam z panią, lady Daventry, na temat jej stanu... ale z pewnością znajduje się pani pod opieką doświadczonego lekarza?

- Sir Richard Croft cieszy się w Londynie opinią najlepszego specjalisty w tej dziedzinie. - Hrabina kruszyła w palcach ciastko z kminkiem. - Urodziłam moich starszych synów lekko, bez żadnych komplikacji, ale byłam wówczas młoda. Pragnęłam mieć więcej dzieci. To była jedna z przyczyn, dla których poślubiłam Daventry'ego. Ale teraz... jestem już po czterdziestce.

- Miałam wiele pacjentek, które urodziły szczęśliwie w pani wieku - zapewniła ją Julia. - Takie przypadki nie należą wcale do rzadkości.

- Miałam nadzieję porozmawiać z panią w cztery oczy... Hrabina zerknęła z ukosa na Randalla. Julia skinęła głową, w jej oczach pojawił się cień uśmiechu.

- To będzie jedna z tych pogawędek, mój drogi, których nie wytrzymałby żaden silny mężczyzna! Randall wolał się nawet nie zastanawiać, o czym obie panie zamierzają dyskutować. Chwycił filiżankę i talerzyk z ciastkami. - Jeśli mnie pamięć nie myli, za tymi drzwiami jest drugi salon?

- Owszem. To mój prywatny salonik. Daventry nigdy tam nie zagląda - odparła hrabina. - Zresztą wyszedł zapewne do swego klubu, gdzie mu nie grozi towarzystwo kobiet... Albo galopuje po parku, całkiem bez potrzeby! Randall miał nadzieję, że stary łotr skręci sobie kark... ale, jak wiadomo, diabeł dobrze strzeże swego! Udał się więc do prywatnego

saloniku hrabiny, modląc się w duchu, by nigdy więcej nie musiał już przestąpić progu domu Daventrych.

## 22

Julia wyszła z Daventry House niezwykle przejęta.

- To najosobliwsza herbatka w moim życiu! - powiedziała, gdy drzwiczki powozu zatrzasnęły się za nią, a pojazd włączył się z turkotem w ruch uliczny, ożywiony jak zwykle późnym popołudniem. Julia ściągnęła czepek i przegarnęła zeszywniałymi palcami włosy tak energicznie, że wypadła z nich część szpilek.

- Istotnie osobliwa! - Twarz Randalla wydawała się równie nieprzenikniona, jak wówczas gdy po raz pierwszy spotkali się w Hart- j ley. - A jak znajdujesz zdrowie lady Daventry?

- Całkiem dobrze. Dziecko jest ruchliwe, a termin porodu tak bliski, że choćby nawet urodziło się przed czasem, powinno wyżyć. - Julia uśmiechnęła się na myśl o energicznych kopnięciach, które wyraźnie wyczuła w łonie hrabiny. - Niczego poza tym nie mogę powiedzieć. Wygląda na to, że z nasieniem Daventry'ego jest coś nie w porządku. Dlatego właśnie nie udało mu się spłodzić ani jednego naprawdę zdrowego dziecka.

- Ale życiu hrabiny nic nie zagraża? Wyglądała na zaniepokojoną.

- Istotnie, obawia się, że nie przeżyje tego porodu. - Julia ciałniej owinęła się szalem, otrzymanym od lady Daventry. - I jest to, niestety całkiem możliwe.

- Mówiłaś jej, że odebrałaś wiele szczęśliwych porodów kobiet w jej wieku!

- Owszem, ale niektórych z jej rówieśnic nie udało mi się uratować. - Niekiedy Julii śniły się jej zmarłe pacjentki. Nie były to przyjemne wspomnienia. Czasami nie pomagały największe starania! - Lady Daventry była poważnie chora po ostatnim poronieniu. Tym cięższy będzie zapewne następny poród.

- A ów renomowany specjalista, o którego wystarał się dla żony Daventry? - zagadnął z przekąsem Randall. - Zapewni bezcennemu synowi i spadkobiercy hrabiego najlepszą opiekę?

- Sir Richard Croft cieszy się doskonałą opinią. Kilkakrotnie puszczał hrabinie krew i polecił stosować dietę odchudzającą. Ja bym jej czegoś takiego nie doradzała. - Julia zmarszczyła brwi. - Wiem, że to teraz ostatni krzyk mody: być pod opieką lekarza położnika, ale moim zdaniem doświadczona akuszerka poradzi sobie równie dobrze, albo i lepiej, niż taki medyk. Choć prawdę mówiąc, nie jestem w tej sprawie obiektywna.

- Myślę, że kobieta okazuje więcej szacunku dla organizmu, w którym powstaje nowe życie - powiedział Randall z uśmiechem. - Mam nadzieję, że hrabina przejdzie tę próbę zwycięsko. Zdumiewa mnie, że w ogóle jakaś kobieta zdecydowała się na takiego męża jak Daventry... ale mimo iż hrabina wydaje się dostrzegać wszystkie jego wady, nadal ma do niego wiele sympatii. - Pokręcił głową. - Kobiety to doprawdy niepojęte istoty!

Julia się roześmiała.

- Mężczyźni i kobiety często uważają się nawzajem za zagadkę. Jeśli chodzi o ten przypadek, sama uległam ciekawości i spytałam hrabinę, czemu za niego wyszła. Była ze mną całkiem szczerą. Powiedziała, że wydał się jej pociągający. Przypomina bohaterów lorda Byrona.

- Bohaterów lorda Byrona? - powtórzył Randall, nie wierząc własnym uszom.

- Jak sam zauważyłeś, kobiety miewają nieraz dziwaczne upodobania. Często żywią też słabość do władczych mężczyzn. A Louisa... po stracie pierwszego męża nie miała widać ochoty zajmować się przez resztę życia haftem i dobroczynnością. Poza tym, wychodząc za Daventry'ego zostawała hrabiną, osobą bogatą i szanowaną. To również jej odpowiadało, ma się rozumieć.

- Ma się rozumieć! - powtórzył z wyraźną ironią.

Myśli Julii zmieniły kierunek. Nie skupiały się już wyłącznie na zdrowiu hrabiny, lecz także wokół pytania: jaki wpływ będzie miała ta ciąża na życie Randalla?

- Bardzo cię ubodło, że Daventry uznał cię za zbędnego krewniaka i odprawił z kwitkiem?
  - Uważam, że i tak wyszliśmy z tego obronną ręką! - Profil męża wydawał się twardy, jak wyryty w marmurze, gdy Alex spoglądał przez okno powozu na zatłoczoną ulicę. - W ciągu ostatnich trzech dni oboje zostaliśmy wydziedziczeni przez dwie niezwykle ważne osobistości!
  - Mój ojciec wyrzekł się mnie już dwanaście lat temu, toteż jego najnowsza wypowiedź nie zmieniła w niczym mojej sytuacji - zwróciła mu uwagę Julia. - Ale ciebie nie tylko wyrzekł się stryj... Utraciłeś też prawdopodobnie wszelkie nadzieje na zostanie hrabią. To jednak wielka różnica!
- Za oknem powozu ktoś londyńską gwarą zaczął przeklinać jednego z woźniców. Musieli wysłuchać dłuższej wymiany obelg, zanim Randall mógł odpowiedzieć żonie:
- Zaczynałem się już przyzwyczajać do myśli, że zostanę kiedyś hrabią. I nawet wydawało mi się to w pewnym sensie... sprawiedliwe. - Odwrócił się od okna i wziął żonę za rękę. - Chciałbym, żebyś mogła zostać hrabiną!
  - To i tak byłaby niższa pozycja od tej, jaka mi się należy z urodzenia, a zatem niewielka to dla mnie strata! - odparła umyślnie niedbałym tonem. - Ale z ciebie byłby bardzo dobry hrabia: sprawiedliwy, rozsądny, budzący posłuch.
- Zbył ten komplement wzruszeniem ramion.
- Przez większość życia w ogóle nie myślałem o dziedziczeniu tytułu. Zawsze było przede mną wielu bardziej do niego uprawnionych. Nie powinno więc zająć mi wiele czasu pogodzenie się z tym, że znów jestem zwykłym majorem.
  - Potrafiłeś jednak sam, bez niczyjej pomocy, zdobyć stopień majora... czego nie może o sobie powiedzieć pierwszy lepszy par Anglii!
  - Oni znają się tylko na dziedziczeniu - przytaknął. - Aja, nawet będąc domniemanym spadkobiercą, wiedziałem, że jeśli dadzą mi ten tytuł, to wyłącznie ze smutnej konieczności. Daventry nigdy z własnej woli nie zostawiłby mi swego majątku. Tak więc, podobnie jak



u ciebie, wydziedziczenie mnie było wyłącznie formułką, potwierdzającą stan już istniejący.

Julia miała wrażenie, że wyczuwa w jego głosie jakąś niepokojącą nutę, przyjrzała się więc uważnie twarzy męża. Powóz akurat potoczył się żywiej i słońce wpadło przez okno, oświetlając wyraźnie jego rysy. Julia była zaszokowana tym, co wyczytała w jego oczach.

Utrata hrabiowskiego tytułu mogła nie mieć dla Randalla większego znaczenia, ale sam Daventry był potężną osobowością, która odegrała ważną rolę w świecie trudnego dzieciństwa Aleksa. Choć jej mąż nieustraszenie stawiał czoło wściekłości i obelgom swego stryja, kosztowało go to wiele.

Podobnie ona nie mogła zlekceważyć gniewu i pogardy swojego ojca.

Rany ducha goją się znacznie dłużej niż obrażenia ciała. Niechętna zgoda Daventry'ego, kiedy hrabia sądził, że już tylko bratanek może zostać jego spadkobiercą, była dla Aleksa czymś najbardziej zbliżonym do uczucia, jakiego bezskutecznie oczekiwał w dzieciństwie od oficjalnego opiekuna. A teraz Daventry rozdarł tę kruchą więź na krwawiące strzępy.

Randall nie mógłby okazać swojej żonie takiego zrozumienia, gdyby sam w dzieciństwie nie zaznał poniżenia. Julia wyobrażała sobie małego Aleksa - nieufnego chłopca, obserwującego bacznie otoczenie w przekonaniu, że gdzieś w pobliżu wiecznie czai się niebezpieczeństwo. Podobnie czuła się Julia, ilekroć Branford był przy niej. Teraz Randall przeżywał ból. Najwyższy czas, żeby to ona zatroszczyła się o niego, skoro dotąd on opiekował się nią!

- Czuję, że o tej porze jazda będzie bardzo powolna i wrócimy do domu Bóg wie kiedy... - Julia zaciągnęła zasłonkę najpierw w swoim oknie, potem zaś po stronie Randalla. - Wykorzystajmy ten czas, by zapomnieć o niemiłej wizycie w Daventry House!

Choć we wnętrzu powozu zrobiło się mroczno, Julia dostrzegła, że jej mąż unosi brwi.

- A co proponujesz?

- Może byśmy się tak... pocałowali? - Z lekkim wahaniem podniosła głowę i przycisnęła usta do jego ust. - Zawsze do tej pory po-

zwaląłem się całować, a nie narzucałem się z całusami... Mam nadzieję, że nie odskoczysz ode mnie ze wstrętem?

- Czemu miałbym zrobić coś równie głupiego, kiedy przez cały czas dokładałem starań, by przywabić cię do siebie?

Rozchylił wargi i pocałunek stał się jeszcze bardziej namiętny.

Julia rozkoszowała się igraszką ich języków. Łatwo było przy tym zapomnieć o niemiłych głosach i gniewnych słowach! Dla niej istniał w tej chwili tylko ten jeden człowiek, który sprawiał, że serce biło jej szybko, gdy tulili się do siebie. Czuła jego dłonie na swoich plecach i coraz mocniej wpijała się palcami w jego ramiona, gdyż ogarniała ją rozkosz. Nic dziwnego, że przyzwoitki starały się obronić niewinne panienki przed pocałunkami: ta upajająca słodycz całkiem odbiera rozum... Ale ten niebezpiecznie pociągający mężczyzna był przecież jej mężem, nie musiała się więc zachowywać rozsądnie! Pod osłoną barwnego szala, podarowanego przez hrabinę, palce Aleksa wykryły pierś Julii, a jego pieszczoty sprawiły, że jej wrażliwe ciało zbudziło się do życia mimo kilku warstw rozdzielającej ich odzieży. Zapragnąwszy poznać lepiej ciało męża, Julia powiodła ręką po jego torsie, wyczuwając z przyjemnością sprężyste mięśnie pod wytwornym strojem londyńskiego dżentelmena. Musnęła nadgarstkiem twardą wypukłość w jego spodniach. Ku swemu zdumieniu nie poczuła wcale strachu, tylko zadowolenie. Był to przecież niezbity dowód, że jest dla męża pociągająca!

Zachwycona wrażeniem, jakie na nim wywarła, zaczęła rozpinać guziki. Złapał ją za rękę.

- Nie musisz tego robić, moja panno! - powiedział szorstko. - Wystarczy, że mnie całujesz.

Odchyliła głowę do tyłu i pochwyciła jego spojrzenie.

- Dotąd tylko ty troszczyłeś się o mnie i moje lęki... Teraz ja chcę zrobić coś dla ciebie!

Odetchnął z trudem.

- Jeśli jesteś pewna...

- Zupełnie pewna!

Wróciła do rozpinania guzików i po chwili naprężony, twardy członek spoczywał w jej ręku. Wiedziała z doświadczenia, że mężczyzna może wykorzystać go przeciw niej, jako narzędzie brutalnej przemocy - ale to było już odległe wspomnienie, niemające nic wspólnego z teraźniejszością! W tej chwili liczyły się jedynie ręce Aleksa, zaciśnięte na jej ramionach, i ogromna radość, jaką sprawiało jej dawanie mu szczęścia, gdy pieściła go, ścisnęła i drażniła... W początkach pierwszego małżeństwa nauczono ją zaspokajać męskie pragnienia.

Nie były to łatwe lekcje, ale okazała się pojętną uczennicą. Później próbowała wykorzystać te umiejętności w obronie własnej - łudząc się, że Branford nie będzie jej dręczył, jeśli zostanie zaspokojony. Teraz przypomniła sobie wszystkie sposoby, podniecające zmysły. .. Wiedziała jednak, że jest z mężczyzną, który na pewno nie zrobi jej krzywdy. Kiedy uprzytomniła sobie, że może mu sprawić jeszcze większą rozkosz, zawahała się, niepewna, czy zdobędzie się na coś równie intymnego? Trwało dłuższą chwilę, nim dotarło do niej, że chęć sprawienia mu radości jest silniejsza od obaw. Odetchnęła głęboko, a potem nachyliła się i wzięła członek do ust.

- O Boże, Julio!

Ręce męża zacisnęły się na jej ramionach. Zaskoczona podniosła głowę. - Mam przestać?

- Nie! - Oddech mu się rwał. - Dobry Boże, nie! Zadowolona, nachyliła się znowu. Jej wargi i język przypomniwały

sobie pieszczoty, których ją nauczono dawno temu... Ku swemu zdumieniu, tym razem cieszyło ją nie tylko to, że sprawia mu rozkosz, ale i poczucie własnej potęgi. Nawet powietrze wewnątrz powozu przesycone było napiętnością. Świadczyło o niej także jej własne podniecenie. Ekstaza Randalla sprawiła, że Julia poczuła się równoprawną partnerką, a nie wykorzystywaną ofiarą czy biernym odbiorcą cudzych pieszczot.

W swoim zapale doprowadziła męża do spełnienia szybciej, niż zamierzała. Alex krzyknął i wczepił się palcami w jej włosy. Jego

miednica poruszała się spazmatycznie. Gdy znieruchomiał, Julia oparła głowę na jego brzuchu, bardzo z siebie zadowolona.

Ręce Randalla nie zaciskały się już na jej włosach, lecz przegarniały je pieśczeniście.

- Jesteś nadzwyczajna, Julio! - Głos mu drżał. - Jeśli pozwolisz... - Posadził ją sobie na kolanach. - Jesteś wprost stworzona do tego, by tulić cię w objęciach!

- Wiesz? Sprawilo mi to przyjemność! - oświadczyła, sadowiac się wygodnie. - Mam nadzieję, że już zapomniales o dzisiejszej wizycie w Daventry House?

- Daventry House? A co to takiego? - odparł bez zajaknienia. Przesuwal lewa ręką po jej nodze, od kostki przez łydkę, aż do

kolana, zapuszczajac się coraz głębiej pod spódnice. Zaparło jej dech, gdy poczuła ciepłą dłoń na wewnętrznej stronie uda, rozkoszne zadowolenie przerodziło się w nagłe požądanie. Rozchylił jej kolana, by ręką mogła sunąć wyżej i wyżej. Doznała cudownego szoku, gdy dotknął tego najtajniejszego miejsca. Rozkoszne doznania przyćmiły nieco umysł Julii. Jednak tym razem szczyt rozkoszy nie był dla niej zaskoczeniem. Oczekiwała właśnie tego!

Randall wiedzial lepiej od niej, czego pragnęła - i płomień orgazmu ogarnął całe jej ciało. Palce Julii się zacisnęły. Przyłgnęła do niego, kołyszac się gwałtownie. Napięcie rosło w niej, stawalo się nie do zniesienia - i nagle, w jednej chwili, znikło - a ona opadła bez sił na Aleksa.

- O Boże... - wyszeptała. - Co za królewska nagroda za to... że ci dałam trochę rozkoszy!

- Najwspanialsza jest rozkosz odwzajemniona. - Ucałowal jej wilgotną od potu skroń. - Następnym razem musimy spróbować tego w łóżku! Powinno być wygodniej... no i od razu będziemy mogli zasnąć.

- Co za urocza perspektywa! - Julia stłumiła ziewnięcie, zamknęła oczy i wsłuchiwała się w rytmiczne uderzenia jego serca, tuż pod jej policzkiem. - Mam nadzieję, że dziś będzie największy ruch

na ulicach w historii Londynu i wrócimy do Ashton House dopiero o północy!

Randall roześmiał się i uniósł nieco zasłonkę w oknie powozu.

- Nie ma mowy! Przebiliśmy się już przez najgorszy tłok i będziemy w domu za kilka minut.

Żadnemu z nich nie chciało się nawet ruszyć. Julia ze zdumieniem uświadomiła sobie, że to, co czuje, nie jest zwykłym zadowoleniem. Była szczęśliwa!

Poczuła również rosnącą ciekawość. Alex wiedział wszystko o jedynym mężczyźnie, z którym dzieliła niegdyś łóżce, ona zaś nie wiedziała nic o jego wcześniejszych przygodach miłosnych.

- Chyba nie powinnam o to pytać... ale kto cię nauczył dawać kobiecie taką rozkosz?

- Nie miałem niezliczonej rzeszy kochanek, jeśli o to pytasz. - Leniwie gładził ją po karku. - Oficer w służbie czynnej ma dość ograniczone możliwości pod tym względem.

- Ograniczone... ale zawsze jakieś się znalazły?

- Unikałem jak ognia obozowych markietanek, bo nie chciałem nabawić się jakiegoś paskudztwa.

Była to kwestia rozsądku, nie skrupułów moralnych. Miałem jednak jeden poważny romans. Ocaliłem wdowę po francuskim oficerze i jej służącą z rąk hiszpańskich partyzantów, którzy pałali żądzą zemsty w stosunku do każdego Francuza. Choćby to były tylko dwie bezbronne kobiety.

Major Randall - obrońca uciśnionych. Oczywiście!

- Ta dama musiała być ci bardzo wdzięczna!

- Owszem... ale romans miałem z jej pokojówką. - Uśmiechnął się na to wspomnienie. - Celeste była uroczą małą szelmą, Francuzką w każdym calu. Powiedziała, że nie jestem w jej typie, ale brak jej męskiego towarzystwa, więc się nadam, z braku laku... Spędziła ze swoją panią długą zimę w Portugalii, w pobliżu miejsca, gdzie stacjonował mój regiment. A potem udało im się wrócić do Francji, do swoich rodzin.

Julia pomyślała z żalem, że nikt jej nigdy nie nazwał „uroczą małą szelmą”.

- Musiała to być znajomość bardzo pouczająca, zwłaszcza dla Anglika!

- Ajakże! - Uśmiechnął się szeroko. - Celeste udzieliła mi wielu znakomitych rad. Przede wszystkim, żeby zwracać baczną uwagę na to, co kobieta mówi... i czego nie mówi.

- Mądra dziewczyna! - przyznała Julia. - Mam nadzieję, że obie wróciły cało i zdrowo do Francji.

- Owszem. Madame napisała do mnie list, który w końcu dotarł jakoś do mnie z terytorium wroga. Obie powróciły do domu i były bezpieczne w Lyonie. Celeste poślubiła młodego człowieka, z którym znali się od dawna, inwalidę wojennego, zwolnionego z armii Napoleona.

- Mam wrażenie, że była to dziewczyna pogodna i nie brała życia zbyt poważnie. Znowó określenia, które nie pasowały ani trochę do niej samej.

- Za to ty jesteś znacznie bardziej interesująca! - A potem dorzucił już innym tonem: - Wjeżdżamy właśnie w bramę. Koniec sielanki! - Zdjął żonę z kolan i posadził obok siebie. - Powinniśmy choć trochę doprowadzić się do porządku.

- Mogę przygłodzić włosy, ale chyba nie zdołam zmienić wyrazu twarzy - oświadczyła Julia, poprawiając garderobę. - Mam z pewnością minę kota, który dobrał się do śmietanki! Odwzajemnił jej uśmiech.

- Ja chyba też!

- Owszem, mam wrażenie, że oblizujesz sobie wąsy - przyznała.

- Oblizuję, powiadasz?

Zaczerwieniła się, troszkę zażenowana, ale przede wszystkim ubawiona.

- Ilekroć wsiądę do powozu, będę wspominał to, cośmy tu robili! - szepnął prowokacyjnie, gdy powóz stanął, a lokaj otworzył drzwiczki.

Bez troski nastrój nie opuszczał Julii do chwili, gdy weszli do Ashton House i majordomus pospieszył im na spotkanie.

- Ma pani gościa, lady Julio. Czeka w małym salonie. Powiedział, że nie ruszy się stąd, póki się z panią nie zobaczy.

Gościa...? Kto w Londynie mógł się dowiedzieć o jej przybyciu? Julia zerknęła na kartę wizytową. Krew odpłynęła jej z twarzy. Lord Stoneleigh.

- Wielkie nieba! - wyszeptała. - To mój brat Anthony!

- Nie musisz go przyjmować, jeśli nie masz ochoty - uspokoił ją Randall. - A jeśli chcesz się z nim zobaczyć, nie zostawię cię z nim samej!

Julia pomyślała z rozpaczą o swoim wyglądzie. Z pewnością przypominała rozpustną dziewczkę, która właśnie wyhasała się na sianie: czerwone policzki, wymięte ubranie! W żaden sposób nie mogła jednak uniknąć tego spotkania.

Zacisnąwszy zęby, otuliła się szczerzej szalem od lady Daventry jakby to była zbroja, mogąca ją osłonić.

- Najlepiej mieć to już za sobą! Pójdiesz ze mną?

- Oczywiście. Dzielny z ciebie żołnierz, milady! - Randall objął ją opiekuńczo ramieniem. - Do małego salonu krokiem marsz!... Mam nadzieję, że twój brat nie wrodził się w Castletona.

Julia też miała taką nadzieję.

## 23

Kiedy wraz z Randallem weszli do małego salonu, Julia stanęła jak wryta, zaszokowana tym, jak bardzo jej brat przypominał teraz ojca.

- Anthony... - szepnęła z rozpaczą.

Gdy widziała go po raz ostatni, był niezgrabnym uczniakiem o zbyt długich rękach i nogach. Teraz miała przed oczyma dorosłego mężczyznę, przywykłego do luksusu, arystokratę z krwi i kości. Przewyższał nieco wzrostem swojego ojca, ale miał rysy Rainesów i ich karnację. A typowy, wściekły gniew Rainesów płonął w nim tak, że

meble w salonie były niemal osmalone. Julia nie wiedziała, czy rozplakać się, czy rzucić do ucieczki. Randall dotknął ciepłą dłonią jej pleców, by przypomnieć żonie, że nie jest sama. Choćby nawet cała rodzina jej się wyparła, on zawsze będzie stał przy jej boku. Ta pewność pomogła Julii stawić czoło rozwścieczonemu bratu.

Randall odezwał się pierwszy, gdyż ona nie była jeszcze w stanie przerwać milczenia.

- Lord Stoneleigh? - spytał z całą swobodą, zamykając za sobą drzwi. - Major Randall, do usług. -

Wyciągnął rękę do gościa. - Zapewne już wiesz, milordzie, że jestem twoim szwagrem?

Zignorowawszy Randalla, jakby był niewidzialny, Anthony zbliżył się wielkimi krokami do siostry, ani na chwilę nie odrywając wzroku od jej twarzy. Kącikiem oka dostrzegła, że Randall nieugięcie tkwi u jej boku. Był spokojny i opanowany - i absolutnie zdecydowany zaatakować jej brata, gdyby

próbował wyrządzić jej krzywdę. - To naprawdę ty, Juli? - spytał pełnym napięcia głosem Anthony. -

Nie mogłem w to uwierzyć, kiedy ojciec powiadomił mnie, że żyjesz! Julia próbowała się uśmiechnąć.

- To naprawdę ja, Anthony! Tylko o dwanaście lat starsza. I, mam nadzieję, trochę mądrzejsza. Ja... ja często o tobie myślałam...

- To dlaczego ukrywałaś przede mną, że żyjesz?

Ten krzyk, wrywający się prosto z serca, zniweczył maskę wytwornego światowca. Wyrzwał spoza niej chłopiec, będący niegdyś jej najdroższym przyjacielem. Chłopiec, który bardzo cierpiał po stracie jedynej siostry, a teraz czuł się przez nią oszukany.

Julia z trudem powstrzymywała łzy, ale nie spuściła oczu.

- Nie miałam odwagi wyznać ci tego, Anthony. To była zbyt niebezpieczna tajemnica, by obciążać nią młodszego braciszka!

- Może z początku... - Spojrzał na nią z goryczą. - Ale przez te wszystkie lata?

- Mogłam utrzymać się przy życiu tylko w ten sposób: odwracając się całkowicie od swej przeszłości.

Wspominanie jej było zbyt



bolesne - próbowała mu wytłumaczyć. - A poza tym... lękałam się, że gdybyś wiedział, iż nadal żyję, wzgardziłbyś mną za podstęp, jakim się posłużyłam. Widzę, że moje obawy były uzasadnione!

- Do wszystkich diabłów, Juli... - Głos Anthony'ego się załamał. Markiz zrobił jeszcze jeden krok i objął siostrę z całej siły. Niemal zginęła w jego uścisku: czubkiem głowy sięgała mu ledwie do brody.

-Jak mogłaś pomyśleć, że wzgardziłbym rodzoną siostrą?

- Jesteś... jesteś już dorosły... - wykrztusiła.

Poczuła ogromną ulgę i wybuchnęła płaczem. Ze strony ojca nie spodziewała się niczego dobrego, toteż jego pogarda - acz bolesna -nie zaskoczyła jej. Ale z bratem byli niegdyś bardzo sobie bliscy.

Odrażona przez niego chyba całkiem by się załamała.

Kiedy strumień łez, płynących z jej oczu, nieco osłabł, Randall znów się odezwał:

- Rozumiem, że chociaż wasz ojciec wyrzekł się Julii, ty, Stone-leigh, nie wyminąłbyś jej bez słowa, gdybyście się spotkali w towarzystwie?

- O nie! - Głos Anthony'ego był zdławiony, gdy cofnął się nieco, by lepiej się przyjrzeć twarzy siostry. Jego oczy były takie same jak oczy ojca, ale ich wyraz, pełen czułości, przypominał spojrzenie matki.

-Jesteś przecież moją siostrą, Juli, i będę szczyć się tym przed całym światem! Ojciec może nie chce cię znać, ale nie ma prawa cię wydziedziczyć, bo pieniądze należą ci się po matce!

- Nic mnie nie obchodzi, co Castleton o mnie myśli! - Półprzytomna z ulgi i radości Julia opadła na kanapę i ciągnąc brata za rękę, nakłaniała go, by usiadł obok niej. - Ważne jest dla mnie tylko to, że ty się mnie nie wyparłeś!

- Porozmawiam z naszym doradcą prawnym o przeniesieniu na twoje imię należnego ci spadku. - Anthony rzucił podejrzliwe spojrzenie na Randalla. - Oczywiście należałoby spisać umowę...

Podejrzliwość Anthony'ego wydawała się w pełni uzasadniona; ponieważ Julia i Randall byli już małżeństwem, major miał pełne prawo rozporządzać całym jej majątkiem. W przypadku małżeństwa zaaranżowanego przez rodzinę, ślub poprzedziłyby negocja-

cje, a następnie zostałby spisany kontrakt ślubny. Julia wiedziała, że Randall jest człowiekiem honoru, ale Anthony nie znał go przecież!

- Nie ożeniłem się z twoją siostrą ze względu na jej spadek -oświadczył z zimną krwią Randall. - I zrzekam się z góry wszelkich praw do tych pieniędzy. Niechże sama dysponuje swoją schedą!

Anthony się odprężył.

- To bardzo przyzwoicie z twojej strony, Randall. Większość mężczyzn świerbiłyby łapy, żeby jak najprędzej dorwać się do jej fortuny!

- A ile właściwie na mnie przypada? - spytała Julia. - Nigdy mi tego nie powiedziano.

- Nie wiem dokładnie... - Jej brat zastanowił się przez chwilę. -Ale chyba będzie tego ze sto tysięcy funtów.

- Dobry Boże! - zawołał Randall, spoglądając w osłupieniu na Julię. - Jesteś chyba najbogatszą dziedziczką w Anglii!

- Nie miałam pojęcia, że jest tego aż tyle. - Wzruszyła ramionami, zażenowana. - Trudno mi nawet wyobrazić sobie taką sumę. Od tak dawna płacono mi za porady jajkami albo kurczakami!

Anthony zamrugął.

- Jak to? Przez te wszystkie lata musiałaś pracować, by utrzymać się przy życiu, Juli?

- Byłam akuszerką w Cumberland. To długa historia! - Uśmiechnęła się niepewnie.

- Muszę ją usłyszeć - stwierdził kategorycznie brat. - Chcę się dowiedzieć wszystkiego!

- Widzę, że macie sobie mnóstwo do powiedzenia. - Randall uścisnął serdecznie ramię żony. - Wobec tego zostawiam was samych!

Julia spojrzała na niego, starając się uśmiechem wyrazić swoją wdzięczność.

- Dziękuję ci, Alex. Za wszystko!

I niezwłocznie zwróciła się znowu do brata, by mogli czym prędzej opowiedzieć sobie, jak każde z nich przeżyło ostatnie dwanaście lat.

Oszołomiony Randall zamknął za sobą drzwi salonu. W tym dniu, obfitującym w dramatyczne wydarzenia, zawrotna suma pieniędzy, przypadających na Julię, była dla niego największym wstrząsem. Taki był rad, że może zaoferować swojej żonie wygodne życie i niewielki, ale ładny mająteczek... A teraz dowiaduje się, że Julia ma prawo do bogactw, przewyższających wielokrotnie wszystko, co posiada! Odwrócił się i ujrzał księżną Ashton, która czekała na korytarzu, wyraźnie zaniepokojona. - Jak przebiega spotkanie Julii z bratem? - spytała. - Chyba nie opuściłbyś jej, gdyby ten brat nie zachowywał się jak należy!

- Stoneleigh miał Julii za złe, iż ukrywała przed nim, że żyje... ale szybko się dogadali i padli sobie w ramiona - wyjaśnił zwięźle. - A choć ojciec się jej wyparł, brat ani myśli tego zrobić. Julia jest szczęśliwa, bardzo jej ulżyło. Będą teraz gadali przez kilka godzin!

- Znakomicie! - Mariah chwyciła Randalla za ramię i pociągnęła go z powrotem w stronę frontowego holu. Przyjrzawszy się majorowi uważnie, stwierdziła: - Masz taką kamienną twarz! Daventry znów coś zmalował? Randall wzruszył ramionami.

- Pochwalił się przed nami swoją hrabiną w zaawansowanej ciąży i nie tylko obwieścił, iż jestem mu już niepotrzebny, ale poinformował, żebym nie liczył na to, że coś po nim odziedziczę! Zachowanie typowe dla mego stryja. Mam szczerą nadzieję, że to było nasze ostatnie spotkanie i już nigdy nie będę miał z nim do czynienia! Mariah się wzdrygnęła.

- Mielście ciężki dzień!

- O tak. - Ale najważniejsze było to, co przeżyli w powozie... tylko że o tym przecież nie mógł opowiedzieć Mariah! - Największym szokiem była dla mnie wiadomość o wysokości spadku, jaki przypadnie Julii po matce. Wszyscy będą teraz plotkować, że popełniła megalomanię, wychodząc za kogoś takiego jak ja!

- Co za bzdury! - ofuknęła go Mariah. - Kogo to obchodzi, co ludzie będą gadać?! Gdyby Julia była nadal akuszerką, nasza londyńska socjeta orzekłaby z pewnością, że ty popełniłeś me-

zalians, żeniąc się z nią! A przecież i ty, i ona jesteście tacy sami i wtedy, i teraz!

Mariah miała oczywiście rację, ale mimo wszystko wolałby, żeby jego żona nie była aż tak bogata. Zdecydowanie bardziej mu odpowiadała rola wielkodusznego męża niż szczwanego łowcy posagów.

- Prawdę mówiąc, wcale nie jestem taki sam jak przedtem. Przebywanie w towarzystwie Julii ma dobroczynny wpływ na moje usposobienie.

- Zauważyłam to! - potwierdziła Mariah z uśmiechem. Znaleźli się we frontowym holu akurat w chwili, gdy Holmes

witał kolejnego gościa - siwowłosą damę w czarnych jedwabiach i olśniewających perłach.

Wkroczyła do holu - drobniutka, piękna... i władczą niczym sam Wellington!

- Jej wysokość księżna de Charente - oznajmił Holmes. Mariah wydała zdławiony okrzyk i tak nisko dygnęła, że niemal przysiadła na ziemi.

- Wasza księżęca mość u nas, co za zaszczyt! Nie przypuszczałam, że księżna pani odpowie tak szybko na mój list!

- Oczywiście, że chciałam jak najprędzej zobaczyć się z moją wnuczką, kiedy już oficjalnie wróciła do świata żywych - odparła stara dama z uroczym francuskim akcentem. - Podnieśże się, dziewczyno! Szacunek dla starszych to wielka zaleta, ale jedna księżna nie musi się kłaniać przed drugą.

- Przyjmuję z wdzięcznością upomnienie i postaram się poprawić! - Mariah się wyprostowała. W jej oczach tańczyły swawolne iskierki, choć głos był podejrzenie uległy. - ...Ale jestem najnowszą i najmniej doświadczoną księżną w Londynie, gdzie mi się równać z waszą księżęcą mością!

- Z czasem nauczysz się wszystkiego - odparła stara księżna protekcyjnym tonem, ale jej wargi drgały od powstrzymanego śmiechu.

Randall przypuszczał, że babka Julii będzie słabowita, może nawet okaże się inwalidką... Jej zdrowie jednak wyraźnie się poprawiło od ostatniego spotkania z wnuczką. Major zauważył, jak bardzo jego

żona jest podobna do swojej babki. I z pewnością zestarzeje się równie pięknie, jak ona.

Tymczasem Mariah mówiła dalej:

- Julia i jej brat są w małym salonie, nadrabiają zaległości po tylu latach rozłąki.

Księżna podejrzliwie pociągnęła nosem.

- Stoneleigh tu jest? Mam nadzieję, że zachowuje się przyzwoicie!

- Naprawdę ucieszył się z odzyskania siostry - odparł Randall. - Byli niegdyś bardzo sobie bliscy i sądzę, że nic się pod tym względem nie zmieni.

Stara księżna zwróciła przenikliwy wzrok na Randalla.

- Jak mniemam, mówię z majorem Randallem, mężem Julii? Skłonił się.

- W rzeczy samej, madame.

- I spadkobiercą Daventry'ego?

- Jedynie domniemanym - odparł. - A szczerze mówiąc, praktycznie pozbawionym wszelkich nadziei na tytuł. Daventry i jego żona oczekują niebawem radosnego wydarzenia.

Piwnie oczy księżnej spojrzały nań ostro.

- Pierwsze słyszę! No cóż, szkoda, że twoje nadzieje zawiodły. Julia byłaby przynajmniej hrabiną. Co właściwie sprawiło, żeś uznał się za godnego mojej wnuczki?

- Wcale nie uważam, że jestem jej godny - odparł Randall. - Ale los czasem się do nas uśmiecha.

- W twoim przypadku to naprawdę uśmiech losu! - zauważyła sucho stara dama. - Moja wnuczka to najlepsza partia w całej Anglii.

- Nie szukałem najlepszej partii w całej Anglii - odparł równie sucho. - Ożeniłem się z zachwycającą akuszerką z Hartley, która dorobiła się zaledwie dachu nad głową, niczego więcej!

Księżna wybuchnęła śmiechem.

- Podobasz mi się, majorze! Zaprowadź mnie teraz do moich wnucząt.

Randall udał się wraz z Mariah i księżną de Charente do małego salonu. Ciekaw był, jak Julia i Stoneleigh zareagują na przybycie babki.

Gdy tylko drzwi się otwały, dwa głosy wykrzyknęły zgodnie:

- Grandmere!

Spoglądając nad głowami obu księżnych, Randall zobaczył, jak Stoneleigh zrywa się na równe nogi i pospiesznie składa ukłon. Julia też wstała i wykonała z wdziękiem dworski dyg, zanim podbiegła, by uścisnąć babkę. Była od księżnej zaledwie trochę wyższa.

Na chwilę oczy groźnej księżnej de Charente zaszczyły łzami.

- Tak się cieszę, że wyszłaś wreszcie z ukrycia, moje dziecko! - szepnęła. Potem uporała się ze łzami i cofnęła nieco, by lepiej przyjrzeć się wnuczce. - Doprawdy, całkiem nieźle się prezentujesz, Julio! Już nie jesteś taka niepozorna. Przypuszczam, że to zasługa tego drągala, za którego wyszłaś?

- Istotnie, Grandmere. - Julia zerknęła ponad ramieniem księżnej na Randalla i przesłała mu uśmiech, który spowodował dziwne uczucie w jego żołądku. - To mężczyzna o niezwykle skromnych wymaganiach: postanowił się ze mną ożenić, choć wyjaśniłam mu dokładnie, czemu nie warto tego robić!

- To nie skromne wymagania, tylko spryt! - stwierdziła księżna z uznaniem i przeniosła wzrok na swego wnuka. - Nie zamierzasz chyba, Stoneleigh, traktować Julii tak jak ten dureń, twój ojciec?

- Okazałbym brak szacunku dla rodziców, gdybym ci przytaknął, Grandmere - odparł Anthony, a oczy błysnęły mu szelmowsko. - Zapewnię więc tylko, że będę wspierał moją siostrę na wszelkie znane mi sposoby.

Podobnie jak Julia, żywił niewątpliwy respekt dla babki, ale się jej nie lękał.

Księżna skinęła głową.

- Doskonale! Musimy we dwie zaplanować bal nad bale! - powiedziała do Mariah. - Niech sobie dzieciaki nadrobią zaległości w pogawędkach... a potem przyłączysz się do nas, Julio! - Spojrzała

znów na Randalla. - Ty lepiej nie wtrącaj się do tego, majorze! Do takich spraw trzeba kobiecej głowy. - Nigdy bym się nie ośmielił wtrącać - zapewnił z przekonaniem Randall. - Księżna Ashton poinformowała mnie już, że mam wystąpić na balu w pełnej wojskowej gali. Jestem do usług i czekam na dalsze rozkazy.

Księżna de Charente zachichotała.

- Dobry z ciebie gagatek, majorze! Dalsze rozkazy otrzymasz po tym, jak naradzę się ze swoim sztabem. A teraz zmykaj!

Randall wyniósł się bez słowa. Nigdy dotąd nie nazwano go „dobrym gagatkiem”, ale ponieważ to określenie padło z ust księżnej, uznał je za swoisty komplement.

Zabrał kilka listów, które Holmes odłożył dla niego, i wycofał się do swych pokoi. Niektóre listy odbyły długą drogę: najpierw do Hiszpanii, a potem znów do Anglii. Zauważył, że kilka z nich pochodzi od jego rządcy. Dołączył je do pliku korespondencji, która zebrała się na jego biurku, podczas gdy on podróżował - i to z przygodami! - na północy. Najwyższy czas osiąść na stałe w Roscombe i zachowywać się statecznie, jak przystało na właściciela ziemskiego.

Wyjął z szuflady biurka hiszpański sztylet i zaczął otwierać listy. Nie mógł jednak skupić się na interesach. Jeszcze dziś rano był spadkobiercą tytułu hrabiowskiego, który poślubił niedawno kobietę niezwyklej, ekscytującą, ale bez pensa przy duszy. Pod koniec dnia okazało się, że jest dżentelmenem bez nadziei na jakikolwiek tytuł, posiadaczem niewielkiego majątku, który poślubił właścicielkę nieprawdopodobnej fortuny! Podobno Sarah, lady Jersey, mając sto tysięcy funtów posagu jako główna spadkobierczyni swego dziadka Roberta Childa, założyciela słynnego banku, uchodziła za najlepszą z partii na rynku matrymonialnym. A teraz się okazuje, że cichutka Julia, która z zimną krwią wydłubała odłamki szrapnela z jego poszarpanego uda, jest równie bogata!

Randall oświadczył - zarówno Julii, jak i Mariah - że nie ma dla niego większego znaczenia to, iż stracił wszelkie szanse na hrabiów

ski tytuł. Ale najwyraźniej miało znaczenie! Chociaż przez większość życia nie zastanawiał się nad tym, że może kiedyś zostać hrabią, przez kilka ostatnich tygodni oswoił się z tą myślą. Nawet zaczęło mu się to podobać. Miał zbyt wiele dumy, by przyznać się do tego komuś innemu, ale sam ze sobą powinien być szczery.

...I co ma robić błędny rycerz, który ocalił damę z opresji, a potem dowiaduje się, że już nie jest jej potrzebny?

## 24

Gdy popołudnie miało się ku końcowi, Julia wróciła do apartamentu. Przystanąła w drzwiach, by popatrzeć z zachwytem na Randalla, pracującego przy biurku koło okna. Popołudniowe słońce zmieniło jego włosy w splot złota i srebra i z miłością oświetlało mocne, surowe rysy twarzy. Poczwała miły dreszczyk na myśl, że zna już coraz lepiej to szczupłe, muskularne ciało.

Podniósł głowę i popatrzył na wchodzącą żonę.

- Wyglądasz jak dziewczynka, która dopiero co wymknęła się ze szkolnego pokoju - zauważył. - Młodziutka, szczęśliwa i podekscytowana tym, że życie chowa dla niej w zanadrzu tyle nowych możliwości!

- Bo tak się właśnie czuję! - Podeszła do męża i pochyliła się, żeby go objąć. - Wiedziałam, że Grandmere ucieszy się na mój widok, ale obawiałam się, że Anthony wyprze się mnie tak samo jak księżę.

- Lepszy z niego człowiek niż z twojego ojca! - Randall objął ją w talii i przyciągnął do siebie. Ponieważ siedział, mógł oprzeć się wygodnie policzkiem o jej pierś. Cała energia opuściła Julię. Była teraz zmęczona, lecz szczęśliwsza niż kiedykolwiek.

- Przykro mi - powiedziała - że twoja rodzina nie potrafiła się znaleźć się tak ładnie jak moja!

- Nigdy wiele się nie spodziewałem po Daventrym. Grunt, że rozkaże Crockettowi odczepić się od ciebie: będziesz mogła

## 205



żyć spokojnie, bez wiecznego strachu, że ktoś depta ci po piętach!

- Mam wrażenie, że zdjęto mi z pleców wielki ciężar. - Musnęła końcami palców gęste, jasne włosy męża. Jakże wiele mu zawdzięczała! - I pomyśleć, że musiałeś mnie niemal siłą nakłaniać do małżeństwa, z którego masz tyle korzyści! Miała nadzieję, iż Alex odpowie, że i jemu ten związek wyszedł na dobre. Kiedy jednak nie zrobił tego, ciągnęła dalej:

- Co sądzisz o mojej Grandmere?

- Lubi budzić w ludziach lęk - odparł bez zastanowienia. - Ale poczucie humoru nieraz jej to utrudnia! Julia się roześmiała.

- Przejrzałeś ją na wskroś! Powiedziała, że wcale nie wyglądasz na Randalla, a to znaczy, że przypadłeś jej do gustu.

Jeden kącik ust majora uniósł się do góry.

- To dopiero komplement, nieprawdaż?

Ponieważ Randall nie przejawiał jakoś chęci wzięcia jej na kolana, Julia zasiadła w stojącym obok fotelu. Jej mąż wyglądał tak spokojnie i pięknie i, niestety, tak obojętnie! Nikt by się nie domyślił, co niedawno robili w powozie! Julia powiedziała sobie, że ta pozorna obojętność to widać wrodzona cecha męża, i zmieniła temat rozmowy.

- Umówiłam się z tą dziewczyną Gordona, Elszą Smith. Nie ma wielkiego doświadczenia, ale jest bystra i chętna do nauki. Myślę, że się nada, jak najbardziej!

Randall skinął głową.

- Gordon będzie w siódmym niebie. Kiedy Elsa zaczyna u nas pracę?

- Od jutra. - Julia zmarszczyła czoło, przypominając sobie słowa pokojówki. - Jej poprzedni chlebodawca nie dawał jej spokoju, chciała więc czym prędzej opuścić jego dom. Powiedziałam jej, że może się wprowadzić do nas choćby dziś wieczorem, a ja dam jej pieniądze, których od niego nie dostanie, odchodząc bez wymówienia. No i...

pobiegli od razu z Gordonem po jej rzeczy do domu, w którym dotąd pracowała.

Randall przyglądał się żonie z ciekawością.

- Biorąc pod uwagę trudną sytuację Elsy, pewnie byś ją zatrudniła, choćby ci niezbyt odpowiadała, prawda?

- Chyba tak - przyznała Julia. - Przykro było myśleć, jak to biedactwo musi się chować przed swoim panem, żeby jej nie zrobił krzywdy. Dobrze i to, że mogła stamtąd odejść! Gdyby była, na przykład, jego żoną...

- W odróżnieniu od większości żon, ty także możesz w każdej chwili odejść - przypomniał. - Zadbaj o to, zanim przyjąłś moje oświadczenia.

- Chciałam mieć pewność, że drzwi stoją otworem, na wypadek, gdybym musiała uciec... - Czy to możliwe, że zaledwie przed kilkoma tygodniami nalegała, by Alex dał jej list, gwarantujący rozwód, gdyby tego zapragnęła? Jak szybko udało mu się pozyskać jej zaufanie! Julia westchnęła: - Sytuacja Elsy dała mi do myślenia. Jeśli istotnie otrzymam tę ogromną sumę, chciałabym wykorzystać część pieniędzy na... powiedzmy, domy opieki dla kobiet, którym grozi coś złego ze strony mężczyzn, ale nie mają dokąd się schronić. Nie każda z nich zdoła upozorować własną śmierć, by w ten sposób zapewnić sobie wolność!

- Niewiele może też liczyć na takie szczęście jak ty, gdy dostałaś się pod opiekę pani Bancroft! - wtrącił jakby z roztargnieniem Randall. - To bardzo ambitny plan, Julio, i takie domy mogłyby, całkiem dosłownie, ocalić wiele ludzkich istnień. Czy nie należałoby otworzyć schronisk we wszystkich większych miastach?

- Nie zastanawiałam się nad tym tak szczegółowo - przyznała. - W każdym razie trzeba działać: przecież pokrzywdzonych kobiet nigdzie nie brakuje!

- Może warto zainteresować tym wszystkie parafie anglikańskie? W ten sposób można by trafić dosłownie wszędzie. Julia zmarszczyła brwi.

- Owszem... choć nie jestem pewna, czy to najlepszy pomysł. Kościół anglikański to instytucja kierowana przez mężczyzn, a męskie poglądy na te sprawy znacznie się różnią od kobiecych. Chyba warto jednak uciąć sobie pogawędkę z arcybiskupem Canterbury... To nasz kuzyn, choć nie pamiętam, którego stopnia.

- No, oczywiście! Arcybiskup Canterbury musi być waszym krewniakiem - zauważył z lekką ironią Randall. - Że też się tego od razu nie domyśliłem!

- Nikt z moich wysoko postawionych krewnych nie pomógł mi, gdy najbardziej tego potrzebowałam - zauważyła gorzko. - Jedynie Grandmere wzięłaby mnie pewnie do siebie, ale akurat wtedy jej mąż był umierający i nie mogłam jej tym obarczać.

Nie mówiąc już o tym, że spowodowałyby to dodatkowe komplikacje.

Rozbawienie Aleksa znikło całkowicie.

- Pozostałaś więc z Branfordem, a on omal cię nie zabił... Masz rację: powinny powstać takie domy opieki, żeby kobiety mogły się w nich schronić, nim będzie za późno! A może udałoby się nawiązać współpracę z metodystami, skupionymi wokół tej czy innej kaplicy? Nie są oni tak liczni jak anglikanie, ale udzielają pomocy kobietom z ulicy, które pragną zdobyć jakiś fach czy wykształcenie i zacząć nowe, lepsze życie. Julia poczuła, że ogarniają podniecenie.

- Masz słuszość, metodyści mogą okazać się lepszymi sprzymierzeńcami niż anglikanie. Daj mi kartkę i ołówek, żebym sobie to wszystko zanotowała!

Randall wyjął notes i ołówek z szuflady i podał je żonie.

- A może na początek porozmawiasz z Mariah i ze swoją babką? Z pewnością ci pomogą i same będą miały mnóstwo interesujących pomysłów. A poza tym mogą okazać się bardzo cennymi sojusznikami: mają takie wpływy...

- Jeszcze jedna cenna uwaga! - Julia odnotowała ją na kartce. W jej głosie zaczęły kiełkować nowe pomysły. - Zacznę od rozmowy z Mariah!

- W ten sposób będziesz mogła pomóc znacznie większej liczbie kobiet niż wtedy, gdy byłaś akuszerką - zauważył, spoglądając z sympatią na żonę. - Przebyłaś trudną i kamienistą drogę, ale to właśnie sprawia, że jesteś taką dobrą, współczującą kobietą.
- Chciałabym, żeby to była prawda! - Miała ochotę powiedzieć coś jeszcze, ale wahała się, by nie zniszczyć serdecznej atmosfery, jaka zapanowała między nimi. - Jest coś, co od rana nie daje mi spokoju... Lady Daventry napomknęła o obsesji hrabiego na punkcie potomstwa. Kiedy rozmawialiśmy w cztery oczy, spytałam ją, czy Branford pozostawił jakieś nieślubne dzieci. Hrabina nie miała o tym pojęcia... może więc Branford nie wspomniał nigdy ojcu
- o swoim synku?**
- Twarz Randalla przybrała twardy wyraz.
- I niepokoisz się o los tego chłopca? Julia przygryzła wargę.
- Może dopisało mu szczęście i żyje szczęśliwy pod opieką swojej matki, a Daventry wspiera ich finansowo... Ale poczułabym się lepiej, mając pewność, że naprawdę tak jest.
- Zakładasz z góry, że chłopak nadal żyje - zwrócił jej uwagę Randall. - Mnóstwo dzieci umiera w bardzo młodym wieku.
- No tak... ale wtedy chłopiec byłby już w boskim ręku. Jeśli jednak żyje, a ktoś się nad nim znęca? Julia wiedziała, że niektóre nieślubne dzieci bywają całkiem dobrze traktowane, jak choćby Mackenzie. Większość jednak nie miewała tyle szczęścia.
- Czemu tak cię obchodzi los dziecka spłodzonego przez łajdaka i brutala, który omal cię nie zabił? - rzucił Randall ze zniecierpliwieniem. - Jeśli smarkacz żyje, może być takim samym potworem jak jego ojciec!
- Możliwe... ale jak sam powiedziałaś, Branford z pewnością nie byłby aż taki zły, gdyby nim umiejętnie pokierowano. To samo można powiedzieć i o Daventrym.
- Ileż ten chłopak ma lat: dwanaście, trzynaście? Do tej pory jego charakter musiał się już uformować!

Julia usiłowała znaleźć słowa, które trafiłyby do Randalla.

- Być może. Ale każde dziecko, bez względu na jego wady czy zalety, zasługuje na to, żeby się nim troskliwie zająć. Wiem, że Daventry nie był dla ciebie dobrym opiekunem... ale przynajmniej nie brakło ci jedzenia ani dachu nad głową. Zadbął też o twoje wykształcenie. A kto się troszczy o tego malca? Nie masz powodu czule wspominać Branforda, lecz ten chłopiec jest przecież twoim krewnym. Jednym z Randallów. Kto powinien roztoczyć nad nim opiekę?

Alex westchnął.

- Może Daventry o niego dba, ale pewności nie mamy. Jego żona nie ma pojęcia o istnieniu chłopca, a ja nie mogę spytać o to stryja, tak prosto z mostu! No, dobrze... Przyznaję z niechęcią, że poczuwam się do pewnej odpowiedzialności za nieślubnego syna Branforda. Czego więc powinienem się dowiedzieć albo co zrobić? Czy masz przynajmniej pojęcie, gdzie ten dzieciak może być?

Julia wróciła myślą do przechwałek i docinków Branforda.

- Zdaje się, że dziecko urodziło się dwanaście lat temu, chyba na początku roku. Prawdopodobnie w pobliżu Upton Hill, posiadłości Branforda pod Bristolem. Mam wrażenie, że jego matka była na służbie gdzieś w okolicy, ale chyba nie we dworze. - Przyszło jej do głowy jeszcze coś. - Może pracowała w szynku? Branford powtarzał mi nieraz, że straszny ze mnie chudzielec i nikt by na mnie nawet nie spojrzął, gdyby w tym samym pokoju znalazła się dorodna szynkarka.

- Udowodnił raz jeszcze, jakim był głupcem! - stwierdził zgryźliwie Randall, notując coś na kolejnej kartce papieru. - Branford miał pewnie jakąś kobietę na podorędziu, kiedy przebywał w Upton Hill, i wobec tego warto zacząć poszukiwania właśnie tam.

- Czy te informacje wystarczą, by odnaleźć chłopca? Chętnie sama wyruszyłabym do Upton na poszukiwanie, ale nie wiem, czy bym się na wiele przydała.

- Mój przyjaciel, Rob Carmichael, jest agentem z Bow Street. Znakomicie sobie radzi z takimi zadaniami. - Randall znów sobie coś zanotował. - Umówię się z nim na spotkanie.

- Jutro rano krawcowa Mariah zjawi się tu, by wziąć miarę na suknie, w których będę się mogła pokazać w eleganckim świecie. - Julia się skrzywiła. - Grandmere przyjdzie na pierwszą przymiarę. Elsa też przy tym będzie. I Mariah, ma się rozumieć. Podejrzewam, że każda z nich ma już bardzo klarowną wizję mojej nowej garderoby!

- Coś mi się zdaje, że powinienem wyjechać na jakiś czas z miasta. - Randall ułożył w równy stosik leżące przed nim kartki. - Muszę zajrzeć do Roscombe. Mój rządca spisuje się znakomicie, ale pewne sprawy sam muszę załatwić. Zamierzałem udać się tam zaraz po powrocie z Kirkland, ale jak wiesz, los pokrzyżował moje plany... - Oczy Aleksa rozbłyły. - Z najpomyślniejszym dla mnie skutkiem! Julia poczuła ukłucie bólu na myśl, że mąż chce się z nią rozstać. Odparła jednak lekkim tonem:

- Byłeś tylko wrócił na bal! Mariah nigdy ci nie wybaczy, jeśli nie weźmiesz w nim udziału. Ja także! Nie chcę być żoną tyranką, ale... tak bardzo będziesz mi potrzebny!

- Ależ oczywiście, że wrócę przed balem, Julio! To przecież sprawa, która nam obojgu leży na sercu: zapewnienie ci bezpieczeństwa i przywrócenie należnej pozycji. - I dodał tonem równie lekkim, jak ona: - Po tym balu nie będę ci już pewnie potrzebny!

- Myślę, że dwa tygodnie zabaw w wielkim świecie w zupełności mi wystarczą. Już się nie mogę doczekać chwili, gdy ujrzę Roscombe i zadamowię się w nim!

Ciekawe, jakie życie ich tam czeka? Lękała się jednak spytać o to Aleksa. Czy naprawdę myślał, że już jej nie będzie potrzebny?

A może chciał przez to powiedzieć, że to ona nie będzie mu już potrzebna?

Po obiedzie, zjedzonym w towarzystwie Mariah i Ashtona, Julia udała się wcześniej na spoczynek i natychmiast zasnęła. Zdawało się jej przez sen, że łóżko ugina się pod czyimś ciężarem i że Randall obejmuje ją serdecznym uściskiem... ale gdy się obudziła, męża już nie było. Pozostało tylko wgłębienie w materacu.

Wstawszy z łóżka, znalazła na umywalce krótki liścik od Randal-la z wieścią, że wychodzi wcześniej, żeby się spotkać z Robem Carmichaelem. Zaraz potem wyjedzie do Roscombe. W kilku krótkich słowach nie było ani śladu serdeczności. Czy wcale nie będzie mu jej brakowało? Bo ona odczuje jego brak. Z pewnością!

Nie miała jednak czasu na dalsze rozważania, gdyż Elsa, jej nowa pokojówka, weszła nieśmiało do pokoju i przystąpiła do swoich nowych obowiązków. Dziewczyna była bystra i miła, miała też prawdziwy talent do układania włosów. Julia zeszła na śniadanie, czując się nieco bardziej podobna do eleganckiej londyńskiej damy. W pokoju śniadaniowym zastała tylko Mariah. Przyjaciółka popatrzyła na nią znad talerza z uśmiechem.

- Wspaniale, będę miała towarzystwo! Adam musiał załatwić jakieś bardzo ważne sprawy... a ja tu pożeram wszystko, co jest na stole. Oczywiście miałam mdłości zaraz po obudzeniu, muszę więc teraz zapchać czymś tę bezdenną dziurę! Jak długo to będzie jeszcze trwało, Julio?

- Mniej więcej trzy miesiące. Potem, przez następne trzy miesiące, będziesz dosłownie tryskała energią. A wreszcie ostatnie trzy będą się wlokły jak tysiąclecia. - Julia nieco podejrzliwie przyglądała się podgrzewanym półmiskom, stojącym na kredensie. - Możesz mi coś polecić?

- Kiełbaski są pyszne - odparła Mariah. - Kedgeree również!

Julia uniosła srebrną pokrywę i ujrzała potrawę z ryżu i ryb, przysypanych siekanymi jajkami na twardo i doprawionych egzotycznymi korzeniami. Obok podgrzewanego półmiska znajdował się w niewielkiej sosjerce chutney - ostry, korzenno-owocowy sos pomarańczowej barwy.

- Wygląda to bardzo apetycznie. Kedgeree to hinduska potrawa, prawda? Mój ojciec nigdy nie pozwalał podawać w naszym domu żadnych cudzoziemskich dań!

- W takim razie wiele stracił - odparła Mariah. - Zatrudniliśmy drugiego kucharza, biegłego w hinduskiej kuchni. Możemy się więc rozkoszować zarówno curry, jak i rdzennie angielskimi przysmakami-

mi. Hinduska gałąź naszej rodziny bardzo chętnie jada u nas posiłki, a matka Adama odgraża się nawet, że przekupi i odbierze nam tego kucharza!

Julia uśmiechnęła się i nałożyła sobie na talerz nieco kedgeree, a także grzanekę i jajko na miękko - na wszelki wypadek. Kedgeree okazało się jednak bardzo smaczne, podobnie jak chutney z owoców mango. Mariah pierwsza uporała się ze śniadaniem. Zerknęła na zegar, dołała sobie herbaty i posmarowała grzanekę pomarańczową marmoladą.

- Mamy mniej więcej godzinę, nim zjawi się moja krawcowa. Przygotowałaś się duchowo do tej ciężkiej próby?

- Chyba tak! - zaśmiała się Julia. - Ale Randalla sama wzmianka o krawcowej tak wystraszyła, że skoro świt wyjechał do swojej wiejskiej posiadłości.

Zauważywszy coś niepokojącego w głosie przyjaciółki, Mariah spytała:

- Czyżbyście się pokłócili? Jesteś taka zdenerwowana!

- Nie, nie pokłóciliśmy się. - Julia bawiła się łyżeczką, nie bardzo wiedząc, ile może wyjawić przyjaciółce. - Ale wczorajszy dzień nie należał do łatwych. Nie jestem pewna, co bardziej wytrąciło Randalla z równowagi: to, że nie ma już nadziei na odziedziczenie hrabiowskiego tytułu, czy odkrycie, że otrzymam pokaźny spadek.

- Jeśli jest czymś wytrącony z równowagi, to przede wszystkim twoim bogactwem - odgadła trafnie Mariah. - O tytule hrabiowskim Randall nigdy nie marzył i szybko o nim zapomni. Ale to, że jesteś taka bogata, mogło go naprawdę zaniepokoić. Dobrze pamiętam, jak sama się przeraziłam, odkrywając, jakim krezusem jest Adam! Byłabym w siódmym niebie, gdyby miał tego mniej! Ale w eleganckim świecie jest pełno zawistnych bab, które widzą we mnie triumfującą, chciwą złotą awanturnicę! - Ale przecież nie miałaś pojęcia, że Adam jest księciem, kiedy go spotkałaś! - zauważyła Julia. - On zresztą też o tym nie wiedział.



- To prawda, ale nikt nie zważa na fakty, jeśli mogą popsuć zgrabną plotkę, wartą rozpowszechnienia. Dzięki temu coraz więcej ambitnych młodych pań kopiuje moje toalety i stara się przekupić moją pokojówkę, by zdradziła, jakich perfum używam. - Mariah wybuchnęła śmiechem. - Pewna okropna, stara, utytułowana wdowa podniosła do oczu lorgnon i zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów, po czym stwierdziła głośno: „Cóż... piękność w zamian za bogactwo. Tak dobijało się targu od początku świata!”, po czym odeszła majestatem krokiem. Nie bardzo wiem, czy miał to być komplement, czy zniewaga. W każdym razie wyrządziła krzywdę Adamowi, on też jest przecież piękny, choć nie znosi, gdy mu to mówię przy ludziach!

- To, co powiedziała ta utytułowana harpia, pasuje raczej do mojego małżeństwa - zauważyła ze smutkiem Julia. - Randall jest bezsprzecznie piękny, a ja bogata. Ale żadne z nas nie przypuszczało, że odziedziczę aż tyle pieniędzy! - Starannie skrzyżowała nóż i widelec na talerzu. - Randall obiecał, że wróci na bal...

- Obawiasz się, że nie wróci? - zdumiała się Mariah. - Potrzeba mu tylko trochę czasu na oswojenie się z nową sytuacją! Powody, dla których ożenił się z tobą, nie uległy przecież zmianie.

Julia pokręciła głową.

- Ożenił się ze mną przede wszystkim po to, by mnie bronić przed Crockettem i Daventym. Teraz jednak nie musi mnie już przed nimi osłaniać.

- Mógł cię bronić, nie żeniąc się z tobą! Owszem, jest wielkoduszny, ale z pewnością nie ożeniłby się, gdyby tego nie pragnął! - odparła żywo Mariah. - Może wasze fortuny nie są sobie równe, ale wy tak. On to dżentelmen z urodzenia i wychowania, a ty prawdziwa dama. To znacznie ważniejsze niż kwestia, kto z was więcej otrzymał w spadku. Jeśli chodzi o pozycję społeczną, jesteście sobie znacznie bliżsi niż Adam i ja!

A ponieważ małżeństwo Ashtonów kwitło i owocowało, Julia miała nadzieję, że Mariah ma rację.

- Obmyśliłam już, jak pozbyć się przynajmniej części tych irytujących pieniędzy! Chciałabym stworzyć domy opieki dla kobiet, którym ktoś grozi albo je krzywdzi, żeby miały się gdzie schronić. Maria zamruwała.

- Cóż za wspaniały pomysł! Pozwolisz, że przyłączę się do fundatorów?

- Oczywiście! - odparła zaskoczona Julia. - Nazwisko księżnej Ashton doda blasku całemu przedsięwzięciu. Ale jak i kiedy zacząć?

- Zaraz! Natychmiast! - odparła Mariah, a oczy jej płonęły. - Opowiedz mi o tym coś więcej!

Gdy tak przerzucały się pomysłami i oceniały je ze wszystkich stron, Julia zaczęła się uspokajać. Nie była pewna, jak sobie da radę w roli żony czy damy z towarzystwa, ale na niesieniu pomocy innym kobietom z pewnością się znała!

## 25

Julia piła właśnie trzecią filiżankę herbaty, myśląc z niechęcią, że krawcowa zaraz się zjawi, gdy drzwi otwarły się nagle i do pokoju śniadaniowego weszła piękna, młoda kobieta. Fałdy szkarłatnej amazonki falowały wokół niej.

- Dzień dobry, Mariah! - odezwała się wesoło nowo przybyła. - Zaczęło padać, pomyślałam więc, że schronię się u was i przekonam, czy została dla mnie choć odrobinka tego wybornego kedgeree! - Zatrzymała się raptownie. - Najmocniej przepraszam! Nie zauważyłam, że masz gościa.

- Zawsze jesteś tu mile widziana, Kiri! - Mariah wstała i uściskała serdecznie młodą kobietę. - Julio, znasz już siostrę Adama, lady Kiri, prawda?

- Oczywiście. Poznałyśmy się na wiosnę. - Julia z uśmiechem podniosła się z krzesła. Podobnie jak lord Ashton, lady Kiri była półkrwi Hinduską, równie ciemnowłosą i zielonooką, jak jej brat.

## 215

W odróżnieniu od niego wszakże robiła wrażenie osoby towarzyskiej, a nie zamkniętej w sobie. W jej głosie pobrzmiwał melodyjny za-śpiew. - Londyn wyraźnie pani służy, lady Kiri!

- O, pani Bancroft! — ucieszyła się wyraźnie Kiri, młodsza o kilka lat od Julii. - Mam nadzieję, że tym razem zabawi pani w Londynie nieco dłużej? Tak bym chciała poznać panią bliżej!

- To już nie pani Bancroft, tylko lady Julia Randall - wyjaśniła Mariah. - Wyszła w Szkocji za męża za przyjaciela Adama, majora Randalla, i przybyli do Londynu na jesienny sezon...

Kiri szeroko otworzyła oczy.

- Mam nadzieję, że nie wszyscy przystojni przyjaciele Adama znaleźli sobie żony, zanim miałam okazję dokładnie się im przyjrzeć! Brawo, lady Julio: Randall to naprawdę wspaniała zdobycz! Ale dlaczego... lady Julia?

- Moim ojcem jest książę Castleton, choć wyrzekł się mnie. - Julia wskazała gestem na zastawiony kredens. - Ale nie chcę odbierać pani apetytu na kedgeree. Mariah wspomniała niedawno, że hinduska gałąź ich rodziny bardzo sobie ceni kuchnię w Ashton House.

Lady Kiri roześmiała się, wzięła do ręki talerz i nabrała porcję ulubionego przysmaku.

- Podobnie jak ja, kedgeree nie jest czysto hinduskim produktem. Odpowiada mi jednak bardziej niż szkocka owsianka! Mariah naląła herbaty i podała filiżankę szwagierce.

- Niebawem będziemy musiały wstać od stołu, gdy zjawi się krawcowa, na którą czekamy. Za dwa tygodnie wydaję bal na cześć Julii i jej męża, musimy więc bez zwłoki zamówić dla niej odpowiednią toaletę. Ty także, Kiri, jesteś oczywiście zaproszona!

- Cudownie! - Kiri usiadła i z entuzjazmem przypuściła atak na kedgeree. - Właśnie marzyłam o czymś ekscytującym! Czy mogę wziąć też udział w pierwszej przymiarce lady Julii? Ubóstwiam oglądać piękne materiały i wertować żurnale! Mariah się zastanowiła.

- Nie masz nic przeciwko temu, Julio? Kiri odznacza się doskonałym okiem, jeśli chodzi o dobór kolorów. Wspaniała z niej także

znawczyni perfum... To ona obmyśliła dla mnie kompozycję, którą bez powodzenia usiłują naśladować młode poszukiwaczki fortun!

- A może przygotuję również perfumy dla pani, lady Julio? - spytała Kiri. - W prezencie ślubnym! Kiri najwyraźniej miała na to ochotę, toteż Julia odpowiedziała:

- Będę pani niezmiernie wdzięczna.

No i teraz, rzecz jasna, musiała wyrazić zgodę na udział hinduskiej panienci w przymiarce! Co prawda do lady Kiri niezbyt pasowało to określenie - nie była już młodziutką panienką. Miała co najmniej dwadzieścia jeden czy dwa lata, ale jej beztroska i otwartość były nadal młodzieńcze. Julia w jej wieku czuła się znacznie starsza...

Krawcowa, madame Helier, zjawiała się w chwili, gdy lady Kiri kończyła swoje - drugie już tego dnia - śniadanie. Przymiarka miała się odbyć w prywatnym salonie Mariah. Madame Helier towarzyszyły trzy pomocnice, obładowane cennymi tkaninami, różnymi rodzajami przybrań oraz żurnalami. Dwaj książejący lokaje, wezwani do pomocy, dźwigali kolejne bele materiału na górę.

Zjawiała się także Elsa, nieco zatrwożona obecnością tylu wytwornych dam. Przycupnęła właśnie w kącie pokoju, gdy do salonu wpłynęła Grandmere, zawładnęła najwygodniejszym fotelem i zaczęła rozmawiać z madame Helier po francusku tak szybko, że przypominało to nieustanny ostrzał artyleryjski. Na szczęście prywatny salon księżnej nie należał do małych.

Mariah wydobyła nie wiedzieć skąd solidny drewniany stołek, na którym Julia miała stać, by ułatwić zadanie szwaczkom. - Zechciej wstąpić na ołtarz ofiarny, milady! Julia roześmiała się i weszła na stołek. - Doprawdy, czuję się jak jagnię prowadzone na rzeź... I pomyśleć, że ze względu na mnie musiało się zebrać całe to zgromadzenie!

- Bzdury! - orzekła stanowczo Grandmere. - Jesteś tu po to, żeby się przeobrazić w skończoną piękność. Podejź no tu, dziewczyno! - Przyzywała Elbę władczym spojrzeniem. - Pomóż swojej pani zdjąć ubranie, żeby można było drapować na niej różne materiały. Co

za szczęście, Julio, że nie jesteś już smarkulą, która musi paradować w mdłych białych muślinach!  
- Intensywny, dość ciemny błękit - orzekła Kiri. - Z niewielką domieszką zieleni. - Przeszła przez pokój, pochyliła się nad belami materiałów i smukłym palcem wskazującym postukała w jedną z nich.  
- Dokładnie taki!

- Piękny kolor - powiedziała z uznaniem madame Helier.

Dała znak jednej ze swych pomocnic, która posłusznie odłożyła wybrany przez Kiri materiał oraz kilka innych, w różnych odcieniach błękitu.

Julia wyciągnęła ręce, żeby Elsa mogła łatwiej rozpiąć i zdjąć jej przez głowę suknię. Julię też interesowały piękne materie, w tej jednak chwili całą jej uwagę pochłaniał problem domów opieki. Może prześladowaną kobietę lepiej przewieźć wraz z dziećmi do innego miasta, żeby brutalny mąż nie mógł natrafić na jej ślad?... Jakie należy przy tym podjąć środki ostrożności?

— Masz uroczą figurkę, *ma petite* - odezwała się Grandmere -i powinnaś ją wyeksponować!

Obciągnij koszulę swojej pani, dziewczyno, żeby miała odpowiedni dekolt do balowej sukni.

Julia prawie nie zauważyła, jak delikatne palce Elsy zsunęły jej koszulę z ramion. Nagle pokojówce zaparło dech... a Julia wróciła z krainy marzeń do rzeczywistości. Spojrzała w dół - i ku swemu przerażeniu zobaczyła, że pokojówka niechcący obnażyła jej blizny.

Pierwszym odruchem Julii było osłonić się czymkolwiek i uciec. Zacisnęła jednak z całej siły ręce i stała bez ruchu. Na szczęście była zwrócona plecami do większości zebranych w salonie kobiet. Tylko Elsa i Mariah dostrzegły odrażające szramy.

W ciemnych oczach Mariah błysnęło w pierwszej chwili przerażenie, zaraz jednak zorientowała się, o co chodzi. Rzuciła pokojówce ostre spojrzenie, nakazujące trzymać język za zębami, i odezwała się lekkim tonem:

- Nie sądzę, żeby Julii odpowiadał tak głęboki dekolt. - Podeszła do przyjaciółki i okryła koszulą jej blizny. - Ma już męża, i to idealne

go, nie musi więc obnosić swych wdzięków na pokaz! - Uśmiechnęła się szeroko. - Ona nie jest taka jak ja. Przyznam, że najlepiej się czuję wystrojona jak luksusowa kokota!

- Ależ wasza książęca mość! - wykrzyknęła zgorziona madame Helier. - Nikt nigdy nie poważyłby się nazwać księżnej pani... kokotą!

Kiri wybuchnęła śmiechem.

- Ależ tak, kokota, ale z pewnością najwyższej klasy! Ja też zamierzam to osiągnąć!

Grandmere pokręciła głową, udając zgorzoną.

Słowa Mariah odwróciły uwagę wszystkich od Julii, która była jej za to głęboko wdzięczna. Elsa, pokojówka, i tak - wcześniej czy później - musi się dowiedzieć o bliznach, ale Julia nie zniosłaby upokorzenia, jakim byłoby publiczne ujawnienie jej okaleczeń.

Kiedy zapanowała już nad swoim głosem i oddechem, odezwała się:

- Jeśli wolno mi wyrazić opinię, bardzo mi odpowiada zdanie Mariah. Będę się czuła znacznie swobodniej ubrana skromnie, choć elegancko, nie próbując nawet dorównać olśniewającym królowym balu, czy też - z wdzięcznością skłoniła głowę przed Mariah - niedoścignionej Złocistej Księżnej! Siedem kobiet zgromadzonych w pokoju przyglądało się mówiącej i rozważało jej słowa. Julia czuła się jak kawał wołowiny, oceniany przed wystawieniem na straganie.

Madame Helier, wcale niezbita z tropu obecnością tylu książęcych żon i córek, zdecydowanie skinęła głową.

- **Trh bien.** Niewielki dekolt z przodu... a za to może nieco głębsze wycięcie z tyłu? Ma pani taką piękną skórę, lady Julio, wręcz porcelanową! Odślonięcie kawałeczka pleców będzie bardziej subtelne, ale wywoła tym większy efekt. Betsy udrapuj chiński jedwab na ramionach lady Julii! Pomocnica podeszła bliżej, by spełnić polecenie madame, a Julia włączyła się do dyskusji, chcąc być pewna, że nie wystroją jej jak cyrkowego konia.

Najpierw ustalono wszelkie szczegóły, dotyczące sukni balowej. Miała być w klasycznie prostym stylu, który doskonale harmonizował z drobną postacią Julii. Owijano ją kolejno w co najmniej tuzin rozmaitych materiałów, w końcu jednak wszystkie panie zgodziły się, że najlepszy będzie jedwab, wybrany przez lady Kiri.

Następnie przystąpiono do wybierania kolorów i fasonów sukien spacerowych, różnych okryć i amazońek, które składały się na niezbędne wyposażenie eleganckiej damy. W południe Mariah poleciła podać coś do jedzenia i picia dla wszystkich - poczynając od księżnej wdowy, a kończąc na pomocnicach madame Helier i pokojówce. Atmosfera niezwykłego podniecenia i nieustanny kobiecy szczebiot mogłyby doprowadzić do szału każdego mężczyznę! Potwierdzało to w pełni zachowanie Ashtona, który zajrzał do salonu żony, zrobił przerażoną minę i popędził na poszukiwanie jakiegoś bezpiecznego schronienia.

Kiedy wszelkie decyzje co do tkanin, fasonów i przybrania toalet zostały już podjęte, Julia zeszła ze swej wysokiej grzędy. Następnie podniosła sztukę materiału i przerzuciła go przez ramię Mariah.

- Zauważyłam, że zerkasz na ten jedwab, przetykany złotą nitką. Idealny na okrycie, nieprawdaż? Ta zieleń, połyskująca iskierkami złota jest wprost stworzona dla ciebie. - Obejrzała się na pozostałe kobiety. - Widzicie, jak uwydatnia złote światełka w oczach jej książęcej mości?

Mariah pogładziła jedwab.

- Adam ciągle powtarza, że powinnam wydawać więcej pieniędzy na siebie...

- Święte słowa! Przepuść więc trochę jego pieniędzy! - Lady Kiri uśmiechnęła się figlarnie. - Będzie uszczęśliwiony, widząc cię w tym jedwabiu. I w szmaragdach!

- Teraz ty włącz na stołek, Mariah! - zarządziła Julia. - Twoja kolej.

Mariah posłuchała rozkazu i zdecydowała się na fason odpowiedni dla przyszłej mamy. Nim madame Helier i jej pomocnice opuściły Ashton House, także Grandmere i lady Kiri wybrały naj-

bardziej odpowiadające im materiały i zamówiły dla siebie nowe kreacje.

Julia nalała sobie herbaty.

- Nie uczestniczyłam nigdy w londyńskim sezonie, bo od razu wydali mnie za męż... Nie miałam więc pojęcia, ile wysiłku trzeba włożyć w to, by wyglądać jak prawdziwa dama!

- Elegancki świat musi od razu po twoim wyglądzie poznać, jak wysoką zajmujesz pozycję towarzyską - oświadczyła Grandmere. - A potem możesz się już ubierać, jak zechcesz. Najwyżej uznają cię za ekscentryczkę.

- Wolałabym nie zwracać na siebie niczyjej uwagi niż zostać ekscentryczką, Grandmere - westchnęła ciężko Julia. - Mam nadzieję, że nie będę musiała przeżywać tego wszystkiego jeszcze raz!

- Nie będzie to już konieczne, gdy zdecydowałam się na własny styl, w dodatku klasyczny, który zawsze robi dobre wrażenie - wtrąciła uspokajająco Mariah. Grandmere wstała i uściskała serdecznie Julię. - Poleciałam madame Helier, by twój dzisiejszy rachunek przysłała mnie - powiedziała cicho. - Niech to będzie mój prezent dla ukochanej wnuczki!

- Ależ Grandmere, to stanowczo za wiele! - jęknęła Julia.

- Muszę odrobić zaległości wielu, zbyt wielu lat! - W głosie starej kobiety słychać było drzenie. - Nie pamiętam ani jednego dnia, który sprawiłby mi tyle radości od... od czasu, gdy umarła twoja matka, *ma petite*. A choć jestem bardzo dumna z tego, jak wspaniale dawałaś sobie radę sama, jeszcze bardziej się cieszę, że wróciłaś do domu.

Julia z trudem powstrzymywała łzy.

- Ja też się cieszę, Grandmere. Ja też!

Randall prawie już zapomniał, jak pięknie jest w Roscombe. Zatrzymał konia na szczycie wzgórza, z którego roztaczał się widok na rozległe, pofałdowane tereny Cotswolds i na wzniesiony ze złotawego kamienia dwór, w którym się niegdyś urodził. Roscombe Manor było niewątpliwie szacowną siedzibą ziemiańskiej rodziny, a nie



wspaniałym zamczyskiem. Stanowiło dom wielu pokoleń Blairów -przodków jego matki. Odkąd rodzice zmarli, a stryj Daventry został jego opiekunem, Randall rzadko odwiedzał Roscombe. Ileż to czasu upłynęło od jego ostatniej wizyty? Dobry Boże, więcej niż dwa lata! Bawił tu, zanim jeszcze Francuzi go ranili.

Puścił konia pędem z górki. Prawie cały okres rekonwalescencji spędził w Londynie. Stamtąd wyruszył do Szkocji w poszukiwaniu Ashtona, potem zaś wsiadł na okręt i popłynął znów na Półwysep Iberyjski.

A jednak, choć spędzał tu tak niewiele czasu, Roscombe wciąż pozostawało jego domem, jak żadne inne miejsce na świecie. Przez starą, kutą z żelaza bramę, która nigdy nie była zamknięta, wjechał na długi podjazd, wiodący do samego dworu, otoczonego zabudowaniami.

W pewnej chwili czmychnęło przed nim stadko jeleni, stanowiących ozdobę parku. Nie wydawały się zresztą zbyt przerażone pojawieniem się jeźdźca. Wszystko było tu porządne i dobrze utrzymane.

Należy przyznać Daventry'emu, że zatrudnił dobrego rządcę, by troszczył się o posiadłość bratanka. Caldwell tak doskonale wywiązywał się ze swego zadania, iż Randallowi nawet nie przyszło do głowy, że można by go zastąpić kimś innym.

Nazajutrz rano wezwie go, żeby omówić z nim sprawę remontu domów dzierżawców oraz melioracji gruntów, a także koszt nowych narzędzi rolniczych. Prawdopodobnie zgodzi się na wszystkie sugestie rządcy, gdyż Caldwell od dwudziestu lat z okładem dbał o to, by majątek dawał przyzwoity dochód i znajdował się w dobrym stanie.

Prawdę mówiąc, Randall nie musiał koniecznie odwiedzać Roscombe, ale chciał wyrwać się z Londynu na kilka dni. Gordon znowu miał wyraźny żal, że major i tym razem wyjeżdża bez niego. Poczieszy się jednak szybko, mając Elbę pod bokiem!

Randall objechał dom, zatrzymał się przed stajnią i zsiadł z konia, po czym wprowadził zmęczonego wierzchowca do boksu. Stajenny

Willett był właśnie w siodłami, naprawiał uprząż. Podniósł wzrok znad roboty, wstał i wyszedł, by powitać swego pana z takim spokojem, jakby nieobecność Randalla nie trwała dłużej niż tydzień.

- Dzień dobry, panie majorze. Zatrzyma się pan tym razem na dłużej?

- Niezbyt długo... ale niebawem osiadę w Roscombe na stałe. -Randall rozsiadł konia i czesał go właśnie zgrzeblem, rozkoszując się tym nieskomplikowanym końsko-męskim rytuałem. Noga poboлеваła go po długiej jeździe, ale z pewnością nie groziło mu to, że ugnie się pod nim. Wkrótce będzie uważał swe całkowite wyzdrowienie za coś oczywistego. - Ożeniłem się niedawno i chciałem się przekonać, czy Roscombe jest w należyтым stanie, bym mógł tu przywieźć żonę.

Na twarzy Willetta odbiło się wyraźne zainteresowanie.

- Może trzeba będzie kogoś więcej do posługi? Moja najmłodsza już prawie dorosła, żeby iść na służbę.

- Najmowaniem służby do dworu zajmie się żona, ale powiem jej, że twoja dziewczuszka... - Randall wyteżył pamięć. - ...Nancy, prawda? No więc, że Nancy chciałaby u nas pracować.

- Ano tak, chodzi o Nancy. Dobrą ma pan pamięć, majorze! -Stajenny zawrócił do siodłami, dodając jeszcze na odchodnym: - Witamy serdecznie w Roscombe, sir! Już najwyższy czas, żeby dom się znowu ożywił.

Najwyższy czas! Oporządziwszy konia, Randall ruszył prosto do dworu i zaskoczył kucharkę i zarządzającą w jednej osobie przy kuchni. Szykowała właśnie dla siebie i męża zapiekankę z mięsa i ziemniaków. Randall zapewnił ją solennie, że kawałek zapiekanki w zupełności mu wystarczy.

Obszedł następnie dobrze mu znane pokoje, usiłując spojrzeć na nie oczyma Julii. Wszystko było dobrze utrzymane: żadnych przeciekających dachów, grzyba ani korników.

...Ale też nic nie zostało odnowione czy unowocześnione od śmierci jego rodziców. Podczas swych rzadkich odwiedzin Randall cieszył się dobrze znaną atmosferą dworu i pewnością, że w domu

jego dzieciństwa nic nie uległo zmianie. Skutek był taki, że farba spłowiała, meble aż się prosiły o nowe pokrycia, a niektóre dywany wyłysiały do cna. Nowa pani domu będzie miała pełne ręce roboty! Randall wszedł do salonu i z rękoma założonymi do tyłu wyjrzał przez okno. Zapatrzył się na dolinę, roztaczającą się przed nim. Jak potoczyłoby się jego życie, gdyby nie stracił rodziców? Dorósłby tutaj, być może w gronie młodszych braci i sióstr. Nigdy nie stałby się trudnym chłopcem i nie wysłano by go do Westerfield Academy.

A jednak właśnie tam nawiązał przyjaźnie, które tak wzbogaciły jego życie. Czy miałby tak oddanych kolegów, gdyby uczył się w jednej ze szkół dla chłopców jego stanu? Pewnie nie. Mali podopieczni lady Agnes Westerfield potrzebowali siebie w znacznie większym stopniu niż większość przeciętnych uczniów.

Czy trafiłby potem do wojska? Mało prawdopodobne. Gdyby dorastał tu, w Roscombe, nie wzbierałaby w nim ta pełna gniewu siła, która wyładowuje się w walce. Nie odczuwałby też gwałtownego pragnienia, by wyrwać się z Anglii.

Wstąpiłby pewnie na uniwersytet i spędził tam kilka lat, podobnie jak inni młodzi ludzie z ziemiańskich rodzin. Pod okiem ojca nauczyłby się dbać o swoją posiadłość w Roscombe, choć pewnie na jakiś czas uwiodłyby go groźne dla żółtodziobów wielkemiejskie grzeszki Londynu. Do tej pory zdążyłby się już ustatkować i ożenić, może nawet byłby już ojcem... tylko że matką jego dzieci nie byłaby Julia.

Zastanawianie się nad życiem, jakie mogłoby stać się jego udziałem, nie miało sensu. Nie byłoby w nim zapewne tylu ran i blizn... ale nie miałby też przyjaciół, bliższych mu niż bracia. I nie poznałby Julii.

Próbował wyobrazić ją sobie w Roscombe - siedzącą z książką w niewielkiej bibliotece, smażącą konfitury i ustawiającą je w spiżarni... Niestety, z dziecinnego pokoju nie doleci nigdy wesoły dziecięcy śmiech. Ta myśl zaboląła go bardziej, niż mógłby w to uwierzyć jeszcze przed miesiącem.

Julia sprawiła, że jej mały domek w Hartley był pełen ciepła i serdeczności. Potrafiłaby uczynić to samo z Roscombe. A jednak Randall jakoś nie widział jej na tle rodzinnego domu. Może to zwykły brak wyobraźni? A może głupotą było oczekiwać, że ona zechce zamieszkać tu razem z nim? Pod pewnymi względami ich małżeństwo układało się dobrze. Nad wyraz dobrze! Nie mógł jednak zapomnieć, jak bogata była lady Julia Raines. To bogactwo zapewniało jej takie szczęście, dawało takie możliwości, o jakich niewiele kobiet mogło marzyć. Jeśli tylko zechce, może kupić sobie własny majątek ziemski. Albo zbudować rezydencję w Londynie. Mogła też podróżować po świecie. Pojął z całą jasnością, że pragnie, by żona czegoś od niego potrzebowała - finansowego wsparcia?, a może obrony? - ponieważ on sam, Bóg świadkiem, tak bardzo jej potrzebował! I wcale sobie nie życzył, by miała przed sobą tyle rozmaitych możliwości, bo czyż w takich warunkach wybrałaby właśnie jego?

Poczuł, że coś ociera mu się o nogę. Spojrzał w dół i zobaczył wielkie, pewne siebie kocisko, które bezczelnie usadowiło się na jego stopie. Zwierzak był bury - jeśli nie liczyć białej kamizelki i skarpetek - i beztrąsko strząsał kłaki na spodnie i buty dziedzica Roscombe.

Randall uśmiechnął się krzywo i wziął kota na kolana. Buras zaczął mruczeć na całego, zachwycony, że go głaszczą. Matka zawsze lubiła koty... Ten kocur był zapewne potomkiem któregoś z jej ulubieńców. Nie będzie więc w Roscombe zupełnie sam... nawet jeśli Julia nigdy tu nie przyjedzie.

**26**

Przygotowania do uroczystego powrotu Julii na łono wielkiego świata sprawiły, że przez kilka dni była ogromnie zajęta; noce za to miała bardzo samotne. Lubiała spać w jednym łóżku z mężem, nawet

**225**

w czasie upałów. Kiedy nadejdzie zima, towarzystwo Randalla będzie wprost nieocenione!

Cztery dni po wyjeździe męża otrzymała od niego list. Elsa przyniosła jej tę epistołę razem z poranną herbatą. Major pisał krótko, że wszystkie sprawy w Roscombe układają się jak należy, a on nie może się już doczekać, kiedy zawiezie tam żonę.

Czytając ten list, Julia uśmiechnęła się z żalem. Randall był żołnierzem i najwspanialszym w świecie obrońcą. Nie powinna więc wymagać, by miał jeszcze oprócz tego dar pisania romantycznych listów. Ostatni był przynajmniej nie tak bezosobowy jak notatka, którą pozostawił jej przed odjazdem.

Razem z Mariah wybrały się - zgodnie z planem - na zakupy. Zamierzały kupić pewne niezbędne drobiazgi, ale w gruncie rzeczy zrobiły to dla przyjemności. Anthony stworzył siostrze rachunek w swoim banku, żeby nie brakło jej pieniędzy na drobne wydatki. A za miesiąc czy dwa będzie już miała nieograniczony dostęp do całego spadku.

Brat powiedział jej także, że ojciec był wściekły, ale nie mógł pozbawić córki należnych jej pieniędzy. Ponadto doradcy prawni rodziny okazali się na tyle dalekowzroczni, że ze względu na przyszłe korzyści opowiedzieli się po stronie markiza Stoneleigh i nie czynili mu wstrętów, gdy zabiegał o dobro siostry.

Skończywszy poranną toaletę, Julia przeszła do swego prywatnego salonu. To pomieszczenie - niegdyś sypialnia, połączona wewnętrznymi drzwiami z gabinetem Randalla - stanowiło teraz jej niepodzielne królestwo. Po usunięciu stojącego tu dawniej łóżka, obie z Mariah przetrząsnęły całe poddasze w poszukiwaniu odpowiednich mebli. Nowy salon, utrzymany w kolorach różowym i kremowym, był po prostu uroczy i nieco większy od całej powierzchni mieszkalnej, jaką dysponowała Julia w swoim domku w Hartley.

Zasiadła teraz przy biurczku - prawdziwym cacku francuskiej roboty - by przejrzeć listę zakupów. Kiedyś, w przyszłości, zapewne przywyknie do swego bogactwa, teraz jednak, na każdym kroku budziło w niej ono radosne zdziwienie. Gdyby przez całe życie obracała

się w kręgach bogatych arystokratów, wśród których się urodziła, nie zdawałaby sobie sprawy z własnego szczęścia.

Już miała zejść na dół na śniadanie, gdy w promieniach słońca błysnął na jej ślubnej obrączce spiralny celtycki wzór i pewna myśl przyszła nagle Julii do głowy. Zadzwoiła więc na Gordona.

Lokaj zjawił się natychmiast.

- Czy zechce mi pani powierzyć jakieś zadanie, milady? - spytał z nadzieją w głosie. - Nie mam prawie nic do roboty!

Julia się roześmiała.

- Z pewnością wdrażanie Elsy w jej nowe obowiązki zajmuje ci dość dużo czasu!

Uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Istotnie... ale czuję, że nie wypełniam jak należy swych powinności wobec pana majora.

- Kiedy wróci, będzie potrzebował twojej pomocy, by zaprezentować się pięknie i elegancko w wielkim świecie. Gordon pokręcił głową.

- Pan major bez niczyjej pomocy potrafi wystąpić pięknie i elegancko. Ja muszę się tylko zatroszczyć o stan jego garderoby.

Święte słowa! Randall był zdumiewająco przystojny, bez względu na to, co miał na sobie. Albo czego nie miał... Julia upomniała się w duchu: „Nie myśl o tym teraz!”. Głośno zaś powiedziała:

- Chcę obstać obrączkę dla mojego męża. Czy możesz mi znaleźć jakiś jego pierścionek czy sygnet, żeby złotnik wykonał klejnot właściwej wielkości?

- Zaraz coś przyniosę, milady.

Gordon skłonił się, wyszedł i po chwili wrócił ze złotym sygnetem.

Julia schowała go do swego woreczka. Randall tyle dla niej zrobił, pragnęła więc ofiarować mu coś - na dowód, że w pełni to docenia.

Kiedy lokaj Ashtonów odebrał od niej paczkę jedwabnych pończoch, Julia zauważyła:

- Już zapomniałam, jaka to wygoda, gdy ktoś nosi za nami pakunki!

- I układa je w naszym powozie, który w tej chwili jest już prawie pełny... No aleja również przyczyniłam się do tego. - Mariah ziewnęła, przysłaniając usta ręką. - Strasznie szybko się ostatnio męczę. Załatwiłyśmy już wszystkie sprawunki?

- Został tylko jeden. Chcę odwiedzić jubilera albo złotnika i zamówić u niego złotą obrączkę dla Randalla. Z identycznym wzorem jak na mojej obrączce ślubnej. - Julia uśmiechnęła się nieśmiało. - Mam nadzieję, że nie powie: „Jakie to okropnie sentymentalne!”

- Uroczy pomysł! Myślę, że Adam też by się ucieszył, gdybym mu dała taką obrączkę do pary - powiedziała Mariah w zadumie. -Bardzo chętnie naznaczyłabym go raz na zawsze: jest mój, i już!

- To by było sprawiedliwe. Dlaczego tylko my, kobiety, mamy nosić pierścionki na znak, że nie jesteśmy już wolne? - przytaknęła Julia. - Jak myślisz, gdzie powinnyśmy obstalować te obrączki?

- Tuż za rogiem jest sklep złotnika! - Mariah skrzyła w Bond Street. - Pan Rose zrobił moją ślubną obrączkę, a poza tym dobrze wie, jakiej wielkości pierścienie nosi Adam. - Zdjęła rękawiczkę i pokazała swoją obrączkę Julii. - Wygląda jak pierwsze lepsze złote kółeczko, ale od wewnątrz ma taki hinduski wzorek i nasze inicjały. Pokażę ci, kiedy wejdziemy do sklepu!

- Może zaprowadzimy modę na bliźniacze ślubne obrączki? -Julia rzuciła przyjaciółce figlarny uśmiech. - W końcu jesteś podziwiana przez wszystkich Złocistą Księżną!

Mariah się roześmiała.

- Taka moda utrzymałaby się najwyżej przez jeden sezon albo dwa, ale to... - Uniosła do góry pozbawioną rękawiczki lewą rękę, na której złota obrączka błyszczała równie promiennie, jak jej włosy. -To jest na zawsze!

Pan Rose był oczywiście zachwycony, mogąc powitać w swoim sklepie dwie wysoko urodzone klientki. Zamówienie obrączki dla Adama okazało się całkiem proste, ponieważ obrączka ślubna Mariah

była dziełem samego pana Rose'a. Sprawa upominku dla Randalla okazała się bardziej skomplikowana. Złotnik obejrzał dokładnie certycką obrączkę Julii.

- Żeby odtworzyć wzór z największą dokładnością, powinienem zatrzymać pani obrączkę, milady, na jeden czy dwa dni...

- Nie! - Palce Julii zacisnęły się kurczowo na pierścionku. Po chwili uśmiechnęła się przepraszająco. - Pan wybaczy, ale mam ją od tak niedawna...

W ciemnych oczach pana Rose'a pojawiły się wesołe błyski.

- Rozumiem doskonale, milady. Moja żona zareagowałaby identycznie. Jeśli jednak zechce pani powierzyć mi swój skarb na pół godziny, wykonam odcisk w wosku.

Julia zerknęła na Mariah, która wyglądała na zmęczoną. Odczytując bezbłędnie to spojrzenie, złotnik zaproponował: - Mam osobny salonik, w którym obie łaskawe panie mogłyby odpocząć i nieco się orzeźwić albo pokrzepić... - Dziękujemy, to znakomity pomysł!

Julię i Mariah zaprowadzono do miłego pokoiku na piętrze. Mogły stamtąd obserwować jadące ulicą eleganckie powozy i wytwornych spacerowiczów.

Gdy pokojówka przyniosła im na tacy herbatę i ciastka, Julia spytała przyjaciółkę:

- Przywykłaś już do tego, że wszyscy ci usługują? Przez tyle lat byłam po prostu wdową o skromnych dochodach i nadal wydaje mi się bardzo dziwne, gdy traktują mnie z taką rewerencją!

- Ja też jeszcze do tego nie przywykłam - przyznała Mariah. Poklepała się po ciągle jeszcze płaskim brzuszku. - Pomyśleć tylko, że ten dzieciak, i wszystkie następne, których się z Adamem dpcho-wamy będzie wyrastał w luksusie... Musimy się naprawdę bardzo postarać, żeby następnemu pokoleniu nie przewróciło się w głowie! Chyba tobie i Randallowi przyjdzie to łatwiej, bo wasze dzieci nie będą utytułowane od kolebki.

- Nie będzie żadnych dzieci - odparła Julia cicho, krusząc w palcach owsiane ciasteczko. Chciała zwierzyć się przyjaciółce, ale tak



trudno było wypowiedzieć te bolesne słowa. - Ja... nie mogę ich mieć.

Mariah oniemiała.

- Jakże mi przykro!... - Po dłuższej zaś chwili dodała: - Randall oczywiście wie o tym?

Julia przytaknęła.

- Był to jeden z powodów, jakie mu podałam, tłumacząc, że nie powinien się ze mną żenić. Odparł, że nie ma to dla niego znaczenia.

- A ty obawiasz się, że nie jest aż takim romantykiem? - Mariah się zadumała. - Co prawda to nie to samo, co własna krew, ale gdybyście chcieli zaadoptować dziecko, nietrudno byłoby znaleźć małeństwo pozbawione domu! A ty zawsze doskonale sobie radziłaś ze swoimi małymi pacjentami... I przepadałaś za Molly, córeczką Jenny Watson. Julia zmarszczyła brwi.

- O tym nie pomyślałam! Nie wiem, jakby Randall zareagował na propozycję wychowywania cudzego dziecka... ale warto się nad tym zastanowić.

- Osobiście uważam, że byłoby wspaniale doczekać się niemowlęcia, nie cierpiąc przy tym na poranne mdłości - orzekła stanowczo Mariah. - Te tak zwane naturalne metody pozostawiają wiele do życzenia!

Julia wybuchnęła śmiechem.

- Zapewniam cię, że będziesz niesłychanie z siebie dumna, gdy weźmiesz wreszcie swoje małeństwo w ramiona.

- Pewnie masz rację. - Mariah wbiła wzrok w filiżankę. - Kiedy nadejdzie mój czas... będziesz przy mnie, Julio?... Bardzo cię proszę!

- Oczywiście, że będę, skoro ci na tym zależy.

- Dziękuję! - Mariah uśmiechnęła się żałośnie. - Chyba nie jestem bardziej zdenerwowana niż wszystkie przyszłe mamy... ale to nie tak znów mało!

Zanim Julia zdążyła powiedzieć coś uspokajającego, do pokoju wszedł pan Rose.

- Zwracam pani skarb, lady Julio. A obrączki dla obu szanownych małżonków będą gotowe za tydzień.

Podziękowały mu i wyszły na ulicę, gdzie czekał na nie Timms, lokaj Ashtona. Ukłonił się i zaproponował:

- Pobiegnę za róg i przywołam powóz, żeby podjechał, wasza książęca mość!

- Doskonale, a my podejmiemy spacerkiem do rogu ulicy i tam się spotkamy.

Mariah wyglądała na zmęczoną i Julia uznała, że im prędzej jej przyjaciółka znajdzie się w domu i w łóżku, tym lepiej. Ramię w ramię powędrowały więc ulicą w ślad za lokajem.

- Och, spójrz na ten cudowny czepeczek! - Nagle ożywiona Mariah zboczyła w lewo, gdzie w wykuszowym oknie wystawiono arcydzieło znanej modystki. - Jak sądzisz, przypadłby do gustu Kiri? Tak nam pomaga w przygotowaniach do balu, że chciałabym się jej odwdzińczyć jakimś podarkiem! Julia podeszła do przyjaciółki, usiłując sobie wyobrazić modniarskie cacko ze wstążek i sztucznych kwiatów na czarnych włosach lady Kiri.

- Fason chyba się jej spodoba, ale kolory nie są, moim zdaniem, najlepiej dobrane. Wstążki powinny być zielone, żeby podkreślić barwę jej niezwykłych oczu!

Mariah zastanowiła się, po czym kiwnęła głową.

- Masz słuszność. Przyprowadzę tu Kiri po balu i jeśli fason będzie jej odpowiadał, dobierzemy najodpowiedniejsze dla niej kolory.

Kiedy wróciły na trotuar, doleciał do nich okrzyk przerażonego Timmsa:

- Księżno, milady!... Z tyłu, za wami!!

Odezwały się także jakieś inne głosy. Julia odwróciła się błyskawicznie i spojrzała za siebie. Serce podskoczyło jej do gardła. Rozpędzony powóz, nad którym woźnica stracił widać panowanie, mknął w ich stronę, i to po chodniku. Dzielilo go od nich zaledwie kilka jardów, a rozszalałe konie gnały z zatrważającą szybkością.

Mariah nie odwróciła się i nie widziała grożącego im niebezpieczeństwa. Julii wydawało się, że czas stanął. Odczuwała zawsze coś podobnego, gdy komuś z jej pacjentów groziło poważne niebezpieczeństwo.

Nagle jej wzrok przykuł sklep modystki. Dwa wystające wykuszowe okna... a między nimi niewielkie wgłębienie na drzwi.

Julia pojęła, że to ich jedyna nadzieja. Rzuciła się w tamtą stronę i objawszy Mariah ramieniem, pociągnęła ją za sobą. Sfrunął jej przy tym czepek z głowy. Zderzyły się boleśnie z drzwiami na sekundę przedtem, nim para rozszalałych koni przemknęła obok nich z piekielnym hałasem.

Powóz uderzył bokiem o wykuszowe okna, szkło rozprysnęło się na wszystkie strony, a Julia i Mariah upadły na ziemię. Konie przebiegły tak blisko, że Julia czuła bijący od nich żar. Koła w żelaznych obręczach przetoczyły się jeszcze bliżej.

I nagle było już po wszystkim. Julia leżała bez ruchu. Tylko odłamki szkła opadały jeszcze z brzękiem na trotuar. Uświadomiwszy sobie, że leży na Mariah, osłaniając ją własnym ciałem, Julia podniosła się ostrożnie do pozycji siedzącej.

- Nic ci się nie stało, Mariah?

- Jestem trochę potłuczona, ale chyba nic więcej - odparła jej przyjaciółka drżącym głosem, opierając się o drzwi sklepu. - Bogu dzięki za twoją przytomność umysłu! Widziałam kiedyś, jak rozpędzony powóz zgruchotał wózek wędrownego kramarza... Człowiek zapomina, ile niebezpieczeństw grozi na ulicy! - Stanowczo zbyt długo mieszkałam na spokojnej prowincji - stwierdziła z westchnieniem Julia.

- Spójrz na mój nieszczęsny czepek: pierwszy raz go włożyłam i już po nim!

Mariah z trudem chwyciła oddech, twarz miała szarą jak popiół.

- Masz na spódnicy ślady kół! Gdybyś była bliżej jezdni... Zadrżała na samą myśl.

Julia wpatrywała się w długie, ciemne smugi na popielatym materiale. Czuła, że coś zawadziło o jej spódnicę, gdy powóz z turkotem przemknął obok nich. Koła ominęły jej nogi zaledwie o parę

cali. Gdyby nie to, kości Julii byłyby w podobnym stanie jak jej nowy czepek.

Timms podbiegł do nich z twarzą białą jak kreda.

- Wasza książęca mość... Lady Julio... Czy stało się coś złego? - Wyciągnął rękę najpierw do Julii. - Proszę uważać na odłamki szkła, milady!

Julia skrzywiła się z bólu, gdy młody lokaj pomagał jej wstać; była już pewna, że ma potężne siniaki.

- Nic mi się nie stało - odparła. - Dzięki temu, że nas w porę ostrzegłeś!

Rozglądała się po ulicy, gdy Timms pomagał Mariah podnieść się z ziemi. Powóz zdążył już zniknąć za zakretem.

- Nie wywrócił się... widocznie woźnica zdołał powściągnąć konie. A potem uciekł: bał się widać niemiłych skutków szalonej jazdy.

- Modystka zapłaci ładny grosz za naprawę okien - zawtórowała jej Mariah. - Ale, Bogu dzięki, nikt nie został ranny!

Lokaj podniósł zniszczony czepek Julii i przeprowadził obie damy przez tłum, który się już zebrał.

Julia wsparła się z wdzięcznością na podtrzymującym ją ramieniu; kolana się pod nią uginały.

Jeszcze bardziej niż samo zajście przerażała ją myśl, że - być może - wcale nie stało się to przypadkiem.

Dzięki błyskawicznej szybkości, z jaką wszelkie wieści docierały do Ashton House, zanim jeszcze Julia i Mariah wróciły do rezydencji, książę został już powiadomiony o wypadku. Wybiegł ze swego gabinetu - i spotkał się z nimi w drzwiach. Pochwycił żonę w objęcia z taką energią, że jej nogi oderwały się od ziemi. - Nic ci się nie stało, Mariah?

- Absolutnie nic, kochanie! - odparła ze śmiechem, ale nie próbowała wyzwolić się z jego objęć nawet wtedy, gdy dotknęła znów stopami podłogi. - To zasługa Julii: dzięki niej w mgnieniu oka znalazłyśmy się w bezpiecznym miejscu.

- Bogu dzięki!

Ashton objął Julię drugim ramieniem i przygarnął ją mocno. Julia przytuliła się do niego, rada, że książę jest taki silny i może podtrzymywać równocześnie dwie wystraszone kobiety.

- Wolę nie myśleć o tym, jak Randall by mnie potraktował, gdyby spotkało cię coś złego pod moim dachem, Julio! - powiedział. - Chodźmy do gabinetu, napijemy się koniaku!

I Ashton poprowadził je tam, obejmując każdą z nich jedną ręką.

Julia opadła na niską, obitą skórą kanapę, podczas gdy książę nalewał koniak do trzech kieliszków. Podsunąwszy dwa z nich swoim towarzyszkom, usiadł na przeciwległej kanapie, tuląc żonę w objęciach. Julia wypila łyk koniaku.

- Twój lokaj, Timms, ostrzegł nas w porę. Gdyby nie jego wołanie, nie zdążyłybyśmy uskoczyć przed pędzącym powozem.

- Zadbam o to, by nie minęła go nagroda - obiecał Ashton, nie odrywając bystrego spojrzenia od twarzy Julii. - Ale chyba niepokoi cię coś jeszcze, Julio? Westchnęła.

- Zastanawiam się, czy był to zwykły przypadek, czy też ktoś z rozmysłem usiłował nas przejechać ... A właściwie mnie.

- Ja też się nad tym zastanawiałam - wtrąciła cicho Mariah. Wpatrywała się w koniak, nie biorąc go jednak do ust. - Spłoszone konie pędziłyby raczej środkiem jezdni niż bokiem, pod domami! Twarz księcia sposepniała.

- Przypuszczasz, Julio, że to Daventry usiłował cię zgładzić? Julia zastanowiła się, a potem zaprzeczyła ruchem głowy.

- Obiecał, że odwoła swoje psy gończe... i chyba miał taki zamiar. Ale może te psy nie posłuchały rozkazu? Ashton zmarszczył brwi i Julia przypomniała sobie, jaki potrafił być niebezpieczny

- Zadbam o to, by ten wypadek zbadano dokładnie - obiecał. - Musiało być przy tym wielu świadków. Ale póki sprawa nie zostanie ostatecznie wyjaśniona, nie radzę wam wychodzić na zakupy. Lepiej zapraszać kupców do Ashton House.

- Doskonały pomysł! - Ręka Mariah przesunęła się na brzuch nieświadomym, opiekuńczym gestem. - Lepiej być ostrożnym, gdy ma się tak wiele do stracenia!

Julia zgadzała się z nią całkowicie. Będzie bardzo, ale to bardzo zadowolona, kiedy Randall zakończy swoje sprawy w Roscombe i wróci do Londynu!

Randall z nadzieją wziął do rąk poranną korespondencję. Julia codziennie wysyłała do niego krótki liścik, opisując z humorem swe ciężkie próby i utrapienia, związane z koniecznością przeobrażenia się w ciągu kilku dni w wielką damę.

Dzisiejszy list zawierał sprawozdanie z ostatniej przymiarki balowej sukni. Kończyła słowami:

***Jutro, żeby wynagrodzić sobie wszystkie przeżyte trudy, Mariah i ja postanowiłyśmy wybrać się na zakupy - równie kosztowne, jak niepotrzebne. Londyn wywiera na nas zdecydowanie zgubny wpływ!***

Randall się uśmiechnął. Miał wrażenie, że słyszy śmiech żony... Potem odłożył z żalem jej liścik i przeszedł do reszty korespondencji. Przejrzał kilka listów związanych z interesami... ale znacznie bardziej zainteresowała go wiadomość od Roba Carmichaela.

Złamał pieczęć i odczytał zwięzłe przesłanie od agenta z Bow Street.

***Nie mam czasu pisać szczegółowo, ale chyba znalazłem zaginionego chłopaka w pobliżu Upton.***

***Nawet pies by nie wyżył w takich warunkach! Sam go stamtąd wyciągnę, jeśli Ty nie znajdziesz na to czasu. Zastanów się, ile gotów jesteś zrobić dla krewniaka, którego nie widziałeś na oczy.***

***Rob***

Randall zmarszczył brwi, czytając te słowa. Prawda wyglądała następująco: nie chciał mieć nic do czynienia z synem Branforda... ale chłopak - mimo wszystko - był jego krewnym. Jeśli Rob uznał, że dzieciak jest w takiej sytuacji, że ktoś - choćby on sam - powinien go ratować, to położenie chłopca musiało być fatalne.

**235**

Ponieważ nie było mowy o skontaktowaniu się z Robem na odległość, najwyższy czas wracać do Londynu!

27

*Sądząc*, że Randall wróci do Londynu w przeddzień balu, Julia była pewna, że musi czekać na niego jeszcze trzy dni. Z westchnieniem weszła do wanny, tak dużej, że mogła zanurzyć się w niej całkowicie. Parująca woda pachniała olejkiem kwiatowym, nad wyraz kosztownym, który Julia kupiła poprzedniego dnia na Bond Street.

Choć Ashton zamierzał niebawem wyposażyć swą rezydencję w luksusowe łazienki, Julii w zupełności wystarczała ustawiona w sypialni wanna. Gorąca woda złagodziła ból w posiniaczonym biodrze i łokciu. Podobne działanie miało porto; kieliszek tego kordiału stał na niskim stoliku, w zasięgu jej ręki. Julia uniosła go do ust i sączyła trunek, czując się rozkosznie zdemoralizowana. Był późny wieczór i odprawiła już Elbę. Dziewczyna znakomicie się spisywała! Jej miły, pogodny charakter sprawiał, że przyjemnie było z nią przebywać; a poza tym obecność pokojówki stawała się coraz bardziej niezbędna, jako że garderoba Julii ciągle się powiększała.

Jednakże Julia - przyzwyczajona od lat do samotności - ceniła sobie prywatność. Postanowiła więc, że pod nieobecność męża nie będzie sobie żałować spokoju i ciszy kąpeli ani wina. Westchnęła teraz z zadowoleniem i rozkoszowała się kolejnym łykiem porto. Trunek był słodki i łatwo szedł do głowy. W końcu kieliszek opróżnił się i Julia podrzemywała w stygnącej kąpeli, gdy ktoś otworzył drzwi prowadzące do ich apartamentu. Ani Gordon, ani Elsa nie zjawiliby się o tej porze niewołani, a Mariah czy Ashton zastukaliby do drzwi, gdyby chcieli ją odwiedzić...

Minęło kolejnych kilka sekund i otwarły się drzwi sypialni. Miękki, niski głos szepnął:

231

- Julio...?

Randall! Wyskoczyła z wanny, owinęła się wielkim, grubym ręcznikiem kąpielowym i wyjrzała zza parawanu. W pokoju paliła się tylko jedna lampa, ale i w takim mdłym świetle Julia dostrzegła, że jej mąż zdjął buty; zapewne nie chciał jej obudzić, gdyby już spała. W nikłym oświetleniu jego złote włosy i smukła, barczysta postać znów przypominały posąg nordyckiego bożka.

- Jak się cieszę, że wróciłeś! - Julia rzuciła się mężowi w objęcia, omal nie zbijając go z nóg swoim entuzjazmem. Całe jego zmęczenie znikło. Ze śmiechem cofnął się o krok, by nie stracić równowagi, ale jego ramiona objęły Julię z bardzo pochlebny dla niej zapalem.

- Nie było mnie zaledwie kilka dni, milady!... Co nie znaczy wcale, że mam coś przeciw takiemu powitaniu! - Wtulił twarz w jej wilgotne włosy, upięte na czubku głowy. - Mm... Pachniesz jak bukiet wiosennych kwiatów! On zaś pachniał... po prostu sobą. Był to dobrze jej znany, męski, bezpieczny zapach. Chciwie chłoneła wszystkimi zmysłami jego obecność. Odrzuciła głowę do tyłu i całowała go, nie kryjąc radości. Jego początkowe zaskoczenie przerodziło się natychmiast w żarliwy odzew. Oddawał jej pocałunki z równą zapalczywością, powyciągał jej wszystkie szpilki, tak że włosy opadały teraz zmysłowo na nagie ramiona Julii.

Ogarnęło ją gorąco, czuła żar w brzuchu i piersiach. Nieraz już budził w niej pożądanie, ale teraz był to prawdziwy pożar! Spokojna, opanowana kobieta, jaką stała się przez te wszystkie lata, znikła gdzieś, a jej miejsce zajęła spragniona miłości, bezwstydną dziewczyna.

Ręka Aleksa wślizgnęła się pod ręcznik i sunęła uwodzicielsko po jej nagich plecach.

- Nie masz na sobie zbyt wiele - rzucił nieco zdyszany, pieszcząc jej pośladki.

- A ty stanowczo za dużo!

Chwyciła go za klapy i ściągnęła mu surduta z ramion. Ręcznik, którym się napędce otuliła, rozchylony z przodu, zsunął się do pasa.



Randall wpatrywał się w nią, stojąc bez ruchu.

- Jeśli jeszcze nie wiesz, milady do czego prowadzą takie zabawy, najwyższa pora, byś wzięła nogi za pas!

Ona jednak ani myślała rejterować.

- Dobrze wiem, co robię - powiedziała miękko. - Chcę, żebyśmy dziś spotkali się jak prawdziwi kochankowie, bez żadnych osłon!

Odetchnął głęboko.

- Pragnę tego bardziej niż czegokolwiek w świecie. Uśmiechnęła się i zgnieciony ręcznik opadł jej do bosych stóp. Nie czuła się młodą, nieskalaną dziewczyną, lecz kobietą - doświadczoną i świadomą swej mocy. Jej blizny nie miały już znaczenia, były jedynie reliktem przeszłości. Teraźniejszość pulsowała gorącym rytmem namiętności, która pociągała ich ku sobie, niczym dwa przeciwległe bieguny magnetyczne.

- A co do tego ubrania...

Ściągnęła z niego do reszty surdut i nie przejmowała się tym, że spadł na podłogę; Randall tymczasem rozwiązywał krawat, by się go czym prędzej pozbyć. Julia rozpięła górne guziki jego koszuli i stanęła na palcach, żeby całować gładką, słonawą skórę męża. Czuła pod wargami pulsowanie jego krwi i słyszała zdławiony okrzyk radości. Z równą radością rzuciła się na resztę jego garderoby. Ponieważ on wpadł na ten sam pomysł, ich ręce się splątały, a palce błędziły w rozkosznym zamęcie dotknięć i chichotów. Choć im obojgu najwyraźniej nie dostawało zręczności, jeśli chodzi o rozbieranie, wszystko wydawało się wspaniałym żartem, a brak wszelkiej obawy okazał się w przypadku Julii najpotężniejszym afrodyzjakiem. Nareszcie rozebrany Randall zachwycił męską urodą, która wprawiałaby w szal zazdrości greckich rzeźbiarzy. Julia wodziła dłońmi po jego ramionach i torsie, wyczuwając najdrobniejsze zmiany - gładkość skóry, chropowate blizny, szorstkie jasne włosy...

- Nigdy dotąd nie widziałam cię całego! - szepnęła z przejęciem. - Na co tak długo czekałam?

- Na właściwy moment. - Chwycił ją na ręce i położył pośrodku łóżka. - Mam za sobą długą jazdę. Jestem głodny jak wilk! A ty, milady, jesteś nie tylko bukietem, ale i bankietem! Ledwie opadła na materac, leżał już obok niej, przytulony całym ciałem - od żeber po łydki. Pochylił głowę i rozchylił wargi w namiętym pocałunku. Julia czuła, jak kurczą się palce jej rąk i nóg podczas tego bezwstydnie zmysłowego tańca ust i języków. Pocałunek trwał i trwał bez końca, aż wreszcie obojgu całkiem zabrakło tchu. Randall uniósł głowę.

- Rozkosznie smakujesz. Ciemne porto Ballarda! Julia zachichotała.

- Potrafisz nawet rozpoznać firmę?

- Ashton pija wyłącznie porto Ballarda, bo to produkt naszego przyjaciela - wyjaśnił wesoło Randall. - I wyśmienite wino na dodatek! Ale ty jesteś słodsza i bardziej upajająca niż najdoskonalszy trunek. Przycisnął usta do szyi żony, jego ręka spoczęła na jej piersi. Pod pieśczętą kciuka sutek wyprężył się i uniósł ku dłoni Randalla, a on ustami sunął po ciele ukochanej, obsypując je gorącymi, niespiesznymi pocałunkami. Julii zabrakło tchu, gdy wargi męża zacisnęły się na jej piersi, a kiedy zaczął ją ssać, jej biodra same się rozkołysały. Wycelowawszy tak samo gruntownie drugą pierś, usta Randalla powędrowały niżej, na brzuch, i jeszcze niżej...

Chyba nie zamierzał...? Julia wydała zdławiony krzyk, gdy jego usta i język, jakże zwinne, dotarły do najbardziej sekretnych zakamarków jej ciała.

- Alex!!

Nauczono ją, jak sprawiać rozkosz mężczyźnie, ale nigdy dotąd nie przyszło jej do głowy, że mogłaby nie tylko dawać, ale i otrzymywać... Wczepiła palce we włosy męża, podczas gdy ich ciała splatały się ze sobą coraz ciaśniej, a jej pożądanie rosło tak, że graniczyło z bólem.

Orgazm przetoczył się przez nią ze wstrząsającą siłą. Krzyknęła -wszystkie mięśnie jej ciała zastygły w skurczu. Gdy opadła fala gwałtownych doznań, Randall oparł głowę o jej udo; czuła w pachwinie ciepło jego oddechu. - Prawdziwy z ciebie Aleksander Wielki! - powiedziała słabym głosem, puszczać jego włosy, w które kurczowo się wczepiła. Delikatnie odgarnęła mu z czoła złotą grzywę. - Nic dziwnego, że tak ci się podobało, kiedy robiłam to samo z tobą... - „Podobało” to stanowczo za słabe określenie! - Przechylił nieco głowę i ich spojrzenia się spotkały. - Miałem ochotę pożreć cię od pierwszej chwili, gdy cię ujrzałem. Julia czuła, jak gorący rumieniec oblewa jej twarz. - To dobrze, że o tym nie wiedziałam! Wydawałeś się taki groźny... i na wszystko kręciłeś nosem! - Końcem palca dotknęła jego ucha. - ...Ale chyba jeszcze nie skończyliśmy? - Jeśli już odzyskałaś oddech... - Pochylił się nad nią i jednym palcem, delikatnie gładził wilgotne fałdki między jej nogami. Julia czuła, jak rozkoszne dreszczyki przeszywają jej ciało, gdy docierał do najbardziej wrażliwego miejsca. - Gotowa już jesteś zaspokoić mój głód drugim daniem, milady? - I pomyśleć, że czytając twoje listy, nigdy bym nie odgadła, ile poezji kryje się w twojej duszy! - odparła ze śmiechem. - No, chyba nie poezji. Ale odznaczam się potężnym apetytem, który tylko ty możesz zaspokoić. - Ostrożnie osunął się pomiędzy jej nogi, pieszcząc ją z niezwykłą zręcznością, tak że wiała się pod jego dotknięciem. - Gotowa? - spytał. - Gotowa!

Przyciągnęła go z całej siły do siebie, unosząc biodra na jego powitanie. Zdumiewające, jak bardzo pragnęła poczuć go w sobie - po tylu latach panicznego strachu, że jakiś mężczyzna wtargnie brutalnie do jej wnętrza. Kiedy jednak zanurzył się w niej, nie było to wcale wtargnięcie, tylko wzajemne dopełnienie.

Kołysała się, przytulona do niego, zaskoczona tym, że namiętność znów rośnie, sięgając już jej znanego szczytu. Tym razem jednak fala

unosła oboje naraz, ciała ich tętniły zgodnie szaleńczym rytmem, aż wreszcie Alex zadrżał i z jękiem przelał w nią całego siebie. Ruszyła w ślad za nim tak szybko, że potem nie umiałyby już powiedzieć, które z nich pierwsze osiągnęło szczyt.

Chrapliwy oddech Randalla nieco się uspokoił. Jej mąż przewrócił się na bok, pociągając ją za sobą. Odpoczywała z twarzą ukrytą na jego ramieniu, obejmując go w pasie. Kiedyś była szczęśliwa, mogąc żyć w celibacie... Nigdy by wówczas nie uwierzyła, że przeżyje jeszcze tak potężny wybuch namiętności, dozna takiego zaspokojenia! A jednak widok ich nagich, splecionych ze sobą ciał był najlepszym dowodem, że to nie sen.

Wsunął dłoń pod jej głowę, palce wplątały się w rozwichrzone włosy Julii.

- Czy to możliwe, bym instynktownie wyczuł, że jesteś zdolna do takiej namiętności? - szepnął. - A może po prostu wielki ze mnie szczęściarz?

- To ze mnie jest szczęściara! - Julia aż się krztusiła ze śmiechu. - Egoistyczna szczęściara! Z pewnością okropnie zgłodniałeś, jadąc przez cały dzień... A ja wchodzę ci w paradę i nie pozwalam się pożywić!

- Prawdę mówiąc, zajrzałem do kuchni i przegryzłem coś niecoś, zanim przyszedłem tu, na górę. - Delikatnie gładził ją po głowie. - Ale choćbym nawet nic nie miał w ustach, taka ucztą jak nasza zaspokoiliby głód.

- To dobrze się składa, bo nie mam teraz sił, by zbiec dwa piętra w dół i obrabować dla ciebie spiżarnię! Mojej energii wystarczy najwyżej na to, by spytać cię o pochodzenie jednej z twoich blizn...

- Przesunęła palcem wskazującym po jego żebrach. - To, jeśli dobrze pamiętam, był cios bagnetem podczas odwrotu do La Corufiy? Randall przytaknął.

- Połowa kampanii wojennych z ostatnich piętnastu lat została odnotowana na mojej skórze. Miałem mnóstwo szczęścia, że wśród tych wszystkich draśnień tylko jedna rana okazała się naprawdę poważna.

Julia zadrzała.

- Staram się nie myśleć o bitwach, w których mogłeś zginąć... Nigdy bym cię nie spotkała!

- Jakbyś nie spotkała, to byś nie żałowała! - odparł z uśmiechem.

- Nie stać mnie dziś na takie filozoficzne rozważania. - Zmarszczyła brwi, sunąc palcami wzdłuż jego pachwiny. Nigdy dotąd nie widziała go całkiem nagiego, odkrywała więc nieznane dotąd blizny. -Co to za cieniutkie kreski? Bardzo dziwne! Jest ich chyba z tuzin, może i więcej... I wszystkie biegną równolegle. - Lekko musnęła palcami bruzdy na jego ciele. - Co mogło spowodować takie obrażenia? Kilka cali dalej w lewo... i nie moglibyśmy spędzić tak rozkosznie dzisiejszego wieczoru!

- To nie są rany zdobyte w bitwie - westchnął. - To pamiątka po Branfordzie.

Wyteżyła nagle całą uwagę i uniosła się na łokciu, by przyjrzeć się dokładnie szramom.

- Dobry Boże! Pokaleczył cię umyślnie?!

- Było to wkrótce po moim przybyciu do Turville - odparł Randall bezbarwnym głosem. - Mówił: „Bawimy się w polowanie!”, i rzucał się w pościg za mną. Ilekroć mnie dogonił (a zawsze mu się to udawało, bo był starszy, wyższy i szybszy), wiązał mnie, a potem ściągał mi spodenki i kaleczył swoim sztyletem. Za każdym razem cięcie sięgało dalej. Zapowiedział, że gdy dosięgnie do ptaszka, ode-tnie mi go.

Julia aż jęknęła z przerażenia i zasłoniła usta ręką.

- Czemu nikt go nie powstrzymał?!

- Przecież to był młody dziedzic, syn hrabiego! Nikt nie ośmieliłby się przeciwstawić jego woli.

- ...Nauczyłeś się więc walczyć we własnej obronie i zachowywałeś tak okropnie, żeby cię odesłali z domu?

Przycisnęła usta do blizn. Serce ją bolało na myśl o małym, udęczonym chłopcu, któremu nikt nie przyszedł z pomocą. Nic dziwnego, że Randall stał się obrońcą uciśnionych!

Gdy całowała jego blizny, poczuła, że lekko drgnął. Zauważył sucho:

- Branfordowi nawet teraz udało się zepsuć nam radosne chwile! Musimy poważnie porozmawiać, milady. Okryj się choć trochę, bo nie zdołam powiedzieć nic rozsądnego.

- Zatem i ty się lepiej odziej, majorze! - odcięła się. - Myślisz, że kobiety są niewrażliwe na takie widoki?

- Bardzo się cieszę, że nie jesteś na nie obojętna! - zapewnił gorąco, gładząc ją po biodrze.

Wzdrygnęła się, gdy dotknął jej siniaków.

Zmarszczył brwi i pochyliwszy się nad nią, przyjrzał się uważniej.

- Dobry Boże! Co ci się stało? Jak mogłem nie zauważyć wcześniej tych siniaków?!

- Światło jest słabe... i oboje byliśmy zaprzątnięci czymś innym. - Julia usiadła. Czuła teraz ból o wiele wyraźniej. - Rozpędzony powóz omal nie przejechał Mariah i mnie, gdy wybrałyśmy się wczoraj na zakupy. Przewróciłam się... i dzięki temu uniknęłyśmy niebezpieczeństwa. - Odetchnęła głęboko, żałując, że musi zepsuć wspaniałą nastrój. - Prawdopodobnie był to zwykły przypadek, ale... nie jesteśmy tego całkiem pewne. Ashton zadbał już o to, by sprawa została starannie zbadana.

Randall odetchnął z trudem.

- Jak widać, nie da się uciec przed całym światem, nawet na jedną noc... Zostało jeszcze trochę tego portu? Mamy do omówienia więcej spraw, niż sądziłem!

**28**

Ponieważ pod ręką była wanna pełna wody, Randall wykapał się pospiesznie, po czym nalał portu do dwóch kieliszków, włożył nocną koszulę i wrócił do leżącej w łóżku Julii. Ciemne włosy tymczasem starannie splotła w warkocz, opadający na jedno ramię. Skromna

**238**

muślinowa koszula nocna okrywała ją od stóp do głów, nadal jednak była tak pociągająca, że każdemu mogłaby pogmatwać myśli. Prawdę mówiąc, świadomość tego, co kryje się pod koszulką, czyniła Julię jeszcze bardziej kuszącą. Może zresztą i jej odczucia były podobne, gdyż wpatrywała się w męża z nieukrywaniem zainteresowaniem, choć był teraz równie szczelnie osłonięty jak ona.

Podał jej kieliszek porto i wślizgnął się pod kołdrę. Opadł na stos poduszek i objął żonę ramieniem.

- Popijanie wina w łóżku z piękną kobietą to szczyt marzeń każdego żołnierza... zwłaszcza gdy brnie w błocie podczas ciężkiej kampanii.

Julia się uśmiechnęła.

- Czy żołnierz zawsze stawia wino na pierwszym miejscu?

- Na drugim! - sprostował.

Całował ją długo i oderwał się od niej z wyraźnym żalem. Teraz, gdy wszelkie bariery pomiędzy nimi znikły, pragnął kochać się z Julią do upadłego.

Powiedział sobie, że czekają ich przecież jeszcze inne noce, i zapytał:

- Czy Ash znalazł już świadków wczorajszego wypadku z rozpędzonym powozem?

- Owszem, ale na razie nie ma żadnych dowodów na to, czy było to działanie z premedytacją, czy po prostu nieszczęśliwy wypadek. - Julia sączyła porto, marszcząc brwi. - Jeśli ktoś usiłował mnie zabić, nie mam pojęcia, jak mógłby to zaplanować z góry. Nawet Mariah i ja nie wiedziałyśmy dokładnie, dokąd pójdziemy.

- Człowiek, który was śledził, mógł dostrzec niespodziewaną szansę pozbycia się ciebie i zrobił to, co mu nakazywał instynkt - stwierdził Randall.

- Może i tak - zgodziła się Julia. - Zazwyczaj ulice są zbyt zatłoczone, by powóz mógł nabrać takiej szybkości, ale ten wypadek wydarzył się podczas jednej z przerw w ruchu ulicznym. Ktoś, kto nas śledził, mógł uznać to za doskonałą okazję... i postanowił ją wy-

korzystać. - Jej palce zacisnęły się na nóżce kieliszka. - Mógł zabić również Mariah!

Mariah i jej nienarodzone dziecko. Gdyby obu kobietom coś się stało, Randall i Ashton walczyliby jeden przez drugiego o to, który z nich wymierzy sprawiedliwość winowajcy.

- Znałaś dawniej Crocketta... Czy mógłby zlekceważyć nowy rozkaz Daventry'ego, jeśli sam pragnął zemsty?

- Możliwe. Crockett był bardzo lojalny w stosunku do Branfor-da. Łączyło ich coś dziwnego... nigdy nie mogłam tego zrozumieć.

Na twarzy Julii odbił się niepokój. Randall objął ją mocniej ramieniem.

- Ponieważ Ash zajął się badaniem wypadku, może ja zacznę z drugiego końca: każę obserwować Crocketta. Wygląda na to, że jemu najbardziej zależy na tym, żeby wyrządzić ci krzywdę.

Julia westchnęła.

- Wolałabym myśleć, że to zwykły wypadek, a Crocketta nie było nigdzie w pobliżu. Nie chcę znów drżeć o swoje życie!

- Nie powinienem zostawiać cię samej.

- W Ashton House nic mi się nie stanie. I prawie nigdy nie jestem sama! - przekonywała go. - Nie wydarzyło się zresztą nic złego, tyle że straciłam ładny czepek i musiałam obstałować sobie drugi...

Ale i ty chciałaś ze mną o czymś pomówić, prawda?

Randall obracał kieliszek w rękę, obserwując refleksy światła w czerwonozłotym trunku.

- W Roscombe otrzymałem list od Roba Carmichaela. Twierdzi, że odnalazł w pobliżu Upton syna Branforda. Radzi mi czym prędzej zabrać chłopca z miejsca, w którym teraz przebywa.

Julia wyprostowała się tak nagle, że omal nie rozlała wina. Nie zauważyła nawet, że Randall ocalił jej kieliszek wraz z zawartością. - Co jeszcze napisał? Co grozi temu dziecku?

- Wiem tyle samo co ty - odparł Randall. - Rob nigdy nie był dobry w pisaniu listów, a tym razem skreślił kilka słów w wyraźnym pośpiechu. Muszę go odszukać, co być może potrwa kilka dni.



Miałem szczęście, że udało mi się skontaktować z nim tak prędko przed wyjazdem do Roscombe.

- Musimy pojechać do Upton i zabrać stamtąd chłopca! - stwierdziła Julia stanowczo.

- Nie przed balem! Mariah nigdy by nam tego nie wybaczyła. - Randall zmarszczył brwi. - Julio, czemu tak ci zależy na nieślubnym synu kogoś, kogo przecież nienawidziłaś? Tyle dzieci znajduje się w rozpaczliwej sytuacji... Jeśli założysz te swoje domy opieki, uratujesz wiele biednych malców. Ale czemu obchodzi cię właśnie to dziecko?

- Ja... sama nie wiem. Ale z pewnością trzeba go ratować! - Przygryzła wargę. - Jest niemal rówieśnikiem mojego dziecka, które się nie urodziło...

Co gorsza, Julia nie urodzi już żadnego dziecka. Randall w pewnym sensie rozumiał, czemu żona chce ocalić tego właśnie chłopca. Ale to był syn Branforda!

- Julio... - odezwał się z wahaniem. - Co będzie, jeśli chłopak okaże się szalony jak jego ojciec?

- Mam nadzieję, że nie. - Julia popatrzyła błagalnie na męża. - Ale choćby nawet były z nim... jakieś kłopoty... Sam mówiłeś, że Branford nie byłby tak niebezpieczny, gdyby go lepiej wychować...

- Może i tak. Ale może nic by nie pomogło. - Randall dobrze pamiętał swoje przerażenie, gdy leżał związany, a jego duży brat stryjeczny radośnie wymachiwał błyszczącym sztyletem... Zacisnął usta. - Gdyby ten chłopiec był taki jak Branford, nie mógłbym mieszkać z nim pod jednym dachem. A ty byś mogła?

Zacisnęła powieki.

- Nie wiem... - szepnęła. - Ale nawet jeśli się okaże... trudny, można znaleźć dla niego lepsze miejsce niż to, w którym teraz przebywa! Może... Westerfield Academy? Słyszałam, że lady Agnes dokonuje cudów!

- Tylko wtedy, gdy pod nieznośnym zachowaniem kryje się dobry charakter - odparł Randall. - Wielu chłopców, którzy przybywają do Akademii, jest o krok od wybuchu, ale wychodzą na ludzi, jeśli się

ich dobrze traktuje. Lady Agnes z pewnością nie zatrzymałaby ucznia, któremu sprawia przyjemność dręczenie innych!

- Rozumiem... Ale to jedyny wnuk twojego stryja! Z pewnością Daventry zechce się nim zaopiekować.

- Może tak, może nie... Czemu miałyby się przejmować jakimś bękartem, skoro żona obdarzy go lada chwila synem, od tak dawna oczekiwanym? Kto wie zresztą, czy wypełniając swój obowiązek wobec wnuka, nie wychowałby go na potwora, takiego jak Branford? Jeśli chłopak jest niebezpieczny dla otoczenia, najlepiej byłoby podrzucić go „łapaczom”, werbującym majtków do królewskiej floty! Na okrętach Jego Królewskiej Mości każdy raz-dwa nauczy się posłuchu... albo zdechnie.

Julia się wzdrygnęła.

Już łagodniejszym tonem Randall dodał:

- Nie każdego można zbawić, Julio. Chcę mu pomóc, naprawdę. Jak sama powiedziałaś, to mój krewniak. Ale jeśli jest potworem jak jego ojciec, nie pozwolę, żeby zagrażał innym!

- Wiem, że masz rację - szepnęła prawie niedosłyszalnie. - Ale istnieje przecież szansa, że chłopiec jest normalny! Trzeba się o tym przekonać. Czy możemy pojechać tam następnego dnia po balu?

- To zależy, kiedy zdołam złapać Roba Carmichaela. - Randall przyciągnął żonę do siebie. Przytuliła się z westchnieniem do jego piersi. - Przez najbliższe dwa dni nie myśl o tym dziecku, tylko o balu, o swoich przyjaciółach i nowym życiu w wielkim świecie!

- To dobra rada. - Ziewnęła, zasłaniając usta ręką. - Ale w tej chwili chce mi się tylko spać!

Jemu również. Będzie spał i marzył o Julii.

Gdy Randall się obudził, Julia spała przytulona do niego, a jej rączka znajdowała się w całkiem niestosownym miejscu. Ciało Randalla już to wyczuło. Zmienił nieco pozycję, otarł się o jej rękę - i Julia się obudziła. Otworzyła szeroko oczy. Po króciutkiej chwili niepewności, jej dłoń się zacisnęła.

Randallowi zabrakło nagle powietrza.

- Mam nadzieję, że nie zamierzasz natychmiast wstać! - wykrztusił zdławionym głosem.

- Ani myślę! - Jej uśmiech był psotny, a ręka jeszcze bardziej. - Muszę odrobić dwanaście straconych lat, Alexandrze!

- Zrobię, co się da, by ci w tym pomóc. Ale tego ranka to ty musisz się przyłożyć do pracy!

Chwycił ją w tali i wciągnął na siebie.

Jego dzielna, pełna godności żona zachichotała. A potem nachyliła się, żeby go ucałować i przyłgnęła do niego całym swym cudownym ciałem. Kochali się słodko i niespiesznie, ale skończyło się gwałtowną eksplozją.

Choć ognie namiętności przygasły na jakiś czas, nie wypuszczali się z objęć. Rozpuszczone włosy Julii opadły na pierś męża.

- Nie miałam pojęcia, co tracę - szeptała cichutko. - Naprawdę nie wiedziałam!

Randall dobrze wiedział, czym jest namiętność, ale nigdy dotąd nie przepełniała go taka czułość. Delikatnie gładził plecy żony - jej gładkie ramiona, cienką talię i jędrne pośladki. Nocne koszule szybko okazały się przeszkodą, leżeli więc teraz nago, jak Adam i Ewa.

- Zapragnąłem cię od pierwszego wejrzenia, milady! - Roześmiał się. - Wtedy jeszcze nie wiedziałem, dlaczego. Ale teraz już wiem!

Trwali tak w błogim niebycie jeszcze przez kilka minut, aż wreszcie Julia powiedziała z żalem:

- Naprawdę musimy już wstać. Ty powinieneś się spotkać z panem Carmichaelem, a ja pomóc Mariah... Jest jeszcze tyle do zrobienia w związku z balem! - Zsunęła się z Randalla i usiadła, rozkoszna naga nimfa. - No i w dodatku lady Kiri przyjdzie dziś rano na kedgeree... Obiecała przynieść perfumy specjalnie dla mnie! Mariah powiada, że kompozycje zapachowe Kiri są niezrównane!

- Wątpię, czy zdoła sprawić, byś pachniała rozkoszniej, niż w tej chwili! - Pełen animuszu potoczył się za żoną na drugi koniec wielkiego łóża.

Julia wybuchnęła śmiechem i w końcu wstała.

- Chcesz udaremnić wszystkie moje plany na dziś, majorze?!

- Zrobiłbym to z przyjemnością! - Sam jednak miał sporo do zrobienia. - Muszę, niestety, wyjść. Wrócę na obiad.

- Anthony chce, żebyś podpisał zrzeczenie się praw do mego spadku... - Mówiąc to, Julia czuła się trochę niezręcznie. - Powiedziałaś, że to zrobisz.

- Oczywiście!

Nie miał nic przeciw zrzeczeniu się wszelkich praw do jej pieniędzy. A nawet wolałby, żeby ich wcale nie miała.

Lady Kiri pojawiła się, gdy Julia i Mariah piły ostatnią filiżankę herbaty po śniadaniu. Kedgeree czekało jednak nadal na gościa. Julia uśmiechnęła się do młodszej od niej o kilka lat księżniczki.

- Ma pani niezawodny instynkt, lady Kiri: wie pani, kiedy się zjawić, by nie ominięło pani ulubione danie! - Cóż, na tym polega słynna mądrość Wschodu - oświadczyła Kiri z wyniosłą miną, nakładając sobie na talerz porcję ulubionego dania z dodatkiem grzanki. Postawiwszy to wszystko na stole, wyjęła z woreczka prześliczny kryształowy flakonik. - A oto moja kompozycja zapachowa dla pani, lady Julio. Mam nadzieję, że się pani spodoba.

Julia nigdy nie okazałaby niewdzięczności ofiarodawczyni, tym bardziej że zauważyła niepokój na twarzy Kiri. Mariah uprzedziła ją, że szwagierka traktuje bardzo poważnie swoje wonne eksperymenty. - Nigdy jeszcze nie miałam perfum, sporządzonych specjalnie dla mnie, i z pewnością będę nimi zachwycona! Kiri jednak nadal była niespokojna.

- Zazwyczaj, gdy przygotowuję dla kogoś kompozycję aromatyczną, przedstawiam różne połączenia zapachowe i rozmawiam z zainteresowaną osobą o jej upodobaniach. Jednak Mariah tak często o pani mówi, że trochę już panią znam. I kiedy znów ujrzałam panią tamtego ranka, spadło na mnie natchnienie. Po powrocie do domu zaczęłam łączyć ze sobą różne zapachy, tak jak malarz komponuje rozmaite kolory, zanim powstanie, powiedzmy... pejzaż z Krainy

Jeziór. - Podała flakonik Julii. - To dopiero pierwsza wersja! Zapachy nieraz ulegają zmianie w kontakcie ze skórą różnych osób i trzeba je starannie do nich dobrać. W przypadku Mariah osiągnęliśmy zadowalający efekt dopiero po wielu próbach.

- Dokładnie po pięciu... i było to niezapomniane przeżycie! Nie przejmuj się tak, Kiri - uspokajała szwagierkę Mariah. - Jestem pewna, że nikt nigdy nie skrytykował żadnej z twoich kompozycji!

- Nikt nie powiedział otwarcie złego słowa — odparła cierpko Kiri - ale ludzie bez przerwy kłamią. Zwłaszcza w tak zwanym dobrym towarzystwie! Julia uznała, że już najwyższy czas uśmierzyć obawy Kiri. Otworzyła więc flakonik, kapnęła odrobinę perfum na nadgarstek i poczuła upajającą woń. Znieruchomiała, nagle przeniesiona w krainę dzieciństwa. Coś ją ścisnęło w gardle, oczy napełniły się łzami.

- O Boże... - wyszeptała.

- Jeszcze nikogo nie doprowadziłam do łez! - wykrzyknęła przerażona Kiri. - Tak mi przykro, lady Julio! Chciała zabrać flakonik, ale Julia powstrzymała ją, kręcąc głową.

- Ten zapach przywiódł mi na pamięć moją matkę - powiedziała zdławionym głosem. - Była taka piękna... taka promienna... Przy niej zawsze czułam się bezpieczna.

Po śmierci matki poczucie bezpieczeństwa opuściło ją na wiele lat. Wróciło dopiero teraz, dzięki Randallowi.

- W takim razie wszystko w porządku! - Kiri uspokoiła się i zjadła trochę kedgeree. - Czy ten zapach kojarzy się pani z czymś jeszcze?

Julia znów w skupieniu powąchała nowe perfumy.

- Mam wrażenie, jakby tu było... kilka warstw. Coś, co przypomina kwiaty, ale jest bardziej złożone, bogatsze... Bez, za którym przepadam, ale także upajająca woń róż... I taki ciemny, leśny zapach. .. - Znów podniosła nadgarstek do nosa. - A przez to wszystko przebija coś, co jest bardzo delikatne, a jednak nieujarzmione... To jak koncert na obój, skrzypce i wiolonczelę...

Kiri skinęła głową, całkowicie usatysfakcjonowana.

- Doskonale to pani opisała, lady Julio! Pragnęłam stworzyć dla pani coś równie złożonego. A teraz zobaczmy, jak ten zapach komponuje się z zapachem pani ciała!

Mariah wzięła flakonik do ręki i powąchała.

- Cudowne, Kiri! - mruknęła i dodała z szelmowskim uśmiechem: - Z pewnością spodobają się Randallowi, Julio!

- Też tak sędzę.

Julia uśmiechnęła się w duchu. Jej mężowi najbardziej spodobają się te perfumy wówczas, gdy nie będzie miała na sobie nic - oprócz nich.

**29**

W odpowiedzi na list Randalla Rob Carmichael zaprosił go do siebie rankiem w dniu balu. Major był rad, że spotkają się w biały dzień. Okolice Covent Garden nie należały do najbardziej podejrzanych miejsc w Londynie, ale do najbezpieczniejszych także nie.

Wynajęty powóz dowiózł Randalla na sąsiednią ulicę. Ostatni kawałek drogi Alex postanowił przejść pieszo. Okolica wydawała się o tej porze spokojna, ale miał się na baczności.

Okazało się, że niewystarczająco. Prawie już dotarł do domu Roba, gdy poczuł, że ktoś wbija mu w plecy coś twardego.

Basowy głos warknął:

- Forsa albo życie!

Randall rąbnął łokciem w żebra napastnika, który wydał zdławiony jęk.

Randall odwrócił się natychmiast, podciął przeciwnikowi nogi zręcznym kopniakiem i błyskawicznie wyciągnął nóż. Napastnik -sądząc po zniszczonym odzieniu, robotnik - runął jak długi.

Kiedy byli jeszcze w szkole, Ashton wtajemniczył swoich kolegów w sekrety Kalarippayattu, hinduskiej metody walki wręcz.

**251**

Randall uzupełnił te umiejętności późniejszymi doświadczeniami, zdobytymi na polu walki. Rezultaty zazwyczaj były zadowalające.

Schował więc nóż do pochwy, a potem przyjrzał się uważnie ob-dartusowi.

- Twoje szczęście, że cię poznałem, bobyś znacznie gorzej oberwał, Rob! - powiedział z rozbawieniem.

- Zawsze zapominam, jaki jesteś szybki - odparł policjant swym zwykłym głosem, zręcznie podnosząc się z ziemi. - Myślałem, że zdążę wrócić do domu i oporządzić się nieco przed naszym spotkaniem, ale moje wcześniejsze zadanie zajęło mi więcej czasu, niż sądziłem.

- A potem nie mogłeś się oprzeć pokusie napędzenia mi stracha? - Randall zmierzył przyjaciela wzrokiem, szli teraz obok siebie. - Uścisnąłbym ci rękę, ale nie mam ochoty złapać jakiegoś pa-skudnego choróbka. A tak nawiasem, coś ty mi wtykał w plecy?

- Kottukampu. To krótki kijek, stosowany w walkach Kalarip-payattu.

Rob pokazał przyjacielowi kawałek drewna o grubości kciuka i długości mniej więcej czterech cali. Randall obejrzał go z zainteresowaniem.

- Nigdy nie widziałem, żeby Ashton posługiwał się czymś takim.

- To wyższa szkoła jazdy, Ash nie miał o tym pojęcia. - Rob wetknął swą pozornie niegroźną broń za pazuchę. - Nauczyłem się tym posługiwać podczas pobytu w Indiach. Wolę mieć pod ręką kottukampu niż używać noża. Trudniej zabić tym kogoś przez przypadek.

- A mówią, że żołnierska służba jest taka niebezpieczna! - zauważył Randall. - Mam wrażenie, że moje życie w armii Wellingtona było bardzo spokojne w porównaniu z twoim.

- Zwykle nic się nie dzieje, ale jeśli agent z Bow Street liczy na to, że zawsze tak będzie, długo nie pożyje! W starym domu, do którego zmierzali, na parterze znajdował się lombard, a na piętrze mieszkanie Roba. Agent otworzył zamknięte na klucz drzwi, prowadzące na klatkę schodową, i wprowadził Randalla do środka.

Przebyli jedną kondygnację starych schodów, raz jeszcze otworzyli i zamknęli za sobą drzwi prowadzące z klatki schodowej na korytarz - i dotarli do apartamentów Roba. Najbardziej reprezentacyjny pokój był wygodnie urządzone i panował w nim iście żołnierski porządek. Pojawił się służący Roba, by sprawdzić, kto przyszedł. Poznaczony śladami dawnych walk, potężnie zbudowany i muskularny Harvey sprawiał groźne wrażenie - mimo drewnianej nogi.

Od razu poznał Randalla i skinął mu głową na powitanie.

- Dźdobry majorze! - burknął i zniknął gdzieś w głębi mieszkania.

- Daj mi kilka minut, żebym się oporządził - przeprosił gościa Rob i wyszedł w ślad za Harveyem.

Randall usadowił się w fotelu przy oknie i wziął do ręki jedną z gazet, których cały stos leżał na stoliku pod ścianą. Nie mógł się jednak skupić na wiadomościach prasowych. Tego wieczoru miał się odbyć wielki bal na cześć Julii. Z pewnością żona będzie się jeszcze lepiej bawić, gdy dowie się przedtem czegoś więcej na temat dzieciaka Branforda! Zresztą i on - Randall - chciał, mimo wszystko, dowiedzieć się czegoś pewnego o tym chłopcu.

Rob wrócił po dziesięciu minutach, niosąc na tacy świeżo zaparzoną kawę i dwa kubki. Znikły bez śladu zmierzwione kudły i postrzępione, brudne łachmany. Rob miał teraz na sobie porządne, nijakie ubranie dżentelmena o raczej skromnych dochodach. I ten strój, podobnie jak poprzedni, był przebraniem. Teraz jednak Rob mógł się swobodnie poruszać po całym mieście, bez obawy, że zwróci na siebie uwagę. Jego szczupła postać i ciemne włosy także niczym się nie wyróżniały. Jedyne chłodne niebieskie oczy Carmichaela świadczyły o tym, że jest kimś innym, niż się mogło wydawać. Randall wziął kubek kawy i dolał sobie śmietanki. Jeden łyk wystarczył, żeby się przekonać, iż kawa była wrząca i tak mocna, że mogłaby powalić wołu. Alex dosypał sobie więcej cukru.

- Opowiedz mi o tym krewniaku z nieprawego łóża. Miałeś trudności z odnalezieniem go?



- Niespecjalne. - Rob także sobie nalał kawy, ale czarnej i gorzkiej. - Wspomnienia lady Julii okazały się bardzo dokładne. Matka tego chłopca, Sally Thomas, była rzeczywiście służącą w zajeździe, kilka mil na północ od Upton. Wszyscy wiedzieli, kto był ojcem dzieciaka. Branford od lat odwiedzał Sally regularnie, a chłopak był do niego wystarczająco podobny, żeby nikt nie wątpił w pokrewieństwo. A więc chłopiec wyglądał jak Branford. Nic przyjemnego! Randall wątpił jednak, że odstraszy to Julię. Nie mógł jej mieć za złe czulego serca - przecież i jemu okazywała gorące współczucie.

Uznawszy, że pora przestać mówić o krewniaku „ten chłopak”, Randall spytał:

- Jak on się nazywa?

- Benjamin Thomas. Wołają na niego Ben albo „ten bękart Benny”. - Rob wypił duszkiem pół kubka wrzącej kawy i dolał sobie więcej. - Mieszkał razem z matką w zajeździe do dziewiątego roku życia. Potem Sally zmarła przy porodzie, niemowlę też. Pozostał tylko Benny. Sally Thomas była dorodną, krzepką dziewczuchą, tak mi mówiono. Całkiem dobrze znosiła Branforda z jego paskudnymi nawykami. Pochodziła z zachodniej części Anglii, ale nikt nie wiedział dokładnie, skąd. Nie słyszano też o żadnej rodzinie, i Ben został na świecie sam jak palec.

- Gdzie on teraz jest?

- Parafia nie miała ochoty utrzymywać dziecka, oddała go więc pod opiekę, czyli mówiąc otwarcie: w niewolę, największemu brutalowi wśród okolicznych farmerów. - Rob spochmurniał. - Nikt nie chce sobie zawracać głowy tym chłopakiem. Nikogo nie obchodzi, czy Ben żyje, czy gnije.

Randall mimo woli poczuł współczucie.

- Czy ktoś starał się powiadomić Daventry'ego o istnieniu wnuka?

- Tego nie zdołałem się dowiedzieć. Jeśli nawet próbowano, to coś się nie powiodło. - Rob znów łyknął kawy. - Ten farmer, Gault, to wyjątkowy drań. Zona od niego uciekła. Wiecznie miał kłopoty

ze

znalezieniem kogoś do pomocy w gospodarstwie, zgłosił się więc do parafii, że z czystego miłosierdzia zaopiekuje się głodującym dzieciakiem, żeby nikt nie musiał się o niego kłopotać.

- Nie życzę żadnemu dziecku takiego miłosierdzia! - Randall pomyślał znów o podobieństwie chłopca do Branforda. - Czy Beniamin odziedziczył po ojcu skłonność do przemocy?

- Nie wiem. Sam go nie spotkałem. - Rob zmarszczył brwi. - Ale jeden z okolicznych mieszkańców, z którymi rozmawiałem, powiedział, że wcześniej czy później Gault zabije chłopca, albo chłopak zabije Gaulta.

Bekart, który wyglądał jak Branford i mógł być urodzonym mordercą. Wspaniała perspektywa! Randall westchnął.

- Pojadę do Gloucestershire i zabiorę go z farmy. Reszta zależy od tego, jaki się okaże. Obiecuję, że w każdym razie będzie mu lepiej, niż jest teraz.

Rob znów dolał sobie kawy.

- Rodzina to prawdziwe przekleństwo! Święta prawda. Ale zawsze rodzina.

Julia spokojnie przyjęła wieści o Benie Thomasie.

- Pojedziemy tam jutro rano! Roześmiał się.

- Jutro z pewnością będziesz bardzo zmęczona po dzisiejszym balu. Mariah także. Na pewno zechce spokojnie spędzić dzień, omawiając wszystkie wydarzenia poprzedniego wieczoru, a ty, jako dobra przyjaciółka, powinnaś jej towarzyszyć. Nie zabraknie też gości, którzy zapragną się podzielić wrażeniami z balu i wyrazić wam swoje uznanie. Nie sądzę, żebyśmy mogli wyjechać jutro.

Julia zmarszczyła brwi.

- Chyba masz rację. W takim razie pojutrze!

Randall chętnie by odłożył wyprawę na święty nigdy, ale równocześnie jakaś lepsza jego częśćka pragnęła wyrwać nieznanego małego krewniaka z rąk brutalnego „dobroczyńcy”. Żadne dziecko nie powinno być ofiarą przemocy!

Ironia losu polegała na tym, że Randalla w dzieciństwie dręczył ojciec Beniamina.

Gdy Julia szykowała się na bal, w jej garderobie roiło się od osób, którym bardzo zależało na tym, by zaprezentowała się jak najlepiej podczas swego debiutu. Stała cierpliwie, kiedy madame Helier i jej pomocnica ubierały ją w balową suknię, dokonując na poczekaniu drobnych poprawek. Madame kategorycznie zabroniła Julii zbliżyć się do lustra, póki nie doprowadzą jej wyglądu do doskonałości. Ma się rozumieć, osobista pokojówka Mariah była także obecna, by wspomóc Elbę w jej wielkim dziele. Sama Mariah, przepiękna w złocistych brokatach, zjawiała się również, by podnieść przyjaciółkę na duchu. Właściwie przysłała zaoferować swą pomoc, jeśli taka będzie potrzebna, ale w gruncie rzeczy, jak przyznała beztrąsko, chciała po prostu wziąć udział w całym tym zamieszaniu. Na koniec wkroczyła Grandmere, bardziej królewska niż sama królowa, w czarnych atlasach obficie przybranych koroną równie srebrną, jak włosy sędziwej damy.

Gdy Elsa biedziła się nad fryzurą swojej pani, Julia szepnęła do Mariah:

- Jest nas tutaj tak dużo, że mogłabym spokojnie stąd wyjść, i nikt by tego nie zauważył!
- W końcu z pewnością by zauważyli! - odparła ze śmiechem przyjaciółka. Spojrzała na zegar, stojący na toaletce. - Muszę już zejść na dół, by powitać pierwszych gości. Zaczekaj kwadrans i zejdź razem z Randallem: we dwoje zrobicie większe wrażenie!

Julia przymknęła oczy.

- Może jeszcze nie za późno, żeby odwołać całe to zamieszanie?
- Zdecydowanie za późno! - Mariah poklepała przyjaciółkę po ramieniu. - Wiem, że nie lubisz, gdy wszyscy na ciebie patrzą, ale zapewniam cię, że wszystko pójdzie jak z płatka! Masz wokół siebie przyjaciół... a zanim bal dobiegnie końca, będziesz ich miała jeszcze więcej!

Mariah zagarnęła Grandmere i lady Kiri i jak najuprzejmiej wyprowadziła je z pokoju. Elsa zakończyła upinanie loków Julii, a pokojówka księżnej Ashton delikatnie nałożyła jej odrobinę rózu na policzki. Na koniec barwiczka do ust dodała wyrazu jej wargom.

- Doskonale, lady Julio! - orzekła z aprobatą madame Helier. - Teraz może się już pani przejrzeć w lustrze. Wygląda pani doprawdy wspaniale!

Julia podeszła do lustra - i ujrzała w nim nieznajomą. Niezwykle wytworną nieznajomą! Jedwab w kolorze morskiej wody, wybrany przez lady Kiri, okazał się dla niej wprost idealny: podkreślał delikatną karnację i wydobywał z ciemnych włosów rdzawe błyski. Dekolt z przodu był stosunkowo niewielki jak na balową suknię, za to wycięcie z tyłu (zgodnie z obietnicą madame Helier) tak śmiałe, że Julia musiała obstać do tej toalety specjalny gorset i koszulkę.

Krój sukni był prosty, jedyną biżuterię stanowił naszyjnik z pereł oraz perłowe kolczyki. Prezent od Grandmere, która odziedziczyła je po swojej babce.

Sznur drobniejszych perełek pokojówka wplotła Julii we włosy. Zdobiły je także maleńkie pączki róż, zrobione z tego samego jedwabiu co suknia. Jeden długi, wijący się lok spływał na ramię. Ogólny efekt był dokładnie taki, jakiego sobie życzyła: skromność i elegancja, wdzięk bez cienia wulgarności. Zwracając się do otaczających ją kobiet, Julia powiedziała serdecznie:

- Bardzo wam wszystkim dziękuję! Wyglądam znacznie lepiej, niż mogłam się spodziewać.

Madame Helier uśmiechnęła się z satysfakcją.

- Jeśli nadal będzie się pani u mnie ubierała, lady Julio, zostanie pani jedną z pierwszych piękności eleganckiego świata! Suknia była skromna, ale madame z pewnością nie! Julia powściągnęła uśmiech i odprawiła krawcową, jej pomocnicę i pokojówki. Zwilżyła leciutko perfumami lady Kiri nasadę szyi i kark. A potem ruszyła na poszukiwanie męża.

Weszła z garderoby do salonu w tej samej chwili co Randall. Na jego widok wstrzymała oddech.

Zawsze uważała, że jest

wyjątkowo przystojny, nawet na początku, gdy wiecznie stroił groźne miny. Teraz, gdy znowu nauczył się śmiać, prezentował się jeszcze lepiej.

Mariah się nie myliła: w galowym mundurze Randall wyglądał tak, że damy omdlewały z wrażenia. Obcisła szkarłatna kurtka podkreślała barczystą sylwetkę, beżowe pantalony przylegały do muskularnych nóg. Blask świec złocił jego jasne włosy i podkreślał piękno rysów. Prawdziwy nordycki bożek... i należał do niej!

Randall stanął jak wryty na widok żony, oczy mu zabłyśły.

- Wyglądasz cudownie! - powiedział i odchrząknął, zmieszany. - Pragnąłem cię od pierwszego wejrzenia, ale aż do tej chwili nie uświadamiałem sobie, jaka jesteś piękna, milady!

Julia roześmiała się, zachwycona.

- Nigdy nie byłam piękna, ale miło mi, że ty tak sądzisz. - Podeszła do męża, by wesprzeć się na jego ramieniu. - A za tobą, mój panie, oczarowane damy będą dreptać po całej sali balowej, jak zacza-działa kacze!... Czy możemy już zejść?

Nie zważając na to, co mówiła, pochylił się i pocałował ją najpierw w kark, a potem w ramię.

- Pachniesz diabło ponętnie, jak uosobienie pokusy! Może byśmy się późnili na ten bal?

Przeszyło ją nagle pożądanie, ostre i słodkie.

- Wiem, że tylko żartujesz - odparła bez tchu - ale strzeż się! Mogłabym wziąć cię za słowo.

Alex patrzył z miną pełną nadziei.

- Zawsze do twoich usług, milady!

Julia pomyślała o nocach, które spędzili ze sobą od jego powrotu z Roscombe, i jej pożądanie sięgnęło zenitu. Teraz, gdy wszelkie bariery między nimi runęły, odkrywali nowe, upajające sposoby dawania sobie nawzajem rozkoszy.

- Nie kuś mnie, Alexandrze! Zbyt wielu ludzi natrudziło się, żeby przygotować ten bal. My też musimy odegrać swoje role jak należy! Uśmiechnął się i poprowadził ją do drzwi.

- Obowiązek wzywa! Zawsze tak z nami jest. Ale ostrzegam cię: gdy tylko bal się skończy, zrobię wszystko, co w mojej mocy, by zwabić cię do łóżka!

Ze śmiechem zeszli na dół.

**30**

*Julia* spostrzegła, że wywarli korzystne wrażenie, schodząc do frontowego holu po wielkich schodach. Każda kobieta zrobiłaby wrażenie u boku Randalla! Mimo to gniotło ją w żołądku i omal nie zwymiotowała. Cały ból, poczucie odtrącenia i tragiczne dzieje jej pierwszego małżeństwa oraz życie na wygnaniu, z dala od rodzinnego domu, przeplatały się z terażniejszością w wielkiej scenie jej powrotu do świata.

Mariah spojrzała w stronę schodów i dała znak Julii, by zaraz po zejściu na dół stanęła przy jej boku, witając gości w drzwiach sali balowej. Był tam również Ashton - gawędził z Grandmere, której obecność była niezbitym dowodem poparcia księżnej de Charente dla odzyskanej po latach wnuczki. Randall sprowadził Julię z ostatnich stopni i zajął miejsce obok żony. Ci, którzy ją kochali, skupili się wokół niej i niepokój opuścił ją w mgnieniu oka.

- Nie takie to straszne, prawda? - szepnęła Mariah, gdy pierwsza fala gości przetoczyła się i nastąpiła chwila przerwy.

- Wcale niestraszne - przyznała Julia. - Cieszę się, że zmusiłaś mnie do tego, jej książęca mość! Mariah odpowiedziała śmiechem, a potem zajęła się następnymi gośćmi. Ogólne zainteresowanie córką księcia, która nieoczekiwanie wróciła do świata żywych, było ogromne. Julia wcale nie wyczuwała wrogości. Jak słusznie twierdził Ashton, ojciec Julii nie cieszył się popularnością w towarzystwie, natomiast księżna wdowa de Charente budziła ogólny lęk i nabożny podziw. Cały wielki świat był więc zdecydowany polubić lady Julię Randall.

**254**

- Anthony! - Uradowała się na widok brata. Uściskała go serdecznie. - Zatańczysz potem ze mną? Roześmiał się i uściskał ją równie czule.

- Owszem, nawet jeśli będziesz mi deptać po nogach. Wątpię, byś miała wiele okazji do ćwiczenia modnych tańców na dzikiej północy!

- Nie miałam, ale Mariah zatrudniła nauczyciela, który musztrował mnie bez miłosierdzia! - Obejrzała Anthony'ego od stóp do głów. Jakiż był przystojny i elegancki... jak przystało na przyszłego księcia. - Gdybyś nie był moim bratem, powiedziałabym, że wyglądasz szalenie pociągająco! Oczy Stoneleigh zaiskrzyły się wesołością.

- A ja powiedziałbym to samo o tobie... gdybyś nie była moją siostrą!

Obrócił się do Randalla, wymienili uścisk dłoni i pograżyli się w lekkiej wymianie zdań. Następnym gościem, ku zaskoczeniu Julii, była lady Daventry. Co prawda zaproszenie na bal zostało wysłane do niej i jej męża, ale Julia i Randall daliby głowę, że hrabia podrze je na kawałki i wrzuci do kominka.

Ajednak na balu zjawiała się hrabina Daventry bardzo elegancka -jak na niewiastę w zaawansowanej ciąży - w sukni błękitnej jak niebo i w szafirach. Wspierała się na rsmieniu przystojnego młodzieńca. Julia rzuciła szybkie, niespokojne spojrzenie ponad ramieniem hrabiny, a następnie powitała ją ciepło:

- Jakże miło znów panią widzieć, lady Daventry!

- Proszę się nie obawiać! - mówiąc to, hrabina uśmiechnęła się figlarnie. - Mego męża tu nie ma. Musiał wyjechać na kilka dni do Turville. - Poklepała się po brzuchu. - Mnie, oczywiście, nie wolno podróżować. Kiedy jednak otrzymałam zaproszenie na bal, nie mogłam oprzeć się pokusie.

- Jestem ogromnie rada, że się pani na to zdecydowała! - Julia przyjrzała się uważnie młodzieńcowi towarzyszącemu hrabinie. -Ten przystojny młody człowiek to zapewne jeden z pani synów, hrabino? Jaki do pani podobny!

Młodzian zarumienił się, a lady Daventry odparła:

- Tak, to Morton, mój pierworodny. Niebawem znów wraca do Oksfordu, ale ubłagałam go, by służył dziś za podporę swojej starej matce!

Lord Morton się uśmiechnął.

- Moja matka lubi się tak przekomarzać! Ogromnie się cieszę, że mogę panią poznać, lady Julio. Gdy pełen podziwu wzrok młodzieńca przeniósł się następnie na Randalla, Julia domyśliła się, że chłopak marzy o karierze wojskowej. Zapoznała go więc ze swoim mężem, po czym zwróciła się znów do lady Daventry:

- Czy hrabia będzie bardzo zły, że przybyła pani tutaj, mimo iż zerwał on stosunki z moim mężem?

- Owszem, będzie, ale to dla mnie nie nowina - odparła cierpko hrabina. - Daventry wścieka się i tupie jak szalony... ale nigdy nie tknął mnie nawet palcem, choćby nie wiem jak się złościł. Nigdy bym zresztą na coś takiego nie pozwoliła!

A więc hrabia, Bogu dzięki, nie był aż tak niepoczytalny jak jego syn.

- Dzielna z pani niewiasta, lady Daventry! - powiedziała Julia.

- Wcale nie jestem dzielna...

- Jakże się pani czuje? - spytała Julia z zainteresowaniem i współczuciem.

- Wielka jak góra. I powolna jak ślimak! - Lady Daventry z trudem przełknęła ślinę. - Byłam bardzo młoda, gdy przyszedł na świat mój pierwszy syn, a pozostali urodzili się w ciągu następnych pięciu lat. Ale teraz moje ciało nie jest już takie silne i wytrzymałe jak dawniej...

Julia wzięła hrabinę za rękę.

- To wcale nie znaczy, że nie urodzi pani szczęśliwie pięknego, zdrowego dziecka! Proszę nie tracić wiary w siebie, hrabino: właściwe nastawienie to jeden z warunków szczęśliwego rozwiązania.

- Coraz mi trudniej o wiarę i nadzieję - odparła hrabina, zniżając głos. Jej ręka zacisnęła się na chwilę na dłoni Julii, po czym puściła



ją. - Ale dość o mnie! Kiedy spotkałyśmy się po raz pierwszy, wspomniała pani, że chciałyby wiedzieć, czy Branford pozostawił jakieś nieślubne dzieci. Przyznam, że sama się nad tym zastanawiałam! Zaciekawiona Julia zagadnęła:

- Spytała pani męża?

- Owszem, wypytywałam go o to, ale odpowiedział tylko: „Żadnych”. Z wyraźnym żalem. - Hrabina westchnęła. - Byłoby to wielką pociechą, gdyby pozostawił zdrowych potomków... Pani ma szczęście, lady Julio: major odziedziczył po Blairach dobrą krew!

Inaczej mówiąc, Randall mógłby zapewne płodzić zdrowe dzieci... gdyby miał inną żonę. Julia pospiesznie odpędziła od siebie tę myśl. Wszystko wskazywało na to, że Daventry nie wie o istnieniu Beniamina Thomasa. Może zająłby się chętnie chłopcem? Miała taką nadzieję.

Najpierw jednak musieli odnaleźć Bena.

Randall porwał żonę do pierwszego walca.

- Opłaciły się lekcje z nauczycielem tańca: doskonale sobie radzisz, ani razu nie zmyliłaś kroku!

Julia się zaśmiała. Twarz jej promieniała radością.

- Ubóstwiam taniec! Chyba polubię londyńskie życie. Zwłaszcza jeśli będę mogła liczyć na pierwszego i ostatniego walca z tobą na każdym balu!

Delikatne pasemka ciemnych włosów wymknęły się z upięcia i teraz otaczały jej twarz i ramiona delikatną mgiełką. Podziałało to na Aleksa niesłychanie podniecająco. Miał ogromną ochotę przejechać językiem po smukłej szyi żony. Pohamował się jednak i powiedział tylko:

- Ponieważ jesteśmy małżeństwem, możemy bez skandalu przetańczyć ze sobą więcej niż dwa tańce.

- Jeśli mam jak należy odegrać rolę gościa honorowego, nie powinnam spędzać zbyt wiele czasu z tobą. - Uśmiechnęła się szelmowsko. - Jeszcze by pomyśleli, że próbuję cię uwodzić!... Czy byłoby to wyjątkowo niedelikatne, gdybym przyznała, że tak jest w istocie?

- Będziemy zapewne zbyt na to zmęczeni, gdy bal dobiegnie końca... ale możemy jutro rano pozostać dłużej w łóżku.

Julia przysunęła się trochę bliżej do męża. Jej spojrzenie było pełne ognia.

- Miałeś rację! Wcale mi się nie chce jechać do Gloucester jutro z samego rana. Wystarczy pojutrze! Nie rozmawiali więcej, ale Randall rozkoszował się żarem, jakim oboje pałali. Stare matrony, mające wszystko za złe, nie bez powodu ostrzegały przed walcem. Wirowanie po sali balowej z piękną kobietą w objęciach naprawdę podniecało! Jedyne myśl o tym, że czeka na nich wspólne łóżko, powstrzymała majora od wywabienia żony na taras, by tam ją wycalować.

Taniec się skończył i schodzili właśnie z parkietu, gdy podszedł do nich dobrze znany Aleksowi ciemnowłosa mężczyzna. - Ballard! - wykrzyknął Randall, potrząsając ręką przyjaciela. - Myślałem, że wróciłeś już do Portugalii. - Interesy zatrzymały mnie trochę dłużej. Wyjeżdżam jutro, ale dziś mogłem tu przyjść. - Ballard obrócił się w stronę Julii. - A to cudowne zjawisko... to zapewne twoja żona? Kiedy Randall dokonał prezentacji, Julia podała Ballardowi rękę.

- Jakże miło mi pana poznać - powiedziała serdecznie. - Coraz bardziej rozsmakowuję się w porto, zwłaszcza z piwnic Bal-lardów.

Ballard zaśmiał się z uznaniem.

- Kobieta, która zna się na dobrym winie! Ależ ty masz szczęście, Randall!

Orkiestra znów zaczęła grać i Ballard zwrócił się do Julii:

- Czy zechce pani zatańczyć ze mną?

- Z przyjemnością. - Rzuciła mężowi szelmowskie spojrzenie, gdy Ballard prowadził ją na parkiet. - Mam nadzieję wyciągnąć od pana wszelkie skandaliczne anegdotki o moim mężu!

Randall patrzył za oddalającą się żoną i serce ścisnęło mu się w piersi. Jakaż była radosna i promienna! Najwyraźniej stworzona do takiego życia. Jej suknia nie miała ogromnego dekoltu, ale głębokie

wycięcie z tyłu było niezwykle kuszące, a obcisły stanik dowodził, że nie brakuje jej kobiecych powabów.

Teraz, gdy przewyciężyła już lęki i odkryła drzemającą w niej namiętność, przyciągała uwagę każdego mężczyzny, który na nią spojrzał. Lady Julia Raines była niewątpliwie królową balu.

Wyróżniała się wysokim urodzeniem, pięknnością, niezwykłym urokiem, nie brakło jej też ogromnego majątku. Mogła mieć każdego mężczyznę, jakiego by zapragnęła. Świadomość tego ciążyła Aleksowi kamieniem na piersi. To, że była zameżna, stanowiło niewielką przeszkodę. Sam się o to postarał, by mogła zerwać małżeństwo po roku, jeśli tylko zechce. Podpisał też dokument, w którym zrzekał się praw do jej fortuny. Po cóż miałyby się trzymać człowieka, który nie posiadał ani wielkiego majątku, ani tytułu? To prawda, że okazali się doskonałymi kochankami... Gdy jednak patrzył na żonę, żartującą z Ballardem, uznał ze skrajnym pesymizmem, iż Julia bez trudu znajdzie taką samą satysfakcję w innym związku. Nie obawiał się Ballarda, który nigdy by nie zdradził przyjaciela, ale świat pełen był mężczyzn, którzy z ochotą pójdą do łóżka z kobietą równie uroczą i zmysłową jak Julia. Czyż ich małżeństwo mogło przetrwać przy takiej dysproporcji fortun, a w dodatku bez nadziei na dzieci, które mogłyby ściślej z wiązać ich ze sobą?

Wiedział, że to chorobliwe i niemądre rozważania - i zmusił się do tego, by oderwać wzrok od żony. I wówczas ujrzał lady Agnes Westerfield, założycielkę Westerfield Academy. Wysoka i władcza stała na skraju parkietu, z życzliwym rozbawieniem obserwując gości.

- Lady Agnes! - Podszedł do niej i skłonił się nisko. - Ashton mówił, że zaprosił panią na bal, ale obawiał się, że pewnie pani nie znajdzie na to czasu.

Kiedy się wyprostował, lady Agnes go objęła.

- Znakomicie wyglądasz, mój chłopcze. - Zdjęła jakąś niteczkę z rękawa wojskowej kurtki. - Choć wspaniale się prezentujesz w mundurze, rada jestem, że pożegnałeś się z armią. Niepokoiłam się o ciebie.

Lady Agnes była nowoczesną przełożoną i utalentowaną nauczycielką; największe jednak znaczenie miała miłość, którą darzyła swych wychowanków. Większość z nich przybywała do jej Akademii jako dzieci zaniebane, pełne gniewu i buntu. Nie mogła być dla nich rodzoną matką, ale stała się kimś w rodzaju idealnej ciotki.

- Co przywiodło panią do Londynu? Ten bal czy inne sprawy? Roześmiała się.

- Choć kocham moich chłopców, od czasu do czasu muszę porozmawiać z dorosłymi, choćby przez kilka dni. Teraz mamy lato i tylko garstka naszych wychowanków została w szkole. Postanowiłam więc wybrać się do miasta. Zatrzymałam się u mego brata i używam życia. - Jej spojrzenie powędrowało ku żonie Randalla. - Porozmawiałyśmy sobie z lady Julią ubiegłej wiosny, gdy bawiła w Londynie. To bardzo rozsądna młoda kobieta. W ciągu kilku miesięcy przeobraziła się z niepozornej poczwarki w barwnego motyla. Czy to twoja zasługa, Randall?

- Może po części... Ale przede wszystkim ujawniła się wreszcie prawdziwa natura Julii: była stworzona do takiego właśnie życia, a teraz mogła do niego wrócić. - Podał lady Agnes swe ramię. - Czy zdołam skusić panią lodami?

Wsparła się na nim.

- Nieznośny chłopaku! Dobrze wiesz, jaką mam do nich słabość! Kiedy zmięzali do stołu z napojami orzeźwiającyymi i różnymi smakołykami, Randall wypalił prosto z mostu:

- Może będę miał dla pani nowego ucznia. Okazało się, że mój stryjeczny brat pozostawił nieślubnego syna, o którym rodzina dotąd nie wiedziała. Rob Carmichael twierdzi, że odnalazł tego chłopca, Beniamina Thomasa. Julia i ja wybieramy się do hrabstwa Gloucester, żeby go zobaczyć.

- Nieślubny syn pierwszego męża twojej żony? - Lady Agnes uniosła brwi. Wiedziała o okrucieństwie Branforda. Randall opowiedział jej o tym podczas pobytu w szkole. Mogła sobie wyobrazić, jak wyglądało życie żony Branforda. - Lady Julia musi być niezwykle wielkoduszna, jeśli chce pomóc właśnie temu dziecku.

- Julia jest uosobieniem wielkoduszności... a tego chłopca, zdaje się, bardzo źle traktują. - Randall wziął pucharki lodów i łyżeczki, i podprowadził swą towarzyszkę do małego stolika pod rozłożystą palmą. Gdy oboje wygodnie usiedli, opowiadał dalej: - Władze parafialne powierzyły małego Beniamina pewnemu brutalowi i chłopiec jest teraz na jego farmie kimś w rodzaju niewolnika. Prawdopodobnie dziecko nie ma żadnego wykształcenia ani ogłady. Wiem, lady Agnes, że potrafi pani zdziałać cuda, ale są chyba jakieś granice... Czy zgodziłaby się pani przyjąć tego chłopca do szkoły? - Matka Branforda uchodziła za osobę... niezrównoważoną. - Lady Agnes była wyraźnie zainteresowana przedstawionym jej problemem. - Wcale to jednak nie znaczy, że jego syn jest szalony. Ma zapewne dwanaście czy trzynaście lat?

- O ile wiem, coś koło tego.

- Oszlifowanie małego Beniamina byłoby niewątpliwie trudnym zadaniem... ale nie ponad ludzkie siły, o ile zechce pracować i wyjść na człowieka. Można by, w razie potrzeby, dać mu korepetytora i dodatkowe lekcje - mówiła dalej lady Agnes, pogrążona w myślach. - Kiedy już będziesz miał chłopca u siebie, przywieź go do mnie na rozmowę. Gdyby się okazało, że nie ma zdolności ani ambicji, niezbędnych do zdobycia ogólnego wykształcenia, może będziesz mógł oddać go do terminu lub znaleźć mu jakieś odpowiednie zajęcie. Taka spokojna ocena sytuacji podniosła Randalla na duchu.

- Wiedziałem, że zgodzi się pani poświęcić mu trochę czasu, lady Agnes! Jak długo pozostanie pani jeszcze w Londynie?

- Jakies dwa tygodnie. - Skosztowała cytrynowych lodów i uśmiechnęła się błogo. - Chcę wrócić do Westerfield Manor tuż przed początkiem jesienno- zimowego semestru.

- W takim razie przywiozę chłopca raczej tu niż do hrabstwa Kent.

Podjąwszy tę decyzję, Randall też zainteresował się lodami. Jednak wzrok jego nadal gonił za tańczącą Julią.

Jak powinien się zachować dzielny rycerz, gdy księżniczka już go nie potrzebuje?

**Julia** tańczyła bez przerwy, ale jeden bal nie mógł jej wynagrodzić wszystkich trudnych, smutnych lat. Stała akurat trochę z boku, żałośnie spoglądając na obrąbek swej sukni, gdy podszedł do niej Randall z dwoma kieliszkami szampana. Ze spojrzeń, jakimi śledziły go kobiety, łatwo było wywnioskować, że Mariah miała rację: w mundurze galowym wyglądał zabójczo! Wystarczyło popatrzeć na niego, by poczuć żar w sercu i w innych, zgoła niestosownych miejscach. Podał żonie kieliszek szampana.

- Jakies kłopoty z suknią?

- Mój ostami tancerz nadepnął na falbankę na samym dole sukni... i odpruła się. - Wzięła kieliszek i z przyjemnością wypła łyk szampana. - Zajrzę do pokoju dla pań, powinna tam być Elsa. Przy-szyje mi tę falbankę albo ją przyszpili.

- Lepiej chodźmy na górę do naszego apartamentu - zaproponował. - Poradzę sobie z falbanką, jeśli wynajdziesz skądś szpilki. Przyda się nam chwila wytchnienia od tej ciżby!

Spojrzenie męża sprawiło, że Julii zrobiło się jeszcze bardziej gorąco. Wypła jednym haustem resztę szampana i odstawiła kieliszek na pobliski stolik.

- Podoba mi się ten pomysł! - Ujęła męża pod ramię i przeszli przez salę, kierując się ku wyjściu. - Zauważyłam, że tańczyłeś prawie bez przerwy. Dla przyjemności czy z poczucia obowiązku?

- Mariah wydała mi przed balem wyraźne rozkazy - wyjaśnił. -Obtańczyłem wszystkie panny siejące rutę i rozbrykane wdówki. - Mam nadzieję, że nie zakochały się w tobie co do jednej! - powiedziała lekkim tonem, choć dokładnie sobie obejrzała jego partnerki. Przysięgał, że tańczył z nimi tylko z obowiązku, ale niektóre z panien były młodsze i o wiele ładniejsze od niej!

- Jeśli nawet oczarował je mój mundur, to z pewnością srogi wyraz twarzy zniechęcił i rozwiął wszelkie romantyczne marzenia. Największą satysfakcję sprawiało mi to, że tak wspaniale połatałaś moją

nogę: już prawie nie boli. - Uśmiechnął się do żony. - Pierwszorzędna robota!

- Moja dawna guwernantka powiedziałaaby z pewnością, że lekcje szycia okazały się wielce przydatne w mojej karierze chirurgicznej - odparła Julia. - Zawsze starała się zachęcić mnie do doskonalenia się w typowo kobiecych umiejętnościach.

Gdy opuścili salę balową, od razu zrobiło się chłodniej. Odetchnęli z ulgą. Wchodząc po schodach na górę, Julia uniosła lekko spódnicę z tej strony, gdzie falbanka była oberwana.

- Mieszkanie w domu, w którym odbywa się bal, to wielka wygoda. Można się schronić przed hałasem i gwarem! - Nawet bitewna wrzawa nie może się równać z londyńskim balem, kiedy zabawa rozkręci się na dobre - przyznał Randall.

U szczytu schodów skręcili w prawo, do swego apartamentu. Gdy Randall otworzył drzwi salonu, Julia zorientowała się, że znajdują się bezpośrednio nad salą balową. Nie tylko słyszała muzykę, ale nawet odczuwała wibracje, dotykając stopami podłogi.

Randall westchnął:

- Przez cały wieczór o tym marzyłem! Odwrócił się i chwycił żonę w objęcia.

- Ja też!

Wspięła się na palce, by zarzucić mu ręce na szyję. Namiętność zapłonęła między nimi niczym błyskawica. Przez cały wieczór Julia wyczuwała obecność Randalla, to nie tylko w tym sensie, że wiedziała, iż mąż jest na sali balowej i wspaniale wygląda. Nie opuszczało jej wspomnienie jego zapachu, dotyku i łatwości, z jaką sprawiał, że słabła z pożądania.

Całował ją teraz tak zachłannie, jak umierający z pragnienia pije wodę. Mętnie uświadamiała sobie, że przycisnął ją plecami do drzwi, a ich usta i języki stopiły się ze sobą tak nierozzerwalnie, iż nie sposób byłoby stwierdzić, gdzie jedno z nich się kończy, a zaczyna drugie.

Biodra Julii zakołysały się, ocierając o męża. Poczowała rozczarowanie, gdy odsunął się trochę, ale zaraz zorientowała się, że uniósł jej spódnicę. Chłodne powietrze dotarło do jej rozgrzanego ciała, gdy

Alex poszukiwał na nim miejsc najbardziej wrażliwych na jego dotyk - i znajdował je. Rozkoszne to były doznania, ale Julia pragnęła czegoś więcej. Zaczęła więc mocować się na oślepie z zapięciem jego spodni, niezgrabnymi palcami ujarzmiła odporne guziki, aż wreszcie oswobodziła twardą, pulsującą męskość i utuliła ją w rękę.

Alex jęknął. Julia pomyślała, że zaraz przejdą do sypialni, nie przerywając pocałunku, lecz on tylko objął ją w talii i podniósł do góry. Ściśnięta między drzwiami a nim, napiętym do ostateczności, do reszty straciła rozum. Pozostała już tylko rozkosz, gdy wniknął w głąb jej wilgotnego, rozpalonego ciała. Przez chwilę zastygli bez ruchu, dopasowując się do siebie.

Potem objęła nogami biodra męża i przywarła do niego z całej siły. Wbiła paznokcie w jego ramiona, zatopiła zęby w jego barku, okrytym szkarłatną wełną. Dudnił jej w uszach jego przyspieszony oddech. Jeszcze, jeszcze, jeszcze!

Taka gwałtowna burza nie mogła trwać długo. Ciałem Julii wstrząsnęły konwulsje. Zdołała stłumić krzyk, przyciskając usta do ramienia męża. W następnej sekundzie on także osiągnął szczyt.

Po jakimś czasie świat znów wrócił do normy, a oni do przytomności. Randall był zaskoczony: planował delikatne uwodzenie żony -pół żartem, pół serio - a nie dzikie parzenie się z niesłychaną zajadłością! Pozbawiony tchu, postawił Julię na ziemi.

- Przepraszam... - wykrztusił. - Chyba ci nie zrobiłem krzywdy...?

- Nie! - Julia czuła, jak pulsuje w niej krew, gdy sunęła dłońmi po ramionach męża, a jej palce zaciskały się i rozwierały na przemian. - Nie zrobiłeś nic, czego sama bym nie chciała.

Był jej wdzięczny za te słowa. Nie przypuszczał, że roznamiętni się do tego stopnia! Dobrze i to, że stracili rozum oboje naraz. Kiedy jednak namiętność osłabła, uświadomił sobie ze smutkiem, iż wszelkie fizyczne posiadanie to coś przemijającego, nietrwałego. W tej chwili Julia należała do niego. Ale co będzie w przyszłości?

Jeden Bóg to wie!



Rankiem po balu Julia obudziła się z wielkim trudem. Jeśli był to istotnie ranek... Oczy miała zamknięte, równie dobrze mogło już być południe. Wszystkie mięśnie ją bolały; od tańca, oczywiście. Zbierało się jej na mdłości... pewnie wypła za dużo szampana. A mimo to czuła się cudownie. Czuła bliskość i ciepło Randalla, otworzyła więc oczy, bez zbytniego pośpiechu. Leżał na boku, opierając rozczochraną, jasną głowę na ręce. W zamyśleniu wpatrywał się w swoją żonę. Pierś miał naga, tak samo zresztą jak ona. O Boże, oboje byli nagusieńcy! Poczuli się do cna zdeprawowani. Co za rozkoszne uczucie! Wróciła jej pamięć. Kiedy oprzytomnieli po szalonych uściskach, zeszli na dół, jakby nigdy nic, by grzecznie zjeść kolację. Julia była przekonana, że widać po niej, jak jest rozpustnicą, ale chyba nikt tego nie dostrzegwał...

Kiedy wreszcie ona i Randall o jakiejś nieprawdopodobnej godzinie powrócili na dobre do sypialni, Julia myślała tylko o tym, by upaść na łóżko i przespać kilka dni. Ajednak, kiedy Randall pomagał jej się rozebrać, odwzajemniła mu się tym samym - i ostatecznie wszystkie części ich garderoby wylądowały na podłodze.

Skóra Randalla w zetknięciu z jej nagim ciałem okazała się taka rozkoszna, że gdy znaleźli się wreszcie w łóżku, nie byli w stanie utrzymać rąk przy sobie. Całe zmęczenie znikło, a oni kochali się, przedłużając w nieskończoność każdą pieszczotę. Julia zasnęła z uśmiechem na ustach.

Gdy tylko otworzyła oczy, Randall spytał:

- Dobrze ci się spało?

- Chyba tak, bo niczego nie pamiętam. - Ziewnęła, zasłaniając ręką usta. - Wiesz, która godzina?

- Niedawno słyszałem, jak kościelne dzwony biły na południe. - Przesunął dłonią po ramieniu Julii, a potem objął jej pierś. - Odniosłaś ostatniej nocy prawdziwy triumf!

- Wszyscy byli dla mnie bardzo mili. Obawiałam się, że będą gapić się na mnie i pozwalać sobie na różne docinki... ale jeśli nawet tak było, to ja tego nie słyszałam. - Westchnęła z zadowolenia, czując się

jak należycie wygłaskany kot. - Nikt się jakoś tym nie przejmował, że rodzony ojciec się mnie wyrzekł!

- Miłość twojego brata i babki miały większe znaczenie od niechęci Castletona. - Kciuk Aleksa delikatnie drażnił jej sutek, wywołując rozkoszne dreszcze. - Po ostatniej nocy możesz wybrać sobie na kochanka, kogo tylko zechcesz. Połowa londyńskiej arystokracji marzy o tobie!

Julia wzdrygnęła się, jakby oblał ją zimną wodą.

- Dobry Boże, Alex! Na co mi kochankowie? Kto jak kto, ale ty powinieneś wiedzieć, że jestem mężatką! Dojrzała w jego oczach głęboki smutek.

- Wszystko się zmieniło od czasu, gdy oświadczyłem ci się w chacie w Cumberland. Miałaś rację, domagając się możliwości rozwiązania małżeństwa, gdyby okazało się pomyłką. Kiedy się upewnimy, że nikt już nie dybie na twoje życie, związek ze mną nie będzie ci potrzebny. Jeśli weźmiemy szkocki rozwód, wywoła to trochę rozgłosu, ale nie zdoła zniszczyć reputacji tak czarującej dziedziczki jak ty.

Julia próbowała powiedzieć, że pragnie nadal być jego żoną, ale znów poczuła mdłości.

Półprzytomna, oszołomiona wygramoliła się z łóżka i zwymiotowała do nocnika.

Randall ściągnął koc z łóżka i otulił nim żonę.

- Przepraszam - powiedział cicho. - Nie chciałem cię zdenerwować!

Kiedy w żołądku Julii nic już nie pozostało, przykucnęła na piętach i otuliła się szczelnie kocem.

- Czemu uważasz, że chcę położyć kres naszemu małżeństwu? Myślałam, że układa się całkiem dobrze. - Na razie. - Wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka, nadal otuloną kocem. Potem wyjął z szafy swój szlafrok. Wkładając go, mówił dalej: - .. Ale co będzie za rok? Tyle się zmieniło w ciągu kilku tygodni! A przed nami jeszcze więcej zmian.

- Któż może wiedzieć, co go czeka za rok? - spytała. Materac ugiął się, gdy Alex przysiadł na brzegu obok niej.

- Nikt nie wie takich *rzeczy* - przytaknął. - Ale sądząc z tego, jak wspaniale bawiłaś się ostatniej nocy: tańcząc, flirtując i prowadząc salonową konwersację, wygląda na to, że światowe życie chyba ci odpowiada.

Julia przymknęła oczy, żałując, że obudziła się i nie śpi dalej w spokoju. Czyżby flirtowała na balu? Może i tak, ale wyłącznie dla zabawy!

- Nawet jeśli flirtowałam, to wcale nie znaczy, że szukam sobie kochanków!

- Jeszcze nie teraz, ale przecież dopiero co doszła w tobie do głosu prawdziwa natura. Może zapragniesz romansów z innymi mężczyznami, a ja na to z pewnością nie wyrażę zgody, dopóki jesteś moją żoną - odparł chłodno. - Twoja fortuna stawia cię w położeniu godnym pozazdroszczenia: możesz wydawać ogromne sumy na cele dobroczynne, możesz zmieniać kochanków jak rękawiczki, możesz znaleźć sobie męża, który będzie do ciebie lepiej pasował niż ja... a nawet robić to wszystko naraz!

Julia zdała sobie sprawę z tego, że sama jest temu winna, skoro domagała się przed ślubem zapewnienia, że będzie mogła zerwać małżeńskie więzy. Wtedy wydawało się jej to rozsądnym posunięciem. Może nadal nim było... A może pod wielkodusznością Randal-la, pragnącego zwrócić jej wolność, kryło się egoistyczne pragnienie uwolnienia się od niej?

Dość ostro spytała:

- Czy chcesz unieważnienia naszego małżeństwa, by znaleźć sobie kobietę, która urodzi ci dzieci?

Po krótkim milczeniu odparł beznamiętnym tonem:

- Od samego początku uprzedziłaś, że ich nie będzie. Przystałem na to.

Była to prawda, ale odpowiedź padła o kilka sekund za późno.

- Tak, oboje bardzo się zmieniliśmy w ciągu ostatnich kilku tygodni - powiedziała ze znużeniem. -

Wobec tego może istotnie lepiej pozostawić sobie jakieś wyjście. Tylko czemu poruszyłeś ten temat właśnie dziś?

- Ponieważ twoje położenie zmieniło się diametralnie ostatniej nocy. - Westchnął. - Poślubiłaś mnie, bo było to najlepsze wyjście z trudnej sytuacji. Ale teraz otwiera się przed tobą tyle wspaniałych możliwości! Od początku oboje byliśmy ze sobą szczerzy, chciałem więc i teraz postawić sprawę jasno.

Co za szlachetność! Julia odsunęła się od męża i schowała pod kołdrę. Rozsądek podpowiadał jej, że Randall ma rację: za rok może będzie szaleńczo poszukiwała jakiegoś wyjścia z matni.

Tylko czemu znów czuła, że zbiera się jej na mdłości?

### 32

Randall zatrzymał kariolkę i odczytał zniszczony napis na drogowskazie: „Do farmy Gaunt Hill”.

- Już wkrótce wszystkiego się dowiemy! - odezwała się Julia głosem pełnym napięcia.

Prawda! Ale czego się dowiedzą? Randall kątem oka obserwował żonę, skręcając lekkim powozikiem na drogę wiodącą do farmy. Szybko zrozumiał, że zbytnia szczerłość nie zawsze popłaca w małżeństwie. Dwa dni, które minęły od jego rozmowy z Julią, nie były radosne. Jego żona nie miała zwyczaju się dąsać, ale stała się ostatnio bardzo małomówna.

Kiedy położyli się do łóżka tamtej nocy, Julia odwróciła się do męża plecami. Przesłanie wydawało się niewątpliwe - a jednak, gdy dotknął jej ramienia, by tym gestem życzyć jej dobrej nocy, odwróciła się, padła mu w objęcia i kochali się rozpaczliwie, bez słowa. Następnej nocy powtórzyło się to samo. Ich uściskom nie brakowało namiętności, lecz Alex odczuwał brak serdecznych rozmów, które wytwarzały między nimi więź równie intymną, jak fizyczne zbliżenie.

Bardzo chciałby wiedzieć, o czym myśli Julia. Czy zastanawia się już nad wyborem kochanków, choć ich małżeństwo nie dobiegło

jeszcze końca? A może kochając się z nim, ćwiczy się w zmysłowych igraszkach, by olśnić przyszłych partnerów? Co prawda nie musiała niczego ćwiczyć, była w tym niezrównana! Albo po prostu ma mu za złe szczerość nie w porę?

Sama myśl, że Julia mogłaby go porzucić, była jak pchnięcie bagnetem w brzuch. Jednak od chwili, gdy zauważył, ile radości sprawia jej bal, Randall czuł, że byłaby bardziej szczęśliwa z kimś weselszym od niego, zwłaszcza gdyby ten wesolek dorównywał jej pozycją i fortuną. Zmuszał się więc do tego, by spojrzeć na sprawę rozsądnie i obiektywnie. Nie chciał okazywać zbytnej zaborczości. Julia dość się już nacierpiała w małżeństwie z Branfordem!

Naprawdę nie miał zamiaru sprawić jej przykrości... a jednak to zrobił. I nie mógł już odwołać swoich słów.

Tak jak postanowili, na spotkanie z Beniaminem Thomasem wyjechali z Londynu drugiego dnia po balu. Tym razem podróżowali z całą pompą. Potrzebne były aż dwa powozy do przewiezienia służby (Gordona i Elsy) oraz wszystkich bagaży. Ponieważ Upton znajdowało się o jakieś dwie godziny drogi dalej od stolicy niż Roscombe, pojechali najpierw do majątku Randalla i tam spędzili noc.

Następnego ranka Julia była tak zdenerwowana, że z trudem przełknęła na śniadanie cienką grzanekę popiła filiżanką herbaty. A potem wyruszyli do Upton kariolką Randalla.

Droga wiodąca do farmy Gault Hill była długa i wyboista. Randall powoził z rozwagą, dojechali więc szczęśliwie. Koło stodoły jakiś dzieciak w łachmanach karmił kury. Spojrzał podejrzliwie na elegancki powozik, który zatrzymał się na podwórzu.

Beniamin Thomas! Chłopiec o takiej twarzy nie mógł być nikim innym. Bękart Branforda uderzająco przypominał swojego ojca z czasów, gdy wicehrabia był jeszcze dzieckiem.

Randall wymienił spojrzenia z Julią. Jej szare oczy pociemniały. Ona także dostrzegła podobieństwo. Powtarzając sobie w duchu, że jest przecież dorosłym mężczyzną, a nie małym dzieckiem, które kryje się przed swym prześladowcą, starszym stryjecznym bratem, Randall wysiadł z kariolki.

- Dzień dobry!

Chłopiec cofnął się instynktownie.

- Pan Gault jest w domu. O, tam! Pokazał palcem.

- Nie szukam pana Gaulta. - Randall oddał lejce żonie. - Szukam. .. chyba właśnie ciebie. Nazywasz się Benjamin Thomas?

- Ja żem nic nie zrobił!

Chłopiec cofnął się jeszcze bardziej, pod samą ścianę stodoły. Był mały jak na swój wiek, wyglądał na zagłodzonego. Przez dziury w koszuli widać było sterczące żebra.

- Nikt nie mówi, że zrobiłeś coś złego - odezwała się łagodnym głosem Julia.

Przyglądała się dziecku bardzo uważnie.

- Zdaje się, że twój ojciec był moim stryjecznym bratem, jesteśmy więc krewniakami. - Randall nie podchodził bliżej do chłopca, który wyglądał tak, jakby miał lada chwila czmychnąć. - Czy możesz mi powiedzieć, tak dla wszelkiej pewności, jak się nazywał twój ojciec?

- Powiadają, że Branford. Ja żem go nigdy nie widział. - Oczy chłopca zwróciły się w stronę zgrabnej kariatydy. - Moja mama powiedziała, że był bogaty. Jak wy.

Drzwi domu otwarły się i wyszedł z nich krzepki mężczyzna z batem w ręku. Ruszył w ich stronę z wojowniczym wyrazem twarzy Śmierdział wódką, choć było dopiero południe.

- Coście za jedni i kto wam pozwolił gadać z moim chłopakiem?

- Nazywam się Randall. Pan Gault, jak sądzę? - Brwi majora uniosły się do góry. - ... A to pański syn?

- Nie, ale dostałem go pod opiekę. Chłopak był na utrzymaniu parafii, więcem go wziął i dbam o niego. - Gault spojrział spode łba na chłopca. - Choć to bękart i wałkoń!

- Nie tak znów bardzo pan o niego dba - zauważyła cierpkim tonem Julia. - Chłopiec chodzi w łachmanach. I taki chudy, że można wszystkie kości policzyć!

Gault spiorunował ją wzrokiem.

- Nie moja wina, że wszystko się na nim raz-dwa drze, jak to na chłopaku. A jedzenia mu nie brak! Je jak wieprzek, tylko do pracy się nie przykłada.

Beniamin prychnął wściekle jak rozwścieczony kot. Randall spojrzął na dziecko. Wpatrywało się w Gaulta z nieukrywaną nienawiścią.

- W takim razie ma pan dziś szczęśliwy dzień, panie Gault -stwierdził zimno Randall. - Nasza rodzina nie wiedziała dotąd o istnieniu Beniamina. Teraz, gdy już wiemy, oczywiście przejmujemy nad nim opiekę. Beniamin odwrócił raptownie głowę i wpatrywał się w Randalla rozszerzonymi oczyma. Mimo niewątpliwego podobieństwa do Bran-forda, w tej chwili przypominał majorowi kogoś całkiem innego... Jego samego, gdy był jeszcze przerażonym dzieckiem.

Gault zmarszczył brwi.

- Chcecie mi płacić za jego utrzymanie? Widać, że porządne z was ludzie! Zgodzę się opiekować nim dalej za jakieś... - Farmer zmierzył wzrokiem elegancki powozik. - Pięćdziesiąt funtów rocznie.

Chłopak to kawał łobuza, narobiłby wam tylko wstydu, ale ja wiem, jak sobie z nim poradzić! Szkoda go zabierać z farmy: jest już u mnie cztery lata. Dbam o niego jak o rodzone dziecko.

Kwota, jaką wymienił, była beczelnie wysoka. Gdyby Randall okazał się tak głupi, by przystać na te warunki, ani jeden pens nie zostałby wydany na potrzeby chłopca.

- To bardzo wspaniałomyślna propozycja, panie Gault - odparł Randall, z lekkim tylko odcieniem ironii - ale nie musi się pan dłużej fatygować. Dziecko należy do naszej rodziny, moja żona i ja od razu zabieramy Beniamina. Zapewniam pana, że będziemy o niego dbali, jak należy.

Gault wybuchnął gniewem.

- Dostałem chłopaka od parafii! Nie możesz mi go pan zabierać!

- Jestem pewien, że parafia z przyjemnością pozbędzie się odpowiedzialności za tego sierotę. -

Randall zwrócił się do chłopca. - Jak już mówiłem, Beniaminie, jesteśmy krewniakami. Masz oprócz nas jeszcze dziadka. Nie będziesz już sam na świecie.

Na twarzy chłopca malowała się burza uczuć.

- Nie muszę dłużej tu być?

- Nie musisz. Masz coś, co chciałbyś zabrać ze sobą?

- Do wszystkich diabłów! - ryknął Gault. Jego ręka zacisnęła się na biczu. - Nie możesz pan zabierać mego parobka! Kto teraz będzie obrządzał zwierzęta?! Do tego się przynajmniej nadaje!

- Niech pan wynajmie innego. - Randall przewidział z góry, że Gault nie zrezygnuje bez oporu ze swego bezpłatnego robotnika, toteż przybył na farmę przygotowany. Wyciągnął dwadzieścia funtów z kieszeni i pomachał nimi, by farmer mógł się im dobrze przyjrzeć. - Myślę, że to wystarczy na opłacenie pomocy w gospodarstwie na jakieś dwa lata. Gault nie odrywał wzroku od pieniędzy.

- No dobra, zabierajcie bękartą, i jazda stąd! Randall odwrócił się do chłopca.

- Czy nie chciałbyś się o mnie dowiedzieć czegoś więcej, Beniaminie, zanim wsiądziesz do mojego powozu? Przyrzekam, że nie zaznasz u nas głodu ani zimna. I nie będziesz bity.

- Pojechałbym z każdym, byle mnie zabrał od niego! - Chłopiec popatrzył na Randalla i Julię. - Naprawdę jesteście moje krewniaki?

- Naprawdę. - Gdy Randall przyjrzał się uważnie brudnej twarzączce, dostrzegł pewne różnice między tym dzieckiem a Branfordem. Beniamin miał mocną, kwadratową brodę i oczy piwne, nie błękitne. A jeśli żywił nienawiść do Gaulta, to nie bez powodu. - Pomóc ci w przeniesieniu rzeczy do powozu? Zdziwiony Beniamin zamrugał oczami, pokręcił głową i pomknął do stodoły. Z wnętrza dobiegło plaskanie bosych stóp po klepisku i skrzypienie szczebli drabiny. Gault rzucił opryskliwie:

- Gdzie te pieniądze?

- Dam, kiedy będziemy odjeżdżać.

Randall spojrział groźnie na farmera i Gault przycichł.

Nie minęło nawet pięć minut, gdy Beniamin wynurzył się ze stodoły z niewielkim tłumoczkim w rękę i z puszystym, czarno-białym kotem na ramieniu.



- To twój kot? - spytał Randall. Chłopiec zdecydowanie kiwnął głową.
- On zabije Kizieją tu zostawię.
- No pewnie! - warknął Gault. - Podłe kocisko!
- No to zabieramy kota - zgodził się Randall. - Jak się nazywa?
- Panna Kizia.

Idąc w stronę kariatydy, Ben nadal oglądał się podejrzliwie na Gaulta.

- To bardzo ładne imię. Widzę, że prawdziwa z niej dama. - Julia przełożyła lejce do lewej ręki. - Może mi ją podasz, kiedy będziesz wsiadał?

Ponieważ Beniamin nie mógłby sobie poradzić równocześnie z kotem, tłumoczkiem i wysokimi schodkami, niechętnie podał kotkę Julii.

- Ona nie ucieknie, jak długo będę przy niej.
- Jest bardzo grzeczna. - Julia pogłaskała kotkę, która okręciła się w kółko i usadowiła wygodnie na jej kolanach. Była duża i miała wyjątkowo kudłate łapki. - Co za jedwabiste futerko!
- Czeszę ją co wieczór. Sam zrobiłem dla niej grzebień - oświadczył z dumą Beniamin, chowając swój tłumoczek pod siedzeniem.

Wielka szkoda, że sam z niego nie skorzystał, ale niech tam! -pomyślał Randall i doszedł do wniosku, że chłopiec, który kochał kota i dobrze się opiekował zwierzętami na farmie, nie mógł być sadystycznym potworem jak jego ojciec. A zresztą, poznawszy lepiej Gaulta, major nie zostawiłby pod jego opieką nawet jeża, chorego na wściekliznę!

Zamiast jednak zająć miejsce w powozie, Beniamin zawrócił i podniósł z ziemi kamień wielkości jego pięści. Przebiegł z nim przez podwórze i uderzył farmera w szczękę.

Zaatakowany zniechęca Gault zawył. Chwycił kopiącego i okładającego go kułakami chłopca i rzucił nim o ziemię. Gdy Ben potoczył się po podwórzu, farmer zamachnął się nieodłącznym biczyskiem i chlasnął okrutnie dziecko po ramieniu.

Już się zamierzał do następnego uderzenia, gdy Randall wyrwał mu bicz z ręki. Wściekły Gault rzucił się teraz na niego, wymachując wielkimi pięściami.

Major zręcznie uskoczył, zastosował chwyt, którego nauczył się od Ashtona i powalił przeciwnika na plecy.

- Niech cię szlag! - wrzeszczał farmer. - Sameś widział, że ten podły gówniarz rzucił się na mnie!

Należy mu się porządne lanie na odjezdnym!

Zanim jednak Gault zdążył podnieść się na nogi, Randall nachylił się - choć z bliska odór gorzałki był nie do zniesienia - i dwoma palcami nacisnął mu kark, przerywając na chwilę dopływ krwi do mózgu.

Gault tylko sapnął i sflaczał.

- Dość pastwienia się nad chłopcem! - oświadczył kategorycznie Randall. - Teraz ja odpowiadam za niego, nie ty!

Kiedy major się wyprostował, Benjamin podbiegł i znów próbował uderzyć Gaulta kamieniem.

Randall chwycił chłopaka w pasie i uniósł wysoko w powietrze.

- Przestań! Rzuć ten kamień. Benjamin usiłował się wyrwać.

- Cięgiem mnie bił! Zapłacę mu za to!

- Nie.

Randall wyjął z małej, zaciśniętej pięści kamień i odrzucił go daleko. Popatrzył chłopcu prosto w oczy, starając się poskromić go siłą swego wzroku i woli.

Gdy piwne oczy dziecka straciły morderczy wyraz, major powiedział spokojnie:

- Musisz się nauczyć, kiedy warto wdawać się w bójkę. Ta sprawa została zakończona. Raz na zawsze. Zrozumiałeś?

Kiedy Ben skinął głową, Randall postawił go na ziemi. Nadal jednak trzymał rękę na ramieniu chłopca. Do Gaulta odezwał się sucho:

- To raczej ty, Gault, powinienes mi zapłacić za Beniamina! Ale ponieważ już się umówiliśmy...

Rzucił pieniądze na ziemię, obok leżącego farmera i wraz z Benem podeszli do kariatki, gdzie zaniepokojona Julia jedną ręką trzymała cugle, a drugą kota. Mąż uśmiechnął się do niej uspokajająco:

- Wszystkich chłopców od czasu do czasu ponosi temperament. Julia skinęła głową, nadal jednak wydawała się zaniepokojona.

Randall w głębi ducha też nie był spokojny. Gwałtowny wybuch Beniamina mógł być w tych okolicznościach całkiem zrozumiały... ale podobny atak wściekłości był niepokojącym objawem u syna Branforda. Dla Julii sama myśl o dziedzicznym obłądnie musiała być przerażająca.

Randall spojrział na chłopca, który odpowiedział mu wyzywającym spojrzeniem.

- Czasami walka jest konieczna, Beniaminie, a czasami nie. Porozmawiamy kiedyś dłużej na ten temat. Ale już teraz zapowiadam ci, że jeśli kiedykolwiek podniesiesz rękę na moją żonę albo spróbujesz wyrzucić jej jakąś krzywdę, obedrę cię żywcem ze skóry. Zrozumiano?

Beniamin zmarszczył brwi. Zdumiewał go ten dorosły, który do niego mówił, zamiast go bić.

-Jak ona mnie nie skrzywdzi, to i ja jej nie zrobię nic złego! Randall uznał, że to na razie wystarczy.

- W porządku. Zabieramy się stąd!

Podsadził chłopca do powozu i sam zajął w nim miejsce. Ben, który znalazł się pomiędzy dwojgiem dorosłych, odebrał swego kota od Julii i gładził go brudnymi rękami.

Farmer podniósł się wreszcie z ziemi.

- Wyoście się z mojej farmy, a bękart niech mi się więcej na oczy nie pokazuje!

Randall skinął głową.

- Zegnam pana, panie Gault.

Zręcznie wykręcił kariatką na niewielkim podwórzu i znów znaleźli się na wyboistej drodze.

Beniamin, ściśnięty między Randalle i Julią, rzucił zaczepnym tonem:

- Nie trza mu było dawać pieniędzy! Świnie karmił lepiej niż mnie.
  - Nie zasłużył na zapłatę - zgodził się Randall. - Ale dzięki pieniądzom załatwiliśmy tę sprawę łatwiej i szybciej. Tym bardziej że zaatakowałeś go i mógłby cię oskarżyć o napaść.
  - Ale i on mnie bił, od rana do nocy!
  - Tak, i to było niegodziwe - wtrąciła Julia. - Ale nie zawsze to, co słuszne, jest zgodne z prawem. Na przykład prawo zezwala mężczyznom bić własne żony i dzieci. - W jej głosie zabrzmiała gorzkość.
  - Czasami lepiej... po prostu odejść.
- Chłopiec wyraźnie zastanawiał się nad tym problemem. Wszystko zdawało się wskazywać na to, że w rozczochranej łepetynie kryje się bystry rozum. Chłopak wyrośnie na człowieka... o ile nie odziedziczył przerażających skłonności po swoim ojcu.
- Kiedy dojechali do Upton, Randall powiedział:
- Chyba powinniśmy zatrzymać się w gospodzie i zjeść coś, zanim ruszymy w drogę powrotną do domu. - Będziemy jeść w prawdziwej gospodzie? - spytał Benjamin, nie wierząc własnym uszom. - **1** będę mógł zjeść tyle, ile zechcę?
  - Co to, to nie! - oświadczyła Julia stanowczo. - Od dawna nie jadałeś do syta i pewnie byś się rozchorował, gdybyś zjadł tyle, ile zechcesz. Ale dostaniesz teraz sporą porcję, a potem smaczny obiad, gdy dojedziemy do domu. - Do domu? - Na twarzy chłopca odbiła się konsternacja. - Gdzie mnie właściwie zabieracie? - Do Roscombe. To moja posiadłość i dom, dwie godziny stąd.
- Znajdziemy tam dla ciebie coś z moich dawnych rzeczy, póki nie zabierzemy cię do krawca, żeby ci obstałować nowe ubranie. - Nowe ubranie? - Chłopiec objął mocniej niewzruszoną Ki-zię. - A potem co? Będę pracował u was w domu?
- Wiele będzie zależało od ciebie, Benjaminie - powiedziała z całą powagą Julia. - Bardzo byśmy chcieli posłać cię do szkoły. Czy umiesz czytać?
  - Pewnie, że tak! Moja mama mnie nauczyła. Rachowania też!

- Wspaniale! - ucieszyła się Julia. - Chciałbyś nauczyć się czegoś więcej?

Zwracała się do Bena z serdecznością, która mogłaby jej zjednać zaufanie najbardziej bojaźliwego dziecka. Benjamin się zawahał.

- Boja wiem? To zależy.

Zabrzmiało to obiecująco. Randall początkowo miał wątpliwości, czy powinni szukać nieślubnego syna Branforda. Teraz jednak, gdy poznali już trochę Beniamina, nie sposób było zostawić go na łasce losu. A jeśli chłopiec zechce się uczyć, lady Agnes zrobi dla niego wszystko, co w jej mocy.

Benjamin zerknął na Randalla.

- Chciałbym tak walczyć jak ty. Możesz mnie tego nauczyć? Randall zapewnił samego siebie, że wszystkich chłopców fascynują nieznanne sposoby walki, po czym odparł:

- Może kiedyś... Najpierw musisz opanować swój porywczy charakter i udowodnić, że nie będziesz się znęcał nad nikim tylko dlatego, że jesteś silniejszy.

Benjamin nachmurzył się, ale widać było, że zastanawia się nad kolejnym problemem. Randall mówił dalej: - Chcę teraz wstąpić do kościoła parafialnego i zawiadomić proboszcza, że od tej pory będzie się tobą opiekowała twoja rodzina.

- Moja rodzina... - powiedział Ben trochę niepewnie. - Opowiedzcie mi o moim ojcu!

Randall i Julia wymienili spojrzenia nad głową chłopca. Zastanawiali się już nad tą sprawą i doszli do wniosku, że najlepiej będzie powiedzieć mu prawdę... z pominięciem najbardziej drastycznych szczegółów.

- Musimy trochę zaczekać: dojeżdżamy właśnie do Upton! Wizyta Randalla w kościele parafialnym trwała bardzo krótko.

Proboszcz niezbyt zainteresował się tym, że rodzina Beniamina Thomasa postanowiła zabrać chłopca do siebie. Nie zażądał od Randalla żadnego dowodu tożsamości. Wystarczyło mu, że domniemany krewniak wygląda na majątnego.

Gdy skierowali się następnie do lokalnej gospody, Randall uświadomił sobie, że odnalezienie Bena było najłatwiejszą częścią zadania. Znacznie trudniej będzie podjąć decyzję: co z nim dalej zrobić?

### 33

**G**dy zjedli w gospodzie solidne drugie śniadanie, Randall przez chwilę zastanawiał się nad kupieniem klatki czy jakiegoś pudła do noszenia panny Kizi. Kotka wydawała się jednak zupełnie zadowolona, odbywając podróż na kolanach Beniamina. Miała ładną białą mordkę, czarny czubek głowy, czarną plamkę na brodzie i ogromne zielone oczy. Nie sprawiała na razie żadnych kłopotów. Randall domyślał się jednak, że bury kocur, który panoszył się w Roscombe Manor, nie będzie zachwycony pojawieniem się konkurencji.

W drodze powrotnej do Roscombe Julii udało się namówić Beniamina do rozmowy. W miarę jak z chłopca opadało napięcie - pod wpływem zadawanych mu przyjaznym tonem pytań - jego odpowiedzi stawały się coraz dłuższe.

Ze słów Bena wynikało, że Sally Thomas była kochającą matką i postarała się, by jej syn miał rzetelne wykształcenie. Sally pracowała jako szynkarka w zajeździe pocztowym, a Beniamin zaczął tam pomagać w kuchni i przy obsłudze gości, gdy tylko trochę podrosł. Kontakty z podróżnymi różnego stanu rozszerzyły wiedzę chłopca. Rozwinął się znacznie bardziej, niż gdyby spędził całe życie na zabitej deskami farmie.

Marzył o tym, by zostać woźnicą. Potem jednak zmarła matka, a jego oddano Gaultowi „pod opiekę”. Beniamin myślał oczywiście o ucieczce, ale był dość inteligentny, by zrozumieć, że nie ma dokąd uciec. Zwłaszcza z kotem.

Gdy dojechali do Roscombe i powóz zatrzymał się przed głównym wejściem do dworu, Ben szeroko otworzył oczy. Nie powiedział ani słowa, tylko mocniej przygarnął do siebie kotkę. Stajenny Willett

zaopiekował się kariolką, a Randall, Julia, Benjamin i Kizia weszli do środka.

- Możesz postawić pannę Kizię na podłodze - poradził chłopcu Randall. - Będzie tu bezpieczna, a z pewnością ma ochotę zwiedzić cały dom.

Benjamin posłuchał dobrej rady i kot wyruszył natychmiast, by zapoznać się z nowym otoczeniem. Wiedziona nieomylnym instynktem panna Kizia skierowała się prosto do kuchni - mimo że nakarmiono ją w gospodzie dwie godziny temu.

Randall mówił dalej:

- Lady Julia przygotowuje pokój dla ciebie. A ty przede wszystkim musisz się wykapać.

Na twarzy chłopca odbiła się konsternacja.

- Nie chcę żadnej kąpieli! Starczy miednica z wodą i kawałek mydła.

- Musisz się wykapać - oświadczyła stanowczo Julia. - Może w pralni? Znajdzie się tam duża balia, a poza tym blisko stamtąd do kuchni, gdzie można nagotować mnóstwo wody.

Benjamin zaczął się cofać do wyjścia. Miał taką minę, jakby pożałował, że opuścił farmę.

- Nie potrzebuję żadnej kąpieli!

- Potrzebujesz, i to jak! - Widząc, że chłopak lada chwila umknie, Randall chwycił go za ramię. Ben wzdrygnął się i próbował wyrwać.

Randall domyślał się, co chodzi chłopcu po głowie, i odezwał się przyjaznym tonem:

- Nie będę zmuszał cię biciem do posłuchu. Ale jestem od ciebie silniejszy i bez skrupułów wrzucę cię do balii.

Dzieciak przestał się wyrywać. Jego oddech stał się płytszy; widać było, że w każdej chwili oczekuje ciosu.

- Każ Gordonowi znaleźć coś z ubrania, co by pasowało na chłopca, i przynieść to do pralni - powiedział do żony, a odwracając się do Beniamina, dodał: - Nie broń się przed kąpielą, to dostaniesz nagrodę: herbatę i ciastka. W rozsądnej ilości.

Przekupstwo poskutkowało. Ben wszedł do balii z miną Joanny d'Arc wstępującej na stos, ale już nie protestował.

Usta Randalla zacisnęły się gniewnie, gdy chłopiec zrzucił z siebie ubranie i ukazało się jego chude ciało, poznaczone sińcami i bliznami. Major żałował, że nie wysmagał Gaulta jego biczyskiem.

Kąpiel okazała się procesem długim i żmudnym. Randall musiał zagrozić chłopcu, że sam go wyszoruje ryżową szczotką, jeśli Ben nie wymyje się porządnie. Aż trzy razy trzeba było zmieniać wodę w balii, ale w końcu uporano się z całym wrośniętym w dziecięce ciało brudem. Randall bez przerwy pilnował nieszczęśnika, żeby nie czmychnął, i wskazywał miejsca, wymagające bardziej energicznego szorowania. Wreszcie Beniamin wytarł się ręcznikiem i włożył na siebie ubranie, przyniesione przez Gordona. Okazało się trochę za luźne dla wychudzonego chłopca, ale leżało na nim całkiem nieźle. Osobisty służący majora ostrzygł splątaną grzywę Bena, ten zaś dygotał jak płochliwy żrebak, ale jakoś wytrzymał i tę męczarnię.

Randall był coraz bardziej przekonany, że chłopiec jest dość bystry by z pożytkiem uczestniczyć w zajęciach Westerfield Academy. A wyszorowany i przyzwoicie ubrany mógł się spokojnie pokazać ludziom.

- Pora na herbatę i ciastka! - oświadczył wreszcie Randall i poprowadził Beniamina schodami z sutereny na parter. - Spotkamy się z lady Julią w małym salonie.

- Z lady Julią? - Maszerujący obok majora Ben zmarszczył znów czoło.

- Moja żona jest córką księcia Castletona - wyjaśnił mu Alex. - A księżę to ktoś bardzo ważny.

Akurat wchodzili do salonu, gdy Beniamin powiedział:

- Moja mama kiedyś mi mówiła, że mój ojciec ożenił się z dziewczyną, co strasznie zadzierała nosa. Wołali ją lady Julia.

- Twoja mama miała na myśli mnie. - Julia podniosła wzrok znad tacy do herbaty. - Ale nie wydaje mi się, żebym specjalnie zadzierała



nosa. Byłam wtedy bardzo młoda i zawsze robiłam, co mi kazano. Ile masz lat, Ben, trzynaście?

- Prawie. - Wpatrywał się w nią, sadowiac się na kanapie. - Będę miał trzynaście za parę tygodni.

- A ja miałam szesnaście, kiedy poślubiłam twojego ojca. - Julia naląła herbaty do trzech filiżanek. - Niewiele byłam starsza niż ty teraz.

Julia nie kłamała, w szesnastym roku życia uznano ją za pannę na wydaniu, Ben zaś nadal był dzieckiem. Być może jego dojrzewanie - podobnie jak wzrost - zostało nieco spowolnione wskutek niedożywienia i złego traktowania. Niebawem Ben powinien wystrzelić w górę, niczym młode drzewko. Stanie się wówczas silny i może być niebezpieczny. Randall miał nadzieję, że zdążą go oswoić i utemperować, zanim dorośnie.

Beniamin trzymał filiżankę dość niezdarnie; wyraźnie obawiał się, że stłucze kruchą porcelaną.

- Moja mama powiedziała, że to ty zabiłaś ojca - wypalił znowu.

Sądząc jednak z wyrazu twarzy, chłopiec miał wątpliwości: zachowanie Julii wyraźnie przeczyło temu, że to ona zamordowała jego ojca. Randall szepnął do żony:

- Powinien się dowiedzieć prawdy. Wolisz, żebym ja mu o tym powiedział?

Pokręciła głową i podsunęła chłopcu talerz z ciastkami.

- Twój ojciec miał trudny charakter, Beniaminie. Trochę taki jak pan Gault.

Chłopiec zmarszczył brwi.

- Też pił?

- Czasami, ale nawet gdy nie pił, bywał niebezpieczny.

Julia podała teraz ciastka Randallowi. Zauważył, że ręka jej drży. Chcąc pomóc żonie, sam podjął opowieść:

- Twój ojciec potrafił być bardzo bystry i miły, ale lubił znęcać się nad słabszymi. Kiedy moi rodzice umarli, odesłano mnie do Turville Park, majątku mojego stryja. Zamieszkałem w pokoju dziecięcym

ra-

zem z Branfordem. Był starszy i większy ode mnie i zamienił mi życie w piekło - powiedział bez ogródek. - Skończyło się to dopiero wtedy, gdy poszedłem do szkoły.

Beniamin pospiesznie wepchnął do ust lukrowane ciastko, jakby w obawie, że mu je odbiorą.

- I dlatego lady Julia go zabiła? - spytał, przełknąwszy. Julia pobladła, ale nie wykręcała się od odpowiedzi.

- To się stało przez przypadek. Mąż zrobił coś, co bardzo mnie zabolalo. Chciałam uciec... odepchnęłam go. Był pijany i stracił równowagę. Upadł i uderzył głową o kant kominka.

- To był taki jak Gault?

Beniamin spojrział niepewnie i wziął następne ciastko.

- Niebezpieczny i nieobliczalny? Tak - odparła Julia. Chłopak pochłonał drugie ciastko równie szybko, jak pierwsze.

- No to sobie zasłużył na to, co go spotkało. Czasami moja mama dawała mi w skórę, kiedy jej nie słuchałem. Nie miałem o to do niej złości. Ale jak ktoś bije bez powodu, to co innego. - Ben popatrzył na Randalla. - Mogłeś zabić Gaulta bez trudu, aleś tego nie zrobił.

- Zabić to nic trudnego - odparł major. - Ale to nie jest coś, co można robić bez namysłu.

Spojrzenie Bena znowu spoczęło na Julii.

- Czemuście przyjechali po mnie? Odetchnęła głęboko.

- Nie mogłam odrobić tego, co się stało z Branfordem, pragnęłam więc zaopiekować się jego synem, żeby to jakoś naprawić. Chciałam mieć pewność, że masz się dobrze.

- Gdyby moja mama żyła, zabralibyście mnie od niej? - Ben zmrużył oczy.

- Nie. Dziecko powinno być razem z matką. Zadbilibyśmy o to, by tobie i jej żyło się wygodnie i żeby nie brakło wam niczego - odpowiedział Randall. - i płaciłbym za twoją szkołę.

Chłopak się skrzywił.

- Znowu ta szkoła! Na co mi ona?

- Wykształcenie to klucz do lepszego życia. Otwiera człowiekowi wiele drzwi. - Major uśmiechnął się. - A poza tym w szkole łatwo nawiązać przyjaźń. Większość moich najlepszych przyjaciół to koledzy ze szkoły.
- Ja też miałem przyjaciół w miasteczku, gdzie mieszkałem z mamą - odparł wyzywająco Ben. - Na farmie nie było nikogo w moim wieku.
- No to powinno ci się spodobać w szkole.
- Julia odsunęła talerz poza zasięg rąk Bena, nim zdążył wziąć piąte ciastko. Chłopiec spoglądał tęsknym wzrokiem na łakocie, ale nie próbował ich dosięgnąć.
- A do jakiej szkoły miałbym pójść?
- Chciałbym cię wysłać do Westerfield Academy - odparł Randall. - To moja dawna szkoła, wspaniałe miejsce dla chłopców, z którymi są kłopoty.
- Chciałbyś mnie posłać do swojej szkoły?! - zdumiał się Ben. - I jakie mieli z tobą kłopoty?
- Byłem złośliwym i uparciuchem. - Randall domyślił się, że jego mały krewniak nie może sobie wyobrazić kogoś dorosłego, zwłaszcza bogatego i pewnego siebie, jako nieznośnego dziecka. - Pamiętaj, jak spytałeś mnie, czy nauczę cię walczyć tak jak ja? Gdy Ben skinął głową.
- Możesz się tego nauczyć w Westerfield Academy - wyjaśnił Randall. - Pierwszym uczniem tej szkoły był książę Ashton, pół Anglik i pół Hindus. Znał specjalną hinduską metodę walki, zwaną Kalarippayattu. Nauczył tej sztuki kolegów z klasy, żeby móc z nimi ćwiczyć. Znajomość Kalarippayattu stała się jedną z tradycji szkoły: starsi uczniowie zapoznają z nią młodszych kolegów, gdy uznają, że tamci mogą już zostać wtajemniczeni.
- To by mi się chyba podobało - powiedział ostrożnie Beniamin. - Ale... czy będę musiał siedzieć w tej szkole przez cały czas?
- Gdzie tam! Każde wakacje będziesz spędzał tu, w Roscombe. Randall zdumiał się, z jaką naturalnością i swobodą składa podobne przyrzeczenie synowi Branforda.

Ben miał taką minę, jakby chciał w to wszystko uwierzyć, ale nie mógł. Nie szkodzi, na wszystko przyjdzie czas!

- W przyszłym tygodniu pojedziemy do Londynu, żeby się spotkać z lady Agnes Westerfield. Przeprowadzi z tobą rozmowę i przekona się, czy nadajesz się do jej szkoły.

- Do Londynu?! - jęknął cichutko Beniamin. - Naprawdę pojedę do Londynu?

Randall przytaknął ruchem głowy.

- Jeśli lady Agnes przyjmie cię do Akademii, spędzimy w Londynie cały tydzień. Zobaczysz lwy, pójdziemy do cyrku Astleya, sprawimy ci nowe ubranie. - Spojrzał na Julię, a ta dyskretnie skinęła głową. - Przedstawimy cię także twojemu dziadkowi, hrabiemu Da-ventry.

Beniamin zmarszczył czoło.

- Hrabiemu? Przecież hrabia to ktoś strasznie ważny!

- Owszem, prawie tak ważny jak książę - odparła Julia bez wielkiego zachwytu.

- Czy ktoś taki będzie chciał gadać z bękartem? - spytał Ben.

- Nie wiem - przyznał Randall. - Ale Daventry'emu bardzo zależy na rodzinie i przez całe lata zamartwiał się, że jego synowie nie żyją. Branford chyba nigdy nie wspomniał swojemu ojcu, że się urodziłeś. Daventry... też bywa trudny, ale jestem pewien, że zatroszczyłby się o ciebie, gdyby wiedział o twoim istnieniu.

- Czy nie lepiej napisać do hrabiego niż prowadzić tam Beniamina? - Julia przygryzła wargę. - Teraz, gdy lady Daventry lada chwila urodzi, hrabia może nie mieć głowy do niczego innego.

- Też się nad tym zastanawiałem, ale doszedłem do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli się spotkają - odparł Randall. - Kiedy tak staną oko w oko, Daventry od razu się przekona, że Beniamin naprawdę jest jego wnukiem. Julia przyznała mu rację, ale nadal była niespokojna, tak samo zresztą jak jej mąż. Gdyby hrabia dowiedział się, że ukrywali przed nim syna Branforda, wprawiłoby go to wjeszcze większą furję. Najlepiej zatem doprowadzić do spotkania. Jeśli zaś Daventry wyprze

się wnuka, nic nie szkodzi: Beniamin ma już przecież dom w Ro-scombe.

Dokonawszy oględzin całego dworu, panna Kizia wkroczyła do salonu, wywijając puszystym ogonem. Od razu podeszła do Beniamina i ułożyła się na jego stopach.

- Ona jest naprawdę bardzo dobrze wychowana - zauważyła Julia.

Beniamin, znów w wojowniczym nastroju, odburknął:

- Zawsze śpi ze mną!

- Jestem pewien, że oboje bardzo to sobie chwalicie - wtrącił Randall. - Gdy byłem w Portugalii, przyczepił się do mnie pewien pies i odwiedzał mnie każdej nocy. Niezły był kompan z tego Santa Cruz! Zwłaszcza w zimne noce: grzał mnie jak piecyk.

Julia się roześmiała.

- Nic mi o tym nie mówiłeś! Tylko czemu go nazwałeś „Święty Krzyż”, i co się z nim potem stało?

- Nazwałem go Santa Cruz, bo miałem z tym ladaco prawdziwy pański krzyż! - wyjaśnił Randall. - A kiedy zostałem ranny i odesłano mnie do Anglii, Santa Cruz przeniósł swoje uczucia na chorążego z naszego regimentu. Dochodzą do mnie czasem wieści o nich: podobno obaj miewają się doskonale.

Beniamin zachichotał. Po raz pierwszy od chwili, gdy go odnaleźli, zachowywał się jak dziecko.

Do pokoju wkroczył panujący dotąd niepodzielnie w Roscombe kocur. Był nieco mniejszy od panny Kizi, ale nadrabiał to arogancką postawą. Randall przedstawił go uroczyście:

- Oto Reggie Tom, królewski kocur; rezyduje przeważnie w kuchni. Mam nadzieję, że on i panna Kizia dojdą do porozumienia.

Reggie zauważył Kizię i z zadowoloną miną, zdobywczym krokiem ruszył ku niej. Jego nadzieje na zdominowanie pięknej kotki rozwiały się, gdy sprężona do skoku spojrzała na niego groźnie i nastroszyła się do tego stopnia, że wyglądała jak czarno-biała owca. Co prawda niewielka, ale zawsze!

Kiedy zaś wydała pomruk,

mrożący krew w żyłach, Reggie zatrzymał się w pół kroku. Potem przysiadł przed nią w identycznej jak Kizia pozie. Mierzyli się wzrokiem.

Randall nie miał pojęcia, co sobie ci dwoje powiedzieli (ani jak), ale duchowy pojedynek dobiegł końca w chwili, gdy Reggie dotknął nieufnie noskiem noska Kizi, po czym opuścił salon z wysoko podniesionym ogonem. Miał minę kogoś, kto został pokonany, ale za nic się do tego nie przyzna.

- Oto jak wygląda kocia dyplomacja! - orzekła Julia ze śmiechem. - Mam nadzieję, że to oznacza rozejm i że nie będą się biły po nocach.

Beniamin pospiesznie dopił herbatę i wstał.

- Mogę już iść? Zabiorę pannę Kizię do mego pokoju, żeby wiedziała, gdzie mnie znaleźć.

- Oczywiście - zgodziła się Julia.

Chłopiec wziął kota na ręce i wyszedł. Kiedy go już nie było, Julia spytała męża:

- Co sądzisz o naszym małym dzikusie?

- Chłopak jest w porządku - odparł po namyśle Randall. - To będzie twardy orzech do zgryzienia, ale nie ma w nim nic z Branforda! Kiedy poznałem mego stryjecznego brata, był młodszy od Beniamina, ale od razu było widać, że nie jest zdrowy. A Ben jest nieokrzesany, nieufny, i trudno mu się dziwić!, ale na pewno nie szalony! Ma dość rozsądku, by docenić poprawę swej sytuacji. Z pewnością zechce ten stan utrzymać. Jeśli dojdzie do tego wykształcenie i odrobina szczęścia, powinien wyrosnąć na porządnego chłopca.

- Inaczej mówiąc, przypomina raczej ciebie niż Branforda - podsumowała Julia.

Czyżby naprawdę miała o nim tak dobre mniemanie? Randall poczuł, że napięcie między nimi słabnie.

- Chyba tak... Jestem pewien, że lady Agnes zgodzi się przyjąć go do Akademii. Spędzimy kilka dni w Roscombe, a potem zabierzemy Beniamina do Londynu, na spotkanie z nią.

Julia się uśmiechnęła.

- A ona, zanim się obejrzymy, zmieni go w prawdziwego młodego dżentelmena!

- No, może nie całkiem dżentelmena - odparł z uśmiechem. -Ale prawie!

Jedna z pokojówek, mająca młodsze rodzeństwo, sama się zgłosiła do opieki nad Benem. Był już za duży na nianię, ale potrzebował kogoś, kto go nauczy, jak wygląda życie w prawdziwym domu. Julia nie zdziwiła się, usłyszawszy, że na farmie dziecko sypiało w stodole, na wiązce siana, z panną Kizią do towarzystwa.

To był dla Beniamina męczący dzień, toteż Julia zaraz po obiedzie odesłała chłopca do łóżka. Nawet nie protestował, co dowodziło niezbitcie, jak bardzo jest wyczerpany.

Po obiedzie Julia i Randall spędzili spokojny wieczór w bibliotece. Ona czytała, on napisał kilka listów. Nie robił żadnych niemądrych uwag na temat poszukiwania kochanków, co sprawiło jego żonie prawdziwą ulgę.

Kiedy zegar wybił dziesiątą, Julia wstała i ledwie zdołała ukryć ziewnięcie.

- Idę spać, ale najpierw zajrzę do Beniamina. Mam nadzieję, że nie czuje się obco w prawdziwym łóżku.

Randall uśmiechnął się szeroko.

- Póki ma przy sobie to kocisko, pewien jestem, że będzie mu się dobrze spało.

Przygotowano pokój dla Beniamina w przeciwległym skrzydle niż pokoje pana i pani domu. Nie chcąc budzić Bena, Julia bez pukania cichutko uchyliła drzwi. Pokojówka pozostawiła na noc zapaloną lampkę, żeby chłopiec się nie przestraszył, obudziwszy się nagle w nieznanym miejscu i w zupełnej ciemności.

Beniamin leżał na łóżku, zwinięty w kłębek. Przytulona do jego pleców panna Kizia uniosła łebek i spojrzała podejrzliwie na nieproszonego gościa. Julia już się miała wycofać, gdy nagle usłyszała zdławiony płacz. Zaniepokojona podbiegła do chłopca. Natychmiast nakrył się z głową, nie był jednak w stanie powstrzymać

łez. Julia przysiadła na brzegu łóżka i położyła chłopcu rękę na ramieniu.

- Co się stało, Ben? Za wiele zmian naraz?

Zmiany - nawet na lepsze - mogły być bardzo męczące. Dobrze o tym wiedziała z własnego doświadczenia.

Spod przykrycia wyjrzała zalana łzami dziecięca twarz.

- Myślałem... o mojej mamie - powiedział z wahaniem. - Co też by sobie pomyślała, gdyby mnie tu zobaczyła?

- Twoja mama byłaby szczęśliwa - odparła miękko Julia. - Chciała przecież dla ciebie jak najlepiej.

- Najlepiej mi było razem z nią!

- Wiem! - westchnęła Julia. - Straciłam matkę, gdy byłam w twoim wieku. - Pogłaskała chudziutkie ramię, okryte kocem. - Okropnie za nią tęskniłam. Ale miałam i innych bliskich: kochającą rodzinę. Teraz i ty ją masz. Płacz znów wstrząsnął ciałem Beniamina. Na farmie chłopiec nauczył się być twardy, bo inaczej by nie przetrwał... ale przecież nadal był dzieckiem. Julia pochyliła się i pocałowała go w czubek głowy. Wtedy rzucił się jej w objęcia.

- Moja mama zawsze mnie całowała na dobranoc - powiedział zdławionym głosem. - Ale potem umarła i zostawiła mnie samego. - Nie jesteś już sam, Ben! - Julia przytuliła go mocno. Choć nie łączyły ich więzy krwi, chłopiec stał się jej bliski. Nie dlatego, że mógłby zastąpić dziecko, które straciła, lecz ze względu na samego siebie. Był taki zagubiony, walczył o przetrwanie... - Przysięgam ci, że to prawda. Łkania chłopca cichły, kiedy głaskała go po głowie. Zapadał w sen. Julia otuliła go troskliwie pod chłodnym spojrzeniem zielonych oczu Kizi, która przez cały ten czas nawet się nie poruszyła. Kot najwyraźniej przystosował się do nowego życia z większą łatwością niż jego mały pan. Julia po cichu wymknęła się z pokoju. Słusznie postąpili dziś z Randallem, przywożąc Beniamina do swego domu! Nawet Randall był teraz o tym przekonany, mimo swych początkowych wątpliwości. Pełna nadziei, udała się na spoczynek.



Tygodniowy pobyt w Roscombe wystarczył, by Benjamin Thomas upodobił się rzeczywiście do młodego dżentelmena. Julia była rozbawiona, ale i wzruszona tym, jak nieustannie obserwował ją i Randalla, naśladowując ich gesty i sposób mówienia. Miał po temu mnóstwo okazji, gdyż zasiadali we troje do wszystkich posiłków. Chłopiec był niezwykle spostrzegawczy. Prostackie wyrażenka i wiejski akcent znikły w błyskawicznym tempie; pojawiały się tylko w chwilach największego podniecenia.

Umysł chłopca okazał się równie zgłodniały, jak jego ciało. Julia każdego popołudnia miała lekcje z Benem, pomagała mu doskonalić umiejętność czytania i znajomość czterech działań. Uczyła go także podstaw historii i geografii. W Roscombe była zasobna biblioteka. Tam właśnie można było zawsze zastać Beniamina, ilekroć miał wolną chwilę.

Każdego ranka Randall zabierał chłopca na konną przejażdżkę. Relacjonował potem żonie, że z Beniamina jest urodzony koniarz i wkrótce będzie pierwszorzędnym jeźdźcem.

Chłopak uznał Randalla za swego bohatera i wzór do naśladowania. Julia co wieczór otulała Bena kołdrą. Rozmawiali o tym, jak minął mu dzień, odpowiadała na kilka z niezliczonych pytań chłopca, a w końcu całowała go na dobranoc. Już po trzech dniach Benjamin porzucił swój dotychczasowy zamiar zostania woźnicą. Pragnął teraz -jak zwierzył się Julii - zaciągnąć się do wojska i zostać oficerem. Pomyślała, że mogłaby to być dla niego całkiem odpowiednią karierą. Miał jednak wiele czasu, by podjąć ostateczną decyzję.

Nie został jeszcze zapisany do szkoły, ale Julia już czuła, jak bardzo będzie za nim tęsknić.

W dniu poprzedzającym wyjazd do Londynu Randall obwieścił podczas śniadania:

- Ciężko pracowałeś, Beniaminie, i należy ci się dzień odpoczynku. Dziś jest jarmark w pobliskim miasteczku; z powodzeniem

moglibyśmy dojść tam na piechotę. Może wybierzemy się całą rodziną?

- No jasne! To znaczy... tak jest. Beniamin cały się rozpromienił.

Julia była równie uradowana perspektywą tej rodzinnej wyprawy. Może wspólna opieka nad Beniaminem mocniej zwiąże ją i Randalla? Gdyby tak było, pokochałaby chłopca jeszcze bardziej - o ile to możliwe!

- Przysięgłabym, że urósł co najmniej o cal w ciągu ostatniego tygodnia - stwierdziła Julia z macierzyńską dumą, przyglądając się Benowi, który zaśmiewał się z figłów Puncha i Judy, oglądając przedstawienie teatru kukielkowego.

Po chwili spytała z troską, mając na względzie wilczy apetyt Beniamina:

- Czy w Westerfield Academy jest dobre wyżywienie?

- Bardzo dobre! Lady Agnes zna tę wielką prawdę, że należycie karmieni mężczyźni (bez względu na wiek) sprawiają mniej kłopotu. - Randall zniżył nieco głos. - Otóż i przedstawiciele tutejszej śmietanki towarzyskiej! Aż się rwą do odnowienia znajomości z nami. Jesteś przedmiotem ogólnego zainteresowania, milady!

- Należysz do największych właścicieli ziemskich w tej okolicy, a w dodatku jesteś bohaterem wojennym. Nic dziwnego, że tutejsi mieszkańcy bardzo się cieszą, że chcesz osiąść na stałe w Roscombe.

Uśmiechnęła się do zmierzającego ku nim starszego małżeństwa.

Sir Geoffrey Bridges przedstawił Randallom siebie i swoją żonę, lady Bridges, słusznie mniemając, że po tylu latach major może mieć kłopoty z przypomnieniem sobie nazwisk dawnych sąsiadów.

Blairowie - rodzina matki Aleksa - mieszkali w hrabstwie Gloucester od wielu pokoleń, toteż majora zawsze uważano za pełnoprawnego członka tutejszej społeczności. Sir Geoffrey i jego żona okazali młodej parze wiele serdeczności.

Po kilku minutach pogawędki Bridgesowie ruszyli dalej, a Julia wsparła się znów na ramieniu męża. Dzień był wprost wymarzony na jarmark - słońce świeciło, w powietrzu unosił się już leciutki powiew nadchodzącej jesieni. Idealny dzień na to, by uczcić wszystkie zdobycze ostatniego tygodnia! Julia całkiem się uspokoiła, odkąd mąż zaprzestał raniących jej serce uwag na temat ich rozvodu. Być może noce, pełne żarliwych -choć milczących - pieszczot, wpłynęły na zmianę jego postawy? Pragnęła wierzyć w to, że ich miłość jest czymś wyjątkowym. A gdyby tak nie było, wołała o tym nie wiedzieć. W ciągu następnych kilku godzin poznała tyle osób, że aż jej się od tego kręciło w głowie. Poza tym zachowywali się z Randallem tak, jak wypadało na jarmarku, podziwiali rasowe bydło i sztuczki żonglerów i próbowali wszelkich smakołyków, jakimi kusili ich przekupnie. Julia zrezygnowała tylko z kielbasek na patyku, gdyż żołądek jej się zbuntował. Z przyjemnością natomiast skosztowała orzeźwiającej lemoniady, ciasta z jabłkami i przyrumienionego sera na świeżym chlebie. Benjamin meldował się swoim opiekunom mniej więcej co pół godziny, jakby w obawie, że mogliby gdzieś zniknąć. Upewniwszy się, że nie zostawili go samego, wracał do grupy miejscowych chłopaków, z którymi zdążył się zaprzyjaźnić.

Po jednej z takich przelotnych wizyt Bena Randall zauważył:

- Wygląda na to, że lata na farmie Gaulta nie pozostawiły trwałych śladów w jego psychice. A szybkość, z jaką dogadał się z innymi chłopakami, pozwala wierzyć, że dobrze mu się będzie wiodło w szkole... i w ogóle w życiu.

Julia skinęła głową potakująco.

- Mam wrażenie, że to zasługa jego matki. Była przy nim przez pierwszych dziewięć lat jego życia i pokierowała chłopcem jak należy. -Julia zasłoniła ręką usta. - Ależjestem zmęczona! To dlatego, że poznałam tylu ludzi naraz.

- Chciałabyś już wrócić do domu? - spytał Randall. - Obejrzelismy chyba wszystko, co było do zobaczenia, a niebawem zaczniesz się zmierzchać.

- Owszem, chętnie bym wróciła. - Osłoniła ręką oczy i rozejrzała się. - Gdzież się podziewa Benjamin?

- Chce, zdaje się, sprawdzić, jak celnie rzuca piłką. - Randall wziął żonę pod ramię i ruszyli we wskazanym przez niego kierunku. - Jest na tyle duży, że może zostać sam trochę dłużej, gdyby chciał. Dam mu jeszcze pół korony, niech poczęstuje swoich nowych przyjaciół ciastkami.

Cała uwaga Beniamina była skoncentrowana na celu, w który miał trafić piłką; nie zauważył więc nadejścia opiekunów. Na półce ustawiono wypchane kukły (właściwie tylko głowy) wroga wszech czasów, Napoleona. Były w trzech rozmiarach. Pierwszym rzutem Ben strącił z półki największą z nich. Nagrodzono ten wyczyn słabymi oklaskami.

Chłopiec podrzucił kilka razy na dłoni drugą piłkę, po czym walnął nią w głowę średnich rozmiarów. Spadła z półki.

- Dobra robota, chłopcze! - pochwalił go właściciel kramu. - Jak myślisz, uda ci się zrzucić najmniejszego? To już nie taka prosta sprawa!

Piłka trafiła trzeciego Napoleona między oczy. Tym razem aplauz był znacznie głośniejszy.

Właściciel straganu zapewne ubolewał w duchu, że musi wręczyć nagrodę zwycięzcy, potrafił to jednak dobrze ukryć.

- Sam sobie wybierz, co chcesz... o, z tamtej półki. Może żołnierza, co?

Benjamin spojrzał tęsknym wzrokiem na ołowiane żołnierzyki, ale pokręcił głową.

- Wstążkę. Tę ni to niebieską, ni zieloną.

- A, podarunek dla damy! - Właściciel stoiska z pęku długich, różnobarwnych wstążek wyciągnął turkusową i wręczył ją uroczyście Benjaminowi.

Uśmiechnięty radośnie chłopiec odwrócił się i zdumiał na widok stojących tuż za nim Julii i Randalla.

Major powiedział:

- My już wracamy, ale ty możesz zostać aż do zmierzchu, jeśli chcesz.

- Nie, nie! Wrócę razem z wami.

Ben szybko pożegnał się z nowymi kolegami i ruszył w drogę powrotną, krocząc u boku Randalla.

- Masz pewną rękę - pochwalił go major, gdy pozostawili za sobą uciechy jarmarku i udali się ścieżką przez las do Roscombe. - Grałeś kiedyś w krykieta?

- Czasem przyglądałem się grającym, jak byłem jeszcze mały. A czy w Westerfield Academy grają w krykieta? - Oczywiście! Uprawiają tam również inne sporty.

- To coś w sam raz dla mnie! - Benjamin zerknął na Julię. Był trochę onieśmielony. - Wygrałem dla ciebie wstążkę... pomyślałem, że ten kolor pasuje do twoich włosów.

Julii serce zmiękło, gdy wręczył jej kawałek taniutkiej wstążki.

- Jaka śliczna! - zawołała i natychmiast ozdobiła nią fryzurę. - Masz dobry gust. Pewna księżniczka, która doskonale się zna na modzie, wybrała ten sam kolor na suknię, którą włożyłam na swój pierwszy londyński bal! Benjamin omal nie pękł z dumy. Gdy pobiegł potem ścieżką, dość daleko przed nimi, Julia zauważyła cicho do męża:

- Naprawdę złoty z niego chłopak. I jak się zadomowił w Roscombe!

- Kto by pomyślał, że Branford będzie miał tak udanego syna? - zgodził się Randall. - Mam nadzieję, że Daventry potrafi docenić Beniamina. I że nie zechce go nam odebrać.

- A mógłby to zrobić? - zaniepokoiła się Julia.

- Nie wiem. Nigdy nie był jego oficjalnym opiekunem. A ja też należę do rodziny chłopca. - Głos Randalla stał się nagle cierpki: - Daventry zresztą będzie tak przejęty swoim nowo narodzonym synem i spadkobiercą, że wnuk z nieprawego łoża niewiele go obejdzie!

- Miejmy nadzieję!

Julia zastanawiała się nieraz, czy nie byłoby lepiej nie powiadamiać wcale hrabiego o istnieniu Bena. Ale tak czy owak kiedyś z pewno-

ścią się o nim dowie. Podobnie jak Randall żywiła nadzieję, iż hrabia, przejęty narodzinami syna, uzna wprawdzie wnuka, ale nie będzie walczył o uzyskanie wyłącznych praw do opieki nad nim.

Spostrzegła, że mąż ma się na baczności i mierzy wzrokiem las, który otaczał ich z obu stron.

- Czy coś się stało? - spytała.

- Pewnie do końca życia będę spoglądał na każde miejsce, zadając sobie w duchu pytanie: „Mogli tu urządzić zasadzkę, czy nie?” Ot, wojskowe przyzwyczajenie!

Julia popatrzyła w górę. Promienie popołudniowego słońca przedzierały się przez gałęzie. Ptaki śpiewały w najlepsze, wiewiórka najwyraźniej besztła kogoś z wyżyn swojej gałęzi.

Była to scena pełna niezwykłego spokoju... ale słowa Randalla przypomniały Julii o niedawnym wypadku z rozpędzonym powozem. Może i tu, wśród zarośli, czaiło się niebezpieczeństwo? Popołudnie wydało się jej nie tak już spokojne jak przed chwilą.

Powiedziała sobie: „Nie bądź głupia!”, ale mimo woli zerknęła podejrzliwie na pozbawioną okien starą szopę, stojącą nieco dalej przy drodze.

Było to chyba rodzaj spichlerza. Kiedy jednak Benjamin przebiegł koło niego, Julia uświadomiła sobie, że mogło to być również schronienie zaczajonych napastników.

- Zbyt żywa wyobraźnia to prawdziwe utrapienie - zauważyła cierpko, gdy znaleźli się w pobliżu szopy. - Wystarczyło, że wspomniałeś o swoich podejrzeniach, już wietrzę niebezpieczeństwo...

I w tym momencie szopą szarpnął wybuch.

## 35

Ogłuszona straszliwym hukiem Julia poczuła, że podmuch unosi ją w powietrze; Randall na szczęście chwycił ją i zanurkował pod prąd, starając się oddalić jak najbardziej od centrum eksplozji.

Posypał się

na nich deszcz odłamków i wszelkiego śmiecia, ale nawet gdy upadli, Julia czuła się bezpieczna pod osłoną mężowskiego ciała. Do chwili, gdy spostrzegła z przerażeniem, że na twarz spływa jej krew. Jego krew! Jęknęła przerażona.

Po strasznym huku zapadła nagle cisza. Beniamin wydał jakiś nieartykułowany okrzyk. Julia słyszała tupot nóg chłopca, który wracał do nich. Ona tymczasem usiłowała wysunąć się spod męża, nie-dającego znaku życia.

Gdy jej się to udało, Randall opadł bezwładnie. Leżał teraz na wznak, oczy miał zamknięte, a z długiej, poszarpanej rany z boku głowy tryskała krew. Czemu krew na jasnych włosach wygląda jeszcze bardziej przerażająco niż na ciemnych? - myślała półprzytomnie Julia. Jedno było dobre: Randall nie krwawiłby tak, gdyby był martwy!

Powtarzając sobie, że każda rana głowy krwawi obficie, Julia wyjęła z podręcznego woreczka złożoną chusteczkę. Trzęsącymi się rękami oderwała wstążkę od swego czepek i użyła jej jako bandaża, by przymocować tampon z chusteczki. Kiedy Beniamin przyklęknął obok niej, uciskała ranę, starając się zatamować krew.

- Co się stało? - wykrztusił Ben z przerażeniem. - Czy... major nie żyje?

Randall otworzył oczy.

- To nic wielkiego... Nie umieram!

- Nie bądź taki pewny! - Joseph Crockett wynurzył się zza drzew z dubeltówką w ręku. - Szybki jesteś, Randall! Gdybyś nie chwycił tej suki, swojej żony, i nie odskoczył z nią daleko, już by mysołowy miały z was żarcie. Ale tak czy inaczej, spojrzysz teraz śmierci w twarz!

Kiedy to mówił, drugi uzbrojony człowiek wyszedł z lasu i z kamienną twarzą stanął u boku Crocketta. Julia rozpoznała osiłka, który wydał się jej najgroźniejszym z porywaczy.

Spoglądając teraz w oczy Crocketta, szalone i pełne nienawiści, myślała: Jak mogłam się łudzić, że zadowolili go cokolwiek prócz mo-

jej śmierci? Roztrzęsiona i półprzytomna, z trudem podniosła się na nogi, wiedząc, że ma tylko tę jedną - i to niewielką - szansę uratowania Randalla i Beniamina. Musi spróbować!

- Zastrzel mnie i niech się to już skończy, Crockett. Ale zostaw w spokoju mojego męża i tego chłopca. Nie zrobili ci nic złego!

- Mylisz się! - Oczy Crocketta były twarde jak agaty. - Ten twój amant zabił jednego z moich ludzi i pomieszał nam szyki, jak tylko mógł. Dawno byś gryzła ziemię, gdyby nie on. - Wskazał dubeltówką na Randalla. - Gdybym go zostawił przy życiu, nie dałby mi spokoju!

- Możesz być tego pewny! - odparł Randall chrapliwym szeptem. Leżał na plecach, zbryzgany krwią, i wyglądał na trupa, choć spojrzenie, którym mierzył Crocketta, było przytomne i zimne. - Ale nie chcesz chyba zabić chłopca?

- To twój bękart? - Wzrok Crocketta prześlizgnął się po Benie, który odwzajemnił mu się złowrogim łypnięciem. - Z przyjemnością zniszczę całe twoje plemię... choć, kto wie, może siałeś bękartami co krok? Spojrzał znowu na Julię.

- Ciebie zabiję na końcu, moja damulko, i nic na to nie poradzisz! Aż miło pomyśleć, jak się będziesz darła, patrząc na ich śmierć!

- Beniamin nie jest moim bękartem, Crockett - wyjaśnił Randall z krzywym uśmiechem. - To syn Branforda. Chcesz zabić jego jedyne dziecko?

Crockett cofnął się, skonsternowany.

- Branford miał syna? Nigdy mi o tym nie wspomniał! - Wpił się w twarz Beniamina zachłannym wzrokiem. - Mój Boże! - jęknął. - To prawda! Czy jego matka to ta flądra z zajazdu? Podejdz no, chłopcze! Nie zrobię ci nic złego. Wychowam cię jak własne dziecko.

- Nie chcę! - syknął z nienawiścią Ben. Oczy mu lśniły od łez.

- Rób, co on ci każe, Beniaminie. - Randall uniósł się do pozycji siedzącej. Biorąc chłopca za rękę, powiedział cicho: - Jeśli chce się



być żołnierzem, trzeba umieć się wycofać w porę. Crockett i jego pomocnik są uzbrojeni, a my nie, Julia i ja nie mamy żadnych szans. Ale umrzemy szczęśliwi, wiedząc, że ty jesteś bezpieczny. Rozumiesz, co mówię? Idź do Crocketta! Będzie dla ciebie lepszy niż Gault.

Beniamin powstrzymał jakoś łzy i przytaknął, że rozumie. Ze spuszczoną głową i rękami w kieszeniach stanął niechętnie u boku Crocketta.

Randall popatrzył na swego wroga.

- Służyłeś w wojsku, prawda?

- Zgadłeś, do diaska! Byłem sierżantem i nigdy nie mogłem znieść oficerów takich jak ty!

Uniósł broń do strzału.

- Zwracam się do ciebie jak żołnierz do żołnierza... - Głos Randalla drżał. - Pozwolisz mi umrzeć na stojąco, czy zastrzelisz mnie jak psa?

Crockett zawahał się, po czym skinął głową.

- Jeśli zdołasz wstać, zaczekam. Ale się pospiesz! Zaraz się tu zlecą ci, co usłyszeli wybuch.

Randall wyciągnął rękę do Julii, ona zaś pomogła mu wstać. Uścisk jego ręki był zdumiewająco mocny, a w przemowie do Beniamina wyczuła coś sztucznego... Czy zresztą tak łatwo dałby za wygraną?

Usiłowała odgadnąć, na czym polega owa sztuczność - i wtedy piekło rozpętało się na nowo. W chwili gdy Crockett wycelował w majora, Ben jedną ręką chwycił za kolbę jego dubeltówki i pociągnął ją raptownie w dół. Równocześnie drugą ręką przejechał po gardle Crocketta.

Krew trysnęła fontanną, oblewając wszystko, w tym również Beniamina. Crockett wydał straszny, zdławiony jęk. Na jego twarzy odmalowało się zdumienie. Potem upadł na wznak.

W tej samej chwili, gdy Ben zaatakował Crocketta, Randall popchnął Julię na ziemię, a sam rzucił się na jego pomocnika. Dubeltówka wypaliła, gdy osiłek runął do tyłu, a Randall na niego. Razem zwalili się na ziemię.

Liście posypały się na ścieżkę, gdy obie kule trafiły w drzewo. Ostra woń czarnego prochu rozeszła się w powietrzu. W chwilę później Julia usłyszała okropne chrupnięcie i ujrzała, jak szyja osiłka wykrzywia się pod nieprawdopodobnym kątem.

Przerażona tą makabryczną sceną dostała mdłości. Szybko jednak opanowała je i dźwignęła się na nogi.

- Nic ci się nie stało, Ben?

Roztrzęsiony, poblady chłopiec wpatrywał się w człowieka, którego właśnie zabił, i w nóż ociekający krwią. Ze zdławionym okrzykiem cisnął go jak najdalej i rzucił się w objęcia Julii. Przytuliła go mocno i zawołała niespokojnie do męża:

- Alex, czy on cię nie zranił?

- Chybił o włos. - Randall wstał z trudem, opierając się o pień drzewa. - Crockett miał rację: ludzie zaraz tu będą. Sprawileś się znakomicie, Ben, ale niech sobie lepiej myślą, że to ja obu zabiłem.

Ben podniósł głowę, przytuloną do ramienia Julii.

- Dlaczego?

- Przedstawiciele prawa nie zdziwią się, gdy żołnierz, taki jak ja, kogoś zabije. Ale mogłoby ich zdziwić, że zabił mały chłopak... choćby w słusznej sprawie. - Randall zrobił kilka chwiejnych kroków i niemal padł w objęcia Julii i Beniamina. - Lepiej, żeby cię o nic nie podejrzewali.

Zwłaszcza że chłopiec był sierotą, a w dodatku bękartem! Julia poczuła, jak krew ścina się jej w żyłach na myśl, co mogłoby spotkać Beniamina, gdyby władze postanowiły przykładowo go ukarać.

Walcząc znów z mdłościami, spytała męża:

- Dałeś Benowi swój ukryty w bucie nóż, gdy wzięłeś go za rękę? Randall skinął głową.

- Bystry chłopak, od razu zrozumiał, że musimy działać wspólnie. Będzie kiedyś z ciebie wspaniały oficer, Ben! Chłopiec zamknął oczy i przylgnął jeszcze mocniej do obojga. Randall szepnął do ucha żony: - On jest podobny do mnie, Julio, nie do Branforda. Zabił, bo musiał!

Julia wiedziała, że jej mąż ma rację. Gdzieś w jej głowie tała się myśl: jak znakomicie współdziałali ze sobą Randall i Benjamin, by zapobiec tragedii! Prawie jak ojciec i syn.

W tej chwili jednak najchętniej schroniłaby się w klasztorze, wśród łagodnych, pełnych miłości kobiet, z których żadna nie zabiłaby nawet muchy.

Julia jakoś się trzymała, póki wszystko, co najważniejsze, nie zostało załatwione. Przybiegli ludzie, zanim jeszcze całkiem nie rozwiął się zapach spalonego prochu. Na widok trojga mieszkańców Roscombe Manor potłuczonych i okrwawionych, sir Geofirey - miejscowy sędzia pokoju - przyjął bez zastrzeżeń wersję wydarzeń, podaną przez majora.

Julia była doprawdy pełna podziwu, słysząc, jak gładko mąż tłumaczy to, co się stało i jak daje do zrozumienia, że to on zabił obu napastników, nie posuwając się ani razu do wyraźnego kłamstwa. Byłby wspaniałym prawnikiem! Ona i Benjamin przeważnie milczeli. Julia z ulgą odegrała rolę słabej, przerażonej kobietki, a Ben przywykł do trzymania gęby na kłódkę.

Noc już niemal zapadła, gdy oficjalne zeznania zostały spisane. Po powrocie do Roscombe Julia poleciła Gordonowi, by dopilnował kąpieli Beniamina. Zanim chłopiec się z tym uporał, przybył miejscowy chirurg, by opatrzyć Randallowi ranę na głowie.

Benjamin nie protestował, gdy Julia poleciła mu położyć się czym prędzej do łóżka. Kiedy przyszła, by otulić go kołdrą, leżał już, tuląc do siebie pannę Kizię i wydawał się tak zmęczony, że mógł spać bez przerwy aż do południa. Julia pogładziła jego ciemne włosy.

- Ależ mieliśmy dzień! Chyba odłożymy podróż do Londynu na pojutrze. Musimy wszyscy wypocząć.

- Nie pozbędziecie się mnie? - spytał cichutko Ben. - Zauważyłem, jak na mnie patrzyłaś, kiedy go zabiłem...

Ten chłopak był stanowczo zbyt spostrzegawczy! Ale pewnie musiał być taki, żeby przetrwać.

- Byłam przerażona - przyznała. - Widzisz, mój zawód polega na tym, żeby nie dopuścić do śmierci. Ale po stokroć wolę, by Crockett i jego pomocnik zginęli, niż żeby zabili ciebie, mnie i majora! Byłeś bardzo bystry i dzielny. Nie sądzę, żeby mój mąż, choć jest tak doświadczonym żołnierzem, zdołał sam tego dokonać, bez twojej pomocy.

Beniamin wyciągnął rękę i dotknął wstążki, którą ofiarował Julii. Nadal tkwiła w jej włosach.

- Ten Crockett zasłużył sobie na śmierć! Cieszę się, że go zabiłem, zanim zrobił coś złego tobie czy majorowi!

Podobne oświadczenie z ust małego chłopca mogło zmrozić krew w żyłach, ale było w tej sytuacji zupełnie zrozumiałe. A równocześnie niepokojące. Julia miała nadzieję, że Randall nie omylił się i Beniamin rzeczywiście nie przypomina swojego ojca.

Ucałowawszy chłopca na dobranoc, poszła porozmawiać z chirurgiem, który skończył już badać obrażenie Randalla i teraz z wprawą bandażował mu głowę. Stwierdził, że rana nie zagraża życiu pacjenta i dał Julii szczegółowe instrukcje, jak ją opatrywać. Nie próbowała nawet wyjaśniać, że ma zapewne nie mniejsze niż on doświadczenie pod tym względem.

Odprowadziła lekarza do drzwi i wróciła do sypialni. Postanowiła nie przeszkadzać Randallowi, gdyby już spał, ale oczy miał otwarte, kiedy weszła do pokoju, żeby przygasić lampę. Zagadnęła go więc:

- Widzę, że naprawdę powinieneś mieć osobistego chirurga! Jak się czujesz?

- Boli mnie głowa i mam mnóstwo sińców, gdyż zaraz po wybuchu oberwałem czymś twardym... ale ogólnie rzecz biorąc, miewam się całkiem dobrze - odparł sennym głosem. - A co z tobą? Dwukrotnie zwałem cię z nóg, z pewnością też masz siniaki.

- Może kilka. Ale to drobnostka w porównaniu z tym, co mogło się stać. - Przysiadła na brzegu łóżka.

- Powinnaś się domyślić, że Crockett nie da za wygraną, póki mnie nie zabije! Naraziłam przez to życie twoje i Beniamina.

- Nic się nam nie stało. Przestań się obwiniać! Nawet gdybyśmy mieli pewność, że to Crockett zaaranżował wypadek w Londynie, jak moglibyśmy go powstrzymać na przyszłość? - odparł rozsądnie Randall. - Bez trudu dowiedział się, gdzie mieszkam. A potem musiał już tylko zaczekać na odpowiedni moment, kiedy będziemy całkiem bezbronni. Pewnie zauważył, jak szliśmy na jarmark i przygotował wszystko, żeby nas zabić, gdy będziemy wracali. To głupie, że wysadził szopę, ale może chciał, by naszą śmierć uznano za nieszczęśliwy wypadek?

Uniosła brwi ze zdziwienia.

- Czyż taki wybuch mógł być dziełem przypadku?

- Czasami dochodzi do eksplozji, jeśli zboże jest składowane w szczelnie zamkniętym pomieszczeniu, choć, co prawda, zdarza się to bardzo rzadko. Na szczęście instynkt mnie ostrzegł, że coś się dzieje, miałem się więc na baczności i zdołaliśmy odsunąć się wystarczająco od centrum wybuchu. A jak się czuje Beniamin?

- Jest wstrząśnięty, ale zniósł to znacznie lepiej, niż ja bym potrafiła.

- Ten chłopak naprawdę ma zadatki na pierwszorzędnego oficera. Wojsko to odpowiednie miejsce dla czupurnego młodzieńca. Na mnie wpłynęło doskonale. - Randall ujął żonę za rękę i przyciągnął ją do siebie. Głos mu złagodniał. - Uspokój się, milady! Jesteś już bezpieczna.

Śmiertelnie zmęczona Julia oparła głowę na jego ramieniu i zamknęła oczy. Czy teraz, gdy w końcu mogła żyć spokojnie, Alex uzna, że żona nie potrzebuje już jego opieki i będzie chciał ją opuścić pod koniec roku?

Tej nocy była zbyt zmęczona, by się nad tym zastanawiać!

Jak zwykle lady Agnes Westerfield okazała się ostoją, pełną niezmaconego spokoju. Randall i Julia zabrali Beniamina na spotkanie z nią do Rockton House, londyńskiej rezydencji jej brata, księcia Rockton. Beniamin, ubrany z największą starannością, mimo zapewnień Randalla, był niespokojny, czy lady Agnes przyjmie go do swojej szkoły. Tak bardzo pragnął być taki sam, jak inni chłopcy! Lady Agnes oczekiwała ich, majordomus wprowadził gości do urządzonego z przepychem małego salonu. Przełożona odłożyła gazetę i wstała. W eleganckiej, niebieskiej sukni porannej była majestatyczna jak każdy z członków rodziny królewskiej, spoglądała jednak przyjaźnie.

- Dzień dobry, lady Julio. Witaj, Randallu! - Jej spojrzenie padło na Bena. - A to, jak przypuszczam, jest Beniamin Thomas, krewny majora Randalla?

Chłopiec skinął głową.

- Tak, lady Agnes.

Jego prowincjonalny akcent był w tej chwili bardzo wyraźny Randall spytał:

- Może lepiej wyjdziemy, by mogła pani porozmawiać z Beniaminem bez świadków?

- To nie będzie potrzebne. Siadajcie, proszę! - Usiadła z powrotem w fotelu. - Wracam jutro rano do Kent. Doskonale, że udało się wam przybyć jeszcze dzisiaj. Dlaczego chciałbyś uczyć do Westerfield Academy Beniaminie?

Wydawał się zaskoczony jej bezpośredniością.

- No bo... major Randall też się tam uczył. I uważa, że to odpowiednia szkoła dla mnie.

Lady Agnes skinęła głową.

- Randall z pewnością powiedział ci, że Westerfield Academy jest niezwykłą szkołą, gdyż każdy z moich uczniów różni się w jakiś sposób od innych chłopców. A ty Beniaminie, czym się wyróżniasz?

Chłopiec miał znów niepewną minę.

- M... moja matka była szynkarką, a ja jestem bękartem - wykrztusił. - Urodziłem się i wychowywałem w zajeździe pocztowym, dopóki mama nie umarła. Potem oddano mnie farmerowi, u którego harowałem jak niewolnik...

- Nie byłbyś pierwszym nieślubnym dzieckiem, które uczyło się w Westerfield Academy. Nie brak tam również uczniów, których wychowywano, podobnie jak ciebie, w sposób niekonwencjonalny - wyjaśniła przełożona z lekkim uśmiechem. - Major Randall w swoim wczorajszym liście wspomniał, że nauczono cię czytania, pisania i rachowania, i że bardzo lubisz czytać.

- No tak... ale nie znam łaciny ani greki - wyznał Ben. - A dżentelmen musi znać te języki!

- Można być dżentelmenem, nie znając języków starożytnych, ale rzeczywiście warto je poznać. Z pomocą korepetytora mógłbyś jednak z pewnością dogonić kolegów pod tym względem. - Lady Agnes w zamyśleniu przyglądała się chłopcu. - Zawsze zadaję kandydatom do mojej Akademii dwa pytania: co sprawiłoby im największą radość podczas pobytu w szkole i co byłoby dla nich nie do zniesienia? - Mam kotkę... - powiedział z wahaniem Benjamin. - Czy mógłbym zabrać ją ze sobą do szkoły? Nie sprawiłaby kłopotu!

- Inni uczniowie także przywożą swych ulubieńców. Obecnie mamy w Westerfield Academy pięć psów, trzy koty, papugę i dwie fretki, jeśli dobrze pamiętam - odparła lady Agnes. - Znajdzie się miejsce dla jeszcze jednego kota, o ile nie jest wyjątkowo psotny, a ty sam będziesz się nim opiekował. A czego nie mógłbyś znieść?

Beniamin zacisnął usta.

- Bicia bez powodu!

- Zapewniam cię, że coś takiego u nas ci nie grozi. - Lady Agnes energicznie skinęła głową. -

Uważam, że nadajesz się jak najbardziej do Westerfield Academy, Beniaminie. Zajęcia zaczynają się za tydzień od najbliższego poniedziałku. Większość chłopców zjawi się zapewne

już w piątek, by rozgościć się w szkole, nim wezmą się na dobre do pracy. Randall podpowie ci, co powinieneś ze sobą zabrać... - Przełożona wzięła ze stolika prospekt szkoły i podała go Benjaminowi.

-A tu znajdziesz najważniejsze informacje na temat Westerfield Academy.

Beniamin wpatrywał się w prospekt, lecz nie wziął go do ręki.

- Jest jeszcze coś, lady Agnes - wypalił. - Trzy dni temu zabiłem człowieka.

Na chwilę w salonie zaległa śmiertelna cisza. Randallowi i Julii zabrakło tchu, ale przełożona spytała spokojnie:

- Dlaczego to zrobiłeś?

- Bo on chciał zabić majora Randalla i lady Julię.

- W takim razie postąpiłeś słusznie.

Lady Agnes spojrzała na Randalla, najwyraźniej prosząc go o wyjaśnienie.

- Przyjaciel pierwszego męża Julii kilkakrotnie próbował ją zabić - odparł zwięźle Randall. - Trzy dni temu wraz ze swym pomocnikiem zaczął się przy drodze, gdy wracaliśmy z jarmarku w miasteczku, ale Beniamin i ja udaremniliśmy ich plany. Według oficjalnej wersji wydarzeń to ja zabiłem obu napastników. Nie groziły mi za ten czyn żadne przykre konsekwencje, zwłaszcza że jestem żołnierzem. Ale to Beniamin wykazał wielką odwagę i bystrość. Jestem z niego dumny!

- Nie chcieliśmy, żeby do chłopca przylgnęła etykiетка zabójcy -uzupełniła wyjaśnienia męża Julia. - Czemu powiedziałaś o tym lady Agnes, Beniaminie?

Chłopiec przygryzł usta.

- Pomyślałem, że powinna o tym wiedzieć, zanim przyjmie mnie do swojej szkoły.

- To niezwykle uczciwe podejście do sprawy, Beniaminie -stwierdziła z powagą lady Agnes. - Radzę ci, żebyś nikomu więcej tego nie wyjawiał... ze względów, o których państwo Randall wspomnieli przed chwilą. Doceniam jednak twoją szczerłość w stosunku



do mnie. - Raz jeszcze podała chłopcu prospekt zawierający najistotniejsze wiadomości o szkole. -i pamiętaj, że w Westerfield Academy nie wolno nikogo zabijać! Masz jeszcze jakieś pytania?

- Nie, proszę pani.

Beniamin wziął w końcu broszurę. Widać było z jego miny, że ogromnie mu ulżyło.

- W takim razie do zobaczenia w hrabstwie Kent. - Lady Agnes z godnością i wdziękiem podniosła się z miejsca. - Mam jeszcze wiele do zrobienia przed wyjazdem z Londynu.

- Bardzo dziękujemy, lady Agnes, że znalazła pani czas na rozmowę z Beniaminem - powiedziała Julia. Kiedy opuścili Rockton House, spytała męża: - Czy jest w Anglii druga przełożona szkoły, która przyjęłaby to z równym spokojem?!

Randall uśmiechnął się szeroko.

- Bardzo wątpię. I właśnie dlatego Akademia lady Agnes jest jedyna w swoim rodzaju. To wymarzona szkoła dla Beniamina!

Gdy zajęli znów miejsca w powozie Ashtonów, Julia oświadczyła:

- Dobra robota, Ben! Omal nie zemdlalam, gdy przyznałeś się lady Agnes do zabicia Crocketta, ale instynkt cię nie zawiódł. Najlepsza jest szczerłość... zwłaszcza gdy nie pociąga za sobą przykrych konsekwencji.

- Jedna z reguł wprowadzonych przez lady Agnes, znajdziesz je zapewne w tym prospekcie, Beniaminie, głosi: Bądź zawsze szczery, choćby prawda była bolesna. - Randall wpatrywał się w swego młodego krewniaka, zdumiony wrodzoną prawością chłopca. Czyżby odziedziczył ją po matce, czy też była to wyłącznie jego zaleta? - Cieszysz się, że zostałeś przyjęty do Westerfield Academy?

- Wolałbym zostać w Roscombe, ale wiem, że muszę iść do szkoły, jeśli mam zostać dżentelmenem - odparł rozsądnie Beniamin, zajmując miejsce naprzeciw Randalla i Julii. - Wpierwszej chwili pomyślałem, że lady Agnes to groźna dama... ale ma takie wesołe iskierki

w oczach i powiedziała, że mogę zabrać ze sobą Kizię. I uczyła już w swojej szkole innych bękartów!  
- Oczywiście! - przyświadczył Randall, mając na myśli Macken-ziego. - Nie tylko ukończyli Akademię, ale w dalszym ciągu dobrze im się powodzi.

Julia zmarszczyła brwi.

- Chciałabym dać ci pewną radę, Beniaminie, ale nie bardzo wiem, jak to wyrazić... Zasadniczo powinno się mówić prawdę i nie ukrywać swego pochodzenia, ale nie musisz od razu powiadamiać każdego o swym nieślubnym pochodzeniu!

- Słowo daję, sam nie ująłbym tego lepiej! Masz absolutną rację - poparł ją Randall. - W Akademii będą cię oceniać według tego, co sam zrobisz, a nie według twego pochodzenia. Czy jesteś dobrym przyjacielem, dobrym uczniem, dobrym sportowcem? To będzie miało znaczenie dla twoich kolegów! Beniamin się zastanowił.

- Chyba rozumiem... Ale co mam powiedzieć, jeśli ktoś spyta o moją rodzinę?

- Możesz powiedzieć, że twoim opiekunem jest major Randall z Roscombe Manor. Nie brzmi to może wspaniale, ale i nie ma się czego wstydzić - odparł Randall. - Albo możesz wspomnieć, że jesteś spokrewniony z hrabią Daventrym... tyle że to może wywołać lawinę niewygodnych pytań.

- A jeśli ludzie pomyślą, że jestem... twoim nieślubnym synem? - spytał Ben.

- Mnie by to pochlebiało - odparł major z całym spokojem. - Jesteśmy przecież rodziną! A ty byś się tego wstydził?

- Wcale nie! - Sądząc z miny, Ben był o włos od łez. Ze szczęścia. - Nigdy w życiu bym się tego nie wstydził!

Julia uścisnęła rękę męża i uśmiechnęła się do niego tak ciepło, że zaczął liczyć czas do chwili, kiedy wrócą do Ashton House. Ze względu na doborową kolekcję siniaków przez ostatnie trzy noce leżeli tylko obok siebie. Teraz jednak Alex zapragnął przytulić się do niej tak blisko, jak to tylko możliwe.

Zastanawiał się, czy udałoby mu się zwabić Julię do ich apartamentu na romantyczne intermedium jeszcze przed drugim śniadaniem, gdy żona odezwała się nagle:

- Daventry House znajduje się o dwa kroki stąd, prawda? Zajrzyjmy tam i dowiedzmy się, czy hrabia mógłby spotkać się z Beniaminem!

- Teraz? - odezwał się Ben niepewnym głosem.

Randall zmarszczył brwi. Nie miał ochoty popsuć tak dobrze rozpoczętego dnia! Odczytując trafnie wyraz twarzy męża, Julia powiedziała:

- Pewnie nie zastaniemy go w domu. Ale czy nie byłoby lepiej mieć już to za sobą?

- Trochę w tym racji - odparł Randall bez entuzjazmu.

- Mam nadzieję! - Julia znów wyjrzała przez okno powozu i brwi jej się zeszyły nad nosem. - Coś mi mówi, że powinniśmy ich odwiedzić właśnie teraz.

Randall dał znak stangretowi, by zatrzymał konie. Sam nieraz szedł za głosem instynktu, nie zlekceważył więc kobiecej intuicji żony. Słusznie też stwierdziła, że byłoby lepiej mieć już to za sobą. Przewidując najgorsze zakończenie, powiedział do Beniamina:

- Dobrze by było, gdyby Daventry uznał cię za swojego wnuka... Ale pamiętaj, że niewiele stracisz, jeśli tego nie zrobi.

Beniamin tylko się skrzywił.

- Co mi tam stary hrabia! Nie może być o wiele gorszy od Gaulta. To stwierdzenie pozwoliło im spojrzeć na sprawę z właściwej perspektywy.

Nerwy Julii były napięte do ostateczności, gdy Randall zastukał do drzwi Daventry House. Trapił ją nieraz podobny niepokój, zwykle gdy któraś z jej pacjentek miała rodzić. Mentorka Julii, pani Bancroft, miewała także podobne przecucia. Co prawda lady Daventry nie należała do podopiecznych Julii, ale obie rozmawiały na temat ciąży hrabiny. Jeśli jej dziecko się pospieszyło...

Zaniepokojony lokaj przerwał rozważania Julii, otwierając drzwi na oścież.

- Bogu dzięki! - Wyraz jego twarzy uległ zmianie, gdy zobaczył, kto stoi na progu. - Myślałem, że to sir Richard Croft. Proszę stąd odejść, państwo nikogo nie przyjmują!

Sir Richard Croft?... Lekarz hrabiny Daventry! Julia zastanawiała się właśnie, czy nie wdrzeć się siłą do rezydencji, gdy nagle kobiecy krzyk rozległ się echem w całym domu. Młody lokaj jęknął.

Wyglądało na to, że najchętniej by uciekł, gdzie pieprz rośnie.

- Lady Daventry rodzi? - spytała Julia tonem osoby nawykłej do wydawania poleceń.

- Tak i to jest po prostu okropne! Chyba umiera... - Lokaj aż się skulił, słysząc następny krzyk. - Lord Daventry osobiście pojechał po sir Richarda Crofta, ale czy go znajdzie?

- Jestem akuszerką i udzielałam lady Daventry porad w sprawie ciąży.

Weszła do domu z taką pewnością siebie, jakby miała do tego absolutne prawo.

- Ale... ale... - jękał się lokaj, nie wiedząc, co począć. Randall położył dłoń na ramieniu Bena i obaj weszli w ślad za

Julią.

- Podziękuj Bogu, że zjawiała się doświadczona akuszerka! - cierpkim tonem oświecił lokaja major. -

Lady Daventry jest w swojej sypialni?

- Tak, ale...

Nie zważając na protesty służącego, Randall oświadczył:

- Zaprowadzę cię tam, Julio! Obejrzała się na Beniamina.

- Możesz zaczekać tu, na dole.

- Idę z wami!

I chłopak pospieszył za nią i Randallem na górę. Pomoc męża okazała się zbędna: łatwo było trafić do sypialni, skąd dolatywały krzyki hrabiny. Dotarłszy do szczytu schodów, Julia

skręciła w lewo i pobiegła korytarzem. Randall otworzył drzwi na samym końcu, a Julia weszła do środka.

Pośrodku ogromnego łóża z baldachimem lady Daventry wiła się w bólach na skrwawionej pościeli. Biała jak ściana pokojówka ścisnęła bezradnie rękę swojej pani.

- Odsuń się! - poleciła służącej Julia. - Alex, bądź w pogotowiu, gdybym potrzebowała twojej pomocy. Ben, poszukaj lokaja i zdobądź butelkę koniaku i jak najwięcej czystych ręczników.

Gdy obaj posłusznie spełnili jej prośbę, Julia podeszła do łóżka. Okropne plamy okazały się bardziej różowe niż czerwone; zorientowała się, że wody odeszły, a krwawienie nie jest zbyt obfite. Wystarczyło to w zupełności, by powstał niesłychany bałagan, Julia domyśliła się jednak, że sytuacja nie jest aż tak groźna, jakby się wydawało.

- Pani hrabino, to ja, Julia - odezwała się swoim kojącym głosem. - Wszystko będzie dobrze!

- Dzięki Bogu, że przyszłaś! - Skurcz minął i Louisa chwyciła Julię za rękę. Spoconą twarz rodzącej wykrzywił ból. - Proszę, pomóż mi! Coś jest nie tak, jak zwykle... - Wtej chwili nie była wielką damą, tylko zrozpaczoną, przerażoną kobietą. - Czyja umrę?

- Nie ma mowy o umieraniu! - oświadczyła stanowczo Julia. Na stole obok łóżka znajdowały się miednica i czyste płótno. Julia umoczyła je w wodzie i otarła spoconą twarz Louisy.

- Jestem akuszerką - zwróciła się do pokojówki. - A ty? Służąca była mniej więcej w tym samym wieku co hrabina. Teraz, gdy zjawiała się fachowa pomoc, próbowała wziąć się w garść.

- Nazywam się Hazel, jestem pokojówką pani hrabiny... ale nie mam pojęcia, co robić. Doktor zawsze zjawiał się na czas, kiedy rodziła starsze dzieci.

- Od jak dawna lady Daventry ma bóle? - spytała Julia.

- Ja... nie bardzo wiem, proszę pani... Może od godziny? - odparła niepewnie służąca. - Wody jej odeszły, a skurcze i krwawienia zaczęły się zaraz potem. Dzisiaj służba ma pół dnia wolnego, w całym domu prawie pusto. Jego lordowska mość sam udał się po pomoc!

Lady Daventry jęknęła, gdy złapał ją kolejny skurcz, a Hazel zauważyła z niepokojem:

- Strasznie się rzuca w bólach. Z trudem udawało mi się ją uspokajać.

- Kobieta, która rodzi, nie powinna leżeć bez ruchu - odparła Julia. - Czy twoje poprzednie porody, Louiso, trwały długo?

- Nie. - Oczy hrabiny spotkały się z oczami Julii. Lady Daventry wydawała się nieco mniej strwożona.

- Mój najmłodszy syn urodził się po dwóch godzinach.

- Masz szczęście! - Julia była pełna podziwu. - Umyję teraz ręce i zbadam cię. Zawsze starannie je myję, kiedy mam odebrać dziecko. Akuszerka, która nauczyła mnie tego zawodu, powtarzała, że to z pewnością nie zaszkodzi, a może pomóc, bo czystość to wielka cnota! I miała rację: prawie nigdy nie straciła pacjentki ani dziecka.

Myjąc starannie ręce, Julia mówiła pogodnym tonem; jej serdeczne, krzepiące słowa rozpraszały obawy położnicy. Pani Bancroft nauczyła ją także tego, że kobieta, która wierzy, że nie umrze, ma większe szanse przetrwania.

Kiedy ręce były już zupełnie czyste, Julia powiedziała:

- Teraz cię zbadam, Louiso. To będzie może troszkę krępujące... ale urodziłaś już przecie troje zdrowych, silnych dzieci i dobrze wiesz, jak wygląda poród.

- Tak... O Boże! Boli!

Nastąpił kolejny skurcz. Ręka hrabiny zacisnęła się na rękę Hazel tak mocno, że aż kłykcie zbieleły.

- Niedługo będzie już po wszystkim - pocieszała rodzącą Julia. - Naprawdę niedługo! Pamiętaj, że twoje ciało dobrze wie, jak rodzić, trzech wspaniałych synów to najlepszy dowód! Tym razem dziecko przychodzi na świat trochę przed czasem, powinno być nieco mniejsze, a to dla ciebie lepiej.

Cały świat skurczył się dla Louisy do rozmiarów jej poplamionego krwią łóżka. Julia doświadczonej rękoma badała rozdęty brzuch

pacjentki. Zmarszczyła brwi, gdy wyczuła, że twarda główka znajduje się wysoko, a nie w dole, tuż obok kanału rodnego.

Hrabina dostrzegła wyraz twarzy akuszerki i spytała z lękiem:

- Czy... dziecko nie żyje? Coś uderzyło Julię w lewą dłoń.

- O nie, maluch właśnie mnie kopnął! Wydaje się bardzo żwawy. Jest tylko odwrócony w niewłaściwą stronę: nóżki wychodzą pierwsze. To dlatego czułaś, że coś przebiega inaczej, Louiso!

Położnica z trudem chwyciła oddech.

- Poród pośladowy?... To zły znak, prawda?

- Niekoniecznie. Jak mówiłam, ciało dobrze wie, co robi! Poród pośladowy bez dodatkowych komplikacji nie jest groźniejszy od zwykłego.

- Nie wytrzymam dłużej leżenia! - narzekła Louisa. - Muszę usiąść!

- Wobec tego siadaj! - zachęciła ją Julia. Wzięła hrabinę za drugą rękę. - Kobiece ciało zawsze wie, co robi, ciągle to powtarzam. Hazel, pomóż lady Daventry usiąść. A siła ciężkości niech ułatwi przyście na świat maleństwu!

### 37

Randall stał przy drzwiach, rad, że sypialnia jest tak wielka, iż ze swego miejsca nie widzi zbyt dokładnie wszystkiego, co działo się na łóżku. Był już świadkiem wielu, zbyt wielu krwawych scen - czy to na polach bitew, czy w lazaretach polowych, gdzie dokonywano amputacji na oczekaniu. Nic jednak nie zrobiło na nim takiego wrażenia, jak ta przejmująca, nieustępliwa, pozornie beznamietna walka Julii o życie lady Daventry i jej dziecka.

Julia walczyła o uratowanie dziedzica hrabiowskiego tytułu. Sytuacja była niemal groteskowa, ale to niewiele w tej chwili obchodziło Randalla. Na razie starał się ze wszystkich sił zachować - przynaj-

mniej z pozoru - spokój i być w pogotowiu na każde zawołanie Julii, gdyby go potrzebowała. Benjamin wrócił z ręcznikami i butelką koniaku. Randall otworzył ją i postawił na stole, koło ręczników, pod bokiem Julii. Kusilo go, by pociągnąć choć łyżeczek, ale domyślał się, że żona zamierza użyć alkoholu do odkażania, by zmniejszyć groźbę infekcji - podobnie jak wówczas, gdy operowała mu nogę. W tej chwili wydawała się nie dostrzegać obecności męża, zajęta uspokajaniem hrabiny. Randall zaś starał się nie gapić na rodzącą, by nie czuła się skrepowana. Następnie wrócił na swoje miejsce przy drzwiach. Stojący obok niego Benjamin był blady, lecz spokojny. Ten chłopak musiał widzieć niejedno w pocztowym zajeździe... Jego matka zmarła w położu. Twardy był z niego dzieciak! Mimo to obaj aż podskakiwali, ilekroć lady Daventry krzyknęła z bólu.

- Jesteś pewien, że chcesz tu zostać? Pokój rodzącej to nie miejsce dla mężczyzn - perswadował mu szeptem Randall. - Możesz wrócić powozem do Ashton House!

Benjamin jednak uparcie obstawał przy swoim:

- Chcę tu zostać, razem z wami!

Randall skinął głową potakująco i objął chłopca ramieniem. Może nie było to miejsce odpowiednie dla Bena... ale czuł egoistyczną radość, że chłopiec dotrzymuje mu towarzystwa. Masywne słupki baldachimu zasłaniały widok, ale hrabina chyba klęczała, podtrzymywana przez Julię i pokojówkę... Drzwi na dole otwarły się z impetem, na schodach zadudniły ciężkie kroki. Czyżby to znamienity położnik raczył się wreszcie zjawić?

Do sypialni wpadł lord Daventry. Widać było, że jest zmęczony.

- Trzymaj się, Louiso, doktor zaraz tu będzie! Nagle ujrzał Julię i stanął jak wryty.

- To ty? - syknął jadowicie. - Precz od mojej żony, podła wiedźmo, morderczyni!



Hrabina wydała mrozący krew w żyłach okrzyk i półprzytomny Daventry rzucił się w stronę łóżka. Randall pojął w jednej chwili, czemu Julia kazała mu czekać i w jaki sposób mógł być jej pomocny. Chwytał stryja za ramię, a chwyt miał iście stalowy.

- Ani kroku dalej!

Daventry odwrócił głowę i aż się zachłysnął na widok bratanka.

- Powinienem się domyślić, że i ciebie tu zobaczę! - warknął. - Przyszliście napawać się widokiem śmierci mego spadkobiercy, ty i ta diablica, twoja żona! Ale nic nie poradzicie, prędzej was piekło pochłonie! Usiłował uwolnić ramię z uścisku Randalla. Ten jednak nie puszczał.

- Okaż choć szczyptę rozumu! - mruknął. - Może Julia nie jest akuszerką, którą sam byś wybrał, ale szczęśliwym trafem znalazła się tutaj. I powinieneś Bogu dziękować na kolanach, że wybraliśmy się tu z wizytą właśnie dziś. Jeśli twoja żona i dziecko wyjdą z tego cało, będzie to wyłącznie zasługa Julii! Szalony z wściekłości Daventry zamierzył się drugą ręką, chcąc uderzyć bratanka. Major złapał go za przegub i wykręcił go boleśnie.

- Chcesz pomóc swojej żonie? To zachowuj się jak mężczyzna, a nie jak dzikus! A jeśli spróbujesz się zbliżyć do Julii, złamię ci rękę!

Trzęsąc się wprost z wściekłości, hrabia syknął:

- Jak śmiesz bronić mi dostępu do mojej żony?

Nim Randall zdążył odpowiedzieć, od strony łóżka znów dobiegł krzyk. Nie był to jednak nabrzmiały bólem jęk hrabiny, tylko cieniutki głosik noworodka.

Daventry rzucił się znów w stronę łóżka.

- Louiso! - zawołał.

Randall puścił stryja i przebiegł przez pokój tuż za nim, gotów w każdej chwili powstrzymać hrabiego, gdyby zagrażał Julii. Dotarli do celu równocześnie, w chwili gdy Julia wołała radośnie:

- Znakomicie się spisałaś, Louiso! Najgorsze już za tobą, a twoje cierpienia jakże się opłaciły!

Pokojówka pomogła hrabinie położyć się, Julia wycierała dziecko ręcznikiem. Ubrudzone krwią niemowlę było maleńkie, ale pełne życia i miało wyjątkowo silne płuca.

- Mój syn... mój syn jest zdrowy? - wychrypiął Daventry.

- Moje gratulacje, hrabio! - Julia obrzuciła go chłodnym spojrzeniem, kładąc noworodka w zagięciu ramienia matki. - Ma pan śliczną, zdrową córeczkę. - Do Louisy zaś powiedziała: - Malutka potrzebuje twojego ciepła, twojej bliskości i twojego serca, przytul ją do siebie!

Twarz hrabiny była biała jak śnieg, rozpromieniła się jednak, gdy spojrzała na maleństwo.

Daventry na chwilę umilkł. Jego spojrzenie pomknęło w stronę dziecka. Nie ulegało wątpliwości: było płci żeńskiej.

- Córka?!

Zdumiony Randall też nie mógł złapać tchu. Uwierzył bez zastrzeżeń Daventry'emu, który nie miał wątpliwości, że to będzie chłopiec. Wszystkie poprzednie dokonania hrabiego na tym polu usprawiedliwiały takie przekonanie... ale jak zawsze, ostatnie słowo należało do Opatrzności. I oto znów Randall stał się spadkobiercą swojego stryja.

Hrabina spoglądała na męża z wyzwaniem. Mocniej przytuliła do piersi dziecko.

- Wiem, że pragnąłeś syna, ale ja zawsze marzyłam o córeczce! Nazwę ją Sophia. Jeśli nas nie chcesz, zabiorę ją ze sobą gdzieś daleko. Nie będziesz musiał nas oglądać!

Była to wyraźna pogróżka.

Mieniąc się na twarzy, Daventry wyciągnął drżącą rękę i dotknął malusieńkich paluszków na doskonale ukształtowanej, drobniutkiej stopce. Sophia pisnęła i cofnęła nóżkę. Na twarzy hrabiego odmalował się lęk połączony z zachwytem, gdy spoglądał na swe dopiero co urodzone dziecko.

- Córka Daventry'ego... - wymamrotał. - Nigdy nie przypuszczałem, że będę miał córkę!

- To normalne, że rodzą się także dziewczynki - zauważyła z lekką ironią Julia. - Wspomniałeś kiedyś, milordzie, że płodzisz tylko synów... i chyba na tym właśnie polegał cały kłopot. Zetknęłam się z kobietami, których całe męskie potomstwo przychodziło na świat martwe lub umierało w młodym wieku, córki zaś chowały się znakomicie. Powodem tego jest, zdaje się, jakaś wada nasienia. Mała Sophia nie będzie mogła odziedziczyć twojego tytułu, hrabio, ale dzięki niej przetrwa twoja krew i zrodzą się następne pokolenia twych potomków.

Daventry musnął leciutko włosy żony, jakby się bał, że mocniejsze dotknięcie mogłoby ją zabić.

- A co z Louisa?... Wyzdrowieje? Straciła tyle krwi!

- Hrabina przez pewien czas będzie bardzo osłabiona, ale niebawem powinna wrócić do sił.

Julia podeszła do miednicy, by zmyć krew z rąk. Gdy były już czyste i suche, zaczęła masować brzuch hrabiny łagodnymi, ale zdecydowanymi ruchami.

- Przyglądaj się uważnie, Hazel, temu co robię, żebyś umiała sama masować swoją panią. To bardzo ważny zabieg: macica dzięki niemu kurczy się, sama wyczujesz różnicę!, a to zmniejsza prawdopodobieństwo krwotoku.

- Tak jest, proszę pani - odparła pokojówka z szacunkiem. - Zrobię wszystko, co pani każe!

- Odwiedzisz nas, Julio? - spytała lady Daventry z nadzieją w głosie. - Mój mąż nie będzie się już sprzeciwiał... Prawda, mój drogi?

W ostatnich słowach brzmiała ostra nuta.

Hrabia wolałby zapewne wyrwać sobie wszystkie zęby, niż przeproszać Julię lub dziękować jej za cokolwiek. Powiedział jednak niechętnie:

- Nie będę się sprzeciwiał. Chyba muszę... być pani wdzięczny, lady Julio.

Beniamin trwał wiernie przy boku Randalla. Oczy chłopca stawały się coraz większe, pełne ciekawości. Major uprzytomnił sobie ze zdumieniem, że maleńka Sophia jest ciotką chłopaka!

Randall przypomniał sobie o pierwotnym celu wizyty w Daventry House.

- Z całą pewnością nie zginesz bezpotomnie, hrabio, i to nie tylko za przyczyną swojej córki. Przybyliśmy tu dzisiaj z Julią, by przedstawić ci twojego wnuka, Beniamina Thomasa. To syn Branforda, urodził się kilka miesięcy przed jego śmiercią.

Daventry nie zauważył dotąd Beniamina, teraz jednak jego spojrzenie spoczęło na chłopcu.

- Chcecie mi zrzucić na kark tego smarkacza, wmawiając, że to mój wnuk? - warknął.

Randall miał już dość wiecznej podejrzliwości i gniewu stryja. Powiedział więc chłodno:

- Nie ma mowy o żadnym wmawianiu ci czegoś, czy zrzucaniu kogoś na kark. Beniamin jest moim przybranym synem i jego domem zawsze będzie Roscombe Manor. Za tydzień rozpocznie naukę w Westerfield Academy. Nie potrzebuje twojej łaski, Daventry! Julia i ja uznaliśmy jednak, że powinieneś się dowiedzieć o istnieniu wnuka.

- Wygląda jak Branford - zauważyła sennym głosem hrabina - tylko jest sympatyczniejszy. Witaj, Beniaminie! Jestem twoją babcia... a przynajmniej żoną twego dziadka. I mam synka niewiele starszego od ciebie.

Przez dłuższą chwilę Daventry wpatrywał się w Beniamina. Jego początkowe niedowierzenie słabło w miarę dokładnych oględzin. W końcu skapitulował ostatecznie.

- Rzeczywiście jesteś podobny do Branforda. Wyglądasz dokładnie tak jak on, kiedy był chłopcem. - Daventry miał minę boksera, który otrzymał zbyt wiele ciosów w głowę. Pokręcił nią i zdobył się na krzywy uśmiech. - A więc niespodziewanie zyskałem córkę i wnuka, i to tego samego dnia!

- Moja matka pracowała w szynku, ale była większą damą niż ty dżentelmenem! Wcale nie wiem, czy chcę takiego dziadka. Jesteś niesprawiedliwy i wrzeszczysz na wszystkich!

Daventry tak się zdumiał, że Randall omal nie wybuchnął śmiechem na widok jego miny. Trafiła wreszcie kosa na kamień!

- Owszem, często podnoszę głos i czasem bywam niesprawiedliwy - odparł hrabia z powagą. - Ale ponieważ wygląda na to, że naprawdę jestem twoim dziadkiem, powinniśmy się chyba lepiej poznać.

- Najwyższy czas, żeby wszyscy stąd wyszli - orzekła stanowczo Julia. - Lady Daventry musi wypocząć! Drzwi nagle się otwarły i do pokoju wszedł mężczyzna, ubrany według najnowszej mody, z czarną lekarską torbą.

- Przybyłem najszybciej jak mogłem, milordzie - oznajmił z niespokojną miną. - Jakże się miewa pani hrabina?

- Hrabina i jej córka mają się doskonale, sir Richardzie. - Louisa ziewnęła dyskretnie. - Dzięki mojej przyjaciółce Julii, która jest akuszerką.

Nozdrza sir Richarda Crofta rozdęły się, jakby zaleciał go niemiły zapach.

- Akuszerka odebrała poród? Ma pani szczęście, hrabino, że wszystko zakończyło się pomyślnie! - Spojrzał podejrzliwie na Julię. - Kim jest ta kobieta?

- Ta kobieta to lady Julia Randall, doświadczona akuszerka i córka księcia Castletona - odparł major, odgadując trafnie, że popularny doktor jest snobem.

Julia też się tego domyśliła. Z przekornym błyskiem w oczach zwróciła się do lady Daventry:

- Radzę ci, Louiso, żebyś nie brała mamki, tylko sama karmiła Sopię. Tak będzie znacznie lepiej i dla ciebie, i dla dziecka.

- Oczywiście, skoro tak mi radzisz - zgodziła się potulnie hrabina.

Sir Richard był wyraźnie zbulwersowany.

- Damy nie karmią swoich dzieci!

- Damy nie - odparowała Julia. - Ale kochające matki tak! - Pochyliła się i pocałowała hrabinę w policzek. - Spij dobrze, Louiso. Spisałaś się znakomicie!

Wyprostowała się i zachwiała lekko. Randall, domyślając się, jak bardzo jest wyczerpana, otoczył ją ramieniem.

- Zabieram natychmiast żonę do domu!

Oparła się o niego, twarz miała szarą. Szepnęła ledwie dosłyszalnie:

- Całe szczęście, że nic nie jadłam od kilku godzin...

Jeśli zbiera się jej na mdłości, to im szybciej dotrzemy do domu, tym lepiej! - pomyślał Randall. Z pewnością nie chciałyby wymiotować przy ludziach!

Pożegnał wszystkich skinieniem głowy.

- Gratuluję prześlicznej córki, lady Daventry i życzę wypoczynku. Chodź, Beniaminie!

Wszyscy troje - on, Julia i Ben - byli w połowie drogi do drzwi, gdy hrabia odezwał się nagle:

- Chwileczkę! Chciałbym, żeby mój.... mój wnuk spędził u nas popołudnie. Poznalibyśmy się bliżej. -

Kiedy Randall się zawahał, hrabia dodał: - Odeślę go przed obiadem!

- Chciałbyś zostać tu dłużej, Beniaminie? - spytał Randall. Chłopiec wzruszył niedbale ramionami.

- Mogę zostać.

Jednak błysk ożywienia w jego oczach świadczył o tym, że cieszy go zainteresowanie dziadka.

- Doskonale. W takim razie spotkamy się przy obiedzie! Randall sprowadził Julię na dół i razem opuścili rezydencję. Na

ulicy panował spokój, powóz Ashtona czekał w pobliżu. Ile czasu spędzili w Daventry House?

Niespełna dwie godziny. Gdy wracali do Ashton House, spytał Julię:

- Lepiej się czujesz?

Obdarzyła go krzywym uśmiechem.

- Potrzebowałam tylko świeżego powietrza!

- Czy lady Daventry groziło poważne niebezpieczeństwo? -zagadnął. - Wszystko wglądało dość groźnie, ale nie znam się na tym...

- Byłam przy niej i poród przeszedł gładko - odparła Julia. - Ogarnął ją strach, że jest za stara na rodzenie, a taki strach może mieć nieprzewidziane skutki. A poza tym...

Julia zamilkła.

- Co poza tym? - dopytywał się.

- Może jestem uprzedzona do sir Richarda, ale obawiam się, że w jego obecności mogłoby być znacznie gorzej - powiedziała z ociąganiem. - Mężczyźni przeważnie upierają się, żeby coś zrobić, tymczasem należy pozwolić, by natura wykonała swoje zadanie. Wyciąganie siłą dziecka podczas porodu pośladowego mogłoby się źle skończyć...

Wyrażała się bardzo oględnie, odgadł jednak, że łatwo mogło dojść do tragedii.

- Lady Daventry ma wielkie szczęście, że zyskała w tobie przyjaciółkę!

- Pp prostu robiłam to, czego mnie nauczono. Mam nadzieję, że Louisa będzie sama karmić; to najlepsze rozwiązanie dla nich obu. - Ze znużeniem oparła głowę na ramieniu męża. - Cieszę się, że Daventry uznał Beniamina za swego wnuka. Chłopcu potrzeba rodziny i poczucia, że jest do niej przyjęty.

- Chyba każdemu na tym zależy - rzucił sucho mąż. - Ashtonów nie ma dziś w Londynie... Co ty na to, żebyśmy spędzili popołudnie w domu, nie wychodząc z naszych apartamentów? Pewien jestem, że z przyjemnością zażyjesz kąpieli, a ja każę przynieść nieco spóźnione drugie śniadanie do pokoju.

Julia się uśmiechnęła.

- Cóż za urocza perspektywa!

Ale dzień nie miał się wcale ku końcowi. Obejmując ramieniem żonę, Alex czuł, że coś między nimi uległo zmianie. Nie wiedział tylko, na czym to polega.

Poplamiona krwią suknia Julii wywołała okrzyki przerażenia, gdy oboje z Randallem wkroczyli do Ashton House. Major wydał służbie polecenia co do kąpieli i posiłku w apartamencie, Julia zaś mierzyła zmęczonym wzrokiem srebrną tackę na korespondencję, którą podsunęła jej pokojówka. Prócz listów znajdowała się na tacce mała paczuszka od złotnika, pana Rose'a. Pakuneczek został przyniesiony przez posłańca, a nie przesłany pocztą. Julia otworzyła go: wewnątrz znalazła obite aksamitem pudełko, w nim zaś obrączkę, zamówioną dla Randalla. Spoglądała z podziwem na misterny celtycki wzór, równie zawiły jak powikłane koleje ich życia i małżeństwa. Zamknęła pudełeczko i schowała je do swego woreczka, po czym, wsparta na ramieniu męża, weszła po schodach na górę. Gorącą wodę wniesiono do sypialni, gdy tylko się w niej znaleźli. Julię zawsze zdumiewała sprawność służby w Ashton House.

Po wyjściu służących, którzy przynieśli wodę, Randall podszedł do żony, by pomóc jej przy zdejmowaniu sukni.

- Postaraj się nie usnąć w wannie!

- Niczego nie obiecuję... - Mimo że Elsa radziła sobie coraz lepiej z obowiązkami pokojówki, Julia chętnie korzystała z pomocy męża; lubiła czuć na karku i plecach dotyk jego palców, gdy rozpinał jej suknię. - Odbieranie porodu jest naprawdę męczące.

A jeszcze nigdy nie zmęczyła się tak jak dziś. Widocznie wyszła z wprawy!

Ukryła się za parawanem, gdzie stała wanna z parującą wodą. Lady Kiri przysłała specjalny olejek do kąpieli, pachnący tak samo jak perfumy, które jej podarowała. Julia wlała teraz kilka kropel olejku do wody. Ilekroć używała perfum od Kiri, podziwiała bogactwo ich kompozycji i odkrywała coraz nowsze jej zalety.

Westchnęła z zadowoleniem, upięła włosy na czubku głowy i weszła do wanny, rozkoszując się nieporównywalną z niczym



przyjemnością gorącej kąpieli. Wanna była tak wielka, że woda sięgała Julii pod samą brodę. Randall zajrzał za parawan.

- Ta wspaniała kucharka Ashtonów dowiedziała się już, że udało ci się szczęśliwie sprowadzić na świat córeczkę lady Daventry. Przysłała nam na górę swój wynalazek, podobno znakomity: połączenie mrożonego szampana z sokiem pomarańczowym. Pomyślałem, że chętnie tego skosztujesz. - Podał żonie wysoki kieliszek z pieniającym się trunkiem pomarańczowej barwy. - Za zdrowie małej lady Sophii, niech się zdrowo i szczęśliwie chowa!

- Za zdrowie Sophii! - Julia wzięła do rąk kieliszek i z przyjemnością sączyła słodko-cierpki napój. - Mm... pyszności! Nie wyobrażam sobie większej rozkoszy! Uśmiechnął się z leciutką ironią.

- Czyżby?

- No... prawie.

Julia przyjrzała się uważnie mężowi i zrobiło się jej gorąco. Pozbył się już surduta i krawata. Lubiła go oglądać w niekompletnym stroju...

- Jeśli nie przestaniesz spoglądać na mnie takim wzrokiem, twoja kąpiel nie potrwa długo! - zauważył tonem salonowej konwersacji.

- I tak niebawem zamierzałam z niej wyjść. Przekornie uniosła nogę do góry, przybierając pozę tancerki.

- Oby jak najszybciej!

Pochylił się i ucałował żonę w czoło, jego palce powędrowały po wewnętrznej stronie nogi.

Julii zapało dech w piersiach.

- Ta woda robi się coraz gorętsza!

- Więc nie zwlekaj, aż wszystko wystygnie! - ostrzegł wiele mówiącym tonem.

Była już gotowa wyskoczyć z wanny i ruszyć w ślad za mężem... ale doszła do wniosku, że nie musi się spieszyć. Chwila oczekiwania sprawi, że finał będzie jeszcze słodszy.

Nadal więc rozkoszowała się gorącą, wonną kąpielą i zimnym, aromatycznym napojem. Musi dowiedzieć się od kucharki, jak go przyrządzać!

Przypadkiem spojrzała na swoje piersi. Blizny były niemal całkowicie zakryte pachnącą pianą. To dzięki Randallowi nie czuła już wstrętu do własnego ciała.

Pogodziła się z faktem, że blizny - co prawda brzydkie - stanowią część niej samej, a mąż wcale nie uważa jej za odrażającą!

Znów upiła łyżek pachnącego pomarańczami szampana i pomyślała, że mieli dziś bardzo udany dzień. Beniamin przypadł do gustu zarówno lady Agnes, jak i hrabiemu Daventry śliczne niemowlę urodziło się szczęśliwie, a ją czeka cudowne popołudnie: oboje z mężem będą się nawzajem uwodzili! Julia przesunęła ręką po swoim ciele. Siniaki - pamiątka po spotkaniu z Crockettem - przybrały już żółtawozielonawe zabarwienie i prawie nie dokuczały. Zauważyła, że koniuszki piersi stały się niezwykle wrażliwe. Pewnie zbliża się niewłaściwa pora miesiąca!

Zaraz, zaraz... Sprawdziła w myśli daty i omal nie jęknęła. Mogło być tylko jedno wytłumaczenie... To przecież niemożliwe!

...Ale gdy rozważała swoje objawy, odpowiedź nasuwała się ta sama. To, co od pierwszej chwili powinno być dla niej oczywiste, nie przyszło jej nawet do głowy, bo przecież nie liczyła się w ogóle z taką możliwością... Nie mówiąc już o tym, że w ostatnich tygodniach mnóstwo spraw rozpraszało jej uwagę.

Ogarnęła ją ogromna radość i perliła się w niej niczym szampan! Choć serce biło jej jak szalone, pozostała w kąpielii jeszcze dłużej, żeby przemyśleć to, co powie mężowi. Powinno to całkiem zmienić ich małżeństwo, które ostatnio trochę niedomagało... Ale po wydarzeniach dzisiejszego dnia... Ciekawe, jak Randall czuje się teraz, gdy znów został spadkobiercą stryja? Tym razem nie ma obawy, by ktoś go zepchnął z tej pozycji!

Pełna nadziei, ale i zdenerwowana, Julia wyszła z wanny, wytarła się ręcznikiem i narzuciła na siebie miłą, miękką szlafrok. Potem rozpuściła włosy i wyszczotkowała je. Opadały teraz na ramiona, tak jak lubił Randall. Na koniec zdjęła ślubną obrączkę, przygotowując się do odegrania sceny, którą sobie obmyśliła, i wynurzyła się zza parawanu.

Randall przeglądał korespondencję, siedząc przy oknie w obitym skórą fotelu. Odłożył jednak listy i wstał, gdy tylko żona się pojawiła.

- Wyglądasz przepięknie, jak Afrodyta wynurzająca się z morskich fal - powiedział z zachwytem. Roześmiała się.

- Oto zalety klasycznego wykształcenia! Benjamin stanowczo powinien uczyć się łaciny i greki.

- On naprawdę lubi się uczyć. Z pewnością okaże się pilniejszym uczniem niż ja. Ciekaw jestem, jak też sobie radzi z Daven-trym? - Błękitne jak morze oczy Randalla błysnęły wesoło. - Stryj i ja znów będziemy musieli silić się na uprzejmość. Znacznie prościej było wówczas, gdy wyrzekł się mnie i nie musiałem liczyć się z jego humorami!

- Teraz, gdy Daventry ma córkę i wnuka, i może być spokojny o to, że nie umrze bezpotomnie, sądzę, że stanie się nieco łagodniejszy. - Julia przyglądała się z zachwytem, jak wpadające przez okno promienie słońca złocą włosy jej męża i podkreślają urodę jego barczystej sylwetki, kiedy tak stał oparty o parapet.

- Znów jestem jego spadkobiercą... - Światło padało z tyłu, toteż wyraz twarzy Randalla był nie do odczytania. - Czy, twoim zdaniem, to dość wysoka pozycja? Warta tego, by utrzymać nasze małżeństwo? Przyszły hrabia to zawsze coś lepszego niż zwykły hreczkosiej...

Palce Julii zacisnęły się na obrączce, którą zdjęła. Słowa męża sprawiły, że jej radosny nastrój rozprysnął się jak lód... A może ten lód przeistoczył się w żywy ogień? Zapominając o wielkiej mowie, którą tak starannie sobie przygotowała, warknęła:

- Nie bądź głupi, Alexandrze! Naprawdę myślisz, że mnie obchodzi, czy masz tytuł, czy nie?!

Jej gwałtowność sprawiła, że Alex cofnął się mimo woli o krok.

- Powinno cię to obchodzić, Julio! Tak wielka dama jak ty może mieć każdego, kogo zapragnie. W małżeństwie ze mną miałaś zapewnioną ochronę, ale już jej nie potrzebujesz, gdy nie ma Crocketta. Julia podeszła bliżej, chcąc dostrzec wyraz jego twarzy. Jej gniew rozwiął się. Mroczna twarz męża świadczyła niezbicie, że Alex nie wierzy w to, by jakiegokolwiek kobiecie zależało na nim. Uważał, że mogła się z nim związać tylko dla wymiernych korzyści. Nikt go dotąd nie darzył bezinteresownym uczuciem. Julia zrozumiała, że sama umocniła go w tym przekonaniu, domagając się przed ślubem pisemnej zgody na rozwiązanie małżeństwa. Nie okazała się o wiele mądrzejsza od niego!

- Ależ z nas para głupców, Alexandrze! Zaczekaj chwilę... Podbiegła do drzwi, łączących sypialnię z jej salonem. Bez trudu znalazła list, napisany przez Randalla, który miała przedstawić przed sądem, by uzyskać rozwód. Wróciła do sypialni i pokazała mu dokument.

- Poznajesz, co to takiego?

- Oczywiście. - Popatrzył na nią z niepokojem, jakby była racą, która zaraz wybuchnie. - To list, który napisałem na twoje życzenie.

Z pośpiechem podarła dokument na strzępy.

- Żałuję, że nie ma ognia na kominku. Zaraz rzuciłabym to paskudztwo w płomienie! To daje znacznie lepszy efekt niż darcie listu na kawałki.

Zwinęła strzępki w kulkę i cisnęła do pustego paleniska.

- Wybacz, ale nie bardzo rozumiem, co oznacza ten dramatyczny gest - powiedział ostrożnie. - Nie chciałbym zrozumieć go opacznie. Julia westchnęła.

- Jesteśmy dwojgiem zagubionych ludzi. Gorzej niż zagubionych! Zadręczających się bez potrzeby. Ty zamartwiałeś się, że ja pragnę bogactwa i wysokiej pozycji. Ja się zadręczałam, że przestaniesz się mną interesować, kiedy nie będę już potrzebowała twojej pomocy. A w dodatku widząc, jak od razu pokochałeś Beniamina, wmawiałam

sobie, że chcesz się ze mną rozwieść, by ożenić się z inną, która ci urodzi dzieci.

- Nigdy nie chciałem się z tobą rozwieść, Julio! — zaprotestował. - Jeśli nasze małżeństwo zostanie zerwane, to wyłącznie na twoje żądanie.

- Ale to ty ciągle napomykałeś o tym zerwaniu. Nie ja! - Spojrzała mężowi prosto w oczy. - Zgadzam się jednak, że to moja wina. Małżeństwa nie powinno się zawierać dla pieniędzy, z namiętności ani ze względu na dzieci! Małżeństwo to przysięga, którą składa sobie nawzajem dwoje ludzi. Uroczyste zobowiązanie... a jakże można je złożyć, pozostawiając sobie drogę odwrotu?

- Pewnie masz rację - odparł cicho - ale gdybym nie dał ci takiej możliwości, nigdy byś za mnie nie wyszła. A ja pragnałem tego nade wszystko w świecie!

Piekące łzy napłynęły Julii do oczu.

- Pragnałeś tego nawet wtedy, gdy ci wyznałam, że nie mogę mieć dzieci... To największy cud, jaki widziałam w życiu!

- Beniamina pokochałem dla niego samego, a nie dlatego, że mógłby uratować nasze małżeństwo. - Usta Randalla wygięły się w niewesołym uśmiechu. - Nie straciłem jednak nadziei, że będziemy mieli dzieci, Julio... choćby nie były z naszej krwi. Nie brak na świecie maleństw, które potrzebują domu i miłości.

- Miałam nadzieję, że będziesz tak czuł! A choć powiedziałam, że sama namiętność nie może być fundamentem małżeństwa, z pewnością potrafi je umocnić. Chyba że tylko mnie się wydaje, iż łączy nas namiętna miłość...?

- Nie! - Kłykcie Randalla zbieleły, gdy jego ręka zacisnęła się na krawędzi parapetu. - Nie tylko tobie!

- No to świetnie! - Julia wzięła swój woreczek ze stołu i wyjęła pierścionek, który kazała zrobić dla męża. Ściskając w dłoni dwie ślubne obrączki, swoją i jego, wyciągnęła dłoń. Słońce błysnęło na identycznych, wrytych w złocie celtyckich wzorach. - Powtórzmy raz jeszcze naszą przysięgę małżeńską, Alex! Tym razem złożymy ją

sobie raz na zawsze, bez wykrętów. Nie opuszczę cię nigdy, rozumiesz? A gdybyś to ty postanowił odejść ode mnie - oczy Julii zwięziły się niepokojąco - wiedz, że nie mam najmniejszego zamiaru cię zdradzać! Nie będziesz miał żadnych podstaw do rozwodu. Nigdy się mnie nie pozbędziesz!

Wyglądał, jakby za chwilę miał wybuchnąć.

- Jesteś tego pewna, Julio? Próbowałem z najwyższym trudem dotrzymać obietnicy, że po roku zwrócę ci wolność, jeśli tego zapragniesz. Nie było to łatwe, gdyż od pierwszej chwili, kiedy cię ujrzałem, miałem ochotę krzyknąć: „Moja, moja, ona jest moja!” Jeśli więc zdecydujesz się zostać ze mną na zawsze, nigdy już cię nie puszcę, choćbyś zmieniła zdanie!

- Jestem pewna, Alex - powiedziała szeptem. - Teraz i na zawsze, amen.

Z niezwykłą ostrożnością wziął do ręki mniejszą obrączkę i włożył ją na serdeczny palec żony.

- Kocham cię, Julio, i zostanę z tobą na dobre i na złe, w zdrowiu i w chorobie, dopóki śmierć nas nie rozłączy.

Pochylił się, podniósł rękę żony do ust i ucałował złote kółeczko na jej palcu.

- I ja ciebie kocham, Alexandre. - Ciche łzy płynęły po twarzy Julii, gdy wzięła większą obrączkę i wsunęła ją na palec męża. - Tego właśnie nam brakowało! Obawialiśmy się wyznać sobie miłość i uwierzyć w to, że jesteśmy kochani.

Wzięła Aleksa za rękę i przyłożyła ją sobie do policzka. Była taka szczęśliwa, że zgodził się nosić obrączkę od niej, i to z radością!

Otoczyły ją ramiona męża. Był taki ciepły, taki mocny... i wiedziała już z całą pewnością, że należy do niej.

- Nie wierzyłem w miłość od pierwszego wejrzenia - mówił cicho. - Toteż gdy przyszła, nie potrafiłem przyznać się do tego przed sobą, a co dopiero przed tobą! To zwykłe tchórzostwo. Stokroć łatwiej byłoby zaatakować stanowisko bojowe Francuzów niż złożyć serce w twoje ręce.

- Masz siłę i męstwo prawdziwego wojownika! Coś mi się jednak zdaje, że wojownicy tracą odwagę, gdy przychodzi do wyznawania uczuć - powiedziała z uśmiechem. - Jako niewiasta powinnam mieć więcej rozumu, ale nie miałam...

- Ty, Julio, odznaczasz się kobiecą odwagą, nie gorszą od żołnierskiego męstwa... Ale widać wyznawania najskrytszych uczuć trzeba się nauczyć. - Przytulił policzek do jej wilgotnych włosów, tak rozkosznie pachnących. - Tyle w tobie kobiecego ciepła... Tęskniłem do niego przez całe życie.

- A ja tęskniłam do mężczyzny, któremu mogłabym zaufać. - Czuł jej oddech na swojej piersi, do której przytuliła się z bezgraniczną ufnością. - Ale uważaj, majorze, bo mam dla ciebie jeszcze jedną nowinę. Wszystko wskazuje na to... że jestem w ciąży!

- Boże! - Romantyczny nastrój prysnął. Alex schwycił żonę za ramiona i odsunął się, by spojrzeć jej w twarz. Serce biło mu jak szalone. - Jesteś tego pewna?

- Słowo akuszerki, i to doświadczonej! - zapewniła go. - Wprawdzie pani Bancroft orzekła, że męki, jakie zadał mi Branford, spowodowały i poronienie, i bezpłodność... ale ona sama twierdziła zawsze, że w ludzkim ciele kryje się mnóstwo tajemnic. Uwierzyłam jej na słowo, bo czemu miałabym nie wierzyć? I właśnie dlatego nie zauważyłam wyraźnych objawów ciąży. - Uśmiechnęła się radośnie. - Jak choćby nadmierna popędliwość!

- A ponieważ wszystkie te lata spędziłaś sama, nie mogłaś sprawdzić, czy twoja mentorka się nie pomyliła! - Dotknął jej brzucha z tak radosnym zdumieniem, że zalała ją fala ciepła. - Musimy zadbać o to, by Benjamin nie czuł się gorszy od naszych rodzonych dzieci! Chcę, żeby był coraz silniejszy i żeby mu nie brakło wiary w siebie, której nam nie dostawało.

- Miłości do Bena z pewnością nam nie zabraknie! - Julia nakryła swoją dłonią rękę męża. - Wiesz? Spłodziliśmy to dziecko już pierwszej nocy, w Grantham! Ależ jestem płodna!

- Jesteś po prostu cudem, milady - Wziął ją na ręce i z ogromną troskliwością ułożył na łóżku. Usiadł przy niej, pochylił się, żeby ją

pocałować, i usta ich przywarły do siebie. - I jesteś moja! - szepnął. Sunął wargami coraz niżej, rozchylając jej szlafrok, by całować piersi Julii i pieścić je językiem. - Moje, moje! - Rozwiązał pasek jej szlafroka i całował brzuch, w którym pulsowało nowe życie. -1 ono jest moje!

Ze śmiechem wyciągnęła ręce, by rozpiąć mu koszulę. Tak pragnęła głaskać sprężystą, gładką skórę jego pleców!

- A ty jesteś mój, Alexandrze. No, zdejmuj szybko ubranie, żebym mogła obejrzeć dokładnie swoją własność. Każdy cal twego pięknego, poznaczonego bliznami ciała!

- Z miłą chęcią, milady! Wszystko, co mam i czym jestem, należy do ciebie.

- A ja do ciebie!

Przyciągnęła do siebie jego głowę, spragniona dalszych pocałunków.

Nareszcie naprawdę czuła się żoną, teraz i na zawsze.